

SUE TOWNSEND

Kobieta,
która
przez rok
nie wstawała
z łóżka



Sue Townsend

KOBIETA, KTÓRA PRZEZ
ROK NIE WSTAWAŁA Z
ŁÓŻKA

Przełożył Adam Pluszka

Mojej matce, Grace :)

Bądź dobry, ponieważ każdy, kogo spotykasz, toczy jakąś ciężką walkę.

podobno Platon, ale i wielu innych

Kiedy wyjechali, Eva zasunęła rygiel w drzwiach i odłączyła telefon. Lubiła mieć dom tylko dla siebie. Sprzątała pokój po pokoju, porządkując i zbierając kubki oraz talerze, które jej mąż i dzieci porzucili w różnych miejscach. Ktoś zostawił łyżkę na oparciu jej specjalnego fotela – tego, który własnoręcznie obiała na zajęciach wieczorowych. Natychmiast weszła do kuchni i sprawdziła stan pudełka ze środkami czyszczącymi.

– Co usunie plamę po zupie Heinza z tego wyszywanego, wzorzystego adamaszku? – zrzędziła do siebie, poszukując najodpowiedniejszego preparatu. – To twoja wina. Mogłaś trzymać fotel w swojej sypialni. Zostawienie go w salonie to była czysta próżność. Chciałaś, żeby goście zauważyli fotel i mówili, jaki jest piękny, żebyś mogła wyjaśnić, że dwa lata zajęło ci dokończenie haftów i że zainspirował cię obraz Claude’a Moneta *Staw nenufarów i wierzba płacząca*.

Wyszywanie samych drzew zajęło rok.

Na kuchennej podłodze stało bajorko pomidorowej, które dostrzegła dopiero wtedy, kiedy w nie weszła i zostawiła za sobą pomarańczowe ślady. Nieprzywierający rondel z połową puszki zupy wciąż bulgotał na kuchence.

„Zbyt leniwi, żeby zdjąć garnek z palnika” – pomyślała. Potem uświadomiła sobie, że bliźniaki to teraz problem uniwersytetu w Leeds.

Zobaczyła swoje odbicie w przydymionym szkle piekarnika. Natychmiast się odwróciła. Gdyby się przyjrzała, ujrzałaby kobietę koło pięćdziesiątki z pełną uroku, ładną twarzą o jasnym, badawczym spojrzeniu i ustach, których nie powstydziliby się Clara Bow. Nikt – nawet Brian, jej mąż – nie widział jej bez szminki. Eva uważała, że czerwień ust doskonale współgra z czernią noszonych przez nią ubrań. Od czasu do czasu pozwalała sobie na jakieś szarości.

Kiedy pewnego razu Brian wrócił z pracy, zastał Evę w ogrodzie. Miała na sobie czarne kalosze i właśnie wyrwała kilka rzep.

– Na litość boską, Eva! – powiedział. – Wyglądasz jak powojenna Polska.

Jej uroda mieściła się w kanonach współczesnej mody. „Dobry rocznik”, jak to ujęła dziewczyna za ladą sklepu Chanel, w którym kupiła szminkę (zawsze pamiętała, żeby wyrzucić paragon – jej mąż nie pojąłby takiego skandalicznego wydatku).

Złapała rondel z zupą, przeszła z kuchni do salonu i wylała całą zawartość naczynia na swój cenny fotel. Potem udała się do sypialni na piętrze i nie zdejmując ubrania ani butów, położyła się na łóżku i została tam na rok.

Nie wiedziała, że minie akurat tyle czasu. Kładła się z myślą, że wstanie za jakieś pół godziny, jednak komfort łóżka okazał się nieodparty, a biała pościel świeża i pachnąca śniegiem. Odwróciła się na bok w kierunku otwartego okna i patrzyła na spadające błyszczące liście jaworu.

Zawsze kochała wrzesień.

Obudziła się, kiedy zapadał zmierzch, i usłyszała krzyczącego na dworze męża. Zadzwoiła jej komórka. Na wyświetlaczu zobaczyła, że to jej córka, Brianne. Zignorowała połączenie. Naciągnęła kołdrę na głowę i zaśpiewała *I Walk the Line* Johnny’ego Casha.

Gdy następnym razem wysunęła głowę spod kołdry, dobiegł ją wzburzony głos jej sąsiadki Julii:

– To nie w porządku, Brian.

Stali w ogródku przed domem.

– Miałem na myśli – powiedział jej mąż – że byłem w Leeds, właśnie wróciłem i muszę wziąć prysznic.

– Oczywiście, że musisz.

Eva zastanowiła się nad tą wymianą zdań. Dlaczego podróż do Leeds i z powrotem wymaga wzięcia prysznic? Czyżby powietrze na północy było takie zanieczyszczone? A może się spocił w bmw? Przeklinał ciężarówki? Wrzeszczał na tych, którzy

nie zachowują bezpiecznej odległości? Gniewnie komentował występki pogody?

Włączyła nocną lampkę.

To spowodowało kolejny wybuch krzyku i żądań.

– Przestań się opieprzać i odrygluj drzwi!

Wtedy uświadomiła sobie, że choć chce wstać i zejść, żeby mu otworzyć, nie potrafi podnieść się z łóżka. Miała wrażenie, jakby zanurzyła się w zbiorniku z ciepłym szybko wiążącym betonem i że nie ma sił się poruszyć. Czowała cudowną ociężałość rozlewającą się po całym ciele i pomyślała: „Musiałabym oszaleć, żeby stąd wychodzić”.

Dobiegł ją dźwięk tłuczonego szkła, a niedługo potem kroki Briana na schodach.

Wykrzykiwał jej imię.

Nie odpowiadała.

Otworzył drzwi sypialni.

– Tutaj jesteś – oświadczył.

– Tak, jestem tutaj.

– Źle się czujesz?

– Nie.

– Dlaczego leżysz na łóżku ubrana i w butach? Co ty wyprawiasz?

– Nie wiem.

– To syndrom pustego gniazda. Słyszałem o tym w audycji *Woman's Hour*. – Kiedy nie odpowiedziała, zapytał: – No dobra, wstajesz?

– Nie, nie wstaję.

– A co z kolacją?

– Dziękuję, nie jestem głodna.

– Pytałem, co z *moją* kolacją? Jest coś?

– Nie wiem – odparła. – Zajrzyj do lodówki.

Zszedł na dół. Usłyszała jego kroki na laminowanych panelach, które nieudolnie położył rok wcześniej. Po skrzypieniu poszczególnych paneli rozpoznała, że wszedł do salonu. Wkrótce znów włąził po schodach.

– Co, do cholery, stało się z twoim fotelem? – zapytał.

– Ktoś zostawił na oparciu łyżkę.

– Cały fotel jest w cholernej zupie!

– Wiem, sama to zrobiłam.

– Co? Rozlałaś zupę?

Eva przytaknęła.

– Przechodzisz załamanie nerwowe. Dzwonię do twojej mamy.

– Nie!

Wzdrygnął się od zaciekłości w jej głosie.

Z paniki w jego oczach wyczytała, że po dwudziestu pięciu latach małżeństwa znany mu domowy świat legł w gruzach. Zszedł na dół. Dotarły do niej przekleństwa, jakie wycodził na temat odłączonego telefonu, a po chwili dźwięki wybierania numeru. Kiedy podniosła słuchawkę w sypialni, jej matka mozolnie recytowała swój numer po drugiej stronie linii.

– Zero, jeden, jeden, sześć, dwa, cztery, cztery, cztery, trzy, trzy, trzy, przy telefonie pani Ruby Brown-Bird.

– Ruby, tu Brian – powiedział. – Musisz natychmiast przyjechać.

– Nie da rady, Brian. Jestem w połowie robienia trwałej. Co jest?

– Chodzi o Evę – wyszeptał. – Chyba jest chora.

– No to zadzwoń po karetkę – odparła zirytowana.

– Fizycznie nic jej nie jest.

– No to wszystko w porządku.

– Przyjadę po ciebie, żebyś mogła sama zobaczyć.

– Brian, nie mogę. Urządzam właśnie przyjęcie ondulacyjne i swój roztwór mogę splukać dopiero za pół godziny. W przeciwnym razie będę wyglądała jak Harpo Marx. Pogadaj z Michelle.

Po kilku przytłumionych dźwiękach w słuchawce zabrzmiał głos młodej kobiety:

– Halo? Masz na imię Brian, tak? Jestem Michelle. Czy mogę z tobą omówić konsekwencje tego, co by się stało, gdyby pani Bird przerwała ondulację na tym etapie? Owszem, jestem

ubezpieczona, jednak stawianie się w sądzie byłoby dla mnie wyjątkowo niekorzystne. Mam umówione terminy do końca roku.

Słuchawka wróciła do Ruby.

– Brian, jesteś tam jeszcze?

– Ruby, ona leży w łóżku w ubraniu i butach.

– Ostrzegałam cię, Brian. Staliśmy w kruchcie, pamiętasz, odwróciłam się i powiedziałam: „Nasza Eva jest zagadkowa. Niewiele mówi i nigdy nie będziesz wiedział, o czym myśli...”. – Nastąpiła długa przerwa, po czym Ruby dodała: – Zadzwoń do własnej matki.

Połączenie zostało przerwane.

Eva była zdziwiona informacją, że jej matka próbowała w ostatniej chwili sabotować ślub. Podniosła torebkę leżącą po drugiej stronie łóżka i zaczęła w niej szperać w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Zawsze coś ze sobą nosiła. Taki nawyk od czasów, gdy bliźniaki były małe i wiecznie głodne i rozdziawiały paszcze jak pisklęta. Znalazła pogniecioną paczkę chipsów, sprasowany baton Bounty i pół opakowania miętusów.

Usłyszała, że Brian znów wybiera numer.

Zawsze zżerała go trema, gdy dzwonił do swojej mamy. Język nie układał się we właściwe słowa. Matka potrafiła wpędzać go w poczucie winy niezależnie od tematu rozmowy.

– Tak? – odpowiedziała cierpko po pierwszym sygnale.

– To ty, mamusiu? – zapytał.

Eva znów podniosła słuchawkę i ostrożnie zakryła ją dłonią.

– A niby kto? Nikt inny tutaj nie dzwoni. Jestem sama jak palec przez siedem dni w tygodniu.

– Ale... yyy... ty... yyy... nie lubisz gości.

– Nie, nie lubię gości, ale miło byłoby móc kogoś odprawić.

Nieważne. O co chodzi? Jestem w połowie *Emmerdale*.

– Przepraszam, mamusiu. Chcesz do mnie oddzwonić w przerwie na reklamy?

– Nie – odrzekła. – Miejmy to już za sobą, cokolwiek to jest.

– Chodzi o Evę.

– Ha! Dlaczego mnie to nie dziwi? Zostawiła cię? Jak tylko

zobaczyłam tę dziewczynę, wiedziałam, że złamie ci serce.

Brian zastanowił się, czy kiedykolwiek miał złamane serce. Nigdy nie potrafił rozpoznawać emocji. Gdy przyniósł dyplom ukończonych z wyróżnieniem studiów, jej ówczesny facet powiedział:

– Musisz być bardzo szczęśliwy, Brian.

Brian pokiwał głową i zmusił się do uśmiechu, ale prawda była taka, że nie czuł się wcale szczęśliwszy niż dzień wcześniej, kiedy nic specjalnego się nie stało.

Matka wzięła zdobiony dyplom do ręki, przestudiowała go i stwierdziła:

– Nieźle się naszarpiesz, żeby znaleźć robotę w astronomii. Są tabuny bardziej wykształconych ludzi i z lepszymi kwalifikacjami niż ty, którzy nie mają pracy.

Teraz jednak Brian powiedział grobowym głosem:

– Eva położyła się do łóżka w ubraniu i butach.

– Nie powiem, żebym była zdziwiona, Brian – odparła. – Zawsze zwracała na siebie uwagę. Pamiętasz, jak w osiemdziesiątym szóstym pojechaliśmy na Wielkanoc wozem kempingowym? Wzięła walizkę pełną tych idiotycznych bitnikowskich fatałaszek. Nie nosi się takich rzeczy w Wells-next-the-Sea. Wszyscy się na nią gapili.

Eva wrzasnęła z góry:

– Nie musiałaś wrzucać moich pięknych czarnych ubrań do morza!

Brian nigdy wcześniej nie słyszał, żeby jego żona krzyczała.

– Co to za wrzaski? – spytała Yvonne Beaver.

– W telewizorze – skłamał Brian. – Ktoś właśnie wygrał fortunę w *Eggheads*.

– Bardzo sztywnie wyglądała w tej sukience, którą jej kupiłam.

Eva przypominała sobie, jak wyjmowała z reklamówki te ohydne rzeczy. Cuchnęły, jakby przez lata ktoś trzymał je w zatęchłym magazynie na Dalekim Wschodzie, kolory zaś dźgały w oczy fioletami, różowościami i żółciami. Znalazła też tam parę

sandałów, które uznała za męskie, oraz beżowy pensjonarski skafanderek. Kiedy to przymierzyła, wyglądała na dwadzieścia lat więcej.

– Nie wiem, co mam zrobić, mamusiu.

– Pewnie jest pijana – powiedziała. – Daj jej to odespać.

Eva rzuciła telefonem przez pokój i ryknęła:

– W Wells-next-the-Sea kupiła mi męskie sandały!

Widziałam noszących je facetów, w dodatku razem z białymi

skarpetkami! Powinieneś mnie przed nią chronić, Brian!

Powinieneś powiedzieć: „Moja żona nawet po śmierci nie włoży takich idiotycznych san-dałów!”.

Krzyczała tak głośno, że rozboleła ją gardło. Wrzasnęła na Briana, żeby przyniósł jej szklankę wody.

– Zaczekaj, mamusiu – powiedział do telefonu. – Eva prosi o szklankę wody.

– Ani mi się waż nosić jej wodę – wysyczała do słuchawki. – Narobisz sobie tylko kłopotów, jeśli to zrobisz. Powiedz jej, żeby sama sobie wzięła.

Brian nie wiedział, co zrobić. Kiedy stanął w pół kroku w przedpokoju, jego matka dodała:

– I bez tego mam dość problemów. Już nie daję rady z moim kolanem. Prawie zadzwoniłam do mojego lekarza, żeby odciął mi nogę.

Ze słuchawką przy uchu poszedł do kuchni i odkręcił kurek z zimną wodą.

– Czy ja słyszę ciekącą wodę? – zapytała jego matka.

– Napelniam wazon, żeby wstawić kwiaty – skłamał ponownie.

– Kwiaty! Ty szczęściarzu! Możesz sobie pozwolić na kwiaty.

– Są z naszego ogrodu, mamusiu. Eva je wyhodowała.

– Ty szczęściarzu, masz ogród.

Telefon zamilkł. Jego matka nigdy się nie żegnała.

Wszedł na górę ze szklanką zimnej wody. Kiedy podał ją Evie, ta upiła łyczek, po czym postawiła naczynie na pełnej

drobiazgów szafce nocnej. Brian przysiadł na krawędzi łóżka. Nie miał nikogo, kto by mu powiedział, co robić.

Evie niemal było go żal, ale nie na tyle, żeby wstać z łóżka. Zamiast tego powiedziała:

– Może zejdziesz na dół i obejrzysz swoje programy?

Brian był wielbicielem kilku z nich. Kirstie i Phila uznawał za swoich bohaterów. Bez wiedzy Evy napisał do Kirstie o tym, że zawsze wygląda ładnie, i zapytał, czy Phil jest jej mężem, czy też ich relacja ma podłoże czysto zawodowe. Trzy miesiące później otrzymał odpowiedź: „Dziękuję za zainteresowanie” oraz podpis „Serdecznie, Kirstie”. Do listu dołączona była jej fotografia. Miała na sobie czerwoną sukienkę z alarmująco głębokim dekoltem. Brian trzymał to zdjęcie w starej Biblii. Wiedział, że tam będzie bezpieczne. Nikt jej nigdy nie otwierał.

Później tego dnia pełny pęcherz zmusił Evę do wstania. Przebrała się w jedną z dwóch piżam, które trzymała na okoliczność nagłej konieczności udania się do szpitala. Rada pochodziła od matki. Jej matka wierzyła, że jeśli szlafrok, piżama i kosmetyczka są dobrej jakości, pielęgniarki i lekarze traktują pacjenta lepiej niż obdartusów, którzy pojawili się w szpitalu z reklamówką z Tesco pełną tandetnych ciuchów.

Eva wróciła do łóżka i zastanawiała się, jak jej dzieci spędzają pierwszą noc na uniwersytecie. Wyobrażała sobie, że siedzą razem w pokoju, łkają i tęsknią za domem, dokładnie jak wtedy, kiedy pierwszy raz poszły do przedszkola.

Brianne stała we wspólnej kuchni i napawała się poczuciem nieprzystosowania. Jak dotąd spotkała chłopca ubranego jak dziewczyna i kobietę ubraną jak mężczyzna. Rozmawiali o klubach i muzykach, o których w życiu nie słyszała.

Brianne wykazała chwilowe zainteresowanie, ale wkrótce przestała ich słuchać, niemniej kiwała głową i mówiła „spoko”, kiedy uznała, że sytuacja tego wymaga. Była wysoką dziewczyną o szerokich ramionach, długich nogach i dużych stopach. Przez większość czasu jej twarz zasłaniała długa grzywka potarganych czarnych włosów, które odsuwała wyłącznie wtedy, kiedy naprawdę chciała coś zobaczyć.

Do kuchni weszła zagubiona dziewczyna w cętkowanej sukience do ziemi i brązowych uggach, trzymała pękatą reklamówkę z Holland & Barret, którą wepchnęła do lodówki. Miała ogoloną połowę głowy i wytatuowane na czaszce złamane serce. Druga połowa była źle ufarbowaną na zielono asymetryczną kurtyną.

– Niesamowite włosy – powiedziała Brianne. – Sama robiłaś?

– Brat mi pomógł – odparła. – Jest pedziem.

Zdania wypowiedane przez dziewczynę miały kadencję wznoszącą, tak jakby nieustannie kwestionowała wiarygodność własnych osądów.

– Jesteś z Australii?

– Boże! Nie! – krzyknęła dziewczyna.

– Jestem Brianne.

– Jestem Poppy. Brianne? Pierwsze słyszę.

– Mój ojciec ma na imię Brian – powiedziała bezbarwnie. –

Trudno się chodzi w takiej sukience?

– Nie. Przymierz, jak masz ochotę. Powinna pasować.

Zdjęła sukienkę przez głowę i została w prześwitujących

staniku i majtkach. Obie części garderoby wyglądały, jakby zostały zrobione ze szkarłatnej pajęczej nici. Dziewczyna nie miała żadnych zahamowań. Brianne miała ich od groma. Nienawidziła w sobie wszystkiego: twarzy, szyi, włosów, ramion, rąk, dłoni, paznokci, brzucha, piersi, sutków, talii, bioder, ud, kolan, łydek, kostek, stóp, paznokci u stóp oraz głosu.

- Przymierzę w pokoju – powiedziała.
- Masz niesamowite oczy – uznała Poppy.
- Naprawdę?
- Nosisz zielone szkła kontaktowe? – zapytała. Gapiła się w twarz Brianne i odsunęła jej grzywkę.
- Nie.
- Niesamowita zieleń.
- Naprawdę?
- Odjazd.
- Muszę trochę schudnąć.
- No racja. Jestem specjalistką od tracenia na wadze. Nauczę cię, jak się rzyga po każdym posiłku.
- Nie chcę zostać bulimiczką.
- Lily Allen pomogło.
- Nie znoszę wymiotować.
- Nie warto się trochę poświęcić dla szczupłości? Pamiętasz powiedzenie: „Nie możesz być zbyt bogatą i zbyt szczupłą”?
- Kto to powiedział?
- Chyba Winnie Mandela.

Poppy poszła za Brianne do jej pokoju, wciąż w bieliźnie. W korytarzu natknęły się na Briana Juniora, który właśnie zamykał drzwi do swojego pokoju. Wlepił oczy w Poppy, a ona zrobiła dokładnie to samo. Był najpiękniejszym chłopakiem, jakiego w życiu widziała. Podniosła ręce nad głowę i przyjęła sztuczną, wyzywającą pozę, mając nadzieję, że Brian Junior zacznie podziwiać jej piersi w rozmiarze C.

- Ohyda – wymruczał pod nosem, ale wystarczająco głośno, by go usłyszano.
- Ohyda? – spytała Poppy. – Byłoby niezmiernie wskazane,

gdybyś łaskawie rozwinął temat. Muszę wiedzieć, które elementy mnie są szczególnie odpychające.

Brian Junior odsunął się niezdarnie.

Poppy przechodziła przed nim tam i z powrotem, zrobiła obrót, po czym stanęła i położyła dłoń na biodrze. Spojrzała na niego wyczekująco, ale nic nie powiedział. Zamiast tego otworzył drzwi do swojego pokoju i wszedł do środka.

– Dzieciak – stwierdziła Poppy. – Nieokrzesany, oszłamiająco przystojny dzieciak.

– Oboje mamy po siedemnaście lat – powiedziała Brianne. – Skończyliśmy liceum wcześniej.

– Też skończyłabym wcześniej, ale dotknęła mnie osobista tragedia... – Poppy zrobiła pauzę, chcąc, żeby Brianne spytała o rodzaj tragedii. Kiedy ta jednak milczała, dziewczyna zakończyła: – Nie mogę o tym mówić. Tak czy siak, mam czwórkę z egzaminów końcowych. Oxbridge¹ chciał mnie u siebie. Poszłam na rozmowę, ale mówiąc szczerze, nie mogłabym żyć i studiować w tak staromodnym miejscu.

– Gdzie miałaś tę rozmowę, w Oksfordzie czy w Cambridge?

– Masz jakieś kłopoty ze słuchem? Przecież powiedziałam. Miałam rozmowę na Oxbridge!

– A gdzie proponowano ci, żebyś studiowała? Na Uniwersytecie Oxbridge? – upewniła się Brianne. – Przypomnij mi, gdzie leży Oxbridge?

– Pośrodku kraju – wymamrotała Poppy i wyszła.

Brian Junior i Brianne mieli rozmowy na Uniwersytecie Cambridge i obojgu zaproponowano tam miejsca. Sława wyprzedzała rodzeństwo Beaverów. W Trinity College dostali do rozwiązania pozornie nierozwiązywalne zadanie z matematyki. Brian Junior został poproszony o udanie się do osobnego pokoju z nauczycielem. Kiedy rodzeństwo odłożyło długopisy po pięćdziesięciu pięciu minutach szaleńczego notowania na kartkach formatu A4, komisja czytała ich prace, jak gdyby to był rozdział jakiejś pikantnej powieści. Brianne metodycznie, by nie powiedzieć, że bez polotu, dotarła do rozwiązania. Brian Junior

doszedł do niego bardziej tajemniczymi ścieżkami. Komisja nawet nie zapytała bliźniaków o ich hobby czy jakieś zainteresowania. Jej członkowie łatwo się domyślili, że poza wybraną dziedziną niczym innym się nie zajmują.

Po tym jak bliźniaki odrzuciły ich propozycję, Brianne czuła się w obowiązku wyjaśnić, że ona i jej brat chcą pójść tam, dokąd przenosiła się ich słynna profesor matematyki, Lena Nikitanowa: do Leeds.

– Ach, Leeds – powiedział ktoś z komisji. – Mają znakomity wydział matematyczny, światowy poziom. Staraliśmy się nakłonić cudowną Nikitanową, oferując jej niktzemnie wysokie uposażenie, ale odpisała nam, że woli uczyć dzieci robotników – podobnego wyrażenia nie słyszałem od czasów Breżniewa – i że obejmuje posadę wykładowcy na uniwersytecie w Leeds! Typowa dla niej donkiszoteria!

Wtedy zaś, w akademikach Sentinel Towers, Brianne powiedziała:

– Lepiej będzie, jeśli przymierzę sukienkę na osobności. Wstydzę się swojego ciała.

– Nic z tego – oznajmiła Poppy. – Idę z tobą. Pomogę ci.

Brianne poczuła się osaczona. Nie chciała wpuszczać Poppy do swojego pokoju. Nie chciała się z nią zaprzyjaźniać, niemniej wbrew swoim uczuciom otworzyła drzwi i pozwoliła Poppy wejść.

Walizka Brianne leżała otwarta na wąskim łóżku. Poppy natychmiast zaczęła wyjmować ubrania oraz buty i umieszczać je w szafie. Brianne usiadła bezradnie.

– Nie, Poppy. Sama mogę to zrobić.

Pomyślała, że kiedy Poppy już sobie pójdzie, poukłada wszystko po swojemu.

Dziewczyna otworzyła pudełko na biżuterię ozdobione perłowymi muszelkami i zaczęła przymierzać niektóre drobiazgi. Wyjęła srebrną bransoletkę z trzema amuletami: księżycem, słońcem i gwiazdą.

Bransoletkę kupiła jej Eva pod koniec sierpnia, żeby uczcić piątkę na egzaminie końcowym Brianne. Brian Junior zdążył już

zgubić swoje spinki do mankietów, które matka dała mu z okazji zdobycia szóstki.

– Pożyczę sobie – oznajmiła.

– Nie! – krzyknęła Brianne. – Tę nie! Jest dla mnie bardzo cenna.

Zabrała ją Poppy i założyła na swój nadgarstek.

– Oezu, ale z ciebie materialistka. Wyluzuj.

Tymczasem Brian Junior łąził po swoim niewielkim pokoju. Drzwi i okno dzieliły od siebie trzy kroki. Zastanawiał się, dlaczego matka nie zadzwoniła, choć obiecała.

Rozpakował się już wcześniej i wszystko miał starannie poukładane. Jego ołówki i długopisy leżały kolorami od żółtego do czarnego. Brian przykładął bardzo dużą wagę do tego, żeby czerwony długopis zawsze znajdował się dokładnie pośrodku rządka.

Wcześniej tego dnia, kiedy rzeczy bliźniaków zostały już przytасzczone z samochodu, laptopy podładowane, a nowe czajniki, tostery i lampki z Ikei podłączone do prądu, Brian, Brianne i Brian Junior usiedli obok siebie na łóżku Brianne i nic nie mieli sobie do powiedzenia.

– No i tak – kilka razy powtórzył Brian.

Bliźniaki oczekiwały jakiejś przemowy, ale ojciec milczał.

W końcu odchrząknął i powiedział:

– No i tak. W końcu nadszedł ten dzień, co? Straszny dla mnie i dla mamy, ale dla was pewnie jeszcze bardziej: będziecie niezależni, poznacie nowych ludzi.

Podniósł się i spojrzał na nich.

– Dzieci, wysilcie się trochę i bądźcie mili dla innych.

Brianne, przedstawiaj się, postaraj się uśmiechać. Nie okażą się tak bystrzy jak ty czy Brian Junior, ale bystrość to nie wszystko.

– Przyjechaliśmy tu pracować, tato – powiedział Brian Junior matowym głosem. – Gdybyśmy potrzebowali „znajomych”, założylibyśmy konta na Facebooku.

Brianne wzięła brata za rękę.

– Taki znajomy może się okazać całkiem w porządku, Bri.

No wiesz, taki ktoś, z kim mogłabym pogadać o... – zawahała się.

– Ciuchach, chłopakach i fryzurach? – podpowiedział ojciec.

Brianne pomyślała: „Że jak? Fryzury? Nie, chciałabym móc pogadać o cudach świata, tajemnicach Wszechświata”.

– Możemy pozawierać jakieś znajomości, kiedy już obronimy doktoraty – powiedział Brian Junior.

Brian Senior się zaśmiał.

– Wrzuć na luz, BJ. Urznij się, pociupciaj, oddaj choć raz pracę zaliczeniową po terminie. Jesteś studentem, ukradnij pacholek drogowy!

Brianne spojrzała na brata. Łatwiej potrafiła go sobie wyobrazić w jakimś głupim programie *Po prostu tańcz*, wciśniętego w limonkowozieloną lycrę i tańczącego rumbę niż rozwrzeszczanego i pijanego z pacholkiem na głowie.

Zanim Brian poszedł, wykonali kilka nieudolnych uścisków i niezdarnie pokleпали się po plecach. Zamiast ust i policzków zostały ucałowane nosy. Nastąpiono sobie na palce przy próbach wyjścia z pokoiku i dopadnięcia windy. Kiedy już do niej dotarli, czekali niewyobrażalnie długo, aż pokona tych sześć pięter w górę. Słyszeli rżenie i zgrzytanie, gdy do nich jechała.

W końcu drzwi się rozsunęły i Brian niemal wbiegł do środka. Pomachał bliźniakom na do widzenia, a oni mu odmachali. Po kilku sekundach nacisnął przycisk „parter”, drzwi się zamknęły, a bliźniaki przybiły piątkę.

Nieoczekiwanie winda wróciła i otworzyła się znowu.

Bliźniaki poczuły przerażenie, gdy ujrzały płaczącego ojca. Już miały wejść do kabiny, kiedy drzwi ponownie się zasunęły i winda, szarpiąc i zgrzytając, pojechała w dół.

– Dlaczego tato *placze*? – zapytał Brian Junior.

– Pewnie dlatego, że mu smutno, bo opuściliśmy dom – odpowiedziała.

Brian Junior był zdumiony.

– I to jest normalna reakcja?

– Chyba tak.

– Mama nie płakała, kiedy się żegnaliśmy.

– Mama uważa, że łzy są zarezerwowane wyłącznie do spraw o randze tragedii.

Jeszcze przez chwilę stali przy windzie, żeby sprawdzić, czy aby znów nie wróci z ojcem. Ponieważ tak się nie stało, poszli do swoich pokoi i próbowali – bezskutecznie – skontaktować się z matką.

O dwudziestej drugiej Brian Senior wszedł do sypialni i zaczął się rozbierać.

Eva zamknęła oczy. Słyszała, jak jej mąż otwiera, a następnie zamyka szufladę z piżamą. Dała mu minutę, aż ją włoży, a potem, zwrócona do niego plecami, powiedziała:

– Brian, nie chcę, żebyś tu dzisiaj spał. Może pójdziesz do pokoju Briana Juniora? Dam sobie głowę uciąć, że jest tam czysto, schludnie i nienaturalnie pedantycznie.

– Kiepsko się czujesz? – zapytał. I zaraz dodał: – Fizycznie?

– Nie – odparła. – W porządku.

– Czy wiesz o tym – zaczął pouczać Brian – że w niektórych grupach terapeutycznych pacjentom nie wolno używać sformułowania „w porządku”? Ponieważ oczywiście *nie* jest w porządku. Przyznaj, martwi cię nieobecność bliźniaków.

– Nie, cieszę się, że ich nie ma.

– To bardzo nikczemne słowa w ustach matki – w głosie Briana pojawił się gniew.

Eva odwróciła się i spojrzała na niego.

– Skrewiliśmy to. Ich wychowanie – powiedziała. – Brianne daje sobie włożyć na głowę, a Brian Junior wpada w panikę, jeśli ma cokolwiek powiedzieć do drugiego człowieka.

Brian usiadł na brzegu łóżka.

– To wrażliwe dzieci, z tym się zgodzę.

– Neurotyczne jest lepszym słowem. Swoje najmłodsze lata spędziły w kartonowym pudle.

– Tego nie wiedziałem. Co tam robiły?

– Po prostu siedziały i nic nie mówiły – odparła Eva. – Od czasu do czasu odwracały się i patrzyły na siebie. Kiedy próbowałam je stamtąd wyjąć, biły mnie i drapały. Wolały być razem w ich własnym pudełkowym świecie.

– To utalentowane dzieci.

– Ale czy są szczęśliwe, Brian? Nie wiem, za bardzo je kocham.

Brian podszedł do drzwi i stał tam przez chwilę, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Eva miała nadzieję, że nie będzie to żadne dramatyczne oświadczenie. Wyczerpały ją emocje tego dnia. Brian otworzył usta, lecz najwyraźniej zmienił zdanie, gdyż wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

Eva usiadła na łóżku, odsunęła kołdrę i doznała szoku, że wciąż ma na sobie swoje czarne szpilki. Spojrzała na szafkę nocną, na której stała bateria niemal identycznych słoiczków i tubek kremów nawilżających. „Potrzebuję tylko jednego” – pomyślała. Wybrała Chanel, a resztę po kolei rzucała do kosza na śmieci stojącego w rogu pokoju. Nieźle jej szło. Swojego czasu weszła do krajowej reprezentacji szkoły dla dziewcząt w Leicester w rzucie oszczepem.

Kiedy nauczyciel łaciny pogratulował jej zdobycia nowego rekordu szkoły, wymamrotał:

– Jesteś jak Atena, panno Brown-Bird. A przy okazji wyglądasz oszałamiająco.

Teraz musiała skorzystać z toalety. Była zadowolona, że namówiła Briana na przerobienie pakamery na niewielką łazienkę. Zrobili to jako ostatni mieszkańcy na tej ulicy pełnej edwardiańskich domów.

Dom Beaverów postawiono w 1908 roku. Tak napisano nad drzwiami wejściowymi. Cyfry otaczał kamienny fryz z wyrzeźbionym bluszczem i dzikim winem. Jest w okolicy kilku mieszkańców, którzy wybrali swoje domy z czysto romantycznych powodów. Eva była jednym z nich. Jej ojciec palił papierosy Woodbine, a biało-zielona paczka zdobiona motywem bluszczu kojarzyła się jej z dzieciństwem. Na szczęście dom zamieszkiwał współczesny Ebenezer Scrooge, który oparł się historii modernizacji z lat sześćdziesiątych. Dom pozostał nietknięty, miał przestronne pokoje i wysokie sufity, gzymsy, kominki oraz solidne dębowe drzwi i podłogi.

Brian go nienawidził. Chciał mieć „maszynę do życia”.

Widział się w lśniącej białej kuchni, w której czeka, aż ekspres do kawy przyrządzi mu poranne espresso. Nie chciał mieszkać milę od centrum miasta. Wolał stalowo-szklany klocek w stylu Le Corbusiera, przez którego okna widać pola i ogrom nieba. Agentowi nieruchomości tłumaczył, że jest astronomem i że jego teleskopy są bezużyteczne w oświetlonym mieście. Agent spojrział na Briana i Evę i nie mógł wyjść ze zdumienia, po co dwoje tak skrajnie różnych ludzi o tak odmiennych gustach postanowiło wziąć ślub.

Eva w końcu poinformowała Briana, że nie może mieszkać w minimalistycznej modułowej zabudowie z dala od miasta i że musi mieszkać w domu. Brian odbił piłeczkę, informując, że on z kolei nie może mieszkać w ruderze razem z pluskwami, wszami, szcurami oraz myszami, w której na pewno ktoś umarł. Gdy po raz pierwszy przyszli do tego edwardiańskiego domu, narzekał, że czuje „kilkusetletni kurz zatykający mu płuca”.

Evę cieszyło, że dom stoi przy drodze. Przez duże i ładne okna mogła patrzeć na wysokie budynki w centrum, a za nimi na lasy i pola, jeszcze dalej zaś – na wzgórze.

Ostatecznie, w związku z dramatycznym brakiem modernistycznych budowli w wiejskiej części Leicestershire, kupili wolno stojącą edwardiańską willę przy Bowling Green Road 15 za czterdzieści sześć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć funtów. Wprowadzili się w kwietniu 1986 roku po trzech latach mieszkania u Yvonne, matki Briana. Eva nigdy nie żałowała przeciwstawienia się Brianowi i Yvonne w kwestii domu. Warto było przetrzymać trzy tygodnie dąsów, jakie nastąpiły.

Kiedy zapaliła światło w łazience, musiała stawić czoło miriadam swoich odbić. Szczupła blondynka w średnim wieku z krótko przyciętymi włosami, wystającymi kośćmi policzkowymi i stalowoszarymi oczami. Na jej prośbę – uznała, że dzięki temu pomieszczenie będzie wyglądało na większe – fachowcy zamontowali duże lustro na trzech ścianach. Niemal natychmiast chciała ich poprosić, żeby zdjęli większość z nich, ale nie miała odwagi. Więc za każdym razem, kiedy siadała na sedesie, widziała

nieskończone zwielokrotnienie własnej osoby.

Zrzuciła z siebie ubranie i weszła pod prysznic, unikając patrzenia w lustro.

Jej matka powiedziała do niej ostatnio:

– Nic dziwnego, że sama z siebie skóra i kości, skoro nigdy nie siadasz. Nawet obiad jesz na stojąco.

To prawda. Po obsłużeniu Briana, Briana Juniora i Brianne wracała do kuchni, gdzie dziobała mięso i warzywa z rondelków i brytfanek. Lęk związany z gotowaniem, podaniem obiadu o odpowiedniej godzinie i w odpowiedniej temperaturze, a także życie nadzieją, że rozmowa przy stole nie okaże się zbyt jadowita sprawiały, iż jej żołądek wytwarzał za dużo kwasu, przez co jedzenie miało mdły smak, o ile w ogóle go miało.

Na metalowej półeczce w rogu prysznicza piętrzyły się szampony, odżywki i żele do kąpiel. Eva przez chwilę wybierała swoje ulubione, resztę zaś wyrzuciła do kosza przy umywalce. Następnie szybko się ubrała i włożyła szpilki. Dzięki nim miała jakieś trzy i pół cala więcej, a dziś musiała się czuć silna. Przechadzała się po pokoju i ćwiczyła, co powie Brianowi, gdyby ten postanowił wrócić i położyć się w ich łóżku.

Musiałaby działać szybko, zanim opuściłaby ją pewność siebie.

Powiedziałaby mu, jak nie docenia jej w towarzystwie, że przedstawiając ją swoim znajomym, mówi: „A to jest Klingonka²”. Że na ostatnie urodziny podarował jej pakiet losów na loterię wart dwadzieścia pięć funtów.

Niemniej przypomniawszy sobie, jak zeszło z niego powietrze i że wyglądał na smutnego, kiedy go poprosiła, żeby spał gdzie indziej. Przez chwilę stała przy drzwiach sypialni, rozważając różne warianty, po czym wróciła do łóżka, chcąc uniknąć jakiegokolwiek potyczki.

Piętnaście po trzeciej w nocy obudził ją wrzask walczącego z kołdrą Briana. Po jego stronie łóżka zapaliła się lampka nocna. Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do światła, zobaczyła Briana z jedną nogą na dywanie i trzymającego się za łydkę drugiej.

– Kurcz? – zapytała.
– Żaden kurcz! Twoje pieprzone szpilki! Kopnęłaś mnie i teraz mam dziurę w nodze!
– Trzeba było zostać w pokoju Briana Juniora, a nie wkraść się do mojego.

– Twojego? Kiedyś był nasz.
Brian niezbyt dobrze sobie radził z bólem czy krwią, a teraz, nad ranem, musiał sobie radzić z obiema rzeczami naraz. Zaczął jęczeć. Eva się zorientowała, że faktycznie miał dziurę w nodze.

– Sporo krwi... Musisz oczyścić ranę – powiedziała. – Przemyj ją wodą utlenioną i jodyną.

Ona nie mogła wyjść z łóżka. Zamiast tego sięgnęła na swoją szafkę nocną i wzięła flakonik Chanel No. 5. Skierowała rozpylacz na ranę Briana i nacisnęła. Brian zawył i w podskokach wybiegł po beżowym dywanie z sypialni.

Zrobiła słusznie, pomyślała, kiedy znów zasypiała. Każdy wie, że Chanel No. 5 to doskonały antyseptyk w nagłych sytuacjach.

Około wpół do szóstej Eva znów się obudziła.

Brian kuśtykał po sypialni i w regularnych odstępach czasu ryczał: „Boli! Boli!”. Kiedy Eva usiadła, powiedział:

– Zadzwoiłem na medyczną infolinię. Zatrudniają tam stado baranów! Idiotów! Głupków! Kretynów! Półdebili! Ćwierćinteligentów! Matołów! Tłuczki do mięsa! Stawonogi! Afrykański szaman byłby lepiej poinformowany!

– Brian, proszę – powiedziała znużonym głosem Eva. – Nie męczy cię walka z całym światem?

– Nie, nie lubię świata.

Eva ogromnie współczuła swojemu mężowi, kiedy tak stał przy łóżku, nagi, z białą serwetką zawiązaną wokół nogi i z okruszkami pieczywa w brodzie. Odwróciła się od niego.

Teraz był intruzem w *jej* sypialni.

Brianne zastanawiała się, jak długo Poppy będzie płakać. Słyszała jej łkanie przez ścianę.

Spojrzała na budzik, który miała od czasów dzieciństwa.

Barbie wskazywała czwórkę, a Ken jedynekę. Nie tego oczekiwała po pierwszej nocy na uniwersytecie.

„Przez tę okropną dziewczynę czuję się, jakbym znalazła się na stronach scenariusza *EastEnders*³⁷” – pomyślała.

Mniej więcej o wpół do szóstej z niespokojnego snu wyrwało ją walenie do drzwi. Usłyszała skomlenie Poppy. Zamarła. Nie miała jak przed nią uciec, mieszkała na piątym piętrze akademika – poza tym okno dało się uchylić tylko na kilka cali.

– To ja, Poppy. Wpuść mnie.

– Nie! – krzyknęła Brianne. – Idź spać, Poppy!

– Brianne, pomóż mi! – błagała Poppy. – Zaatakował mnie jednooki mężczyzna!

Brianne otworzyła drzwi i Poppy wpadła do środka.

– Zostałam zaatakowana!

Brianne wyjrzała na korytarz. Był pusty. Drzwi do pokoju Poppy stały otworem, ze środka zaś dobiegały dźwięki *Almost Lover* Fine Frenzy, piosenki, której słuchała na okrągło. Wsunęła głowę do środka. Żadnych oznak walki. Narzuta na łóżku leżała nietknięta.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, z zażenowaniem zobaczyła, że Poppy ma na sobie jej ulubioną mechatą koszulę nocną, leży pod kołdrą i szlocha w poduszkę. Brianne nie wiedziała, co zrobić, nastawiła więc wodę w czajniku.

– Mam zadzwonić na policję?

– Myślisz, że zostałam za mało pohańbiona? – krzyknęła Poppy. – Śpię dzisiaj w twoim łóżku. Z tobą.

Trzydzieści minut później Brianne uczepliła się krawędzi łóżka. Obiecała sobie pójść nazajutrz do biblioteki i wypożyczyć książkę o tym, jak wzmacniać charakter.

Drugiego dnia Eva obudziła się, zrzuciła kołdrę i usiadła na brzegu łóżka.

Potem przypomniała sobie, że nie musi wstawać i pichcić śniadania, wrzeszczeć na nikogo, żeby wstał, opróżniać zmywarki czy nastawiać prania, prasować stosu ubrań, taszczyć odkurzacza z góry na dół, robić porządku w szafkach kuchennych ani szufladach, czyścić kuchenki ani ściierać kurzu z różnych powierzchni, także z buteleczek z sosami, polerować drewnianych mebli, myć szyb ani podłóg, ścielić łóżek ani poprawiać poduszek, szorować obespanych sedesów ani zbierać porozrzucanych ubrań i wkładać ich do kosza na brudną bieliznę, wymieniać przepalonych żarówek ani zużytych rolek papieru toaletowego, podnosić różnych rzeczy na dole, które powinny być na piętrze, i tam je zanosić ani podnosić rzeczy na piętrze, które powinny być na dole, odbierać rzeczy z pralni, pielić grządek, odwiedzać sklepów ogrodniczych, żeby kupić cebulki i sadzonki, polerować butów ani nosić ich do szewca, zwracać książki do biblioteki, sortować śmieci, opłacać faktur, odwiedzać matki ani martwić się nieodwiedzeniem teściowej, karmić rybek ani czyścić im filtra, odbierać telefonu w imieniu dwojga nastolatków ani notować dla nich wiadomości, golić nóg ani regulować brwi, robić manikiuru, zmieniać pościeli i poszewek trzech łóżek (jeśli wypadła sobota), ręcznie prać wełnianych swetrów ani suszyć ich na płasko na ręcznikach, płacić rachunków, kupować jedzenia, którego nie jada, pchać wózka do auta, upychać zakupów w bagażniku, jechać do domu, rozmieszczać wszystkiego w lodówce i szafkach oraz, stojąc na palcach, stawiać konserw i produktów sypkich w miejscach poza jej zasięgiem, za to doskonale dostępnych dla Briana.

Nie będzie siekać warzyw ani rumienić mięsa do zapiekanki. Nie będzie już piec chleba ani ciastek, bo Brian wolał te domowej roboty niż ze sklepu. Nie będzie kosić trawy, pielić, sadzić,

zamiatać ścieżek ani grabić liści w ogrodzie. Nie będzie impregnować nowego płotu kreozotem. Nie będzie rąbać drewna do kominka, przed którym siadywał Brian po powrocie z pracy w zimowe miesiące. Nie będzie układać włosów, kąpać się ani pospiesznie się malować.

Dziś nie zrobi żadnej z tych rzeczy.

Nie będzie sobie zawracać głowy, że jej ubrania do siebie nie pasują, ponieważ nie wie, kiedy znów się ubierze. W dającej się przewidzieć przyszłości będzie nosić tylko piżamę i szlafrok. Zda się na innych w kwestii karmienia, mycia i kupowania jedzenia. Nie wiedziała, kogo ma na myśli, ale wierzyła, że większość ludzi aż się pali do ukazywania ukrytego w nich dobra.

Wiedziała, że nie będzie się nudzić – ma wiele do przemyślenia.

Pobiegła do łazienki, przemyła twarz i pachy, ale źle się czuła poza łóżkiem. Pomyślała, że jej stopy na podłodze mogą dać się zwieść poczuciu obowiązku i zaprowadzić ją na dół. Być może poprosi kiedyś swoją matkę o wiadro. Przypomniała sobie porcelanowy nocnik pod przeciwodrożynowym łóżkiem babci – z dzieciństwa pamięta, że do obowiązków Ruby należało opróżnianie jego zawartości każdego ranka.

Eva położyła się z powrotem w poduszkach i wkrótce zasnęła, lecz zbudził ją głos Briana.

– Co zrobiłaś z moimi czystymi koszulami?

– Oddałam je przechodzącej praczce – odparła. – Ma je zabrać nad potok i tam ubijać kijanką do prania o kamienie. Powinna wrócić w piątek.

Brian nie słuchał.

– W piątek! – krzyknął. – To źle! Jest potrzebna teraz!

Eva położyła się na boku i spojrzała w okno. Kilka złotych liści spiralnym lotem spadło z jaworu.

– Nie musisz nosić koszuli – powiedziała. – Nie masz takiego obowiązku w miejscu pracy. Profesor Brady ubiera się tak, jakby grał w Rolling Stonesach.

– To cholernie żenujące – stwierdził Brian. – W zeszłym

tygodniu mieliśmy delegację z NASA. Każdy z nich, co do jednego, miał na sobie marynarkę, koszulę i krawat, a Brady oprowadził ich w tych swoich skrzypiących skórzanych spodniach, T-shircie z Yodą i kowbojskich butach na obcasie! *Z jego pensją!* Wszyscy cholerni kosmolodzy są tacy sami. A kiedy zbiorą się w jednym pokoju, wyglądają jak terapeutyczna grupa narkomanów! Mówię ci, Eva, że gdyby nie my, astronomowie, ich wizyta okazałaby się fiaskiem.

Odwróciła się i powiedziała:

– Włóż swoją zieloną koszulkę polo, bojówki i brązowe półbuty.

Chciała, żeby już sobie poszedł. Poprosiłaby swoją niewyedukowaną matkę, żeby pokazała doktorowi Brianowi Beaverowi, inżynierowi, magistrowi, doktorowi filozofii (Oksford), jak obsługiwać pralkę.

Zanim wyszedł, zapytała:

– Myślisz, że Bóg istnieje, Brian?

Siedział na łóżku i wiązał sznurowadła.

– Nie mów mi, że stałaś się teraz religijna. To zawsze kończy się na łzach. Wedle *najnowszej* książki Steve’a Hawkinga Bóg niczemu nie służy. To postać z bajki.

– To dlaczego tyle milionów ludzi w niego wierzy?

– Zrozum, Evo, statystyki temu przeczą. Właściwie coś *może* powstać z niczego. Zasada nieoznaczoności Heisenberga pozwala bąblowi czasoprzestrzennemu rozszerzać się z niczego... – Zamilkł. – Wiem, że kwestia cząsteczek jest... trudna. Chłopaki od teorii strun i supersymetrii *naprawdę* muszą znaleźć bozon Higgsa. Załamanie funkcji falowej to zawsze kłopot.

Eva pokiwała głową.

– Rozumiem, dziękuję.

Przeczesał brodę jej grzebieniem i spytał:

– A w zasadzie do kiedy masz zamiar leżeć w łóżku?

– Gdzie kończy się Wszechświat?

Brian bawił się brodą, skręcając ją między palcami.

– Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego uciekasz od świata?

– Nie wiem, jak w nim żyć – odpowiedziała. – Nie wiem nawet, jak działa pilot do telewizora. Wolałam, kiedy telewizja miała trzy kanały i wszystko, co było trzeba, to pach, pach, pach. – Wciskała przyciski niewidzialnego odbiornika.

– Będziesz się byczyć w łóżku, bo nie potrafisz rozpracować pilota?

– Nie potrafię także rozpracować funkcji grilla w kuchence mikrofalowej – wymamrotała. – I nie umiem wyliczyć, ile kwartalnie płacimy za prąd. Oni są nam winni pieniądze czy my im?

– Nie wiem – przyznał. Wziął ją za rękę i powiedział: – Widzimy się wieczorem. A swoją drogą, czy seks wypadł z menu?

– Nie sypiam już ze Steve’em – powiedziała Julie. – Siedzi w rupieciarni z PlayStation i składanką największych przebojów Guns N’ Roses.

– Nie brakuje ci go? Fizycznie? – spytała Eva.

– Och nie, my nadal uprawiamy seks! Na dole, kiedy już położymy dzieci do łóżek. Kiedyś musieliśmy się wpasować w przerwy reklamowe, wiesz, jak lubię swoje seriale, ale teraz mamy nagrywarke. Z konieczności kupiliśmy ją po tym, jak przegapiłam kawałek, w którym Phil Mitchell⁴ po raz pierwszy wziął heroinę. A ty? Ciągłe w łóżku?

– Podoba mi się tu. – Eva lubiła Julię, ale teraz chciała, żeby już sobie poszła.

– Włosy mi wypadają – stwierdziła Julie.

– Ale to nie rak?

Julie wybuchnęła śmiechem.

– Stres w pracy. Jest u nas nowy kierownik, kobieta o nazwisku Damson. Bóg wie, skąd ją przywiało. To jedna z tych szefowych, które oczekują przepracowania bitych ośmiu godzin. Kiedy Bernard był kierownikiem, prawie się nie pracowało. Przychodziliśmy na ósmą, nastawiałam czajnik, a potem z dziewczynami siadałyśmy na zapleczu i śmiałyśmy się do rozpuku, a klienci musieli się dobijać do drzwi, żeby ich wpuścić. Czasami dla zabawy udawałyśmy, że ich nie słyszemy i otwierałyśmy dopiero koło wpół do dziesiątej. Tak, dla Bernarda pracowało się świetnie. Szkoda, że odszedł. To nie nasza wina, że nasz oddział nie przynosił zysków. Wszystko przez klientów, po prostu przestali przychodzić.

Eva zamknęła oczy i udawała, że śpi, ale Julie mówiła dalej:

– Tej Damson wystarczyły trzy dni, żebym dostała wysypki.

– Podwinęła rękaw sweterka powyżej łokcia i podsunęła Evie ramię pod nos. – Patrz, ile tego jest.

– Nic nie widzę.

Julie opuściła ramię.

– Bo teraz już zeszło. – Wstała i obesza sypialnię. Podniosła buteleczkę kremu Olay Regenerist, który obiecywał odmłodzić cerę, zaśmiała się krótko i odłożyła ją na miejsce.

– Przeżywasz załamanie nerwowe – powiedziała.

– Naprawdę?

– To pierwszy objaw. Kiedy odwaliło mi po urodzeniu Scotta, leżałam w łóżku przez pięć dni. Steve musiał lecieć z powrotem na swoją platformę. Martwiłam się o to, że helikopter się rozbije, one zawsze się rozbijają, Eva. Nie jadłam, nie piłam, nie myłam twarzy. Po prostu płakałam i płakałam. Tak bardzo chciałam mieć dziewczynkę. Urodziłam już przecież czterech chłopców.

– Ale miałaś powód, żeby się czuć przybita.

– Byłam taka pewna – kontynuowała Julie, ignorując słowa Ewy. – Kupowałam tylko różowe ciuszki. Kiedy go wyjmowałam z łóżeczka, ludzie patrzyli i mówili: „Jest przepiękna, jak ma na imię?”. Mówiłam, że Amelia, bo tak nazwałabym swoją córeczkę. Myślisz, że z tego powodu Scott jest gejem?

– On ma dopiero pięć lat – powiedziała Eva. – Jest za wcześnie, żeby był kimkolwiek.

– Kiedyś kupiłam mu mały zestaw chińskiej porcelany do parzenia herbaty. Imbryk, dzbanek na mleko, cukiernicę, dwie filiżanki z podstawkami, maleńkie łyżeczki, prześliczne, wszystko w różowe różyczki. Bawił się tym cały dzień. No ale Steve wrócił i wywalił. – Zaśmiała się. – A potem płakał i płakał.

– Scott?

– Nie, Steve! Ogarnij się.

– A co zrobił Scott?

– To samo, co zwykle, kiedy w domu zbierają się burzowe chmury. Włazł do szafy i dotykał moich ubrań.

– To nie jest trochę...?

– Trochę co? – spytała Julie.

– Trochę dziwne?

– Tak myślisz?

Eva przytaknęła.

Julie usadziła swój szeroki tyłek na łóżku Ewy.

– Mówiąc szczerze, jakoś straciłam kontakt ze swoimi chłopcami. Nie są źli, ale nie mam pojęcia, co z nimi robić. Są tacy hałaśliwi i niemili dla siebie. Ten hałas, jaki z siebie wydają, kiedy biegają po schodach, ten sposób, w jaki jedzą i w jaki kłócą się o pilota, te ohydne chłopięce ubrania, stan ich paznokci. Kiedy Steve znowu wróci na ląd, myślimy znów postarać się o dziewczynkę. Co myślisz?

– Nie, zabraniam ci!

Obie zdziwiła gwałtowność w głosie Ewy.

Eva spojrzała za okno i zobaczyła chłopca wspinającego się po jaworze. Wskazując brodą w tym kierunku, spytała:

– Czy to nie jeden z twoich wspina się na nasze drzewo?

Julie zerwała się i otworzyła okno.

– Scott! – wrzasnęła. – Złaż stamtąd, skórkojadzie, albo sama skręcę ci kark!

– Jest chłopcem, Julie – powiedziała Eva. – Odsuść sobie ten zestaw do parzenia herbaty.

– Ta... Chyba postaram się o dziewczynkę.

Kiedy Julie schodziła po schodach, pomyślała: „Szkoda, że to nie ja leżę w łóżku”.

Brianne spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta trzydzieści pięć. W efekcie chronicznej potrzeby Poppy bycia w centrum uwagi nie spała od wpół do szóstej rano.

Poppy od ponad godziny trzymała przy uchu telefon komórkowy Brianne, rozmawiając z kimś o imieniu Marcus.

„Nosi moją bransoletkę z amuletami i korzysta z mojego telefonu, a ja nie miałam wystarczającej odwagi, żeby poprosić – nie, *zaządać* – ich zwrotu” – pomyślała.

– Więc nie pożyczysz mi nędznych stu funciaków? – mówiła Poppy. – Ależ z ciebie skąpy patafian. – Potrząsnęła telefonem i rzuciła go na wąskie łóżko. – Skończyły się zasrane impulsy – stwierdziła ze złością i spojrzała na Brianne, jakby to była jej wina.

– Miałam zadzwonić do mamy – powiedziała Brianne.

– Masz szczęście, że masz matkę. Ja nie mam nikogo. – Przeszła na „zabawny” akcent cockney⁵. – Och, biedna Poppy, jest na świecie samiuteńka jak palec. Nikt jej nie kocha.

Brianne zmusiła się do uśmiechu.

Poppy, już własnym głosem, powiedziała:

– Jestem dobrą aktorką. Rzuciłam monetą, czy iść tutaj, czy na Królewską Akademię Sztuki Dramatycznej. Szczerze mówiąc, nie podobają mi się tutejsi studenci. Są tak do bólu prowincjonalni. Boję się zaczynać tę moją amerykańistykę; przecież nawet tam nie pojedę. Rozważam zmianę kierunku na ten co ty. Co to było?

– Astrofizyka.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Brianne otworzyła. W progu stał Brian Junior. Żeby opisać poranny wygląd chłopaka, trzeba użyć słowa „zmysłowy”. Miał ociężałe powieki, a jego włosy były potargane w uwodzicielskim nieładzie.

– Cześć, Bri! – krzyknęła Poppy. – Coś tam wyprawiał przez cały czas w swoim pokoju, sprośny chłopczyku?

Brian Junior się zaczerwienił.

– Przyjdę później... kiedy...
– Nie – powiedziała Brianne. – Mów teraz.
– To nic takiego, ale dzwonił tato i powiedział, że po naszym wyjeździe mama położyła się do łóżka w ubraniu, nawet w butach, i wciąż w nim leży.

– Często leżę w butach na łóżku – wtrąciła Poppy. – Jeszcze się taki facet nie urodził, żeby go nie kręciła babka w szpilkach.

Przepchnęła się między bliźniakami, wyszła na korytarz i zapukała do sąsiednich drzwi, za którymi mieszkał Ho Lin, Chińczyk studiujący medycynę. Otworzył w piżamie w białoniebieskie paski.

– Nagły przypadek, kochany! Mogę skorzystać z twojego telefonu? – Wepchnęła się i zamknęła drzwi.

Brianne i Brian Junior spojrzeli po sobie. Żadne z nich nie miało ochoty powiedzieć na głos, jakim potworem okazała się Poppy, ani przyznać otwarcie, że to ona – własnymi rękami – zmieniła ich pierwszy łyk wolności w coś ohydneho. Dała im do zrozumienia, że jeśli nie mówisz czegoś głośno, wtedy to po prostu nie istnieje. Ich matka była małowówna i przelała na nich swoją małowówność.

– Właśnie takie rzeczy zdarzają się kobietom, kiedy dobijają pięćdziesiątki. To się nazywa men-o-pauza – powiedziała Brianne.

– I co się z nimi dzieje?

– Och, głupieją, okradają sklepy, dźgają mężów, kładą się w łóżku na trzy dni... różne tam takie.

– Biedna mama. Zadzwonimy do niej po imprezie integracyjnej.

Kiedy dotarli do samorządu studenckiego, natychmiast poszli do klubu matematycznego. Przedarli się przez tłum pijanych studentów i w końcu stanęli przed stołem pokrytym dużymi kserowanymi i zalaminowanymi równaniami.

Jakiś chłopiec noszący ciasną, robioną na drutach czapkę aż się zachłysnął.

– Jezu Chryste, bliźniaki Beaver! Szacun! Jesteście niesamowici! Nie, nie, jesteście *legendą*. Złoty medal dla każdego

z was na międzynarodowej olimpiadzie matematycznej. – Spojrzał na Briana Juniora i dodał: – I nagroda specjalna. Megaszacun. „Rozwiązanie o wybitnej elegancji”. Możesz je dla mnie omówić? To byłoby dla mnie zaszczyt.

– Hm, no tak, jeśli masz wolne dwie godziny.

– Słuchaj, zawsze i wszędzie – powiedział chłopiec w czapce. – Prywatne zajęcia u Beavera Juniora wyglądałyby *lüksowo* w moim CV. Skoczę po długopis, co?

Wokół Briana Juniora i Brianne zaczęli gromadzić się gapię. Rozeszła się wieść, że przyszły bliźniaki Beaver. Kiedy Brian Junior mówił z pamięci wzór, który zupełnie nikąd wpadł mu do głowy – egzaminujący go wtedy profesorowie nigdy by nie wpadli na myśl, że taka może być odpowiedź – usłyszał, jak Brianne mówi: „O cholera!”.

Zza ich pleców wyrosła Poppy.

– Znalazłam was! – wrzasnęła. A potem pogroziła im palcem. – Musi wejść wam w krew, że mówicie mi, dokąd idziecie. Koniec końców jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi.

Miała na sobie starą suknię wieczorową z tafty, a pod spodem golf. Odwróciła się do młodego w czapce.

– Mogę się przyłączyć? Proszę! Choć jestem misiem o małym rozumku, mogę waszej poważnej grupce nadać piekielnie potrzebnego sznytu. I nie będę wam przeszkadzała w rachunkach. Będę sobie cichutko siedziała z tyłu z moją śliczną buzią na kłódkę, aż się we wszystkim połapię.

Brian Junior na chwilę zszedł na drugi plan, a student podał Poppy formularz z płomiennym uśmiechem.

Eva żałowała, że nastał ten dzień, w którym Marks & Spencer wprowadził do sprzedaży piżamy z lycry dla mężczyzn. Nie schlebiały ciałom w średnim wieku. Przez bezlitosny materiał genitalia Briana wyglądały jak niewielki woreczek na narzędzia.

Po trzech nieprzespanych nocach Brian wyblagał sobie powrót do małżeńskiego łóżka, powołując się na swoje problemy z kręgosłupem.

Eva kapitulowała niechętnie.

Brian wrócił też do swojej rutyny przed położeniem się spać: gulgotania i charkania w łazience, nakręcania budzika, słuchania prognozy pogody, polowania na pająki w każdym rogu pokoju i pod łóżkiem za pomocą dziecięcej wędki, którą trzymał w garderobie, wyłączania „dużego światła” (jak je nazywał), otwierania okienka oraz siedzenia na brzegu łóżka i zdejmowania kapci (zawsze zaczynał od lewego).

Eva nie pamiętała, kiedy Brian zdiagnozował. Być może wtedy, kiedy zaczął wydawać z siebie dźwięki przy wstawaniu z krzesła.

Zwykle, monotonnie i ze szczegółami, relacjonował swój dzień, opowiadał jej o ludziach, których nie znała, ale tej nocy milczał. Kiedy się położył, leżał tak blisko krawędzi, że Evie przyszedł na myśl człowiek balansujący nad węzowiskiem.

– Dobranoc, Brian – powiedziała zwyczajnym tonem.

Z ciemności usłyszała jego głos:

– Nie wiem, co mówić ludziom, którzy mnie pytają, dlaczego nie wstajesz z łóżka. Wstyd mi. Nie mogę się skupić na pracy. Moja matka i twoja zadają pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Zwykle przecież znam odpowiedzi. Jestem doktorem astronomii, do kurwy nędzy. I nauk planetarnych.

– Ani razu nie odpowiedziałeś mi wyczerpująco na pytanie, czy Bóg istnieje.

Brian gwałtownie zarzucił głową i wrzasnął:

– Na rany Chrystusa! Sama rusz cholerną mózgownicą!
– Tak dawno nie używałam mózgu, że to biedactwo kuli się w kącie i czeka, aż je ktoś nakarmi.
– Nieustannie mylisz ideę nieba z cholernym kosmosem! A jeśli twoja matka jeszcze raz mnie poprosi, żebym jej coś wyczytał z gwiazd... Wyjaśniałem jej różnicę między astronomem a astrologiem milion pierdolonych razy!

Wyskoczył z łóżka, zahaczył dużym palcem u nogi o szafkę, zawył i kuśtykając, wyszedł z pokoju. Usłyszała trzask zamykanych drzwi u Briana Juniora.

Eva zaczęła grzebać w swojej szafce nocnej, gdzie trzymała skarby, i wyjęła zeszyty szkolne. Dbała o nie przez ponad trzydzieści lat. Kiedy je kartkowała, światło księżycy padło na złote gwiazdki, które dostała za doskonałe wyniki.

Była bardzo mądrą dziewczynką, jej wypracowania zawsze głośno czytano w klasie, a nauczyciele mówili jej, że dzięki ciężkiej pracy i stypendium może się dostać nawet na studia. Musiała jednak pójść do pracy i zacząć zarabiać. W jaki sposób Ruby miałyby sobie pozwolić na to, żeby kupić jej mundurek szkolny w specjalnym sklepie, mając tylko rentę po zmarłym mężu?

W 1977 roku Eva ukończyła liceum dla dziewcząt w Leicester i została telefonistką w Głównym Urzędzie Pocztowym. Ruby zabierała dwie trzecie jej zarobków – za dach nad głową i wyżywienie.

Kiedy Eva została zwolniona za notoryczne łączenie nie tej rozmowy z nie tym klientem, bała się przyznać matce, zaczęła więc chodzić do niewielkiej biblioteki w stylu Arts & Crafts i zaczytywać się w klasyce literatury angielskiej. Wtedy, dwa tygodnie po wyrzuceniu jej z pracy, szef biblioteki – intelektualista bez krzty zdolności menedżerskich – powiesił ogłoszenie, że szuka asystentki: „Wymagane kwalifikacje”.

Nie miała odpowiednich kwalifikacji. Jednak podczas nieformalnej rozmowy dyrektor biblioteki powiedział Evie, że jego zdaniem ma doskonałe kwalifikacje, gdyż widział, jak czytała

Młyn nad Flossą, Jima Szczęściarza, Samotnię, a nawet Synów i kochanków.

Eva oznajmiła matce, że zmieniła pracę i że w bibliotece będzie zarabiać mniej.

Ruby odrzekła, że jest idiotką oraz że książki są przereklamowane i niehigieniczne.

– Nie wiesz, jakie obrzydlistwa wyczyniali ludzie z tymi kartkami.

Niemniej Eva pokochała swoją pracę.

Otwieranie ciężkich drzwi wejściowych i wchodzenie do cichego wnętrza, podczas gdy poranne światło rozlewało się z wysokich okien na oczekujące książki, dawało jej tyle rozkoszy, że pracowałyby za darmo.

Piątego dnia po południu odezwał się Peter, czyściciel okien. Eva spała przez dwanaście godzin. Obiecywała sobie podobne pobłażanie od chwili, kiedy bliźniaki opuściły jej łono i położono je na jej piersi przed siedemnastu laty.

Brianne była chorowitym dzieckiem, bladym i irytującym, miała kępkę czarnych włosów i nieustannie naburmuszoną minę. Miała lekki sen i budził ją byle dźwięk. Eva, słysząc najłżejszy jęk swojej córki, pędziła do niej, żeby ją ponosić, zanim ta rozedrze się na dobre. Brian Junior spał całą noc, a gdy budził się rano, bawił się swoimi stopami i uśmiechał, wpatrzony w zawieszony nad łóżeczkiem samochód ze Scooby-Doo. Ruby mawiała: „To dziecko zstąpiło z nieba”.

Kiedy Brianne wrzeszczała w ramionach Ewy, Ruby radziła: „Wlej do jej mleka jedną lub dwie lufki brandy. Moja mama tak robiła. Nic mi się nie stało”.

Eva patrzyła na zmęczoną twarz swojej matki i przechodził ją dreszcz.

Od dziesięciu lat raz w miesiącu rozmawiała ze swoim czyścicielem okien, ale nic o nim nie wiedziała – poza tym, że nazywa się Peter Rose, jest żonaty i ma niepełnosprawną córkę Abigail. Usłyszała, jak drabina skrobie bok domu, aż w końcu zatrzymuje się na jej parapecie. Gdyby chciała się ukryć, mogłaby pobiec do łazienki, postanowiła jednak wziąć to na klatę – użyła sformułowania często stosowanego przez Brianne, które Eva rozumiała jako uśmiechanie się w obliczu niezręcznych sytuacji społecznych.

Zatem Eva uśmiechała się i pomachała niezgrabnie, kiedy zobaczyła głowę Petera pojawiającą się nad parapetem. Jego policzki zaczerwieniły się z zażenowania. Wsunął głowę do środka i zapytał:

– Chcesz, żebym wrócił kiedy indziej?

– Nie – odparła. – Możesz je umyć teraz.
Rozsmarował mydliny po szybie.
– Źle się czujesz?
– Po prostu chciałam zostać w łóżku.
– Chciałbym to zrobić w wolnym czasie – powiedział. –
Zwinąć się w kłębek i pohibernować. Ale nie mogę. Nie przy
Abigail...
– Co u niej?
– To samo co zwykle, ale ciężiej. Nie gada, nie łązi, nic nie
może sama zdziałać... – Zamilkł i z furią czyścił szybę. – Nosi
pieluchy, a ma czternaście lat. Nie jest nawet ładna. Jej mamusia
ślicznie ją ubiera. Zawsze pod kolor i zawsze robi jej nienaganną
fryzurę. Uważam, że Abigail ma szczęście. Ma najlepszą mamusię
na świecie.
– Nie dałabym rady.
Peter do ściągania nadmiaru wody używał ręcznego
urządzenia, które wyglądało jak obcięty kawałek wycieraczki do
szyb samochodowych.
– Dlaczego nie? – zapytał, jakby naprawdę chciał wiedzieć.
– Cała ta robota. Nadweręzać plecy przy czternasto-latce i
nie dostawać nic w zamian. Nie dałabym rady.
– Tak się właśnie czuję. Nigdy się nie uśmiecha, nigdy nawet
nie wiadomo, czy zrobiło się dla niej coś miłego. Czasem zdaje mi
się, że ona robi sobie z nas jaja. Simone mówi, że to niegodziwe
tak myśleć. Mówi, że w ten sposób przyciągam złą karmę. Mówi,
że Abigail jest taka przeze mnie. Może mieć rację. Zrobiłem wiele
złego, kiedy byłem dzieckiem.
– Jestem pewna, że to nie ma nic do rzeczy. Abigail jest tutaj
z jakiegoś powodu.
– Z jakiego? – zapytał Peter.
– Być może po to, żeby wyciągnąć z ciebie wszystko, co
dobre, Pete.
Kiedy zbierał swoje klamoty, żeby zejść z drabiny,
powiedział:
– Abigail śpi teraz w naszym łóżku. Ja śpię w pokoju dla

gości. Żyję jak staruszek, a mam tylko trzydzieści cztery lata. Jeszcze chwila i zapuszczę włosy w uszach, i będę śpiewał: „Długa jest droga do pieprzonego Tipperary”⁶.

Zniknął z pola widzenia, a chwilę później zniknęła także drabina.

Ewę przybiła smutna historia Petera. Wyobrażała sobie, jak mija sypialnię, w której leżą jego żona i córka, idzie do pokoju gościnnego i kładzie się w pojedynczym łóżku. Rozplakała się i nie mogła przestać.

W końcu zasnęła i śniła, że utknęła na szczycie drabiny.

Telefon bezprzewodowy w marnej obudowie zaskoczył ją przeraźliwym świergotem. Eva spojrzała na niego z odrazą. Nienawidziła go. Nigdy nie potrafiła zapamiętać kombinacji beżowych przycisków, które musiała nacisnąć, żeby odebrać połączenie. W rezultacie dzwoniący słyszał czasami głos z puszki: „Eva i Brian nie mogą teraz odebrać telefonu. Zostaw wiadomość po sygnale”. Wybiegała wtedy z pokoju i zamykała drzwi. Później odsłuchiwała wiadomość, umierając z zażenowania.

Teraz też spróbowała odebrać, ale zamiast tego włączyła automatyczną sekretarkę i odsłuchiwała wiadomość, której wcześniej nie słyszała. Chciała uciekać, ale jedyne, co mogła zrobić uwięziona w łóżku, to zakryć poduszką uszy. Mimo to dotarł do niej głos jej matki:

– Eva! Eva? Och, nie znoszę tych cholernych automatycznych zdzir! Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że pani, no, jak jej tam, ta, co prowadziła sklep z wełną, wiesz która, wysoka, chuda, duże jabłko Adama, zawsze robiąca na drutach, drutu, drutu, srutu, miała takiego mongołowatego chłopca, oddała go do domu opieki, mówiła na niego Simon, co jest dość okrutne, jeśli się nad tym zastanowić – wypadło mi, jak ona się nazywała... zaczynało się na „B”. A, już wiem! Pamela Oakfield! No więc nie żyje! Znaleźli ją w sklepie. Upadła na jeden ze swoich drutów! Przebił jej serce. Pytanie teraz, kto poprowadzi jej sklep. Simon nie może, zważywszy na jego stan. Tak czy siak, pogrzeb w przyszły czwartek. Ubiorę się na czarno. Wiem, że teraz jest moda,

żeby nosić się jak klaun, ale jestem za stara na zmiany. No więc tak... Och, nie znoszę tych automatycznych zdziw. Nigdy nie wiem, co powiedzieć.

Eva wyobraziła sobie chłopca z zespołem Downa prowadzącego sklep z wełną. Potem zastanowiła się, dlaczego on i jego koledzy dostali *ekstrachromosom*. Czy zwyczajnym ludziom *brakuje* chromosomu? Czy natura źle obliczyła proporcje? Czy te miłe istotki o wąskich oczach, krótkich językach, potrafiące się zakochać i odkochać w jeden dzień powinny rządzić światem?

Odsłuchiwanie wiadomości od Ruby trwało jakieś dwie minuty, ale kiedy dobiegło końca, telefon nadal dzwonił. Eva sięgnęła i wyrwała kabel z gniazda w ścianie. Wtedy pomyślała o dzieciach. Jak inaczej się z nią skontaktują w razie potrzeby? Jej komórka się rozładowała i nie miała zamiaru jej podłączać. Odłączyła stacjonarny, ale mimo to wciąż dzwonił. Podniosła słuchawkę i czekała, aż się ktoś odezwie.

W końcu usłyszała kulturalny głos:

– Halo? Nazywam się Nicola Forester. Czy to Eva Beaver dyszy do telefonu, czy jakieś zwierzątko?

– To ja, Eva.

– Ojej, ma pani taki miły głos. Obawiam się, że będę musiała wylać wiadro zimnej wody na pani małżeństwo.

„Dlaczego eleganccy ludzie zawsze przynoszą złe wieści?” – pomyślała Eva.

Głos kontynuował:

– Pani mąż ma od ośmiu lat romans z moją siostrą.

Kilka sekund rozciągnęło się w wieczność. Mózg Evy nie do końca radził sobie z przetworzeniem usłyszanych słów. W pierwszym odruchu chciała się głośno zaśmiać na samą myśl o Brianie baraszującym w domu, którego nie zna, z kobietą, której nigdy nie poznała. Trudno było pojąć, że Brian miał życie poza swoją pracą i ich domem.

– Proszę wybaczyć – zwróciła się do kobiety – ale czy mogłaby pani zadzwonić za dziesięć minut?

– Zdaję sobie sprawę, że to musi być straszliwy szok.

Eva odłożyła słuchawkę. Zsunęła nogi z łóżka i zaczęła, aż będzie zdolna bezpiecznie pójść do łazienki, gdzie stała prosto tylko dlatego, że trzymała się brzegu umywalki. Potem zaczęła zmieniać swoją twarz, wyjmując kosmetyki z usmarowanego wnętrza swojej kosmetyczki Mac. Musiała coś zrobić z rękoma. Gdy skończyła, wróciła do łóżka i czekała.

– Jest mi ogromnie przykro, że w ten sposób zaczęłam – powiedziała Nicola, kiedy znów zadzwoniła. – To dlatego, że nie lubię nieprzyjemności, więc musiałam się nastawić psychicznie, no i wyszło raczej brutalnie. Dzwonię do pani, ponieważ on zbałamucił moją siostrę obietnicami szczęśliwego życia rodzinnego i zwała na panią winę za to, że od pani jeszcze nie odszedł.

– Na mnie? – spytała Eva.

– Tak, najwidoczniej teraz, kiedy nie wstaje pani z łóżka, poczuł się zobowiązany do zajmowania się panią. Moja siostra jest zdruzgotana.

– Jak ma na imię pani siostra?

– Titania. Jestem na nią okropnie zła. Wymówka za wymówką. Najpierw nie mógł odejść, bo bliźniaki miały egzaminy, potem maturę, teraz znów pomagał im szukać uniwersytetu. Titania myślała, że dzień, w którym wyjadą do Leeds, będzie dniem, w którym razem zaczną wić swoje własne miłosne gniazdko, ale ten drań zawiódł ją po raz kolejny.

– Ale jest pani pewna, że mój mąż, doktor Brian Beaver, jest tym, z którym się zadaje? On nie jest z tych ludzi.

– Jest mężczyzną, prawda?

– Spotkała go pani?

– O, tak – odparła Nicola. – Wiele razy. Nie jest jakimś ciachem... ale moja siostra zawsze wolała mądrych facetów, no i potwornie ciągnie ją do brodatych.

Evie serce zabiło mocniej. Poczowała się rozbawiona. Zdała sobie sprawę, że czekała na coś podobnego.

– Pracują razem? – zapytała. – Jak często się widują? Są zakochani? Czy on ma zamiar nas opuścić i z nią zamieszkać?

– Zamierzał panią zostawić od chwili, kiedy się poznali. Widują się co najmniej pięć razy w tygodniu i czasami w weekendy. Pracuje z nim w Narodowym Centrum Kosmicznym. Ona uważa się za fizyka, choć doktorat obroniła zaledwie przed rokiem.

– Jezu Chryste! – krzyknęła Eva. – Ile ona ma lat?

– Żadna z niej Lolita. Ma trzydzieści siedem – odparła Nicola.

– A on ma pięćdziesiąt pięć. Ma także żylaki. I dwoje dzieci! I kocha *mnie!*

– Właściwie to pani nie kocha. I powiedział mojej siostrze, że wie o tym, że go pani nie kocha. To prawda?

– Kiedyś kochałam – odparła i z trzaskiem odłożyła słuchawkę na obrzydliwy plastikowy stojak.

Eva i Brian poznali się w bibliotece uniwersyteckiej w Leicester, gdzie pracowała jako asystentka. Ponieważ kochała książki, zapomniała o tym, że większa część jej pracy polegała na wysyłaniu listów ponagających do studentów i wykładowców, którzy zbyt długo przetrzymywali, a nawet niszczyli książki – raz znalazła sporych rozmiarów prezerwatywę, której ktoś używał jako zakładki w jednym z pierwszych wydań *O powstawaniu gatunków*.

Brian otrzymał od niej list i przyszedł na skargę.

– Nazywam się doktor Brian Beaver – powiedział. – Napisała pani do mnie niedawno bardzo oficjalnym tonem, sugerując, że nie zwróciłem obrzydliwie upraszczającej kwestie książki doktora Brady’ego *Wszechświat wyjaśniony*.

Eva przytaknęła.

Nie miała wątpliwości, że był wzburzony, ale jego twarz i szyję niemal całkowicie zasłaniały czarna broda, czupryna dzikich włosów, ciężkie rogowe oprawki i czarny golf.

Wyglądał na intelektualistę i Francuza. Potrafiła go sobie wyobrazić, jak rzuca kostką brukową w zniechęconych żandarmów, gdy wraz z kolegami rewolucjonistami walczy, aby zburzyć porządek społeczny.

– Nie zwrócę książki Brady’ego – mówił dalej – ponieważ

roi się w niej od błędów teoretycznych i retorycznej bufonady. Wyrzuciłem ją do rzeki Soar. Nie mogłem zaryzykować, że wpadnie w ręce któregoś z moich studentów.

Przyglądał się bacznie Evie i czekał na jej reakcję. Później, na ich drugiej randce, powiedział jej, że na tle wydziału prezentowała się całkiem nieźle. Może była zbyt szeroka w biodrach, ale popracuje nad jej wagą.

– Masz jakiś stopień naukowy? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała. A po chwili dodała: – Przykro mi.

– Palisz?

– Tak.

– Ile papierosów dziennie?

– Piętnaście – skłamała.

– Musisz rzucić – powiedział. – Mój ojciec spłonął żywcem z powodu papierosa.

– Jednego papierosa? – spytała.

– Nasz dom, poza grzejnikiem naftowym, był nieogrzewany, a tata zapalał go dopiero wtedy, gdy temperatura spadała poniżej zera. Napełniał zbiornik naftą i oblał sobie spodnie oraz buty. Potem zapalił papierosa, rzucił zapałkę i... – zawiesił głos Brian, a w jego oczach zalśniły łzy.

– Nie musisz... – powiedziała.

– Dom pachniał niedzielą pieczenia przez lata – dodał. – To było najbardziej uciążliwe. Zakopałem się w książkach...

– Mój tata umarł w pracy. Nikt nie zauważył, dopóki paszteciki na taśmie produkcyjnej nie zaczęły jechać bez farszu grzybowego.

– Odpowiadał za grzyby w pasztecikach z Pukka Pies? Pracowałem tam kilka zmian na studiach. Faszerałem cebulą te wołowe i cebulowe.

– Tak – odpowiedziała. – Był inteligentny, ale rzucił szkołę w wieku czternastu lat. Miał kartę biblioteczną – dodała w obronie swojego zmarłego ojca.

– Mieliśmy szczęście – stwierdził Brian. – My, dzieci wyżu demograficznego, korzystaliśmy z dobrodziejstw państwa

opiekuńczego. Darmowe mleko, sok pomarańczowy, penicylina, powszechna opieka zdrowotna, darmowa edukacja.

– Darmowe uniwersytety – dodała Eva, po czym rzuciła z brooklyńskim akcentem: – Mogłem być miszczem⁷.

Brian się zmieszał. Widział mało filmów.

Eva odkładała małżeństwo przez trzy lata ich niekończących się zalotów, ponieważ miała nadzieję, że Brian rozpali w niej seksualną iskierkę i sprawi, że zacznie go pożądać. Niemniej podpałka była mokra, a zapalek zabrakło. Poza tym nie potrafiła się pogodzić z utratą swojego panińskiego nazwiska Eva Brown-Bird na rzecz Evy Beaver⁸. Uwielbiała Briana i cieszyła ją jej nowa pozycja w uniwersyteckim świecie, ale kiedy pojawiła się obok niego przed ołtarzem, a on na tę okoliczność ściął włosy i zgolił brodę, zobaczyła obcego człowieka.

Gdy stała u jego boku, ktoś – jakiś kobiecy głos – powiedział scenicznym szeptem:

– Panna młoda raczej nie poczochna w nocy bobra.

Fala ledwo tłumionego rechotu obiegła chłodny kościół.

Eva, w swojej koronkowej białej sukni ślubnej, zadrżała z obrzydzenia na widok ohydy nowej fryzury Briana. Chcąc zaoszczędzić na fryzjerze, sam się obciął, używając golarki kupionej w katalogu sprzedaży wysyłkowej.

Rodzina Beaverów zajmowała ławki po prawej stronie. Nie wyróżniali się pięknnością. Przesadą byłoby stwierdzenie, że są podobni do bobrów, ale coś było na rzeczy z tymi ich przednimi zębami i gładkimi brązowymi włosami... Nie tak trudno dało się ich sobie wyobrazić skradających się tuż pod powierzchnią wody i wgryzających się w pień młodego drzewa.

Po lewej siedziała rodzina Brown-Birdów. Istniała w nich jakaś wada, zarówno w mężczyznach, jak i kobietach. Połyskiwały na nich cekiny, sterczały pióra, opływali w koronki i biżuterię. Byli ożywieni, śmiali się i wiercili. Niektórzy zdjęli Biblię ze znajdujących się przed nimi półek. Nie bardzo wiedzieli, do czego ona służy. Palacze grzebali w kieszeniach i torebkach w poszukiwaniu gum do żucia.

Kiedy Brian pochylał się przy składaniu podpisu na akcie ślubu, Eva ujrzała jego włosy pod innym kątem, po czym rzuciła się jej w oczy jego niesamowita szyja, z pewnością najcieńsza na świecie, jeśli nie liczyć plemienia Padaungów w Tajlandii. Kiedy przechodzili przez nawę już jako mąż i żona, dostrzegła jego maleńkie stópki, a gdy rozpiął marynarkę – jedwabną kamizelkę ozdobioną raketami, sputnikami i planetami. Eva lubiła konie, ale nie domagała się, by ich podobizny galopowały po jej sukni.

Zanim dotarli do kruchty, gdzie fotograf ustawił statyw, Evę opuściła wszelka miłość, jaką kiedykolwiek czuła do Briana.

Byli mężem i żoną od jedenastu minut.

Po przemówieniu Briana w czasie weselnego śniadania, w trakcie którego nie wypowiedział ani jednego komplementu pod adresem żony czy druhen, a zamiast tego nakłaniał wstrząśniętych gości do udzielenia pełnego poparcia powstającemu brytyjskiemu programowi kosmicznemu, Eva już go nawet nie lubiła.

Nikogo nie dziwią łzy panny młodej – niektóre kobiety płaczą ze szczęścia, inne z ulgi – ale kiedy panna młoda chlipie ponad godzinę, jej mąż ma prawo się troszeczkę zirytować. A kiedy wypytuje żonę, co jest powodem płaczu i słyszy: „Ty. Przepraszam”, to co wtedy robi pan młody?

Wieczorem po powrocie z pracy Brian pojawił się w drzwiach sypialni Evy z tacą, na której stała filiżanka herbaty z mlekiem oraz leżały dwa biszkopty. Stawiając tacę na stoliku nocnym, westchnął. Herbata wylała się na ciastka, ale nie zauważył, że natychmiast zmieniły się w papkę.

Eva spojrzała na niego zupełnie inaczej i próbowała go sobie wyobrazić uprawiającego seks z nieznaną dziewczyną o imieniu Titania. Czy stosował te same techniki, których używał raz w tygodniu z Evą – klepanie po tyłku, ściskanie sutków – czy także mylą mu się wargi sromowe mniejsze z lechtaczką? Czy krzyczał: „Chodź do supertatuska!” chwilę przed wytryskiem, co zawsze robił w przypadku Evy?

„Dziękuję, Titanio – pomyślała Eva. – Jestem ci naprawdę wdzięczna. Już nigdy nie będę musiała przechodzić tych cotygodniowych ciężkich prób”.

– Dlaczego wychodzisz tyłem, Brian? – zaśmiała się. – Wyglądasz, jakbyś właśnie położył wieniec przed grobem nieznanego żołnierza.

Pytanie Evy sprawiło, że Brian nie czuł się bezpiecznie i odwrócił się do niej plecami. Przestała być uzalającą się nad sobą kobietą, którą poślubił, i bał się jej kpin – jej dwóch palców gestykujących za jego plecami. Nie mógł na to pozwolić, zwłaszcza po tym, jak upokorzyła go pani Horder, sprzątaczką, kiedy nakryła go z Titanią podczas stosunku seksualnego, w którym brał udział także Wielki Zderzacz Hadronów.

– Cieszy mnie twoja radość – powiedział. – Nie zauważyłaś, że szwankuje mi zdrowie? W dodatku, co jest nie do zniesienia, moja praca o marsjańskiej górze Olimp została podana w wątpliwość przez profesora Lichtensteina. Jestem na krawędzi, Evo.

– Jak dla mnie wyglądasz w porządku. Pełen energii, *męski*...

dobrze napakowany testosteronem.

Brian spojrział na żonę.

– Męski? Jestem wykończony. Dlaczego prowadzenie domu zajmuje tyle czasu?

– To nie prowadzenie domu cię wykańcza.

Wpatrywali się w siebie.

W końcu Brian spuścił wzrok.

– Nie miałem czasu iść do szopy – powiedział i dodał agresywnie: – Teraz tam idę. Prasowanie może poczekać.

Zszedł po schodach i wyszedł z domu tylnymi drzwiami.

Mieli niespotykane dużo ogród. Pierwotny właściciel, pan Tobias Harold Eddison, wykorzystał finansowe problemy swoich najbliższych sąsiadów związane z pierwszą wojną światową i z czasem nakłonił ich do sprzedania mu swoich działek – aż w końcu miał wystarczającą ilość ziemi, żeby zasadzić niewielki sad, zbudować ogromną sadzawkę oraz, co dziwne jak na tamte czasy, dziecięcy domek na drzewie.

Szopa Briana znajdowała się w głębi ogrodu, otoczona rzędem ostrokrzewów, które na zimę rodziły duże kiście czerwonych owoców.

Przez te wszystkie lata Brian zbudował w swojej szopie model systemu słonecznego, używając wzmocnionych słomek, piłeczek pingpongowych i innych okrągłych przedmiotów, jak różne owoce, które kupował na targu w Leicester i pokrywał kolejnymi warstwami werniksu, aż skamieniały. Jowisz okazał się problematyczny – duże rozmiary tej planety zawsze przysparzały kłopotu. Próbował wykorzystać piłkę do skakania, odcinając jej uchwyty i doklejając coraz mocniejsze łąty, lecz Jowisz nieustannie tracił ciśnienie atmosferyczne – czy, jak to mówią ignoranci: powietrze.

Trójwymiarową interpretację powoli zastępowała sieć komputerów i ekranów, które próbowały odwzorować widzialny Wszechświat, niemniej Brian często z tęsknotą wspominał tamte noce z przeszłości, kiedy malował swoje planety przy akompaniamencie czwartego programu radia.

W Centrum Kosmicznym był jednym z szefów zespołu do obsługi komputerów o dużej mocy obliczeniowej i odczytywania wyników, które z siebie wypluwały. Ale jego serce należało do szopy. Wraz z rozszerzaniem się Wszechświata rozszerzała się też szopa matka, która teraz łączyła się z trzema mniejszymi. Brian zbudował drzwi i korytarze, pociągnął też kable z domu. Cztery lata temu, po narzekaniach Titanii, że bołą ją plecy po tym, jak się kochali na stole z komputerem, Brian kupił dwa grube materace – różowy dla niej, niebieski dla siebie. One jednak także zostały zastąpione dwuosobowym łóżkiem, wtarganym do szopy, gdy Eva była w pracy.

Szopa matka miała rozsuwany dach, dzięki czemu przez swój domowej roboty teleskop mógł obserwować nocne niebo. Zdarzały się skargi od sąsiadów – hałas powodowany przez mechanizm otwierający i zamykający „mógł być dokuczliwy”, Brian przyznawał im rację, podobnie jak odgłos silnika poruszającego teleskop. Niemniej czy „ci intelektualni pigmeje” nie rozumieją? Przecież idą ramię w ramię z nim, prawdziwym odkrywcą kosmosu. Na ziemi nie pozostało już nic do odkrycia – nie po tym, jak znaleziono prymitywne plemię w Ameryce Południowej palące marlboro lighty.

Brian chciał nadać czemuś swoje imię, a do tego nie nadawała się żadna stara gwiazda. Owszem, można nazwać jakąś za pięćdziesiąt funtów, a potem dać żonie pod choinkę certyfikat. Eva dostała taki prezent na swoje czterdzieste urodziny. Nie wyglądała na tak wstrząśniętą, jak sobie wyobrażał – zwłaszcza kiedy jej powiedział, że gwiazda Eva Beaver, znana bardziej jako SAO 101276, umarła trzysta osiemdziesiąt milionów lat temu i jest tylko widmem światła widzianym z Ziemi.

Nie, Brian chciał nadać swoje imię czemuś niesamowitemu, czemuś, co zapewniłoby mu szacunek całej ogólnoswiatowej wspólnoty astronomów. Kiedy miał dziesięć lat, oglądał z matką w telewizji ceremonię wręczenia Nagrody Nobla.

– Jeśli będziesz ciężko pracował i się uczył, Brian – powiedziała – możesz zdobyć Nagrodę Nobla. Mamusia byłaby

bardzo szczęśliwa.

Brian nauczył się po szwedzku tego, co by powiedział: „Nie odkryłbym [puste miejsce] bez wsparcia mojej matki, Yvonne Beaver”.

Szwedzki to trudny język. Brian nie był pewien, jak należy wymawiać to zdanie, a nie mógł tego sprawdzić. W tamtych czasach Szwedów w Leicester było jak na lekarstwo.

Chłopiec tak ostro wziął się do nauki, że odsunął się od kolegów, ale dopiął swego i został akademikiem. Teraz, będąc dobrze po pięćdziesiątce, wrócił na ziemię i uzmysłowił sobie gorzką prawdę, że nie jest szczególnie utalentowany i że należy do sporego grona niegłupich naukowców, których nazwisk nikt nigdy nie pozna, oraz że okazał się idiotą, wyobrażając sobie, że kiedykolwiek dostanie Nobla.

Chodził do swojej szopy codziennie o dwudziestej trzydzięci i każdego popołudnia w weekendy.

– Przez lata myślałam, że tata chodzi gapić się na szopy – powiedziała kiedyś Evie Brianne.

Całkiem niedawno – bez wiedzy Evy – Brian połączył dwie kolejne szopy i wstawił tam nowe, ogromne i wygodne łóżka małżeńskie, dwa fotele, lodówkę i stolik, tworząc w ten sposób niewielkie, ale stylowe mieszkanie.

Titania często tam zachodziła, otwierając sobie furtkę, która wychodziła na ścieżynkę na tyłach domu, i na paluszkach wślizgiwała się do którejś z szop. Bliźniaki i Eva wiedzieli, że gdy pali się czerwone światło nad drzwiami szopy matki, nie wolno mu przeszkadzać i że Brian „pracuje”.

Eva leżała w ciemnościach.

– „Pracuje” – powiedziała do siebie. – Wszystkie te godziny, wszystkie te lata, które wolał spędzać z kimś obcym o imieniu Titania.

Brian Junior czekał przed salą seminaryjną, w której profesor Nikitanowa miała się spotkać ze swoimi nowymi studentami.

– Uszy do góry, młodzieńcze. Obiecay mi, że nie uciekniesz, jak sobie pójdę – powiedziała Brianne.

– Młodzieńcze? – spytał Brian Junior. – Dlaczego mówisz, jakbyś grała w *Coronation Street*⁹?

Brianne, zniżając głos i odwracając się od innych studentów, powiedziała:

– Bri, musimy się *przystosować*. Używać jakichś kolokwializmów. No wiesz. Słów takich jak „spoko”, „w dechę”, „czilaut”, „koles”, „ej, wy tam”, „ale mam zryty beret”, „czad”, „to chore”...

Brian Junior przytaknął.

Kiedy Brianne próbowała pójść na spotkanie ze swoim promotorem, brat złapał ją za rękaw skórzanej kurtki.

– Brianne, zostań ze mną, straciłem czucie w rękach i nogach. Myślę, że uszkodziłem sobie system nerwowy i zaszły we mnie nieodwracalne zmiany.

Brianne przywykła już do podobnych ataków lękowych Juniora, dotyczących go, kiedy musiał stawić czoło nowym doświadczeniom.

– Mów liczby pierwsze, Bri, i postaraj się uspokoić.

Na końcu korytarza dało się słyszeć zamieszanie. Profesor Nikitanowa szła w stronę swoich studentów na zielonkawoniebieskich pięciocalowych szpilkach, za nią zaś kroczyli rektor i grupa jej asystentów.

Brianne spojrzała na blond fryzurę, czarny jednoczęściowy kombinezon, szkarłatne usta, w których tkwił zabroniony papieros, i oniemiała. Poznała już resztę fakultetu astrofizycznego. Kierował nim profesor Part-ridge, człowiek w kardiganie, który własnoręcznie – z sierści różnych zwierząt – zrobiła na drutach

jego żona.

Nikitanowa dała Brianowi Juniorowi klucze do sali, a kiedy ten walczył z zamkiem, powiedziała:

– Kochanie, zwolnij! Mamy przed sobą dwa lata, chyba że się tobą znudzę.

Zaśmiała się, a Juniorowi przypomniały się plotki z internetu – że mąż Nikitanowej był wykształconym oligarchą, który wynajmował byłych agentów KGB z jednostek specjalnych do ochrony jego genialnej i pięknej żony o gołęmbim sercu. Agenci wiedzieli, że jeśli cokolwiek – *cokolwiek* – niefortunnego się jej przydarzy, umrą w męczarniach (ale szczęśliwi, że katusze kiedyś się skończą).

Później tego wieczoru Brian Junior leżał na łóżku i starał się rozwiązać zadanie, które Nikitanowa dała jego grupie – „Żeby rozruszać mózgi” – gdy ktoś zaczął się dobijać do drzwi pokoju.

To była Poppy.

Rozpoczęła tyradę, zanim jeszcze weszła do środka.

– Nie mogę spać, więc przyszedłam powymieniać się z tobą poglądami... słodki Jezu, ależ tu gorąco!

Miała na sobie flanelową koszulę nocną, podobną do tej, jaką nosił wilk w *Czerwonym Kapturku*. Ku przerażeniu Briana Juniora pochyliła się, złapała za brzeg koszuli, zdjęła ją jednym ruchem i rzuciła w kąt.

Jedynie nagie kobiety, jakie wcześniej widział Brian Junior, znajdowały się w magazynach pornograficznych i filmikach w internecie, ich ciała miały kolor lekko przyrumienionego kurczaka i pozbawione były jakiegokolwiek owłosienia, doznał więc szoku, kiedy ujrzał ciemną, gęstą czuprynę między jej muskularnymi bladymi udami oraz kępki zarostu pod pachami.

Brian Junior usiadł na brzegu łóżka i zaczął biec myślami po potencjalnie nieskończonym ciągu liczb pierwszych:

2, 3, 5, 7, 11, 13, 17, 19, 23, 29, 31, 37, 41, 43, 47, 53, 59, 61, 67, 71, 73, 79, 83, 89, 97, 101, 103, 107, 109, 113, 127, 131, 137...

Piersi Poppy były obwisłe i kołysały się, gdy chodziła po pokoiku i przestawiała przybory toaletowe Briana i rzeczy na jego

biurku.

Junior nie potrafił wymyślić ani jednego słowa, które można by powiedzieć. Pragnął położyć się i zasnąć. Czuł, że czeka go coś strasznego.

Poppy podeszła i usiadła przed nim na podłodze po turecku.

– Jesteś prawiczkim, prawda, mój ptysiu?

Brian skoczył na drugi koniec łóżka i zaczął porządkować biurko, układać ołówki, długopisy i flamastry. Przesunął dłonią nad laptopem i notatnikami i zatrzymał ją nad przezroczystym pudełkiem ze spinaczami, zastanawiając się, gdzie najlepiej byłoby je postawić. Wysypał wszystkie z pudełka i zaczął łączyć je ze sobą w łańcuszki po dziesięć.

Poppy przyczołgała się do niego, otoczyła jego nogi ramionami i wybuchnęła płaczem.

– Pokochałam cię od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłam twoją twarz.

Brian Junior został z jednym spinaczem. Niedobrze. Jeden spinacz nie mógł istnieć. Nie pasuje do zbiorów. To w całości pochłonęło jego myśli – cóż za egoizm, myśleć wyłącznie o sobie. Brian Junior spojrzał na swoją twarz w lusterku nad biurkiem. Wiedział, że jest szalenie przystojny. To było niezmiernie irytujące. Ale wiedział też, że Poppy ukradła i przekreśliła wyznanie miłości z piosenki Roberta Flack. Był to jeden z ulubionych utworów jego matki. Śpiewała ją bliźniakom, gdy były małe.

Spojrzał w dół i powiedział:

– Skomponował ją w 1957 roku Ewan MacColl. Roberta Flack nagrała ją w 1972 roku. Na płycie *70 Minutes of Madness* Coldcut wykorzystali wykonanie *a capella* Joanny Law. Album zmiksowali Luke Slater i Harold Budd.

Poppy zastanawiała się, kiedy skończy nawijać o tej głupiej płycie.

Znów spojrzał na nią i nieco żywszym głosem dodał:

– To najlepszy miks, jaki kiedykolwiek powstał.

W końcu uniosła głowę, wzięła jego dłoń i położyła sobie nad lewą piersią. Patrzyła mu prosto w twarz.

– Ukochany, czyż to nie jak trzepot ptaka w klatce?

Briana Juniora aż odrzuciło i szybko cofnął rękę. Kilka włosów przykleiło się jej do gluta nad górną wargą. Nie miał siły na to patrzeć. Założył za ucho kosmyk jej włosów.

– Myślę, że nasza rozkosz wypełni świat i będzie trwała aż do końca czasu – powiedziała.

– Wcale nie.

– Dlaczego? – spytała.

– Nasza rozkosz. Nie ma czegoś takiego jak nasza rozkosz wypełniająca świat aż do końca czasu. W dodatku oba te twierdzenia są fałszywe. Rozkosz nie może wypełnić świata. Podobnie jak rozkosz nie może trwać do końca czasu. Czas jest nieskończony.

Poppy ziewnęła demonstracyjnie.

Chciał ją poprosić, żeby sobie poszła, ale nie wiedział jak. Nie miał zamiaru jej skrzywdzić ani obrazić, ale za wszelką cenę chciał uciec i spać. Wstał, wyplątał się z jej objęć i podniósł jej koszulę nocną. Była zimna i wilgotna.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział, gdy wręczył jej okrycie.

Poppy przestała płakać.

Wyciągnął do niej rękę, pomógł jej wstać i wskazał na łańcuszki spinaczy, po czym podniósł ten ostatni i zapytał:

– Gdzie byś go dała?

Gapiała się na spinacze, potem spojrzała mu w oczy. Chwilę później głosem, jakiego u niej nigdy dotąd nie słyszał, powiedziała:

– Wepchnęłabym ci go w pieprzoną dupę!

Wciąż naga, wybiegła na korytarz.

Brian słyszał, jak wali do drzwi sąsiada, Chińczyka Ho. Brian wymienił z Ho pierwszy wymuszony uśmiech, kiedy wypakowywali swoje zakupy do wielkiej lodówki i do przydzielonych im szafek. Teraz dobiegł go dźwięk otwieranych drzwi, a chwilę później szloch Poppy.

Brian Junior położył się, ale nie mógł zasnąć. Trzymał w dłoni pojedynczy spinacz i wygiął go w haczyk. Doskonale

wiedział o tym, że dopóki nie wymyśli, gdzie go położyć, przez całą noc nie zmruży oka.

Otworzył okno tak szeroko, jak się dało, i pstryknął spinacz w zimną noc. Zanim zamknął okno, spojrzął w czyste niebo: mrugały do niego setki gwiazd. Szybko odwrócił wzrok, jeszcze chwila i zaczęłyby je nazywać lub zgłębiać istotę całych miliardów, które pozostawały niewidzialne.

Brian Junior obudził się o świcie z poczuciem niepokoju. Wstał i wyszedł poszukać spinacza. Nie trwało to długo. Kiedy zbliżył się do głównego wejścia, nie mógł dostać się do środka. Zapomniał o zabraniu swoich kluczy, co zdarzało mu się średnio dwa razy w tygodniu w czasach, gdy miał czternaście lat.

Usiadł na zimnych betonowych schodach i czekał.

Wpuścił go Ho, który sam z siebie podzielił się informacją, że Poppy wysłała go, by przyniósł jej śniadanie.

– Podwójne latte i zestaw śniadaniowy dla rannych ptaszków. Potem do kiosku po paczkę silków, „Hello!” i „The Sun”. Powiedziałem, że nie mogę jej kupić Słońca¹⁰. A ona: „Dlaczego nie?”. Na co ja, bo to był dowcip, powiedziałem: „Nikt nie może go kupić, jest za daleko i zbyt gorące”.

Pucołowata twarz Ho promieniała.

Rozkoszował się swoim żartem do chwili, gdy Poppy wrzasnęła przez szparę w jego oknie:

– Ej! Ho! Rusz się, pieprzony złamasie!

Zostawił Briana Juniora w budynku i popędził na zakupy.

Po tygodniu, podczas którego Eva nie wstała z łóżka, Ruby posłała po doktora Bridgesa.

Eva słyszała swoją matkę, gdy wraz z doktorem wspinała się po schodach.

– Żyje w ogromnym stresie. Jej tata mawiał, że można zagrać koncert smyczkowy na jej napiętych nerwach. Moje nogi są w koszmarным stanie, panie doktorze. Żyły na wewnętrznej stronie ud wyglądają jak kiście purpurowych winogron. Może uda się panu szybko na nie spojrzeć, zanim pan pójdzie?

Eva nie wiedziała, czy leżeć, czy usiąść. Bała się, że doktor Bridges uzna, że marnuje jego czas.

– Oto pan doktor. Przedzierał się pan do niej w śniegu, kiedy w wieku dziesięciu lat leżała z zapaleniem opon mózgowych, prawda, panie doktorze?

Eva widziała, że doktor Bridges zmęczył się gadaniem Ruby o przeszłości. Usiadła i przytuliła do piersi poduszkę.

Doktor Bridges pochylił się nad nią. W tweedowej czapce i nieprzemakalnej kurtce bardziej przypominał szlachcica niż lekarza medycyny rodzinnej.

– Dzień dobry – odezwał się swoim gromkim głosem. – Pani matka powiedziała mi, że nie wstaje pani od tygodnia, zgadza się?

– Tak.

Ruby usiadła na brzegu łóżka i chwyciła Evę za rękę.

– Zawsze była taka zdrowa, doktorze. Karmiłam ją piersią przez dwa i pół roku. Zniszczyła moje biedne cycuszki. Wyglądają jak baloniki, z których niemal zupełnie zeszło powietrze.

Doktor Bridges zlustrował Ruby zawodowym spojrzeniem.

„Powiększona tarczyca – pomyślał. – Czerwona twarz, zapewne popija. I te czarne włosy! Kogo ona chce oszukać?”

– Chciałbym panią zbadać – powiedział do Evy, po czym zwrócił się do Ruby: – Może pani zostawić nas samych?

Ruby wyglądała na dotkniętą i rozczarowaną. Oczekiwała, że będzie mogła opowiedzieć doktorowi dalsze szczegóły historii choroby Evy. Ociągając się, zeszła na półpiętro.

– Jak pan skończy, doktorze, będzie na pana czekać filiżanka herbaty.

Doktor Bridges ponownie zwrócił się do Evy:

– Pani matka powiedziała, że wszystko z panią w porządku...
– Zrobił pauzę. – W sensie fizycznym. – Po czym mówił dalej: – Zajrzałem do pani karty i wyszło mi na to, że nie konsultowała się pani ze mną od piętnastu lat. Czy może mi pani wyjaśnić, dlaczego od tygodnia leży pani w łóżku?

– Nie potrafię tego wyjaśnić – odparła ze spokojem. – Jestem zmęczona, ale każdy, kogo znam, jest tak samo zmęczony.

– Od jak dawna pani się tak czuje?

– Od siedemnastu lat. Jeszcze zanim urodziły się bliźniaki.

– Ach tak – powiedział. – Bliźniaki. Oboje są niezwykle uzdolnieni, prawda?

Z półpiętra dobiegł głos Ruby:

– Powinien pan zobaczyć mój pokój gościnny, jest pełen ślicznych trofeów, które dostali za konkursy matematyczne.

Nie zdziwiło to lekarza, który od zawsze uważał, że bliźniaki mają w sobie coś autystycznego. Jednak doktor Bridges słyszał z nieinterweniowania. Skoro rodzice nie narzekali, nie wtrącał się.

Ruby, która udawała, że właśnie czyści balustrady, zajrzała przez szparę w drzwiach.

– Mam koszarne ciśnienie krwi. Ostatnim razem, jak je mierzyłam w szpitalu, pewien czarnoskóry lekarz powiedział, że w życiu nie widział czegoś podobnego; jest niższe niż tyłek stonogi. Aż musiał zrobić zdjęcie wyników swoim telefonem. – Pchnęła drzwi i mówiła dalej: – Przepraszam, ale muszę usiąść. – Zbliżyła się do łóżka. – To cud, że jeszcze tu jestem. Umarłam dwa albo trzy razy.

Eva wpadła w irytację.

– Ile razy umarłaś? *Dwa* albo *trzy*? Nie możesz być tak spontaniczna, kiedy mówisz o swojej własnej śmierci, mamo.

– Śmierć nie jest taka straszna, jak o niej mówią – powiedziała Ruby. – Po prostu idziesz tunelem w stronę światła. Prawda, doktorze?

Odwróciła się do lekarza, który przygotowywał się do pobrania krwi z wyprostowanej ręki Evy.

– Tunel jest iluzją spowodowaną niedotlenieniem mózgu – odparł doktor Bridges, napełniając strzykawkę krwią. – Późniejsze procesy zachodzące w strukturach mózgu tworzą to białe światło i poczucie spokoju. – Nie widząc śladów zrozumienia na twarzy Ruby, dodał: – Mózg nie chce umrzeć. To trochę tak, jakby to białe światło było częścią systemu alarmowego mózgu.

– Czyli kiedy byłam w tunelu, nie słyszałam wcale, jak James Blunt śpiewa *You're Beautiful*? – spytała Ruby.

– Śladowe wspomnienie, jak sądzę – bąknął pod nosem.

Rozlał krew Evy do trzech próbek. Opisał je i schował do swojej torby.

– Czy w zeszłym tygodniu gdziekolwiek panią bolało?

Eva przecząco pokręciła głową.

– Nie, nie czułam żadnego fizycznego bólu. Wiem, że to zabrzmiało, jakbym oszalała, ale chyba odbieram ból innych ludzi, ich smutek. To niezmiernie wyczerpujące.

Doktor Bridges nieco się zirytował. Jego gabinet znajdował się blisko uniwersytetu, wskutek czego miał już po dziurki w nosie pacjentów spod znaku New Age, którzy wierzyli, że kawałek księżycowej skały czy kryształu może wyleczyć ich brodawki weneryczne, anginę monocytową czy inne przypadłości.

– Nic jej nie jest, doktorze. To ten syndrom pustego gniazda – powiedziała Ruby.

Eva rzuciła poduszką i wrzasnęła:

– Od chwili ich narodzin liczyłam dni, kiedy się wreszcie wyniosą! Czułam się tak, jakby mnie uprowadziło dwoje obcych. Wszystko, czego tylko chciałam, to położyć się samej w łóżku i zostać w nim tak długo, ile będę chciała.

– No cóż, to nie jest wbrew prawu – powiedział doktor Bridges.

– Panie doktorze, czy to możliwe, że od siedemnastu lat mam depresję poporodową? – spytała Eva.

Doktor poczuł nieprzemogłą potrzebę opuszczenia tego domu.

– Nie, pani Beaver. To niemożliwe. Zostawię pani receptę na lekarstwa, które powinny zmniejszyć lęk. I proszę nosić pończochy przeciwżylakowe przez cały czas trwania pani... – zawahał się, jakiego słowa użyć, aż zakończył: – ...wakacji.

– Niektórzy to mają dobrze, co nie, doktorze? Szkoda, że ja nie mogę sobie poleżeć w tym łóżku – powiedziała Ruby.

– Mam nadzieję, że się położysz w swoim – wymruczała Eva.

Doktor Bridges zamknął swoją torbę.

– Życzę miłego dnia, pani Beaver – powiedział i powoli odprowadzany przez Ruby zszedł do drzwi.

Ewę dobiegły jeszcze słowa matki:

– Jej tata miał talent do melodramatów. Każdego wieczoru wpadał po pracy do kuchni i opowiadał jakieś wstrząsające historie. Zwykle mówiłam mu: „Dlaczego mi opowiadasz historię o ludziach, których nawet nie znam, Roger? Nie interesuje mnie to”.

Kiedy lekarz odjechał swoim samochodem z napędem na cztery koła, Ruby wspięła się po schodach.

– Idę do apteki po twoje lekarstwa.

– Już nie trzeba, zajęłam się tym. – Eva podała receptę, a strzępki położyła na swoim stoliku nocnym.

– Mogłabyś za to oberwać – powiedziała Ruby. Włączyła telewizor, przytaszczyła krzesło spod toaletki, ustawiła obok łóżka i usiadła. – Mogę przychodzić codziennie i dotrzymywać ci towarzystwa.

Złapała za pilota i na ekranie pojawił się Noel Edmonds¹¹. Z pomocą jakichś pudełek robił coś z rozhisteryzowanymi zawodnikami. Wrzaski widowni i zawodników raniły Evie uszy.

Ruby patrzyła w ekran z lekko rozdziawionymi ustami.

O osiemnastej zaczęły się wiadomości. Ośmio- i

dziesięciolatka, siostry, zostały uprowadzone w Slough przez człowieka w białej furgonetcie. Kobieta w Derbyshire wskoczyła do wezbranej rzeki, żeby uratować swojego psa, i utonęła; pies wrócił do domu cztery godziny później, nic mu się nie stało. W Chile miało miejsce trzęsienie ziemi, pod gruzami zostało uwieczonych tysiące ludzi. Po tym, co kiedyś było ulicami, wędrowały osierocone dzieci. Jedno z nich krzychało: „Mamo! Mamo!”. W Iraku zamachowiec samobójca (nastolatka) zdetonowała bombę wypełnioną gwoździami, zabijając siebie i piętnastu policyjnych rekrutów. W Korei Południowej czterystu młodych ludzi zginęło w wyniku paniki po wybuchu pożaru w klubie nocnym. W Cardiff kobieta pozwała nielicencjonowany salon tatuażu po tym, jak jej piętnastoletni syn wrócił do domu ze słowem „CZAPA” wytatuowanym na czole.

– Co za katalog ludzkich nieszczęść – powiedziała Eva. – Mam nadzieję, że ten cholerny pies jest wdzięczny.

– Musieli zrobić coś złego.

– Myślisz, że Bóg ich ukarał?

– Wiem, że nie wierzysz w Boga – zaczęła się bronić Ruby. – Ale ja tak, i jestem zdania, że ci ludzie w jakiś sposób musieli go urazić.

– Wierzysz w staromodnego Boga, mamó? Ma długą białą brodę i mieszka nad chmurami? Jest wszystkowiedzący i wszystkowidzący? I właśnie w tej chwili patrzy na ciebie, mamó?

– Słuchaj, nie zamierzam się wdawać w kolejną kłótnię na temat Boga. Wiem na pewno, że się o mnie troszczy. Wiem też, że jeśli zejdem z właściwej ścieżki, to mnie ukarze.

– Ale nie zatroszczył się o to, żebyś nie zgubiła torebki, biletów i paszportu, kiedy byłaś na lotnisku w East Midlands, prawda? – spytała uprzejmie Eva.

– Nie może być wszędzie, a w sezonie urlopowym ma ręce pełne roboty.

– Jednak nie uratował cię przed czerniakiem złośliwym.

– Nie – odparła Ruby ze złością. – Ale mnie nie zabił, prawda? I w ogóle nie widać blizny.

– Potrafisz sobie wyobrazić świat bez Boga, mamó?
Ruby przez chwilę się zastanowiła.

– Wszyscy skakalibyśmy sobie do gardeł, nie sądzisz?
Rzeczywiście, byłoby w sumie miłutko.

– Myślisz wyłącznie o Anglii – powiedziała Eva. – A co z resztą świata?

– No cóż, w większości to poganie, nieprawdaż? Mają własne sposoby na radzenie sobie.

– Dlaczego zatem Bóg uratował psa i pozwolił utonąć kobiecie? Jest miłośnikiem psów?

Eva pozwoliła sobie na nieco rozrywki. Zapytała matkę, jaką rasę wybrałby Bóg do swojego królestwa niebieskiego.

– Jakoś nie widzę Boga z tymi wyfiokowanymi pieskami, jakie ma królowa. I nie widzę Boga z jakimiś durnymi pieskami, co je można schować do torebki. Myślę, że Bóg wybrałby solidnego psa, na przykład golden retrievera.

Eva wybuchnęła śmiechem.

– Tak, widzę Boga z golden retrieverem, jak siedzi przy jego tronie i szarpie go za szaty, bo chce iść na spacer.

– Wiesz co, Evo – powiedziała ze smutkiem Ruby – czasami nie mogę się doczekać, aż pójdę do nieba. Mam dość życia tutaj, odkąd wszystko się skomplikowało.

– Ale założę się, że kobieta, która utonęła, nie była zmęczona życiem. Założę się, że kiedy zakryła ją woda, walczyła o życie. Dlaczego więc Bóg wybrał psa zamiast niej?

– Nie wiem. Musiała widocznie zrobić coś, co ściągnęło na nią jego gniew.

– Gniew? – zaśmiała się Eva.

– Tak, on jest bardzo gniewny, i to mi się w nim podoba.
Dzięki temu nie ma hołoty w niebie.

– Hołota, czyli trędowaci, prostytutki i biedacy?

– To wina Jezusa – powiedziała Ruby. – Ale to zupełnie inna para kaloszy.

Eva odwróciła się od matki i powiedziała:

– A Bóg patrzył, jak jego jedyny syn umiera w cierpieniach

na krzyżu i nie zrobił nic, żeby mu pomóc, choć ten krzyczał:
„Ojcze, ojcze, czemuś mnie opuścił?”.

Eva nie chciała płakać, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Kiedy miała osiem lat, zemdląła podczas obrazowego opisu ukrzyżowania, jakim ją i inne dzieci uraczyła dyrektorka szkoły.

Ruby zebrała swoje rzeczy, włożyła płaszcz i kapelusz, owinęła szyję jaskraworóżową apaszką i rzekła:

– Jezus musiał zrobić coś źle. Ale skoro nie wierzysz w Boga, dlaczego wpadasz w jeden z tych swoich nastrojów?

Eva uspokoiła się na tyle, by odpowiedzieć:

– To było okrutne. Kiedy krzyczał: „Pragnę!”, dali mu octu.

– Idę do domu, do *swojego* łóżka – stwierdziła Ruby.

Dom Ruby był wąskim szeregowcem. Drzwi wejściowe wychodziły na cichą ulicę. Do córki miała niecałą milę, jednak dla niej była to cała epicka wyprawa. Musiała zatrzymywać się kilka razy z powodu bólu w biodrze i opierać się o cokolwiek, żeby nie upaść.

Bobby, jej smukły czarny kot, czekał na nią. W chwili, gdy tylko otworzyła drzwi, ocierał się znacząco o jej nogi i mruczał. Lubiła myśleć, że w ten sposób okazuje swoją radość na jej widok.

Kiedy oboje siedzieli w nieskazitelnym pokoju gościnnym, Ruby powiedziała do kota:

– Chciałabym być tobą, Bobiczku. Nie wiem, czy dam radę dłużej zajmować się naszą dziewczynką.

Położyła sobie na języku trzy pigułki tramadolu i przełknęła, popijając syropem z fig. Poszła do kuchni, wyjęła z szafki dwa kubki zdobione motywem wierzby, po czym opamiętała się i schowała jeden. Zanim zagotowała się woda, przejrzała swój kalendarz ze zdjęciem *Anioła Północy* na pierwszej stronie. Obok widniał niewielki kalendarz z zakreślonymi na czarno chrześcijańskimi świętami:

Adwent, Boże Narodzenie, Święto Trzech Króli, ostatki, Wielki Post, Wielki Tydzień, Wielki Czwartek, Wielki Piątek, Wielkanoc, Zielone Świątki, dożynki, Wszystkich Świętych.

Ruby wymówiła je wszystkie głośno, jakby odmawiała

litanię. Traktowała je jak rusztowanie swojego życia. Współczuła Evie.

Ruby nie wiedziałyby, jak żyć bez tych wszystkich świąt.

Tego samego wieczoru Eva obejrzała dwie komedie w telewizji i nie zaśmiała się ani razu, potem wstała i niechętnie poszła do łazienki. Źle się czuła, kiedy stawiała stopy na podłodze, tak jakby dywan był laguną pełną piranii, czekających, żeby zjeść jej palce.

Kiedy Brian zobaczył, jak wychodzi owinięta w biały ręcznik, powiedział:

– Ach, Eva, dobrze cię widzieć na nogach. Nie potrafię otworzyć drzwiczek pralki.

Usiadła na brzegu łóżka.

– Musisz ją bardzo mocno dwukrotnie uderzyć bokiem dłoni, jak gdybyś chciał ją zabić.

Brian poczuł rozczarowanie, kiedy jego żona włożyła różową piżamę w kratkę i wróciła do łóżka.

– Pralka – powiedział.

– Jagular – powiedziała i pokazała prawą dłonią cios.

– Nie ma już nic do jedzenia.

– Pewnie coś znajdziesz w delikatesach. A kiedy pójdziesz...

– Kiedy pójdę? – przerwał.

– Tak – odparła. – Kiedy pójdziesz do delikatesów. Kupisz także duży lejek, dwie duże butelki plastikowe i duże opakowanie worków na lód. Czy możesz dla mnie zbierać reklamówki? Zrobisz to dla mnie? Będę ich potrzebowała, żeby pozbywać się odpadów.

– Jakich znowu odpadów?

– Odpadów z mojego ciała.

– Przecież masz pod nosem pieprzoną łazienkę! – wrzasnął.

Położyła się na boku i spojrzała na męża.

– Nie potrafię zrobić tych kilku kroków do łazienki, Bri.

Miałam nadzieję, że mi pomożesz.

– Jesteś obrzydliwa – powiedział. – Nie będę zlewał twoich szczyń i wyrzucał twojego gówna.

– Ale ja nie mogę już wyjść z tego łóżka, Brian. Nie potrafię zrobić tego spacerku do ubikacji. Co innego mi pozostało?

Kiedy sobie poszedł, przez chwilę przysłuchiwała się jego przekleństwom i uderzeniom w pralkę. Pomyślała o problemach wynikających z posiadania jelit i pęcherza i zastanawiała się, dlaczego ewolucja nie wymyśliła czegoś lepszego do pozbywania się niepotrzebnych substancji z organizmu.

Rozważała to bardzo długo i w końcu wymyśliła najefektywniejszy system.

Ciało musiałoby się przekonstruować w ten sposób, aby wchłaniać swoje odpadowe produkty. Eva uznała, że to mogłoby działać, gdyby gdzieś w układzie pokarmowym znajdował się jakiś osobny organ. Wyrostek nie miał w końcu nic do roboty. Nie spełniał żadnych funkcji, odkąd ludzkość przestała się odżywiać gałązkami i korzonkami. Brian powiedział jej, że astronautom rutynowo usuwa się wyrostek przed pierwszym lotem w kosmos. Być może dałoby się go przystosować do wchłaniania każdej kropelki uryny i każdej drobiniki kału?

Nie miała pewności w kwestii szczegółów takiej adaptacji, ale przystosowany organ musiałby spalać odpadki po wchłonięciu przez organizm wszelkich wartości odżywczych i całej wody. Pewnie powstawałby niewielki dym, ale mógłby zostać skierowany do odbytu i wchłonięty przez filtr węglowy noszony w majtkach, gdzie mocowałoby się go za pomocą rzepów. Zostały jeszcze jakieś dwa czy trzy drobiazgi wymagające dopracowania, ale czy brytyjscy naukowcy nie są pionierami w biotechnologii? Jak cudownie byłoby, gdyby rasa ludzka została pozbawiona brzemienia produktów przemiany materii.

Tymczasem, rozmyślała Eva, konieczne stało się rozdysponowanie jej własnych odpadków w niewyszukany sposób. Jak sobie poradzi z kucaniem nad lejkiem bez stawiania stóp na podłodze? Nieuchronnie zdarzy się jakaś plama na pościeli, a jeszcze bardziej skomplikowane stanie się zrobienie kupy do worka na lód. Z konieczności przywyknie do bliskiego kontaktu z fizjologicznymi nieczystościami, jednak wciąż będzie

potrzebowała kogoś, kto usunie butelki i woreczki z jej pokoju.

Kto kochał ją wystarczająco mocno?

Eva i Ruby pogodziły się następnego dnia, kiedy ta druga przyniosła obiad domowej roboty złożony z sera, chleba, sosu i marynat przykrytych folią spożywczą.

Eva zjadła ostatni okruszek i powiedziała:

– Mamo, muszę cię o coś zapytać.

Kiedy wyjaśniła ideę lejka, butelki i worka na lód, jej matka była przerażona. Zebrało się jej na wymioty i musiała wybiec do łazienki, gdzie stała nad muszlą klozetową, przytykając sobie chusteczki do ust.

– Dlaczego zdrowa na umyśle osoba wołałaby siusiać do butelki i robić kupkę do plastikowego worka, skoro ma piękną łazienkę tuż obok? – spytała blada i wstrząśnięta, gdy już wróciła do sypialni.

Eva nie potrafiła odpowiedzieć.

– Powiedz mi dlaczego! – wrzasnęła Ruby. – Czy chodzi o coś, co zrobiłam? Nauczyłam cię korzystać z toalety zbyt wcześnie? Za mocno cię uderzyłam za zmożenie łóżka? Przerzątał cię dźwięk spluczki. Masz przez to jakieś kompleksy, syndromy czy co tam mają ludzie w dzisiejszych czasach?

– Muszę zostać w łóżku – odparła Eva. – Jeśli nie... jestem zgubiona.

– Zgubiona? – zdziwiła się Ruby. Dotknęła swojego złota: najpierw kolczyków, potem łańcuszka i medalionu na szyi, a na końcu bransoletki. Poprawiała je i polerowała. To było jak klękanie, Ruby czciła swoje złoto. Miała dziesięć złotych monet z Republiki Południowej Afryki wszytych w gorset, który trzymała w szufladzie z bielizną. Gdyby Anglię najechali Francuzi albo kosmici, mogłaby wyżywić i zaopatrywać w broń całą rodzinę przez co najmniej rok.

Inwazja kosmitów była dla Ruby prawdopodobnym scenariuszem. Którejś nocy, podczas zdejmowania prania ze sznurka, zobaczyła statek kosmiczny. Zawisnął nad domem sąsiadów, po czym poleciał w kierunku spółdzielni. Powiedziała o

tym Brianowi, mając nadzieję, że go to zainteresuje, ale powiedział, że to pewnie przez brandy, którą trzyma w spizarce na wypadek nagłego kryzysu zdrowotnego.

– Mamo, jeśli postawię stopę na podłodze, będę musiała zrobić kolejny krok, a potem jeszcze jeden i nagle się zorientuję, że maszeruję po schodach, wchodzę do ogrodu i idę, idę, idę, i będę tak szła, i nigdy więcej was nie zobaczę.

– Ale dlaczego miałyby to właśnie *tobie* ujść na sucho? Dlaczego ja, która w styczniu skończę siedemdziesiąt dziewięć lat, mam cię znów niańczyć? Powiem ci szczerze, Evo: nie jestem zbyt macierzyńska. Dlatego nie miałam więcej dzieci. Nie oczekuj po mnie, że będę wozić się z twoimi siuškami i kupami. – Wzięła talerz i zwinięta w kulkę folię spożywczą. – To wina Briana?

Eva pokręciła głową.

– Mówiłam ci, żebyś za niego nie wychodziła. Problem z tobą polega na tym, że chcesz być cały czas szczęśliwa. Masz pięćdziesiąt lat. Nie zdałaś sobie jeszcze sprawy z tego, że przez większość czasu większość z nas z trudem brnie przez życie? Radosnych dni jest tylko kilka i są od siebie oddalone. Gdybym więc teraz miała zacząć podcierać pięćdziesięcioletni tyłek, bardzo bym się tym unieszczęśliwiła, więc nie proś mnie o to więcej!

Późno w nocy Eva poszła do łazienki i czuła się tak, jakby stąpała po rozżarzonych węglach.

Źle spała.

Czy popadała w szaleństwo?

Czy dowiaduje się o tym ostatnia?

Jawor za oknem pochylał na wietrze gałęzie. Yvonne siedziała na krześle przed toaletki, które postawiła przy łóżku.

Przyniosła Evie książkę *Połącz punkty* dla zaawansowanych.

– Dla zabicia czasu.

Pod przymusem Eva zrobiła jedno zadanie. Po piętnastu nudnych minutach wyłonił się jej kształt pociągu Skrzydlaty Szkot, a wraz z nim wiejski dworzec, wózek na bagaże, kasa oraz zawiadowca z gwizdkiem i uniesioną chorągiewką.

– Nie musisz ze mną siedzieć – powiedziała Eva.

– Nie powinnaś zostawać sama, kiedy źle się czujesz.

Eva zagotowała się w środku. Kiedy oni w końcu rozumieją, że mówiła im prawdę – nie była chora, po prostu nie chciała wstawać z łóżka.

– Wiesz o tym, że to symptom choroby psychicznej, prawda?

– spytała Yvonne.

– Wiem – odpowiedziała Eva. – Podobnym symptomem jest łączenie punktów przez dorosłą osobę w cholernej książce. Szaleństwo to rzecz względna.

– Względnie dziedziczna, a w mojej rodzinie nie ma wariatów – odcięła się Yvonne.

Eva nie trudziła się odpowiedzią. Była zmęczona i chciała spać. Słuchanie teściowej i rozmowa z nią potrafiły pozbawić sił – według Evy ona rozmyślnie opacznie rozumiała większość rozmów i żyła od jednej urazy do drugiej. Yvonne szczyciła się swoją prawdomównością, choć inni mówili o niej, że jest „przykra”, „niesłusznie szorstka” i jest „absolutnym wrzodem na dupie”.

– Cenisz sobie prawdomówność, prawda?

Yvonne przytaknęła.

– Chciałabym cię o coś prosić... To dla mnie bardzo trudne.

– No dalej – powiedziała Yvonne zachęcająco. – Wyduś to z

siebie.

– Nie mogę już korzystać z łazienki. Nie potrafię postawić stóp na podłodze. Zastanawiałam się, czy nie mogłabyś mi pomóc w pozbywaniu się moich produktów ubocznych.

Yvonne wstrzymała oddech, rozszyfrowując informację, po czym uśmiechnęła się jak rekin.

– Czy ty, Evo Beaver, prosisz *mnie*, żebym wyrzucała twoje pipi i kaka? Mnie? To nie ja mam obsesję na punkcie czystości. Nie ja *tygodniowo* zużywam gigantyczną butelkę domestosa.

– W porządku. Ja zapytałam, ty odmówiłaś.

– Ostrzegalam Briana, żeby się z tobą nie żenił.

Przewidziałam to. Od razu zobaczyłam, że jesteś neurotyczką. Pamiętam, gdy zabraliście mnie z Brianem na wakacyjny wyjazd na Kretę i kiedy siedziałaś na plaży ciasno owinięta ogromnym ręcznikiem, bo miałaś „problemy” z ciałem.

Eva oblała się rumieńcem. Kusiło ją, by oznajmić Yvonne, że jej syn przez ostatnich osiem lat sypia z inną kobietą, ale czuła się zbyt zmęczona, żeby poradzić sobie z efektem takiego wyznania.

– Byłaś dla mnie bardzo okrutna po tym, jak urodziłam bliźniaki. Śmiałaś się z mojego brzucha i mówiłaś: „Wygląda jak galaretka deserowa”.

– Wiesz, jaki masz problem, Eva? Nie znasz się na żartach. – Wzięła książkę *Połącz punkty* i długopis. – Idę na dół posprzątać ci kuchnię. Na pewno pleni się tam salmonella. Pleni się! Mój syn zasługuje na kogoś lepszego niż ty.

Po jej wyjściu Eva odniosła wrażenie, jakby miały na nią runąć meble. Podciągnęła kołdrę na głowę i poczuła się lepiej.

„Nie znam się na żartach? – pomyślała. – Dlaczego miałabym chcieć śmiać się razem z nimi, kiedy Brian i jego matka uważali, że czyjeś nieszczęście lub cierpienie jest zabawne? Miałabym się śmiać także z tego, jak przedstawiał mnie Brian: «To moja gorsza połowa, wydaje moje pieniądze, ale jest moja na wieki?»”.

Cieszyła się, że teściowa odmówiła. Sama myśl o tym, że Yvonne krytykowałaby barwę i konsystencję stolca, stała się nie do

zniesienia. Eva pomyślała, że cudem wyszła z tego cało. Zaczęła się śmiać i śmiała się tak bardzo, że zsunęła się z niej kołdra i spadła na podłogę.

Tej nocy Evie śniło się, że widziała biegnącego po czerwonym dywanie Kopciuszka, który spieszył się do swojego powozu z dyni. Kiedy się obudziła, wyobraziła sobie, że dywan jest biały i prowadzi od jej łóżka do łazienki. Natychmiast zmienił się w nieskazitelnie białą pościel Evy, pofałdowaną, udrapowaną i falującą ścieżkę, która wiodła od łóżka do ubikacji. Pomyślała, że gdyby trzymała stopy na tej ścieżce, wciąż pozostawałaby w łóżku.

Uklękła i wyjęła prześcieradło, rzuciła je na dywan, po czym złożyła je na pół i jedną krawędź wetknęła pod materac. Wyszła i bardzo ostrożnie zrobiła kilka niewielkich zakładek, aż prześcieradło zaczęło przypominać sporych rozmiarów ślad bitej śmietany.

Bawełnianej ścieżce brakowało jakiejś stopy do łazienki. Eva zdjęła biały ręcznik z wieszaka, złożyła go i położyła jako przedłużenie.

Czuła, że jeśli pozostanie na prześcieradle, będzie bezpieczna – nie wiedziała, skąd przyszła jej do głowy taka myśl.

Gdy skończyła w ubikacji, rozkraczyła się nad umywalką i podmyła ciepłą wodą. Potem wyszczotkowała zęby, wypuściła wodę z umywalki, napełniła ją ponownie i umyła włosy. Następnie przemknęła po białej ścieżce i zanurzyła się w kojącym łóżku.

W sobotę Eva obudziła się późno i pierwsze, co zobaczyła po przebudzeniu, to Briana stawiającego na jej nocnym stoliku filiżankę z herbatą.

Drugą rzeczą, którą zobaczyła, była duża wolno stojąca szafa. Wyglądała, jakby pochylała się nad łóżkiem jak ciemna złowieszcza ściana klifu wysysająca z pokoju powietrze i światło. Czasami, kiedy przed oknami przejeżdżała duża ciężarówka, szafa drżała. Eva czuła, że to kwestia czasu, aż przewróci się na łóżko i ją zmiażdży.

Wspomniała kiedyś o swoich lękach Brianowi i zasugerowała, żeby zamiast niej kupili dwie jasne i przeszklone szafy, ale spojrział na nią z niedowierzaniem.

– To rodzinna pamiątka – powiedział. – Podarowała nam ją moja matka, kiedy wymieniała meble. Ojciec kupił tę szafę w 1947 roku i dobrze służyła moim rodzicom.

– Po co więc nam ją wcisnęła? – mruknęła pod nosem.

Teraz zadzwonił telefon. Do Briana.

– Alex, człowieku! Co u ciebie, ziomalu? – Zastłonił słuchawkę i wyszeptał do Evy: – To Alexander, człowiek z vanem.

Eva próbowała dociec, po co Brian mówi w ten sposób. Z usłyszaney rozmowy nie potrafiła wywnioskować, kim dla Briana był Alexander. Zrozumiała, że Alexander wpadnie później, żeby coś zabrać z którejś z szop. Zastanawiała się, czy Alexander byłby wystarczająco silny, żeby samemu zdemontować i wynieść ciężką szafę.

Poprosiła Briana, żeby Alexander zaszedł do niej na górę, kiedy skończą robić swoje.

– Chciałabym coś przesunąć – wyjaśniła.

Tego samego dnia usłyszała podjeżdżającego vana. Parkował co najmniej minutę. Brzmiał jak wehikuł z kreskówek – tak jakby rura wydechowa szorowała o asfalt – i z pewnością coś

szwankowało w silniku. Trzeba było grzmotnąć drzwiami cztery razy, zanim się zamknęły. Klęknęła na łóżku i wyjrzała przez okno.

Wysoki i szczupły mężczyzna z siwiejącymi dreadami, mający na sobie dobrze dopasowane ubranie w stonowanych kolorach, pochylał się i sięgał po torbę z narzędziami leżącą na pace samochodu. Kiedy się odwrócił, zobaczyła, że jest niezwykle przystojny. Pomyślała, że wygląda, jakby należał do jakiejś afrykańskiej arystokracji. Mógłby pozować do rzeźb stojących na wystawie etnicznego sklepu w centrum.

Zadzwoił do drzwi.

Usłyszała głos Briana, głośny i jowialny, zapraszający Alexandra do środka bocznymi drzwiami.

– Olej syf, człowieku, moja stara wzięła się za symulowanie choroby.

Kiedy Alexander zniknął, Eva rozczesała włosy palcami i przyglądała je, żeby wyglądały na dłuższe. Szybko wstała, rozłożyła znów prześcieradło na podłodze i poszła do łazienki, gdzie zrobiła sobie makijaż i spryskała się Chanel No. 5.

Po powrocie do łóżka zebrała prześcieradło, pościeliła łóżko i czekała.

Na dźwięk głosu Alexandra krzyknęła:

– Na górze! Drugie drzwi na prawo.

Uśmiechnął się, gdy ją zobaczył.

– Dobrze trafiłem?

– Tak – odparła i wskazała szafę.

Spojrzał na mebel i się roześmiał.

– Taa, teraz rozumiem, dlaczego chce się pani jej pozbyć.

Wygląda jak drewniane Stonehenge.

Otworzył drzwi szafy i zajrzał do środka.

– Ma pani zamiar ją opróżnić?

– Nie – odpowiedziała. – Muszę zostać w łóżku lub na łóżku.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że jest pani chora.

– Nie jestem chora. Po prostu dałam sobie spokój ze światem... Chyba.

– Tak? No cóż, każdy ma na to jakiś swój sposób. Pani

zostaje w łóżku, co?

– Muszę.

– Gdzie pani chce, żebym położył te ubrania i buty?

Opróżnienie szafy zajęło całe godziny.

Opracowali system. Alexander przyniósł z kuchni cztery duże plastikowe worki na śmieci. Do jednego wkładał przedmioty do recyklingu, do drugiego rzeczy dla charytatywnego sklepu z odzieżą używaną, do trzeciego to, co można sprzedać na eBayu, do ostatniego zaś ubrania, które miały trafić do stylowego sklepu prowadzonego przez jego siostrę w nabierającym stylu Deptford. Był także osobny worek na buty.

Tyle to trwało, bo każda część odzieży wywoływała jakieś wspomnienie dotyczące miejsca bądź czasu. Znalazł się jej ostatni mundurek szkolny – szara plisowana spódniczka, biała koszula i zielony blezerek z czerwoną lamówką, który nosiła aż do skończenia szkoły. Jego widok wstrząsnął Evą. Znów miała szesnaście lat, na jednym ramieniu nosiła brzemień porażki, na drugim ciężki plecak z książkami i zeszytami.

Trafił na stertę do sprzedania.

Alexander wyjął suknię wieczorową. Bez ramiączek, z czarnego szyfonu i gdzieśgdzie wyszywaną bezwartościowymi klejnotami.

– Ta to mi się podoba – powiedział, gdy podał ją Evie.

– Mój pierwszy letni bal z Brianem na uniwersytecie. –

Powąchała gorset i wyczuła olejek paczuli, pot i papierosy. Nie potrafiła się zdecydować, gdzie sukienka powinna trafić.

Alexander zrobił to za nią. Włożył ją do stylowego worka. Od tej chwili to on sortował ubrania.

Pojawiały się letnie sukienki z odkrytymi plecami, które nosiła nad morzem. Znalazło się także wiele par dżinsów: z lekko rozszerzanymi nogawkami, o prostych nogawkach, dzwony, białe, niebieskie, czarne. Odmówił wyrzucenia beżowej szyfonowej sukni wieczorowej, którą miała na sobie podczas kolacji wydanej na cześć sir Patricka Moore'a¹², więc wskazała mu dużą czerwoną plamę pod dekoltem – wynik niezdarności Briana, który

postanowił zjeść wieczorną kanapkę z serem i burakiem
ćwikłowym.

– Jest pani zbyt pochopna, pani Beaver – powiedział
Alexander. – Moja siostra to mistrzyni farbowania i maszyny do
szycia. Potrafi czarować.

Eva wzruszyła ramionami.

– Proszę zrobić, co pan uważa.

Znalazł także wieczorowe buty od Christiana Diora, które
Brian kupił jej za pieniądze ze zwrotu podatku dochodowego,
kiedy byli po raz pierwszy w Paryżu.

– Są za dobre, żeby je wyrzucać – powiedział Alexander. –
Proszę spojrzeć na szwy! Kto je zrobił? Drużyna elfów?

Eva wzdrygnęła się na wspomnienie konieczności włożenia
baskiny i skarpetek i paradowania w górę i w dół w tej obleśnej,
zimnej mansardzie na lewym brzegu Sekwany w jej pięknych
nowych butach.

– Może nie wyraziłam się właściwie – powiedziała. –
Wszystko musi stąd zniknąć. Zaczynam od nowa.

– No to eBay, sobie myślę – rzekł Alexander i wrócił do
sortowania.

– Nie, proszę je dać swojej siostrze.

– To zbyt hojne, pani Beaver. Nie jestem tu, żeby panią
wykorzystywać.

– Chciałabym, żeby trafiły do kogoś, kto je doceni.

– Nie chce pani swojej działki?

– Ja już nie potrzebuję pieniędzy.

Kiedy Alexander spakował ubrania Briana, większość w
szlamowatych kolorach, i zniósł je na półpiętro, szafa opustoszała.
Za pomocą elektrycznego śrubokręta odkręcił drzwi i wymontował
półki, wieszaki i zawiasy.

Z początku nie rozmawiali ze względu na hałas.

Gdy trochę się uciszyło, powiedziała:

– Przepraszam, że nie zrobię panu herbaty.

– Proszę się nie przejmować, i tak piję tylko ziółka. Mam ze
sobą termos.

– Jak Brian na pana trafił?

– Łaziłem ze swoimi dziećmiakami i wrzucaliśmy ludziom ulotki. Jesteście moimi pierwszymi klientami. Jestem malarzem, ale nikt nie chce kupować moich obrazów.

– Jakiego rodzaju obrazy pan maluje?

– Pejzaże. Okolice The Fens. Leicestershire. Uwielbiam angielską wieś.

– Mieszkałam na wsi, jak byłam mała. Czy na pana obrazach są ludzie?

– Maluję wcześniej rano – odparł. – Wtedy zwykle nikogo nie ma.

– Żeby uchwycić światło o świcie?

– Nie – powiedział Alexander. – Ludzie się denerwują, kiedy widzą czarnego w polu. Dość dokładnie zaznajomiłem się z policją w Leicestershire. Najwyraźniej Żydzi nie jeżdżą na nartach, a czarni nie malują obrazów.

– Jakie ma pan jeszcze umiejętności?

– Stolarstwo. Typowe umiejętności człowieka z vanem: malowanie i dekorowanie, pielęgnacja ogrodów, taszczenie rzeczy wte i wewte. Mówię płynnie po włosku i przez dziesięć lat byłem złym chłopcem, bankierka.

– Co się stało?

Zaśmiał się.

– Byłem niezły przez pierwsze pięć lat. Mieszkaliśmy w wielkim domu w Islington, kupiłem też matce domek z ogródkiem w Leicester. Lubi grzebać w ziemi. Ale proszę mnie nie pytać o kolejne pięć. Za dużo wciągałem do nosa, moja wypasiona lodówka pełna była idiotycznie drogich szampanów. Zmarnowałem to. Siebie też. Przegapiłem pięć pierwszych lat dzieciństwa moich dzieci. Myślę, że umierałem, ale nikt tego nie zauważył, bo umieraliśmy wszyscy. Pracowałem dla Goldman Sachs. Żona przestała mnie lubić. – Przerwał na moment i zaczął mówić dalej: – Wracaliśmy do domu samochodem, który miałem zaledwie od dwóch dni. Był dla mnie za duży, za mocny. Zaczęła gderać, że nie widziałem dzieci od tygodnia i że nikt nie pracuje

szesnaście godzin dziennie.

Spojrzał Evie w oczy i powiedział:

– Pracowałem po szesnaście godzin dziennie. Czysty obłąd. Zacząłem krzyczeć, ona wrzeszczała, ile pieniędzy wydaję na kokę, straciłem panowanie nad sobą i nad autem, wypadliśmy z drogi i walnęliśmy w drzewo. Nie jakieś szczególnie wysokie, dość cherlawe. Nikt by nie pomyślał, że mogła od tego zginąć. Uciekłem z dziećmi do Leicester.

Zapadła długa cisza.

– Proszę, niech mi pan nie opowiada więcej smutnych historii – powiedziała Eva.

– Nie mam tego w zwyczaju – odparł. – Jeśli zrobi pani listę rzeczy, które miałbym dla pani wykonać, wycenię je i dodam upust. Jedyne problem jest taki, że muszę odbierać dzieciaki ze szkoły... – Zrobił pauzę. – Pani Beaver, proszę się nie pogniewać za tę uwagę. Nie ma spójności w pani ubraniach.

Eva się oburzyła.

– Jak może być w nich spójność, skoro nie wiem, kim jestem? Czasami żałuję, że nie musimy nosić mundurków, tak jak Chińczycy podczas rewolucji kulturalnej. Nie musieli się martwić i wahać, co na siebie włożyć każdego ranka. Mieli swoje mundurki. Workowate spodnie i bluzy. Tego właśnie chcę.

– Pani Beaver, wiem, że dopiero się poznaliśmy – powiedział Alexander – ale kiedy poczuje się pani lepiej, chętnie wybiorę się z panią na zakupy, żeby strzec panią przed kupieniem sobie spódnicospodni, alladynek czy czegośkolwiek bez rękawów.

Eva wybuchnęła śmiechem.

– Dzięki. Ale zostaję tutaj, w tym łóżku, przez rok.

– Rok?

– Tak.

– Dlaczego?

– Mam wiele do zrobienia. Do rozstrzygnięcia.

Alexander usiadł na brzegu łóżka. Eva odsunęła się, żeby miał więcej miejsca. Przyglądała się jego twarzy z niekłamaną przyjemnością. Jaśniała zdrowiem i radością życia. „Dzięki niemu

jakaś szczęściara uzna, że świat jest znośny – pomyślała. – Ale to nie ja”. Jeden z jego dredów wymagał ponownego sfilcowania. Automatycznie po niego sięgnęła i przypomniała sobie, jak przez całą podstawówkę codziennie zaplatała włosy Brianne. Wyprawiała ją z warkoczykami i kokardami. I każdego popołudnia Brianne wracała zgarbiona, bez kokardek i z rozplecionymi włosami.

Alexander złapał ją za nadgarstek i delikatnie odsunął jej dłoń.

– Pani Beaver – powiedział. – Lepiej nie zaczynać czegoś, czego nie potrafi się skończyć.

Eva pozwoliła, żeby dred opadł.

– To zajmuje więcej czasu, niż się pani wydaje – dodał miękko. – Muszę odebrać dzieciaki o czwartej. Są na przyjęciu urodzinowym.

– Wciąż mam ten alarm „muszę odebrać dzieci” w głowie – odparła.

Później, kiedy poszczególne elementy szafy zostały wyniesione, Eva zapytała Alexandra, ile jest mu winna.

– Och, niech mi pani da pięćdziesiąt funtów. Taki dodatek do tego, co pani mąż już zapłacił mi za naprawienie tego małżeńskiego łóżka.

– Łóżka? Jakiego łóżka?

– Tego z szopy.

Eva nic nie odpowiedziała, podniosła tylko brwi.

– Chce pani, żebym wyniósł drewno? To solidny mahoń. Mógłbym coś z niego zrobić.

– Niech pan z tym zrobi, co chce. Spali, cokolwiek.

Zanim wyszedł, zapytał:

– Czy mogę zrobić coś, żeby było pani wygodniej?

Z jakiegoś powodu zarówno on, jak i Eva oblali się rumieńcem. Dosłownie na moment. Miała pięćdziesiąt lat, ale wyglądała lepiej, niż jej się zdawało.

– Mógłby pan zabrać stąd także resztę mebli.

– Wszystko? – zapytał.

– Wszystko.

– No cóż... *Arrivederci, signora.*

Zaśmiała się, kiedy usłyszała silnik uruchamianego vana.

Była kiedyś w cyrku i samochód klauna brzmiał bardzo podobnie.

Położyła głowę na poduszce i nadstawiała uszu do czasu, aż

niczego nie dało się już słyszeć.

Po wyniesieniu szafy sypialnia wydawała się teraz ogromna.

Chciała go znów zobaczyć. Poprosi go, żeby przyniósł swoje

obrazy.

Ciekawiło ją, czy są dobre, czy nie.

Poppy zajmowała całe łóżko Brianne, nakładając mascarę na swoje krótkie rzęsy. Brianne siedziała przy biurku i starała się dokończyć esej, zanim minie ostateczny moment oddania prac. Miała czas do czternastej. Właśnie dochodziła trzynasta czterdzieści siedem.

Poppy upuściła szczoteczkę do nakładania tuszu, a ta przetoczyła się po jej białej koszulce.

– Kurewskie skurwione kurewstwo! – zawyla. – Dlaczego nie kupisz sobie jakiejś przyzwoitej pieprzonej mascary?

Zaśmiała się leciutko – miała świadomość, że nie może przesadzać. Wiedziała, że zostało jej niewiele przyjaciół. Miały miejsce pewne zdarzenia dotyczące kradzieży jedzenia i papierosów.

Brianne gapiła się przez okno, starając się wymyślić ostatni ustęp i równanie, czym mogłaby domknąć swoją pracę, którą wykładowca zatytułował: *Nieskończoność. Niekończąca się rozmowa?* Widok miała na identyczne budynki mieszkalne, młode drzewa i burzowe chmury w kolorze brązu. Była tu już dwa tygodnie i wciąż tęskniła za matką. Nie wiedziała, w jaki sposób okiełznać rzeczywistość bez tych wszystkich drobnostek, które Eva dla niej robiła od tak dawna, że trudno spamiętać.

– Te kosmetyki kupiła mi matka, ale nigdy ich nie używałam – powiedziała.

– A powinnaś – odparła Poppy. – Niezły z ciebie kaszalot. Przez większość czasu musi cię niezłe wkurzać, że twój brat jest właściwie piękny. Czy to nie okrutne? Czy ktoś kiedykolwiek zasugerował ci operację plastyczną?

Dłonie Brianne zamarły nad klawiaturą laptopa. Wiedziała, że nie należy do najładniejszych dziewczyn, ale nie myślała, że jest kaszalotem.

– Nie – odpowiedziała. – Nikt mi nigdy nie zasugerował, że

potrzebuję operacji plastycznej.

Z jej oczu trysnęły łzy.

– Nie ulewaj na mnie swoich emo. Wierzę w czynienie dobra przez okrucieństwo. – Poppy objęła ramieniem plecy Brianne. – Powiem ci, czego potrzebujesz.

Czas oddania eseju nadszedł i minął, podczas gdy Poppy wymieniała defekty, które zrujnują przyszłość Brianne, chyba że „pójdzie pod nóż”.

– Faceci gwizdzą na to, jak *mądra* jest kobieta. Poza tymi, których należy olewać. Jedyne, na czym im zależy, to na naszym wyglądzie. Wiesz, z iloma chłopakami poszłam do łóżka, odkąd dostałam się na uniwersytet?

– Z całą furą – powiedziała Brianne. – Ze zbyt wieloma.

– Nie bądź taka kurewsko osądzająca! – wrzasnęła Poppy. – Wiesz, że nie potrafię spać sama. Nie od czasu, gdy moje ciało zaatakował ten potwór.

Brianne niezbyt ciekawiło, o jakiego „potwora” może chodzić. Wiedziała, że nie istnieje.

Poppy rzuciła się na łóżko i zaczęła zawodzić jak wdowa nad świeżo wykopanym grobem.

Brianne pomyślała, że tylko trochę lubi swoją matkę, ale koniecznie musi z nią porozmawiać. Wyszła na korytarz i zadzwoniła na komórkę Evy, ale nie udało się jej połączyć. Poszła do pokoju Briana Juniora.

Siedział przy biurku z rękami na uszach i z zamkniętymi oczami.

– Telefon mamy nie odpowiada! Muszę z nią pogadać o Poppy.

Brian Junior otworzył oczy i powiedział:

– Potrzebuję mamy, Bri. Poppy jest w ciąży i mówi, że jestem ojcem.

Bliźniaki spojrzały na siebie, po czym mocno się przytuliły.

Spróbowali na stacjonarny. Dzwonili i dzwonili, i dzwonili, i dzwonili.

– Mama zawsze odbiera telefon! – rzuciła Brianne. –

Musimy zadzwonić do taty, do jego pracy. Tak czy siak, Poppy nie może mieć pewności, że jest w ciąży, widziałeś się z nią dwa tygodnie temu.

– Nie wydaje mi się także, żebym ją zapłodnił – powiedział Brian Junior. – Wskoczyła mi do łóżka. Coś ją zdenerwowało.

Oboje słyszeli histeryczny płacz dobiegający z pokoju Brianne. Słyszeli też zaniepokojone głosy na korytarzu.

Komórka ojca dzwoniła osiem razy i w końcu włączyła się poczta głosowa: „Doktor Beaver nie może odebrać połączenia. Po sygnale proszę zostawić wiadomość. Ewentualnie proszę wysłać e-maila na adres doktorbrian kropka beaver małpa leic kropka ac kropka uk. Jeśli uznam, że wiadomość jest wystarczająco ważna, skontaktuję się”.

Kiedy Brianne wróciła do swojego pokoju, natknęła się na niewielką grupę studentów. Na jej łóżku siedział Ho, tuląc Poppy w ramionach.

– Brianne – powiedział. – Myślę, że nie jesteś dobrym człowiekiem! Mówisz Poppy, że jest szmatą i dziwką! Właśnie dziś, gdy jej rodzice rozbili się swoim niewielkim samolotem i znajdują się na intensywnej terapii!

Mały tłum westchnął współczująco i spojrzał z dezaprobatą na Brianne.

– Ona nie ma rodziców – powiedziała. – Jest sierotą.

Poppy załkała głośniej.

– Jak możesz tak mówić?! Byli dla mnie lepsi, niż mogą być jacykolwiek biologiczni rodzice. Oni mnie *wybrali!*

– Proszę, wyjdź z tego pokoju. Natychmiast! – powiedział Ho.

– To mój pokój – powiedziała cicho Brianne. – A ona ma na sobie moją bransoletkę i maszkę.

Chiński student z prostą grzywką i amerykańskim akcentem odwrócił się do Brianne i powiedział:

– Poppy spotkało w życiu tyle nieszczęść, jej przybrani rodzice walczą o życie, a ty ją obrażasz...

Poppy wyswobodziła się z objęć Ho i powiedziała nieco

dziewczęcym głosem:

– Wybaczam ci, Brianne. Wiem, że brakuje ci inteligencji emocjonalnej. Pomogę ci w tym, jeśli mi pozwolisz.

Brian ze złością oprowadzał grupę niepełnosprawnych dzieci po Centrum Kosmicznym. Był pewien, że niektóre z nich celowo uderzały wózkami w tył jego nóg. Każde dziecko miało swojego opiekuna. Zanim zaczęło się zwiedzanie, zwrócił się do nich:

– Jestem doktor Brian Beaver i pracuję tutaj jako astronom i matematyk. Opracowuję statystyki związane z kosmosem, na przykład odległość jednej gwiazdy od drugiej, oraz chronię was przed śmiercią w płomieniach, która spotkałaby was w przypadku uderzenia obiektów bliskich Ziemi. Nie będę was traktował protekcjonalnie. Zakładam, że kilkoro z was jest w miarę inteligentnych i zdolnych przetwarzać informacje. Ci, którzy nie potrafią, niech przynajmniej spróbują i udają najlepiej, jak umieją. Niezmiernie by mi pomogło, gdybyście mogli przestać machać rękami. I *proszę*, starajcie się trzymać głowy nieruchomo. Teraz zwracam się do tych, którzy wydają z siebie dziwne dźwięki: *proszę*, przestańcie. To niezwykle rozpraszające.

Nauczyciele spojrzeli po sobie. Czy powinni coś powiedzieć temu człowiekowi, który jakby nie rozumiał, że dziś używa się innych słów?

Pani Payne, nauczycielka, której strój składał się z szarej wersji wszechobecnych uggów i palestyńskiej chusty, nie potrafiła zamilczeć.

– Ruchy dzieci i dźwięki, jakie wydają, są niezamierzone. Większość z nich ma mózgowo porażenie dziecięce. Obawiam się, że pana język jest kompletnie niedopuszczalny!

Brian przyjął postawę obronną.

– Zaraz na początku powiedziałem, że nie traktowałbym protekcjonalnie tych nieszczęsnych dzieci, i nie będę tego robił. Ale nie zrobi im dobrze, *proszę* pani, jeśli będzie się wobec nich używać wyłącznie dopuszczalnych słów. Więc? Ruszamy? Kiedy już sobie pójdziecie, mam niezwykle ważną pracę do wykonania.

– Powinien pan jeszcze raz przeczytać ulotkę, doktorze Beaver – powiedziała pani Payne. – Napisano tam, że wizyty szkolne są *mile widziane*.

Jedna z wind nie działała. Musiało minąć pół godziny, zanim wszyscy znaleźli się na piętrze.

Gdy Brian wrócił z pracy do domu, zastał dwoje czarnych dzieci – chłopca i dziewczynkę – w mundurkach szkoły podstawowej, które siedziały przy kuchennym stole, jadły tosty i odrabiały lekcje.

Jego pierwszą myślą było odwrócić się i biec do drzwi – musiał pomylić domy. Potem na wieszaku w przedpokoju zobaczył swoją jesionkę i jedną z kurtek Evy. Ale kim były te dzieci? Czy chłopak był włamywaczem, a dziewczynka jego współniczką?

Wreszcie zobaczył Alexandra schodzącego po schodach.

– Thomas, Venus, przywitajcie się.

Dzieci się odwróciły.

– Dzień dobry – powiedziały jednocześnie.

Brian wpadł jak burza do sypialni Evy. Pokój wyglądał na większy i jaśniejszy. Toaletka, krzesło i komoda zniknęły, podobnie jak zasłony.

– Meble były rodową pamiątką – powiedział. – Chciałem coś z tego przekazać bliźniakom.

– Alexander wyniósł je na moją prośbę. Pomaluje ściany, podłogę i sufit na biało.

Brian otworzył usta jak złota rybka. Następnie je zamknął.

Na dole zaś Ruby weszła do domu i wrzasnęła na widok Alexandra smarującego tost masłem.

– Nie rób mi krzywdy! – błagała. – Jestem emerytką z anginą i chorymi nogami.

– Bardzo mi przykro z tego powodu – odparł Alexander. – Napiłaby się pani herbaty?

– Yyy, tak, chętnie.

Ruby gapiła się na dzieci. Alexander przedstawił je, ona zaś ciężko usiadła przy stole.

– Nazywam się Brown-Bird. Jestem matką Evy. Jest pan

znajomym Evy?

– Nowym znajomym. Jestem jej panem z vanem.

– Och, to pan – powiedziała Ruby. – Mówiła mi o panu. Nie wspomniała, że z pana kolorowy koleżka.

Alexander przekroił dwa tosty po przekątnej i ułożył trójkąty na talerzu zdobionym geometrycznym deseniem. Znalazł białą serwetkę i niewielką tackę. Do chińskiej filiżanki stojącej na spodeczku nalał herbaty.

– To trochę przesada, żeby ich używać do herbaty i tostów, nieprawdaż?

– Powinno się dbać o drobiazgi w życiu, pani Brown-Bird. W przypadku większych rzeczy nie mamy za wiele do powiedzenia.

– To prawda – odparła Ruby. – Wszyscy jesteśmy w rękach losu. Niech pan spojrzy na Evę. W jednym tygodniu widzę, że jest szczęśliwa niczym prosię w maju. A teraz? Leży w łóżku jak jakaś królowa Saby... I w dodatku mówi, że nie wie, kiedy wstanie! Nie po to wydałam ją na świat, żeby się z niej zrobiła leniwa krowa. Moja dziewczynka musiała być na nogach i ubrana o wpół do ósmej w dzień szkolny i o ósmej w weekendy.

– Gdybyśmy wszyscy byli tacy sami, świat byłby nudny – powiedział Alexander.

– Mnie by pasowało, gdybyśmy byli tacy sami.

Ruby wciągnęła powietrze przez zęby, nie zdając sobie sprawy, że matka Alexandra robiła dokładnie ten sam gest, aby okazać swoje niezadowolenie.

Kiedy Alexander zaniósł tackę Evie, wstąpił w pełną napięcia ciszę. Tak jakby Brian i Eva walczyli na niewidzialne szpady.

Brian opierał się o parapet, udając, że wygląda przez okno. Nie było wiele do oglądania, poza grupką ociągających się uczniów i przejeżdżającym raz na jakiś czas samochodem, którego kierowca ignorował ograniczenie prędkości do trzydziestu kilometrów na godzinę. Rosły tam też drzewa, ale Brian nigdy za nimi nie przepadał. Podpisał nawet petycję, w myśl której miały zostać ścięte i zastąpione nowymi miejscami parkingowymi. Powiedział wtedy Evie: „Te drzewa mają dwieście lat. Już się

nacieszyły”.

Prognozowano deszcze i mgły, co oznaczało, że Brian nie popatrzy dziś na gwiazdy. To żadna nowość w Anglii – Brian często żałował, że Eva nie zgodziła się przeprowadzić do Australii, na pustynię, gdzie niebo jest ogromne i czyste, bez ciągłych angielskich chmur.

Alexander zapytał Briana, czy ma coś mu podać.

– Herbaty? Kawy?

– Nie! – warknął Brian. – Jedyne, czego chcę, gościu, to zobaczyć, jak ty i twoje potomstwo opuszczacie moją posiadłość.

Eva zwróciła się do Alexandra.

– Ogromnie mi przykro, lecz przez ostatnie kilka tygodni miał naprawdę ciężki okres.

– Pracuję dla Ewy – powiedział Alexander i wrócił do pracy. Zaczął wyjmować z dywanu zszywki, którymi był on przytwierdzony do podłogi.

Jedynym dźwiękiem wybrzmiewającym w pokoju było chrupanie tosta, którego jadła Eva. Brian miał ochotę jej go wyrwać. Podniosła filiżankę do ust i niechcący siorbnęła. Brian nie potrafił już nad sobą zapanować. Ruszył do drzwi, omijając Alexandra, który wciąż klęczał i opierał się na dłoniach.

– O co chodzi z tą kurewską obsesją napojów? Wiecie, ile jednostek energii termicznej marnuje się przy robieniu jednej herbaty? I tak nie zrozumiecie, ale wam powiem. Dużo! Pomnóżcie to przez sześćdziesiąt cztery miliony, bo taka jest populacja Wielkiej Brytanii, a wyjdzie wam, że to jeszcze więcej! I nawet nie wspominajcie o czasie straconym na czekaniu, aż zagotuje się woda w czajniku, aż napój się schłodzi, a potem to siorbanie. A w tym czasie w miejscach pracy maszyny są wyłączone, nie ma nikogo, kto wyłożyłby towar na półkę, ciężarówki stoją w zatoczkach. A co z naszymi braćmi ze związków zawodowych? Ich przerwa na herbatkę uświęca prawo! Kto wie, ile obiektów umknęło nam w Centrum Kosmicznym, bo jakiś cholerny operator teleskopu odwrócił się plecami do monitora w czasie, gdy przelatywał ważny kosmiczny śmieć! A wszystko

dlatego, że komuś zachciało się napić naparu z liści lub ziaren w czasie godzin pracy! To hańba narodowa!

Alexander spojrzał na Briana.

– Czyli, jeśli dobrze rozumiem, nie chcesz nic ciepłego do picia?

– Herbata to znacznie więcej niż tylko woda i liście – powiedziała Eva. – Ależ z ciebie redukcjonista, Brian. Pamiętam, jak pewnego wieczoru powiedziałeś: „Nie rozumiem, dlaczego ludzi podnieca i zajmuje cały ten seks. To tylko włożenie penisa do najbliższej znajdującej się wagini”.

Alexander, który właśnie zbierał swoje narzędzia, wybuchnął śmiechem.

– Dobrze wiedzieć, że romantyzm nie zginął. Nadal mam przyjść jutro, Evo?

– Proszę.

Eva zaczęła, aż usłyszy śmiech Alexandra z kuchni, po czym spytała:

– Brian, kochasz mnie?

– Tak, oczywiście, że tak.

– Zrobiłbyś dla mnie wszystko?

– Cóż, wolałbym nie siłować się z krokodylem.

– No nie, ale zastanawiałam się, czy nie mógłbyś przez jakiś czas spać w swojej szopie.

– Ile ma trwać „jakiś czas”? – zapytał agresywnie.

– Nie wiem – odparła. – Może tydzień, może miesiąc, a może rok?

– Rok? Nie będę spał w tej cholerniej szopie przez rok!

– Kiedy jesteś w domu, nie mogę myśleć.

– Słuchaj, może dość już tych popierdółek, co? Nad czym ty się musisz tak zastanawiać?

– Nad wszystkim. Czy słonie się poca? Czy księżyc jest wymysłem piosenkarzy? Czy kiedykolwiek byliśmy ze sobą szczęśliwi?

– Należę do Mensy – powiedział łagodnie. – Całe to twoje myślenie mogę wziąć na siebie.

– Brian, ja przez ścianę słyszę twój oddech.

– Aha – powiedział lodowato. – Jeśli nie wstaniesz z łóżka, to jak się nakarmisz? Bo ja tego nie zrobię. Masz nadzieję, że jakaś puchata pani ptaszkowa będzie cię zaopatrywać w robaki, jeśli wystarczająco głośno zakwilisz?

Nie wiedziała, kto ją nakarmi, więc milczała.

Przezeszał brodę i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami tak mocno, że zadrżała framuga. Na dole schodów nie wytrzymał i dał upust złości.

– Jesteś cholernie szalona! – wrzasnął. – Powinnaś się leczyć! Dzwonię do kliniki i umówię wizytę. Teraz powinni wysłuchać mojej wersji.

Kilka minut później poczuła zapach smażonego bekonu.

Ślina napłynęła jej do ust. Brian znał jej słabość do bekonu: to dlatego porzuciła wegetarianizm. Doszło nawet do tego, że drogą wysyłkową kupowała bekon z prestiżowej świńskiej farmy w Szkocji. Za każdym razem, kiedy ktoś dowiadywał się, że płaci za bekon przelewem, mówiła: „Nie piję ani nie palę [kłamstwo] i nic na siebie nie wydaję [nieprawda], myślę więc, że mogę sobie pozwolić na kilka plasterków bekonu”.

Leżała w łóżku i patrzyła, jak powoli się ściemnia. Dostrzegła jeden uschnięty liść wciąż uczepiony gałęzi jaworu. Doszła do wniosku, że już nigdy nie wypowie swojej bekonowej tyrady. Była banalna i nudna – poza tym mijała się z prawdą.

W kuchni Brian spał się z Alexandrem.

– Czy mógłbyś przestać karmić moją żonę? Zachęcasz ją do leżenia w łóżku. Mogę cię zapewnić, że to wszystko skończy się na łzach.

Venus i Thomas podnieśli wzrok znad swoich zadań domowych. Ruby, która stała przy zlewie, odwróciła się na dźwięk zaczepnego tonu Briana.

Alexander rozłożył ręce.

– Nie mogę jej zostawić głodnej i spragnionej, prawda? – powiedział cicho.

– Tak! Tak, możesz! – wrzasnął Brian. – Być może wtedy

ruszy swój leniwy tyłek i zejdzie do kuchni!

– Ciszej – powiedział. – Nie podnoś głosu, człowieku, tu są moje dzieci. Eva wzięła sobie wolne. Musi pomyśleć.

– No tak, ale o mnie już nie pomyśli, prawda? Nie wiem, co jej się stało. Ona chyba wpada w obłąd.

Alexander wzruszył ramionami.

– Nie jestem psychiatrą. Jeżdżę vanem i jutro zajmę się jej dywanem.

– A żebyś, kurwa, wiedział, że nie! Jeśli przyjdzie ci do głowy tu wrócić, wezwę policję!

– Wyluzuj, Brian – powiedziała Ruby. – Noga policjanta nie przestąpiła tego progu i teraz też nie przestąpi. – Zwróciła się do dzieci: – Gdybym była wami, kaczątka, wkładałabym płaszczki. Myślę, że wasz tatuś jest gotowy do wyjścia.

Alexander skinął głową i podał dzieciom ubrania. Kiedy je wkładały, podszedł do schodów i krzyknął:

– Na razie, Evo! Do jutra!

Czekał na odpowiedź, ale gdy żadna nie nadeszła, poprowadził dzieci do drzwi.

Brian poszedł za nimi. Kiedy Alexander i jego dzieci stali na stopniach przed domem, powiedział:

– Żadnego zasranego „do jutra” nie będzie. Żegnam! I miłego życia!

Dorastający w Leicester Brian był bystrym dzieckiem. Kiedy tylko nauczył się operować swoimi dwudziestoma sześcioma klockami z literami alfabetu, zaczął układać je w różnych konfiguracjach. Lubił stawiać dwa, cztery, sześć i osiem na sobie. Wtedy zaczął budować – z początku chwiejne – wieżyczki z klocków, których nigdy nie niszczył. Któregoś dnia, tuż przed swoimi trzeci urodzinami, ku zdumieniu każdego, kto był przy tym obecny, wypowiedział zdanie: „Nudzi mi się”.

Jego ojciec, Leonard, zaczął uczyć Briana prostych działań. Dziecko niebawem umiało dodawać, mnożyć i dzielić. Zawsze w milczeniu. Leonard pracował długie godziny w fabryce pończoch i wracał do domu, kiedy Brian już od dawna spał. Niestety Yvonne nie odzywała się do swojego synka. Snuła się po domu z ponurą determinacją, w jednej ręce trzymała ścierkę do kurzu, w drugiej mokrą szmatę. W kąciку ust zawsze miała zapalonego papierosa. Nie była zbyt wylewną kobietą, ale raz po raz posyłała Brianowi tak wrogie spojrzenie, że na pewien czas wpadał w stupor.

Pierwszego dnia w przedszkolu Brian nie chciał się odczepić od nóg Yvonne. Kiedy pochyliła się, żeby się wyswobodzić, z papierosa spadł spory kawałek żaru wprost na jego głowę. Yvonne starała się go strzepnąć. Udało się w części – popiół znalazł się na twarzy i szyi chłopca, niemniej fragment, który wpadł we włosy, zaczął się tlić, więc pierwszy poranek Brian spędził u pielęgniarki, a potem zmuszono go, żeby leżał na rozkładanym łóżku w kącie klasy. Jego nauczycielką była ładna dziewczyna ze złotymi włosami, która powiedziała Brianowi, żeby mówił na nią „panna Słowik”.

Dopiero po południu – kiedy inne dzieci mazały kredkami woskowymi po kolorowym papierze, a Brian wypełniał swoją kartkę figurami geometrycznymi świeżo naostrzonym ołówkiem – panna Słowik oraz cała szkoła zorientowały się, że mają przed

sobą cudowne dziecko.

Po ciężkich zmaganiach z automatycznym systemem umawiania wizyt Brian zdołał zapewnić sobie spotkanie twarzą w twarz z doktorem Lumbogo. Do umówienia wizyty użył swojego zawodowego tytułu: doktor Beaver. Wiedział, że często opłaca się zaznaczyć swój status przed konsultacją. Dzięki temu ci cholerni interniści znają swoje miejsce w szeregu.

Usiadł w poczekalni i sięgnął po zniszczony numer „Lancetu”. Wciągnął go artykuł o wielkości mózgu u mężczyzny i kobiety. Podano tam przekonujący dowód na to, że męski mózg jest nieco większy. Jakaś kobieca ręka napisała na marginesie: „To dlaczego te gnojki z wielkimi mózgami nie potrafią używać szczotki toaletowej?”.

– Nienormalna feministka – mruknął do siebie.

Starszawy sikh poklepał Briana po ramieniu i powiedział:

– Panie doktorze? Pana kolej, już czas.

Przez ułamek sekundy Brian myślał, że ten mądrze wyglądający człowiek przewiduje jego rychłą śmierć. Niemniej po chwili zobaczył, że na wyświetlaczu nad rejestracją pojawił się czerwony napis „Dr Bee”¹³.

– Pewnie nie macie tych świecących głupot w Pakistanie?

– Nie wiem – odparł człowiek w turbanie. – Nigdy tam nie byłem.

Doktor Lumbogo spojrział pobieżnie na Briana, kiedy ten wchodził przez drzwi.

– Proszę usiąść, doktorze Bee.

– Nazywam się doktor Beaver. Wasz system musiał...

– Jak mogę panu pomóc?

– Chodzi o moją żonę. Leży w łóżku i powiedziała, że ma zamiar zostać tam przez rok.

– Tak – odparł lekarz. – Mój kolega, doktor Bridges, już sprawdzał stan zdrowia pańskiej żony. Wyniki badań mówią, że jest w znakomitej kondycji.

– Nic o tym nie wiem. Mówimy o tej samej kobiecie?

– Och, tak – przytaknął doktor Lumbogo. – Uznał, że pańska

żona ma się kwitnąco i...

– Ale ona nie jest zdrowa psychicznie, doktorze! Zaczęła przygotowywać nasze kolacje owinięta w ręcznik! Na każde święta Bożego Narodzenia kupuję jej fartuszek, więc dlaczego...?

Doktor Lumbogo przerwał.

– Zatrzymajmy się tutaj i przyjrzyjmy dokładniej sprawie tego ręcznika. Proszę mi powiedzieć, doktorze Bee, kiedy to się zaczęło?

– Po raz pierwszy zwróciłem na to uwagę rok temu.

– A pamięta pan, doktorze Bee, co wtedy gotowała?

Brian się zastanowił.

– Nie wiem. Coś brązowego. Bulgotało w rondelku.

– A późniejsze przypadki noszenia ręcznika? Pamięta pan, jakie przygotowywała wtedy jedzenie?

– Jestem prawie pewien, że coś z kuchni włoskiej albo indyjskiej.

Doktor Lumbogo pochylił się nad biurkiem i wycelował w Briana palec wskazujący, tak jakby mierzył do niego z broni i oświadczył:

– Ha! Żadnej sałaty!

– Tak – zgodził się Brian. – Żadnej sałaty.

Doktor Lumbogo się zaśmiał.

– Pańska żona boi się pochłapać, doktorze Bee. Fartuszki od pana nie spełniają jej potrzeb. – Dramatycznie zniżył głos. – Nie powinienem łamać poufności, ale moja własna matka piecze chleb naan, nosząc stary worek po mące. Kobiety to przedziwne stworzenia, doktorze Bee.

– Są jeszcze inne rzeczy – powiedział Brian. – Płacze w czasie wiadomości w telewizji: trzęsienia ziemi, powodzie, głodujące dzieci, emeryci, których pobito dla oszczędności ich życia. Kiedy pewnego razu wróciłem z pracy, łkała nad pożarem domu w Nottingham!

– Jakież ofiary śmiertelne?

– Dwie – odpowiedział. – Dzieci. Ale matce, oczywiście samotnej, została jeszcze trójka! – Brian walczył ze sobą, żeby się

nie rozplakać. – Ona potrzebuje jakiejś chemii. Jej emocje skaczą w górę i w dół. Cały dom jest wywrócony do góry nogami. Nie ma niczego w lodówce, w koszu na pranie brakuje już miejsca. Ona mnie nawet poprosiła, żebym pozbywał się jej nieczystości.

– Jest pan bardzo wzburzony, doktorze Bee.

Brian zaczął płakać.

– Zawsze tam była, w kuchni. Jej potrawy były takie pyszne. Ślinka ciekła mi do ust, kiedy tylko wysiadałem z samochodu.

Zapach musiał dobiegać przez szparę pod frontowymi drzwiami.

Sięgnął po chusteczkę z pudełka, które doktor pchnął w jego stronę, i wytarł nią oczy i nos.

Lekarz czekał, aż Brian weźmie się w garść.

– Przepraszam, że się rozkleiłem – powiedział Brian, gdy już się uspokoił. – W pracy żyję pod ogromną presją. Jeden z moich kolegów napisał artykuł kwestionujący statystyczną wartość mojej pracy o marsjańskiej górze Olimp.

– Doktorze Bee – zapytał doktor Lumbogo – brał pan kiedyś cipralex?

Po czym sięgnął po bloczek recept.

Okręgowa pielęgniarka, czterdziestodwuletnia Jeanette Spears, była pełna dezaprobaty, kiedy doktor Lumbogo poprosił ją o wizytę u zdrowej kobiety, która nie chciała wstać z łóżka.

Gdy przejeżdżała swoim fiatem przez szacowną dzielnicę, w której mieszkała Eva Beaver, niewielka łza uzalania się nad sobą zamgliła jej okulary, które wyglądały tak, jakby przepisał je optyk sympatyzujący z nazistowską estetyką. Siostra Spears nie pozwalała sobie na kobiece upiększenia – nie istniało nic, co mogłoby umilić trudne życie, jakie dla siebie wybrała. Myśl o zdrowej kobiecie byczącej się w łóżku sprawiała, że robiło się jej niedobrze. Naprawdę niedobrze.

Jeanette wstawiała, brała prysznic, wkładała pielęgniarski fartuch, ścieliła łóżko, toaletę przemywała domestosem i o siódmej rano była gotowa do wyjścia. Jeśli zdarzało się to choć odrobinę później, wpadała w panikę – ale, rozsądnie, w strategicznych miejscach trzymała brązowe papierowe torby i po kilku wdechach i wydechach znów czuła się w porządku.

Pani Beaver była jej ostatnią pacjentką. Poranek nie należał do najłatwiejszych: pan Kelly z dotkliwie owrzodzonymi nogami błagał ją o jakieś silniejsze leki przeciwbólowe, ale – co powtarzała mu za każdym razem – nie mogła dać mu morfiny. Istniało oczywiste niebezpieczeństwo, że się uzależni.

Córka pana Kelly’ego krzyczała:

– Tata ma dziewięćdziesiąt dwa lata! Myśli pani, że skończy na squacie, wstrzykując sobie heroinę w pierdolone gałki oczne?

Jeanette zatrzasnęła swój pielęgniarski kuferek i opuściła dom Kellych bez zmienienia starszemu panu opatrunku. Nikt nie będzie do niej przeklinał ani nie zamierza wysłuchiwać, jak krewni pacjentów doradzają jej, w jaki sposób ma wykonywać swoje obowiązki.

Używała najmniej środków łagodzących ból ze wszystkich

pielęgniarek okręgowych w kraju. Miała to na piśmie. Była z tego niezmiernie dumna. Niemniej nie mogła pozbyć się myśli, że powinna odbyć się ceremonia, podczas której jakiś VIP z Regionalnej Komisji Zdrowia wręczyłby jej medal albo puchar – w końcu przez te wszystkie lata zaoszczędziła dla nich ogromne sumy pieniędzy.

Podjechała pod dom Evy i przez chwilę siedziała w samochodzie. Wiele potrafiła powiedzieć o pacjencie po tym, jak wyglądało jego otoczenie. Wisząca donica pełna kwitnących kwiatów zawsze dodaje otuchy.

Na werandzie Evy nie było żadnej donicy z kwiatami. Dostrzegła jednak karmnik dla ptaków i plamy odchodów na czarno-białych kafelkach. Na schodach stały nieopłukane butelki po mleku. Pudełka po pizzy i chińskim jedzeniu na wynos zostały zamiecione wraz z liśćmi jaworu do kąta. Wycieraczki z włókna kokosowego nie trzepano od dłuższego czasu. Doniczki z terakoty ktoś używał jako popielniczki.

Ku zniesmaczeniu siostry Spears drzwi frontowe były uchylone. Wytarła mosięzną klamkę jedną ze swoich antybakteryjnych chusteczek, które zawsze nosiła w kieszeni. Na piętrze rozlegał się śmiech kobiety i mężczyzny. Popchnęła drzwi i weszła. Wspięła się na schody i skierowała tam, skąd dobiegał śmiech. Siostra Spears nie pamiętała, kiedy ostatni raz śmiała się na głos. Drzwi do sypialni nie były zamknięte, więc zapukała i weszła do środka.

W łóżku leżała wytworna kobieta, miała na sobie szarą jedwabną koszulkę, a jej usta były pomalowane bladą różową szminką. Trzymała na kolanach bombonierkę. Na łóżku siedział młody mężczyzna. Żuł.

– Nazywam się Jeanette Spears – przedstawiła się. – Jestem lokalną pielęgniarką. Doktor Lumbogo prosił, żebym się zjawiała. Pani jest panią Beaver?

Eva przytaknęła. Starła się językiem odkleić kawałek toffi, który przylgnął jej do zęba mądrości.

Mężczyzna wstał.

– Jestem czyścicielem okien – powiedział.
– Nie widzę żadnej drabiny, wiadra ani irchy – prychnęła Jeanette.

– Teraz akurat nie pracuję – odparł nie bez kłopotów, on także walczył z toffi. – Wpadłem odwiedzić Evę.

– I wręczyć jej w prezencie słodycze, rozumiem – powiedziała siostra Spears.

– Dziękuję, że pani przyszła, ale nie jestem chora.

– Przeszła pani szkolenie medyczne?

– Nie – odpowiedziała Eva, która domyśliła się, dokąd zmierza ta rozmowa. – Ale jestem w pełni kompetentna, aby wypowiadać się na temat swojego ciała. Studiowałam je przez pięćdziesiąt lat.

Siostra Spears wiedziała, że nie dogada się z żadnym z domowników. Ktokolwiek wystawia przed drzwi brudne butelki po mleku, musi być potworem.

– Mam zanotowane, że zamierza pani spędzić w łóżku co najmniej rok.

Eva nie potrafiła odwrócić wzroku od siostry Spears, która była zapięta pod samą szyję, opasana, tak czysta, że aż lśniła, i wyglądała jak pomarszczone dziecko w szkolnym mundurku.

– To ja się zbieram. Dzięki, że mnie wysłuchałaś, Evo. Wpadnę jutro. Wiem, że tu będziesz – powiedział Peter i się roześmiał.

Kiedy sobie poszedł, siostra Spears rozpięła swój niebieski płaszczyk z gabardyny.

– Chciałabym panią przebadać pod kątem odleżyn.

– Nie mam odleżyn. Smaruję się kremem dwa razy dziennie.

– Jakiego kremu pani używa?

– Mleczka do ciała Chanel.

Siostra Spears z trudem ukryła pogardę w głosie.

– No cóż, jeśli chce pani wyrzucać pieniądze na takie ekstrawagancje, proszę bardzo.

– Tak zrobię – odparła Eva. – Dziękuję.

W siostrze Spears było coś, co niepokoiło Evę. Usiadła

prosto na łóżku i postarała się wyglądać wesoło.

– Nie jestem chora – powtórzyła.

– Fizycznie może nie, ale musi się z panią dziać coś złego. To z całą pewnością nie jest *normalne*, żeby chcieć zostać w łóżku przez rok i żuć toffi, prawda?

Eva kilka razy przeżuła swoją czekoladkę.

– Proszę mi wybaczyć brak manier. Może się pani poczęstuje? – Wyciągnęła w jej stronę bombonierkę.

Siostra Spears zawahała się, po czym powiedziała:

– Może taką malutką.

Po badaniu fizycznym – podczas którego siostra zjadła jeszcze dwie całkiem sporych rozmiarów czekoladki (to było nieprofesjonalne z jej strony, ale wyroby cukiernicze zawsze ją uspokajały) – zajęła się oceną zdrowia psychicznego.

– Jaki mamy dziś dzień? – zapytała.

Eva zamyśliła się na moment, po czym przyznała, że nie wie.

– A jaki miesiąc?

– Mamy wciąż wrzesień? Czy już jest październik?

– Mija trzeci tydzień października – powiedziała siostra Spears. Następnie zapytała Evę, czy wie, jak się nazywa premier obecnego rządu.

Eva znów się zawahała.

– Cameron...? A może Cameron i Clegg?

– Czyli nie jest pani pewna, kto jest premierem?

– Stawiam na Camerona.

– Zawahała się pani dwukrotnie, pani Beaver. Jest pani świadoma bieżących wydarzeń?

Eva odpowiedziała, że zawsze ciekawiła ją polityka i często oglądała kanał parlamentarny podczas porannego prasowania. Wściekała się, kiedy apatyczni ludzie, którzy nie chodzili na wybory, utrzymywali, że wszyscy politycy angażowali się w politykę „tylko po to, by coś z tego mieć”. W myślach pouczała ich w kwestii znaczenia procesów demokratycznych i podkreślała długą oraz tragiczną historię walki o powszechne prawa wyborcze – mówiąc im, zupełnie błędnie zresztą, że koń wyścigowy zginął

za prawo do głosowania¹⁴.

Niemniej od czasu Iraku Eva głośno potępiała klasę polityczną. Jej język w tej materii nie znał umiaru. Politycy okazali się „kłamcami, oszustami, podżegaczami i draniami”.

– Pani Beaver – odezwała się siostra Spears. – Obawiam się, że należę do grona pogardzanych przez panią apolitycznych niegłosujących. A teraz chciałabym pobrać pani próbkę krwi dla doktora Lumbogo.

Zawiązała jej na przedramieniu opaskę uciskową i wyjęła sporej wielkości strzykawkę. Eva spojrzała na igłę. Ostatni raz igłę tej wielkości widziała na filmie dokumentalnym, gdy usypiano nią hipopotama w Botswanie.

– Proszę mocno zacisnąć – powiedziała siostra Spears.

Wtedy niewielki telefon komórkowy, który siostra Spears nosiła w którymś miejscu jej dopiętego fartucha, zawibrował. Kiedy tylko zobaczyła wyświetlający się numer pana Kelly’ego, zirytowała się. Ściągając krew z Ewy, drugą ręką odebrała połączenie, wciskając przycisk głośnika.

Pierwszym dźwiękiem, który Eva usłyszała, był krzyk człowieka jakby żywcem obdzieranego ze skóry.

Następnie do słuchawki wrzasnęła kobieta:

– Spears? Jeśli nie zjawi się tu pani za pięć minut z odpowiednią ilością morfiny, żeby ukoić ból tatusia, przyłożę mu poduszkę do twarzy! Zabiję go!

Siostra Spears odpowiedziała całkiem spokojnie:

– Pani ojciec dostał właściwą dawkę Tramadolu jak na swój wiek i stan zdrowia. Jakikolwiek ilości opiatów mogłyby poskutkować zatruciem, śpiączką i śmiercią.

– O to nam właśnie chodzi! – wrzeszczała kobieta. – Chcemy, żeby miał już z tym spokój. Chcemy, żeby umarł!

– To byłoby ojcobójstwo i trafiłaby pani do więzienia. A ja mam przy sobie świadka.

Siostra Spears spojrzała na Ewę i czekała, aż ta pokiwa głową.

Eva pochyliła się nad telefonem i krzyknęła:

– Niech pani dzwoni po karetkę! Niech go zabiorą na ostry dyżur. Opanują jego ból i spytają siostrę Spears, dlaczego zostawiła pacjenta cierpiącego takie katusze.

Wycia pana Kelly’ego nie dało się znieść.

Serce Evy waliło jak nakręcany werblista.

Siostra Spears głębiej wepchnęła igłę w ramię Evy, wyrwała ją i w tym samym czasie przerwała połączenie.

Eva wrzasnęła z bólu.

– Może sobie pani napytać biedy. Dlaczego nie da mu pani tego, czego potrzebuje?

– Proszę mieć pretensje do Harolda Shipmana. Za pomocą morfiny zabił ponad dwustu pacjentów. My, profesjonaliści, musimy być dzisiaj ostrożni.

– Nie zniosłabym tego.

– A mnie za to płacą – odparła siostra Spears.

Przez kolejnych kilka dni Alexander miał okazję wielokrotnie widywać Evę. Pomiędzy innymi zleceniami prznosił radio, telewizor, szafki nocne, telefon, obrazy z morskimi landszaftami, model Układu Słonecznego, ale z brakującym Jowiszem, oraz na końcu regał Billy, który Eva kupiła w Ikei.

Miał taki sam w domu, tyle że książki nie mogłyby się różnić bardziej.

Na księgozbiór Alexandra składały się głównie ciężkie tomy wielkości tacki na herbatę, w nieskazitelnym stanie, dotyczące sztuki, architektury, rysunku i fotografii. Ich łączna waga była tak duża, że szafa musiała zostać przytwierdzona do ściany długimi kołkami rozporowymi. Książki Evy to przede wszystkim angielska, irlandzka, amerykańska, rosyjska i francuska klasyka powieści. Część z nich była tanimi i ledwie trzymającymi się kupy wydaniem kieszonkowymi, część stanowiły pierwsze wydania folio. *Pani Bovary* stała blisko *Toma Jonesa*, *Przypomnij się, Króliku* zaś obok *Idioty*. Biedną, prostą *Jane Eyre* ściskali między sobą *David Copperfield* i *Jim Szcześciarz*. *Mała księżniczka* brała się za bary z *Córką proboszcza*.

– Wiele z nich mam od czasów nastoletnich – powiedziała. – Większość edycji Penguina kupiłam na targu w Leicester.

– Chcesz je oczywiście zatrzymać, prawda? – spytał Alexander.

– Nie.

– Nie możesz się ich pozbyć.

– Przygarniesz je? – zapytała tak, jakby książki były sierotami, które potrzebują domu.

– Z przyjemnością wezmę książki, ale nie mogę zapewnić dachu nad głową kolejnemu regałowi. Mieszkam w naparstku – odpowiedział. – Ale co z Brianem i dziećmi? Nie będą ich chcieli?

– Nie, to liczbowi ludzie, nie ufają słowom. Więc jak,

zabierzesz książki do siebie?

– Taa, tak właśnie zrobię.

– A skłamięś dla mnie i powiesz, że je przeczytasz? Książki muszą być czytane. Trzeba odwracać strony.

– Ej, człowieku, ty kochasz te książki. Dlaczego je oddajesz?

– Od chwili, kiedy nauczyłam się czytać, traktowałam je jako swego rodzaju środek znieczulający. Nie pamiętam wiele z czasu, kiedy bliźniaki się urodziły, poza książką, którą wtedy czytałam.

– A co czytałaś?

– *Morze, morze*. To było ekscytujące mieć w ramionach dwoje dzieci, ale... pewnie pomyślisz, że to okropne, po jakichś dwudziestu minutach chciałam wrócić do lektury.

Roześmiali się z tego lekceważenia instynktów macierzyńskich.

Eva zapytała Alexandra, czy nie mógłby zawieźć regału Brienne do Leeds. Posortowała swoją biżuterię i odłożyła na bok wartościowe rzeczy – pierścionek z brylantem, który dostała od Briana z okazji ich dziesiątej rocznicy ślubu, kilka ośmiokaratowych złotych łańcuszków, trzy wąskie srebrne bransoletki, naszyjnik z pereł z Majorki oraz platynowe kolczyki w kształcie wachlarza ze zwisającymi czarnymi onyksami, które kupiła sobie sama. Następnie napisała liścik na wyrwanej z notatnika Alexandra kartce.

Moja kochana dziewczynko,

jak widzisz, przesyłam Ci rodzinną biżuterię. Nie będę jej już używać. Złoto ma osiemnaście karatów, a to coś, co wygląda na srebro, jest platyną. Być może nie jest w Twoim guście, ale proszę, zatrzymaj je. Wiem, że przysięgałaś, iż nigdy nie wyjdiesz za mąż ani że nie będziesz miała dzieci, ale może pewnego dnia zmienisz zdanie. Kiedyś może będziesz miała córkę, której sprawi przyjemność noszenie którejś z tych rzeczy. Powiedz Brianowi Juniorowi, że wyślę mu coś o podobnej wartości. Byłoby miło, gdybyś się odezwała.

Twoja kochająca

Mama

PS Perły są prawdziwe, brylanty zaś zostały oszlifowane w Antwerpii (mają barwę D – najlepszą – i pozbawione są inkluzji). Proszę Cię zatem, gdybyś z jakiegoś powodu chciała je sprzedać albo zastawić, nie rób tego bez konsultacji ze mną w sprawie ich wartości.

PPS Sugerowałabym Ci przechowanie ich w skrytce bankowej. Załączam czek na pokrycie Twoich wydatków.

Evie wciąż pozostała dość spora liczba różnych rzeczy. Pod łóżkiem leżały cztery szuflady, a w nich:

torebka Chanel z uchwytem w postaci złotego łańcucha

lornetka

trzy zegarki

połączana puderniczka

trzy wieczorowe torebki

srebrna papierośnica

zapalniczka Dunhilla

kawałek gipsu z odcisniętymi dłońmi i stopami bliźniaków

stoper

certyfikat zaświadczający, że Eva skończyła kurs pierwszej pomocy

rakieta tenisowa

pięć latarek

mały, choć ciężki posążek Lenina

popielniczka z Blackpool (model z wieżą)

sterta kartek walentynkowych od Briana.

Na jednej napisał:

Będę Cię kochał aż po świata kres,

Brian.

PS Świat najprawdopodobniej skończy się za pięć miliardów lat (Słońce, będące w ciągu głównym, stanie się czerwonym olbrzymem).

Były tam jeszcze:
szwajcarski scyzoryk z czterdziestoma siedmioma narzędziami (używana tylko pęseta)
jedwabna błękitna apaszka od Hermèsa z wizerunkiem konia
pięć par markowych okularów przeciwsłonecznych (każda w etui)

trzy zegarki podróżne
terminarze

albumy na wycinki
albumy na zdjęcia
dwie książki dla dzieci.

Alexander zapowiedział, że jutro zdejmie dywan i zacznie malowanie. Zanim wyszedł z pokoju, zapytał:

– Jadłaś coś dzisiaj?

Eva przecząco pokręciła głową.

– Jak on może wychodzić do pracy i zostawiać cię głodną?

– To nie jest wina Briana. Jadamy o różnych porach.

Eva bywała bardzo krytyczna w stosunku do Briana, ale nie lubiła, gdy krytykowali go inni ludzie.

Alexander zszedł do kuchni i znalazł banana, pół paczki krakersów oraz pięć niewielkich trójkącików serka topionego. Znalazł także butelkę i napełnił ją napojem czekoladowym.

Kiedy Brian wrócił do domu z pracy, Alexander zmywał kubki, z których wraz z Evą korzystał w ciągu całego dnia. Patrzył, jak mąż Evy przedziera się przez stosy czarnych worków i pudeł leżące na podłodze.

– Zastanawiam się, czy nie prosić cię o płacenie czynszu – powiedział Brian. – Zaczynasz być stałym elementem mieszkania. Pewnie niedługo kupię ci kartkę urodzinową.

– Pracuję dla Evy, Brian.

- Och, a zatem to praca, tak? A jak ona ci płaci?
- Czeka mi.
- Czeka mi! Nikt już nie używa czeków – zadrwił Brian. – Mam nadzieję, że to całe badziewie stąd zniknie.
- Zabieram te rzeczy do organizacji charytatywnej.
- Brian się zaśmiał.
- Jeśli Evie się wydaje, że pomoże ludziom, dając im swoje stare gacie, pięknie proszę. Reszta z nas wie, że ci szefowie od „dobroczynności” jeżdżący po Mogadiszu swoimi lamborghini rzucają nędznikom i głodującym zaledwie kilka garści ryżu.
- Stary, gdybym był tobą, nienawidziłbym samego siebie. Twoje serce musi wyglądać jak te ohydne peklowane orzechy włoskie, wiesz, te sprzedawane w święta. Czaisz?
- Jestem jedną z najbardziej współczujących osób, jakie znam – powiedział Brian. – Każdego miesiąca z mojego konta ściągane jest dziesięć funtów w formie stałego zlecenia przelewu, dzięki czemu afrykańska rodzina może nakarmić i zadbać o dwa bawoły domowe. Zakładam, że już całkiem niebawem będą eksportować mozzarellę w ramach uczciwej konkurencji. A jeśli ci się wydaje, że onieśmielisz mnie, używając gwary, bardzo się mylisz. Mam kumpla o imieniu Azizi, jest Afrykaninem, ale dobry z niego koleś.
- *Ale* dobry z niego koleś? Zastanów się. Ja jestem trójjęzyczny. Gadałem w ten sposób do czasu adopcji, człowieku. Następnie powoli nauczyłem się wyrażać zwyczajnie – powiedział Alexander, używając poprawnych słów i właściwej wymowy.
- Brian spojrzał na umięśniony tors oraz napęczniałe mięśnie trójgłowe i pożałował, że nie może nosić opinającej białej koszulki. Niepokoiła go rosnąca temperatura konfrontacji. Zastanawiał się, czy mógłby powiedzieć coś nieszkodliwego.
- Nie muszę się nad tym zastanawiać, Azizi to dobry koleś. Alexander zmienił temat.
- My tu sobie gadu-gadu o mozzarelli, a kto zajmuje się karmieniem Evy?
- Eva myśli, że lud jej dostarczy. Niezwykle biblijne,

prawda? Ale zanim ten cud nastąpi, spoczywa to na barkach mojej matki, jej matki oraz mieszkającego tu prostaka.

Wrzucił na patelnię kawałek smalcu i patrzył, jak się rozpuszcza. Nie czekając zbyt długo, wrzucił dwie kromki białego pieczywa.

– Nie, człowieku! – krzyknął Alexander. – Tłuszcz się musi najpierw rozgrzać.

Brian szybko odwrócił chleb na drugą stronę i wbił jajko w szparę między kromkami. Zanim białko się ścięło, zsunął tę jajeczną katastrofę na zimny biały talerz. Jadł w kącie na stojąco.

Alexander patrzył na niego z odrazą. Każdy z jego posiłków był zdarzeniem. Należało jeść na siedząco, stół musiał być nakryty i musiały leżeć na nim odpowiednie sztuce, dzieci poniżej dziesiątego roku życia nie mogły same korzystać z butelek z sosami, a ręce zawsze miały mieć umyte. Od dzieci wymagało się, by pytały o zgodę na odejście od stołu. Wedle teorii Alexandra jedzenie przygotowywane bez miłości to złe jedzenie.

Brian rzucił się na swoją oślizgłą breję jak przymierający głodem pies. Kiedy wszystko zniknęło z talerza, wytarł usta, po czym włożył naczynie i widelec do zmywarki.

Alexander westchnął.

– Siadaj, człowieku. Usmażę to jeszcze raz. Patrz i ucz się. Brian, wciąż głodny, usiadł.

Ruby przyszła następnego dnia, niosąc w koszu z włókien rafii pranie Evy i Briana. Zostało wyprasowane i poskładane tak nienagannie, że Alexander, który zjawił się dziesięć minut wcześniej, by zdjąć dywan w sypialni Evy, wzruszył się niemal do łez na wyobrażenie trudu, który w to włożyła.

Kiedy zapytała, czy dzieci są w szkole, ledwie wydusił z siebie odpowiedź.

Pierwszych dziesięć lat swojego życia spędził w brudzie i chaosie, budząc się wystarczająco wcześnie, by móc przekopać się przez sterty nieczystych ubrań zalegających na podłodze w sypialni i znaleźć coś możliwie najmniej brudnego, co wkładał na siebie przed wyjściem do szkoły. Kiedy Ruby kuśtykała na piętro, Alexander zanurzył twarz w praniu i głęboko odetchnął.

Manewrując dookoła łóżka, w którym leżała Eva, Alexander niemal stracił cierpliwość, ale powiedział tylko:

- Byłoby o wiele łatwiej, gdybyś wstała.
- Jeśli nie możesz zrobić tego sam, może poproszę Briana o pomoc, kiedy wróci z pracy?
- Nie – odparł. – Poradzę sobie.

W końcu po gorącym dopingu ze strony Evy udało mu się zwinąć dywan, związać go i wyrzucić przez okno. Zszedł na dół i przyczepił do niego kartkę z napisem: „Proszę się nie krępować”.

Zanim zdążył przygotować herbatę, tosty i wynieść przed drzwi pustą butelkę po mleku, dywanu już nie było. Na odwrocie jego kartki ktoś napisał długopisem: „Bardzo dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy”.

W czasie kiedy Alexander piaskował stary parkiet, Eva klęczała na łóżku i wyglądała przez okno. Nałożyła maseczkę na twarz, która wkrótce przyczyniła się do plotek w okolicy – rozsianych przez panią Barthi, żonę sklepikarza – że Brian zaraził swoją żonę jakimś rodzajem księżycowej bakterii i że odpowiednie

władze zamknęły ją w jej sypialni.

Później tego samego dnia Brian zdziwił się, gdy nagle przerzedziła się przed nim kolejka w sklepiku.

Pan Barthi zasłonił nos chusteczką i powiedział:

– Proszę pana, nie powinien pan rozsiewać niezdrowych księżycowych zarazków w naszej społeczności.

Brian tak długo wyjaśniał panu Barthiemu, co się dzieje w jego domu, że sklepikarz się znudził i czekał tylko, aż brodaty klient opuści jego przybytek. Ale wtedy, ku jego największemu przerażeniu, doktor Beaver zrobił przydługawy wykład na temat braku zarazków na Księżycu, który w jakiś sposób podryfował w kierunku monologu na temat niedostatku atmosfery tego satelity.

W końcu, mimo wielu wskazówek, do których zaliczały się między innymi głębokie ziewnięcia prosto w twarz Briana, pan Barthi zamknął sklep wcześniej.

– Tylko tak mogłem się go pozbyć – powiedział swojej żonie.

Ta z kolei odwróciła plakietkę z napisem „Otwarte” w stronę ulicy i spytała:

– Dlaczego twoja twarz jest mokra od łez, tłusty tępaku?

– Wiem, że będziesz ze mnie kpić, Sito, ale popłakałem się z nudy. Jeśli zjawi się następnym razem, ty go możesz obsłużyć.

Później Brian poszedł do rzeźnika, gdzie kupił rumszyk dla siebie i osiem małych wieprzowych kiełbasek dla Evy. Dostrzegł, że w sklepiku znów pali się światło. Przeszedł przez ulicę i podążył w tamtym kierunku. Pan Barthi zobaczył zbliżającego się Briana i zdążył odwrócić plakietkę oraz zasunąć rygiel.

Brian walił w drzwi i krzyczał:

– Panie Barthi, jest pan tam? Zapomniałem o „New Scientist”!

Pan Barthi chował się za ladą.

– Barthi! – wrzeszczał Brian przez otwór na listy. – Otwieraj drzwi! Wiem, że tam jesteś!

Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, kopnął w drzwi, po czym odwrócił się i bez swojego magazynu poszedł do domu stawić czoło chaosowi.

Pan Barthi odważył się wychylić dopiero po pięciu minutach. Wieczorem Brian powiedział Evie, że na przyszłość zaprenumeruje swoje naukowe gazety, żeby przychodziły bezpośrednio do domu.

– Barthiemu pomieszało się w głowie. Ziewał mi w twarz, a potem zaczął płakać. Nie zasługuje na nasz mecenat.

Eva przytaknęła, choć nie słuchała. Rozmyślała o Brianie Juniorze i Brianne.

Bliźniaki wiedziały, że ona już nigdy nie odbierze telefonu, ale istniały inne sposoby komunikacji.

Ho siedział w swoim pokoju i pisał list do swoich rodziców. Używał papeterii i pióra. Takich wieści nie mógł im wysłać e-mailem, musiał ich nieco przygotować – kiedy zobaczą ręcznie pisany list, przekonają się, że ma im coś ważnego do powiedzenia. Pisał tak:

Najdrożsi Matko i Ojczy,

byliście cudownymi rodzicami. Szanuję Was i kocham. Boli mnie, że muszę Wam powiedzieć, iż nie okazałem się dobrym synem.

Zakochałem się w angielskiej dziewczynie o imieniu Poppy. Oddałem jej swoją miłość, swoje ciało i wszystko, co posiadam, także pieniądze, które z takim trudem zarobiliście w fabryce butów, abym mógł wyjechać na angielski uniwersytet.

Rodzice Poppy leżą w szpitalu na intensywnej terapii w mieście o nazwie Dundee. Wydała wszystkie pieniądze, dawałem więc jej swoje, aż nie zostało mi nic. Wczoraj zapytałem ją, kiedy będzie mi mogła oddać pieniądze, ona zaś zaczęła płakać i powiedziała: „Nigdy”.

Matko i Ojczy, nie wiem, co robić. Nie mogę bez niej żyć. Proszę, nie oceniajcie jej zbyt surowo. Rodzice Poppy są bogatymi i wpływowymi ludźmi, którzy rozbili się swoim niewielkim

samolotem o białe klify w Dover. Oboje są w śpiączce. Poppy mówi, że lekarze w Anglii są zdeprawowani, tak samo jak u nas. I będą utrzymywać jej rodziców przy życiu tylko wtedy, jeśli zostaną odpowiednio opłaceni. Jeśli nie, odłączą aparaturę.

Czy wyślecie mi więcej pieniędzy? Czy wciąż rozważacie sprzedanie mieszkania? Albo chociaż zebranie Waszych pensji?

Poppy mówi, że wysłanie międzynarodowego przekazu na nazwisko Poppy Roberts byłoby najlepszym rozwiązaniem. Proszę, pomóżcie mi, moi rodzice – jeśli stracę jej miłość, zabiję się.

Mam nadzieję, że jesteście oboje zdrowi i szczęśliwi.

Pozdrowienia od Waszego syna

Ho

Ho zszedł i wrzucił list do jednej z tych czerwonych cylindrycznych konstrukcji, na które Anglicy mówią „skrzynka”. Wracając do akademika, wpadł na Briana Juniora, który jak zwykle snuł się po chodniku i czytał książkę z równaniami oraz słuchał z empetrójki muzyki na ogromnych słuchawkach. Po ledwo słyszalnych dźwiękach Ho rozpoznał Bacha.

Brian Junior potwierdził dostrzeżenie obecności Ho za pomocą kilku szybkich mrugnięć i wymamrotania czegoś w rodzaju „cześć”.

Ho spojrział na Briana Juniora i zapragnął być równie wysoki co on i mieć równie piękną twarz. Chciałby też mieć równie grube jasne włosy, no i te zęby! I jak to możliwe, że to wytarte ubranie tak dobrze na nim leżało?

Gdyby Ho był Anglikiem, nosiłby się jak dżentelmen. Tweedy z Burberry i koszule z Savile Row. Buty od Church's. Rodzice kupili mu ubrania na okoliczność studiowania na angielskim uniwersytecie, ale to, co wybrali, okazało się takie

proletariackie. Trudno nosiło się futbolową koszulkę Manchesteru United w Leeds. Obcy ludzie zaczepiali go i obrzucali wyzwiskami. Jak to dobrze, że miał miłość Poppy.

– Brianie Juniorze. Czy mogę porozmawiać z tobą o pieniądzach? – zapytał Ho.

– Pieniądzach? – powtórzył Brian Junior, tak jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa.

Brian Junior nie spędził ani jednego dnia swojego życia na martwieniu się o pieniądze i zakładał – właściwie uznawał to za absolutnie pewne – że w przyszłości będzie wystarczająco bogaty.

– Odnoszę wrażenie, że masz pieniądze. A ja nie. Jeśli więc dasz mi trochę swoich pieniędzy, obaj będziemy szczęśliwi. Tak?

– Spoko – wymamrotał Brian Junior.

Po czym odwrócił się i poszedł w kierunku, z którego przyszedł, z twarzą płonąca ze wstydu. Nie potrafił sobie poradzić z upokorzeniem Ho.

Wieczorem ktoś zapukał do drzwi Ho.

Brian Junior przyniósł zwitek banknotów. Wręczył je chłopakowi i uciekł do swojego pokoju.

Ho przeliczył gotówkę na łóżku. Uzbierało się siedemdziesiąt funtów. Tyle co nic, nic!

Wystarczy na ryż i warzywa dla niego, ale co z Poppy?

Jak ma jej powiedzieć, że nie ma pieniędzy na przekupienie angielskich lekarzy?

Eva była oczarowana swoim pokojem całym w bieli. Alexander pracował cały dzień aż do wieczora. Pomalował sufit, ściany, drewniane wykończenia przy oknach oraz listwy podłogowe. Wszystko na biało. Poprosiła go o przesunięcie łóżka pod okno. Stamtąd mogła patrzeć na drogę oraz dalej, aż do delikatnego cienia wzgórz, na smugi wiecznie zielonych drzew i nagich gałęzi tych, które zrzucają liście.

Gdy Brian wrócił z pracy, zapach farby wciąż był przytłaczający. Przeszedł się po domu i uchylił każde okno. Otworzył drzwi do pomieszczenia, na które starał się mówić „pokój Ewy”. Na chwilę oślepiła go porażająca biel.

– Nie wchodź! Podłoga jest wciąż mokra! – krzyknęła Eva.

Prawa noga Briana zawisła nad klejącą się podłogą, ale zdołał utrzymać równowagę.

– Przepraszam – powiedziała.

– Za co przepraszasz?

– Nie chciałam podnosić głosu.

– Wydaje ci się, że jeśli kilka razy podniesiesz głos, to mnie zranisz, podczas gdy zdążyłaś już zniszczyć moje życie oraz nasze małżeństwo? – Brian krztusił się swoimi słowami.

Naszła go wizja osieroconego jelonka Bambi i niemal stracił nad sobą panowanie.

– Mam ci do powiedzenia jedną rzecz... – rzekła Eva. Już układała usta, żeby powiedzieć „To”, ale ugryzła się w język. Wiedziała, że wina za sytuację, w jakiej się znajdowali, leżała częściowo po jej stronie.

Znała Briana niemal przez trzydzieści lat. Stał się częścią jej DNA.

– Strasznie chce mi się siku – rzucił w końcu Brian.

Spojrzał tęsknie w stronę toalety, ale dzieliła go od niej mokra od farby podłoga, jak ścięta mrozem woda pomiędzy

dwiema górami lodowymi. Eva pociągnęła sznurek, za pomocą którego zgasiła górne światło, on zaś poszedł do łazienki na parterze.

Odwróciła się do okna.

Była prawie pełnia, księżyc lśnił zza szkieletu późnojesiennego jaworu.

Brian usiadł w salonie. Co się stało z tym cudownie wygodnym domem, który go kiedyś tak cieszył? Rośliny uschły, tak samo kwiaty wciąż stojące w wazonie pełnym mulistej i śmierdzącej wody. Nikt nie zapalał lamp, które niegdyś nadawały pokojowi złocistą poświatę. Nie chciało mu się ich włączać. Nie płonął ogień w kominku, a kolorowe, ozdabiane świecidełkami poduszki, które onegdaj zapewniały mu komfort podczas oglądania wieczornych wiadomości, piętrzyły się po obu stronach paleniska.

Spojrzał na rodzinną fotografię stojącą na gzymsie nad kominkiem. Została zrobiona w Disney World. Zajrzeli do Orlando po dwóch tygodniach spędzonych w Houston. Brian kupił bilety całodniowe. Zawiódł się brakiem reakcji Ewy i bliźniąt, gdy im je pokazał, udając równocześnie, że gra fanfary na trąbce.

W parku tematycznym, kiedy ogromna Myszka Miki spytała piskliwym głosem, czy nie chcą uwiecznić na zdjęciach swojej pierwszej wizyty, Brian się zgodził i dał jej ponad dwadzieścia dolarów.

Przyjęli pozy, a Brian powiedział Ewie i dzieciom: „Uśmiechnijcie się najszerzej, jak umiecie!”

Bliźniaki wyszczerzyły zęby jak przerażone szympansy, natomiast Eva patrzyła spokojnie przed siebie, zastanawiając się, jak Myszka Miki może obsługiwać aparat fotograficzny tymi wielkimi dłońmi w pseudorękawiczkach.

Po zrobieniu ostatniego zdjęcia podszedł Goofy, wlokąc stopy po rozgrzanym asfalcie. Odezwał się do Miki przez szparę pomiędzy kołkowatymi zębami:

– Stary, pierdolę, rzucam tę robotę.

– Jezu, stary! – odpowiedziała Myszka. – Co się, kurwa, stało?

– Ta cholerna dziwka, Kopciuszek, znowu kopnęła mnie w pieprzone jajca.

Brian się odezwał.

– Przepraszam bardzo! Są ze mną dzieci!

– Dzieci? – zarżał Goofy. – Jaja se ze mnie robisz! Wyglądają na stare, Angolu. I mają zęby jak spękane kamienie.

– Patrzcie, kto to mówi! Proszę spojrzeć na swoje zasrane zęby! Zaraz znajdą się na pieprzonej ziemi, jeśli nie przestanie pan obrażać moich dzieci!

Myszka Miki stanęła pomiędzy Brianem i Goofym.

– Ejże! Spokojnie! Spokojnie, to jest Disney World!

Brian wstał i przyjrzał się z bliska twarzy Ewy na zdjęciu. Dlaczego nie dostrzegł wcześniej, że wyglądała na nieszczęśliwą? Wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i przetarł ramkę, po czym odstawił ją na to samo miejsce, gdzie stała przez ostatnich sześć lat.

Dom był martwy, odkąd Eva przestała o niego dbać.

Brianne siedziała na swoim wąskim łóżku i gapiła się na przeciwległą ścianę. Alexander wyszedł przed pół-godziną, zostawiając regał i biżuterię, ale nieświadomie zabierając ze sobą nieużywane dotąd serce Brianne. Dziewczynę przepelniała najprzedziwniejsza radość.

Powiedziała na głos:

– Kocham go.

Żałowała teraz, że nie postarała się o zawarcie żadnych przyjaźni. Chciała do kogoś zadzwonić i wyznać dobre nowiny. Briana Juniora to nie zainteresuje, Poppy przeinaczyłaby informację na swoją korzyść, a jej matka by oszalała. Mogła to powiedzieć tylko jemu.

Sięgnęła po jego wizytówkę i złapała za telefon. Odebrał natychmiast oraz wbrew przepisom – jechał siedemdziesiąt pięć mil na godzinę i znajdował się na środkowym pasie drogi M1, zmierzając na południe.

– Biały pan van.

– Alexander?

– Brianne?

– Tak. Zapomniałam ci podziękować za przywiezienie rzeczy mamy. To bardzo miłe z twojej strony.

– To żadna uprzejmość. Taką mam pracę, Brianne. Płacą mi za to.

– Gdzie jesteś?

– Właśnie wjechałem na autostradę. Utknąłem między dwiema ciężarówkami. Jeśli ta przede mną zahamuje, zostanie ze mnie pulpa.

– Alexandrze! – zawołała. – Musisz natychmiast wyłączyć telefon!

Wyobraziła sobie jego zmiażdżone ciało na auto-stradzie otoczone karetkami. Wyraźnie widziała krążący helikopter, którym

miano go przetransportować na jakiś ostry dyżur.

– Będziesz o siebie dbał, prawda? – powiedziała. – Twoje życie jest niezwykle cenne.

Zrobił, jak prosiła, i wyłączył telefon. Nie zdawał sobie sprawy, ile w tej dziewczynie siedzi emocji – prawie ich nie okazała, gdy wręczył jej biżuterię matki.

Brianne wyszła na zewnątrz i zaczęła szybko spacerować tam i z powrotem przed akademikiem. Była zimna noc i nie ubrała się odpowiednio, ale miała to w nosie. Cud miłości złagodził rysy jej twarzy i wzmocnił kręgosłup.

Jak mogła tak długo żyć i nie wiedzieć nic o jego istnieniu?

No i te wszystkie miłosne kity, którymi niegdyś gardziła: serduszka, piosenki, ciebie / w niebie, kwiaty. *Chciała*, żeby jej podarował białego misia trzymającego plastikową różę. Aż do dzisiejszego dnia faceci latali jej wokół tyłka, zresztą i tak większość z nich okazywała się zepsutymi gówniarzami. Ale on – on wart był uwielbienia.

Wyglądał jak czarny książę.

Nigdy żadnemu mężczyźnie nie pozwoliła dotknąć swoich piersi ani, jak je nazywała, swoich miejsc niesfornych. Kiedy łąziła na mrozie, czuła, że jej ciało się rozpuszcza, rozpływa. Tęskniła za nim. Bez niego czuła się niekompletna.

Poppy wyjrzała przez okno i zdziwił ją widok spacerującej w tę i w tę Brianne w samej piżamie. Wy-dostające się z jej ust kłęby pary wyglądały jak ektoplazma. Zapukała w szybę i zobaczyła, jak Brianne unosi głowę, macha i się uśmiecha. Poppy zastanawiała się, jakich prochów się nałykała. Zarzuciła na siebie czerwone jedwabne kimono, które zwędziła w sklepie z ubraniami, i zbiegła ze schodów.

Do Dnia Guya Fawkesa¹⁵ brakowało jeszcze doby, ale kilka fajerwerków zostało już wystrzelonych, kiedy Brian i Titania dołączyli do pospiesznie zwołanego zebrania pracowników Narodowego Centrum Kosmicznego.

Mąż Titanii, Guy Noble, zwany przez przyjaciół Gorylem, napisał do profesora Brady'ego skargę, że jego żona ma „dziki romans w pracy z tym bufonem, doktorem Brianem Beaverem”. Titania przyznała się do uprawiania seksu w pomieszczeniu czystym¹⁶, w którym trzymano sondę księżycową nowej generacji. Ochrzczono ją Piechurą na Księżycu. Na cześć głównego sponsora, lokalnej wytwórni frytek.

Na zebraniu stawili się wszyscy, włączając sprzątaczkę, ekipę remontową oraz konserwatora zieleni. Mieściło się to w filozofii zarządzania profesora Brady'ego (znanego także jako Skórzane Gacie), dla którego zespół miał być „zwarty”. Zwołano ich do planetarium, co dodawało epickiej uniwersalności ich rozmowie.

– Nie obchodzi mnie, kogo pan dyma, doktorze Beaver – odezwał się Skórzane Gacie. – Rzecz w tym, że postanowił pan to zrobić w pomieszczeniu czystym. Mógł pan skazić atmosferę, zniszczyć sprzęt i storpedować cały projekt oraz nieodwracalnie skałać powierzchnię Księżycyca.

– A czy tak się stało? – zapytał Brian wyzywająco.

– Nie, odczyty są w porządku – odparł Skórzane Gacie. – Ale potrzebowaliśmy trzydziestu sześciu roboczogodzin, żeby to zweryfikować. Marnując czas, którego nie mamy. Grafiki możemy wyrzucić do kosza.

Titania, która kryła się za długą grzywką swoich czerwonych włosów, podniosła rękę.

– Chciałbym tylko coś powiedzieć w swojej obronie, mogę? Seks był faktycznie „dziki”, ale ryzyko zminimalizowane. Oboje mieliśmy na sobie sterylne kombinezony, a wszystko nie trwało

dłużej niż dziewięćdziesiąt sekund.

Koledzy zaśmiali się i spojrzeli na Briana.

Na jego szyi i głowie zapulsowało kilka żył.

– Tak, mówimy o szybkim zaliczeniu – natychmiast zripostował.

Rozejrzał się, mając nadzieję, że towarzystwo doceni dowcip.

Kilka osób gwałtownie wciągnęło powietrze, a jedna ze sprzątaczek ścisnęła dłoń Titanii.

Brian kontynuował, nie zdając sobie sprawy, że właśnie zgłosił się na ochotnika do kopania własnego grobu.

– Słowo „nabrzmiały” lepiej określa naturę naszego romansu.

Jedna z pracownic biurowych ruszyła w kierunku wyjścia, przyciskając sobie do ust chusteczkę.

– No dobra, ludzie, spuśćmy z tonu – powiedział Skórzane Gacie. – Jesteśmy profesjonalistami, tak? Nawet sprzątaczkę, prawda?

Uśmiechnął się w ich kierunku, żeby pokazać, jak bardzo docenia ich pracę.

Titania załkała.

– Seks z Gorylem trochę mi spowszedniał, ale kiedy troszczył się o moją lechtaczkę, oboje mieliśmy z tego radość.

Zapadła głucha cisza. Sprzątaczkę puściła rękę Titanii.

– Sam lubię eksperymentować – szepnął jeden technik do drugiego – ale nie pakuję się w zoofilię. To brzmi cholernie niebezpiecznie.

Titanię zdziwiła pogarda, którą publicznie okazał jej Brian. Przeczesała grzywkę w ten sposób, aby zakryła zmarszczki na jej czole, i zaczęła w torebce szukać szminki, która jej zdaniem miała ją odmładzać o dziesięć lat.

W końcu przemówiła głosem bliskim załamania:

– Tak czy siak, Brian, kiedy uprawiamy miłość, jest ona często dzika. – Powiodła wzrokiem po zebranych, po czym wyznała: – Na przykład w zeszłym tygodniu pieścił moje sutki grzebieniem swojej żony i krzyczał, że jestem świńską dziwką, i

chciał mnie ukarać, przywiązując do ogromnego teleskopu, żeby profesor Brady wziął mnie od tyłu.

Brian podskoczył i wrzasnął.

– Wcale nie od tyłu! Nie powiedziałem, że od tyłu!

Wayne Tonkin, konserwator zieleni, zaśmiał się głośno.

– Słuchaj no, Beaver – odezwał się gniewnie profesor Brady.

– Nie mieszaj mnie pan w swoje chore fantazje!

Titania rozejrzała się i powiedziała:

– Od jakiegoś czasu używa już tylko pana.

Kilku kolegów Briana było oburzonych, ale większość w skrytości ducha odetchnęła z ulgą.

Profesor Brady miał dylemat. Czy mógł zawiesić albo w jakikolwiek sposób ukarać doktora Beavera za traktowanie kolegów jako obiektów seksualnej stymulacji? Czy fantazje seksualne da się podciągnąć pod „molestowanie seksualne w miejscu pracy”? Czy w ich umowach dało się znaleźć coś, dzięki czemu mogliby udowodnić, że zostali wykorzystani przez myśli Beavera?

Pani Hordern wygładziła swój fartuch i powiedziała:

– Żal mi jego biednej żony. Jestem pewna, że nadal szuka swojego grzebienia.

– Proszę nie marnować czasu na współczucie dla Ewy Beaver, pani Hordern – odezwała się Titania. – Pierdzi w kołdrę! Nie wstaje z łóżka! Brian musi codziennie sam sobie gotować.

Skórzane Gacie zainterweniował.

– Słuchajcie, ludzie, to nam nie pomaga w przyspieszaniu naszej sprawy. Powinniśmy skupić myśli na zbliżającym się wystrzeleniu Piechura.

– Tia – odezwał się Wayne Tonkin. – A ile pierdolonych miliardów funciaków wydajesz pan na kolejną gównianą próbę kopsnięcia się na Księżyc, co? Nie słyszałeś pan? Jankesi już tam byli w sześćdziesiątym dziewiątym. A ja muszę się kopać z gównianą kosiarką do trawy, która nie działa.

Skórzane Gacie raz na jakiś czas żałował swojej „zwartej” polityki. To był właśnie ten moment.

Inżynierowie lotu – radykalna, kłopotliwa grupa – skorzystali z okazji i podjęli wcześniejszą rozmowę techniczną na temat prędkości. Przez pomieszczenie przewalały się frazy takie jak „regresywna orbita eliptyczna” czy „budżet delta-v”.

Skórzane Gacie starał się ich przekrzyczeć.

– Hej, ludzie!

Ale żaden głos nie był głośniejszy ani donośniejszy niż ten należący do Wayne’a Tonkina, który w lokalnym barze Pod Psem i Kompasem śpiewał covery Barry’ego White’a. Powodował drżenie makiety nieba nad ich głowami.

– Łapy w górę, kto woli nową supernowoczesną kosiare, na której można usadzić dupę?

Projekt przeszedł niemal jednomyślnie.

Titania wyszła jako pierwsza wraz z grupą sympatyzujących z nią kobiet. Brian opuścił pokój samotnie.

Bał się, że straci pracę. Chodziły słuchy, że szykują się jakieś cięcia personalne, a on miał szanse pół na pół w tej grze młodych. W wiedzy Briana zaczęły pojawiać się luki. Czuł, że ten pociąg z orkiestrą młodszych od niego odjeżdża oraz że jakkolwiek szybko by biegł, nigdy go nie dogoni.

Eva leżała w łóżku i patrzyła w nocne niebo, które rozbłyskało małymi eksplozjami feerii kolorów i kształtów. W oddali słyszała wóz straży pożarnej, a jej nos drażnił swąd dymu z niezliczonych ognisk. Współczuła wszystkim kobietom, które – w tej właśnie chwili – usługiwały swoim rodzinom i gościom podczas obowiązkowych przyjęć. Wróciła myślami do podobnej nocy z 2010 roku, zwanej Wielką Katastrofą. Brian powiesił w pracy plakat, który głosił:

WZYWAM WSZYSTKIE JASNE GWIAZDY!

Dołącz do Briana i Evy! Świątuj śmierć Guya Fawkesa!

Katolicy – strzeżcie się!

Eva zrobiła zakupy w dzień święta rano. Brian powiedział jej, żeby przygotowała wystarczającą ilość jedzenia dla trzydziestu gości, pojechała więc do hipermarketu i kupiła:

- 60 kielbasek wieprzowych
- 2 kilogramy cebuli
- 60 małych bagietek
- 35 ziemniaków do upieczenia
- spory kawał sera cheddar
- zgrzewkę fasoli Heinza w sosie
- 30 ciastek w kształcie Guya Fawkesa
- dużą butelkę keczupu Heinza
- 3 kostki masła
- składniki na 30 jabłek w polewie toffi
- 1 maskę Guya Fawkesa
- 10 chińskich latarni przyjaznych zwierzętom i środowisku
- 6 butelek różowego wina
- 6 butelek białego wina

- 6 butelek czerwonego wina
- 1 baryłkę piwa Kronenbourg
- 2 skrzynki piwa John Smith's.

Nadwerżyła sobie plecy podczas przenoszenia baryłki kronenbourga z wózka do bagażnika samochodu.

W drodze do domu wydała niemal dwieście funtów na dwa pudełka różnych fajerwerków oraz zimnych ogni dla dzieci.

Tamto popołudnie zeszło na taszczeniu wilgotnego materaca z garażu do ogrodu, ułożeniu go na niewielkim ognisku i upodobnieniu do sylwetki Guya Fawkesa, przygotowywaniu jabłek w polewie (w tym także na struganiu drewnianych patyczków do nabijania jabłek), czyszczeniu toalety na parterze, odkurzaniu salonu, szorowaniu kuchni, wybieraniu przyjaznych dla ucha gości płyt CD oraz umyciu patio wodą pod ciśnieniem.

Brian zaprosił swoich gości na osiemnastą, więc Eva o siedemnastej trzydzieści wstawiła do piekarnika pierwszą partię ziemniaków, wyłożyła zimne przekąski i napoje, opłukała i wysuszyła naczynia, rozmieściła świece w chroniących przed wiatrem latarniach i czekała.

O dziewiętnastej dziesięć w końcu zadzwonił dzwonek do drzwi i Eva usłyszała głos Briana.

– Pani Hordern, miło panią widzieć. A to pan Hordern?

Gdy odbierał od nich płaszcze, zapytał:

– Przyszliście większą grupą? Reszta parkuje samochody?

– Nie, przyjechaliśmy sami – odpowiedziała.

Kiedy sobie w końcu poszli, Eva oświadczyła:

– To była najpotworniejsza noc w moim życiu i biorę pod uwagę także narodziny bliźniaków. Co się stało, Brian? Twój koleś aż tak bardzo cię nienawidzą?

– Nie rozumiem tego – odpowiedział. – Być może moje zaproszenie spadło z tablicy? Użyłem tylko jednej pinezki.

– Tak – zgodziła się. – Właśnie tak musiało się stać.

Wszystko przez pinezkę.

Później, gdy kończyli drugą butelkę burgunda, Brian zapytał:

– Patrzyłaś, kiedy odpalałem moje Rakiety Specjalne

Beavera? Żadne z nich nie wydało z siebie żadnego „ach” ani „och”. Po prostu siedzieli, wpychali w siebie węglowodany i tłuszcze. Siedem dni je budowałem! Z narażeniem zdrowia. W sensie, że pracowałem z niestabilnymi materiałami. W każdej chwili mogłem wysadzić się w powietrze, zostałyby ze mnie drobne kawałki.

– Zbudowałeś piękne rakiety, Brian – powiedziała.

Naprawdę było jej go żal. Patrzyła na jego twarz za każdym razem, kiedy odpalał raketę. Cieszył się jak dziecko i za każdą wodził wzrokiem dumnego ojca patrzącego na pierwsze kroki swojego dziecka.

Eva rozglądała się po swoim białym pokoju i myślała: „Ale to było wtedy, a teraz jest teraz. Niczego nie muszę i mogę wyłącznie patrzeć na błyski na niebie”.

Eva leżała w łóżku już siedem tygodni i sporo schudła. Łuszczyła się jej skóra i spostrzegła, że wypada jej zbyt wiele włosów.

Czasami Brian przynosił jej herbatę i tosta. Wręczał jej tacę z westchnieniem rozczulania się nad sobą. Wiele razy herbata była zimna, tost zaś niedopieczony, ale za każdym razem wylewnie mu dziękowała.

Potrzebowała go.

W te poranki, kiedy o niej zapominał albo zbyt się spieszył do pracy, zostawała głodna. Obecnie trzymanie jedzenia w pokoju było wbrew regułom, które ustaliła sama ze sobą. I piła wyłącznie wodę.

Pewnego dnia Ruby próbowała przekonać Evę do wypicia napoju energetyzującego z bąbelkami.

– To cię postawi na nogi i w ogóle. Kiedy miałam zapalenie płuc i balansowałam między życiem i śmiercią, stałam już przy wejściu do tunelu, na jego końcu widziałam światło, odwiedził mnie twój tata i przyniósł ze sobą butelkę tego napoju. Upiłam łyżeczkę i, no cóż, czułam się jak potwór Frankensteina, w którego walnął piorun. Wstałam z łóżka i zaczęłam chodzić!

– Mówisz, że to nie miało nic wspólnego z antybiotykami, które w ciebie wpompowywali?

– Nie! – prychnęła. – Mój lekarz, pan Briars, przyznał, że znajdował się już u kresu wytrzymałości. Próbował wszystkiego, nawet modlitwy, bylebym tylko nie zagłębiła się w tym tunelu.

– A zatem pan Briars – powiedziała Eva – który uczył się przez dziesięć lat, który dawał wykłady i który napisał niezliczone ilości rozpraw o zapaleniu płuc, zwyczajnie cię zawiódł? Podczas gdy kilka łyków glukozy z bąbelkami przywróciło ci życie?

– Tak! – Oczy Ruby lśniły. – Wszystko dzięki temu!

W pierwszych dniach, kiedy Eva postanowiła uwięzić się w

pokoju, jej teściowa gotowała co drugi dzień. Potrafiła przygotować mięso oraz warzywa i wierzyła, że obfite polanie każdej potrawy sosem z torebki zmieni każdy posiłek w ucztę smakosza. Niczego nie podejrzewała, widząc czyste talerze Evy. Wierzyła, że jej synowa w końcu odpuściła sobie smaki zagranicznych gastronomii i szczęśliwie wróciła na łono tradycyjnej kuchni angielskiej, w której Yvonne się specjalizowała.

Yvonne nigdy się nie dowiedziała, że jej jedzenie (przygotowywane bez gracji, ale za to z wieloma udręczonymi westchnieniami, brzękaniem naczyń i kilkakrotnym upuszczeniem rondla na podłogę) trafiało do rodziny lisów, która zamieszkała za przerośniętym wawrzynem w ogrodzie Evy. Te niezwykle pewne siebie stworzenia, znudzone dokarmianiem się resztkami risotta, taramosalaty i podobnymi rzeczami wyrzucanymi przez prawdziwą klasę średnią zamieszkującą w większości tę ulicę, biły się o klopsy i mielone. Najwyraźniej one także przepadały za tradycyjną kuchnią angielską.

Około dziewiętnastej każdego dnia, kiedy odwiedzała ją Yvonne, Eva podchodziła na brzeg łóżka i wyrzucała zawartość talerza przez okno. Uwielbiała patrzeć, jak lisy zajadają i oblizują pyski do czysta. Czasami nawet sobie wyobrażała, że lisica patrzyła na dom i pozdrawiała ją w geście kobiecej solidarności. Ale to działa się wyłącznie w głowie Evy.

Kiedyś Yvonne była niezmiernie zdumiona, kiedy znalazła na werandzie kawałek nerki i bekonu, a na chodniku przed domem Evy swój domowej roboty pulpet.

Pewnego dnia w połowie listopada Evę w drodze do pracy odwiedził Alexander.

- Czy wiesz, że zaraz zostanie z ciebie sam szkielet?
- Nie jestem na diecie – odparła.
- Trzeba w ciebie wpakować jakieś dobre jedzenie, coś, co lubisz. Zrób listę. Pomyślimy nad nią z twoim mężem.

Eva ucieszyła się na myśl o jedzeniu, które jej smakuje. Miała mnóstwo czasu do namysłu, ale ostatecznie jej lista okazała się zaskakująco krótka i skromna.

– Ruszyłyby się z tego łóżka wcześniej, gdyby jej się pod dupą paliło – powiedziała Ruby do Briana. – Jesteś dla niej za miękki.

– Przeraza mnie – wyznał Brian. – Kiedy podnoszę wzrok znad książki albo kroję mięso na kotlet, ona na mnie *patrzy*.

Chodzili po centrum handlowym z wózkiem, wybierając produkty na kolację dla Briana. Lista Evy spoczywała w jego kieszeni.

– Zawsze miała to spojrzenie – zgodziła się Ruby, zatrzymując się przy chińskich mrożonkach. – Kusiło mnie zrobienie czegoś takiego, ale nie mam wonka.

Brianowi nie chciało się poprawiać teściowej. Chciał się skupić na Evie i powodach, przez które postanowiła nie opuszczać tego, co kiedyś było „ich” łóżkiem.

Nie był złym mężem, myślał sobie. Nigdy jej nie uderzył, przynajmniej nie ręką. Zdarzały się jakieś przepychanki, a raz – po tym, jak znalazł walentynkę, którą dostała i schowała za bojlerem, a w niej słowa: „Evo, zostaw go, chodź do mnie” – zwiesił ją za nogi z półpiętra. Oczywiście to miał być żart. To prawda, miał kłopot z wciągnięciem jej z powrotem przez balustradę i w pewnym momencie prawie ją upuścił. Ale doprawdy wcale nie musiała tak głośno wrzeszczeć. Czysty ekshibicjonizm.

„Miała mizerne poczucie humoru – pomyślał – chociaż nieraz słyszał, że śmieje się z innymi ludźmi w sąsiednim pokoju”.

On i Titania zawsze się śmiali. Oboje kochali Benny’ego Hilla i *The Goon Show*. Titania potrafiła doskonale śpiewać, doprowadzając Briana do spasmów śmiechu, *Ernie (Najszybszy mleczarz na Zachodzie)*. Nie miała też nic przeciwko wrzucaniu jej do wód jeziora Rutland Water. Tylko się z tego śmiała.

Ruby pytała go, ile kosztują wonki.

– Jakies czterdzieści funtów – zmyślił na poczekaniu.

– Nie – powiedziała, wruszając ramionami. – Nie zdążyłabym go zużyć. Długo już przecież nie pociągnę.

Brian wyjął listę Evy. Pokazał ją Ruby i oboje wybuchnęli śmiechem. Eva zanotowała:

2 croissanty
sadzonka bazylii
duże opakowanie mieszanki orzechowej
kiść bananów
opakowanie winogron (bezpestkowych, jeśli możliwe)
6 jajek od kur z wolnego wybiegu
2 opakowania cukierków czekoladowych dla dzieci Alexa
ser Red Leicester
1 mozzarella
2 dojrzałe pomidory malinowe
małe opakowanie soli morskiej
czarny i czerwony pieprz (mielony)
4 duże butelki San Pellegrino (z gazem)
2 kartony soku grejpfrutowego
ząbkowany nożyk
butelka oliwy z oliwek (extra vergine)
butelka octu balsamicznego
1 duża butelka wódki (nie Smirnoff)
2 duże butelki dietetycznego toniku (wyłącznie Schweppes)
„Vogue”
„Private Eye”
„The Spectator”
paczka mentolowych dunhillów.

Ruby popłakała się ze śmiechu i musiała otrzeć łzy. Żadne z nich nie miało chusteczki, ale ponieważ przechodzili alejką z papierem toaletowym, Ruby rozerwała jedno opakowanie i wyjęła rolkę. Nie udało jej się znaleźć początku zwoju, więc Brian musiał jej pomóc, wściekając się na zbyt mocno posklejane kawałki. Po krótkiej walce wyładował frustrację, odrywając od rolki grubszy kawałek i odkładając to, co zostało, na półkę.

Ruby śmiała się dość długo, kiedy znaleźli San Pellegrino, a jeszcze dłużej, gdy natrafili na oliwę z oliwek extra vergine.

– Zwykle wlewałam jej oliwę do uszu, kiedy ją bolały – powiedziała. – A ona teraz wlewa ją do sałatki.

W dziale gazet i magazynów poczuła oburzenie, kiedy

zobaczyła, ile kosztuje „Vogue”.

– Cztery funty i dziesięć pensów? Za tyle to ja mogę kupić dwie paczki frytek! Ona sobie z nas kpi, Brian. Gdybym była na twoim miejscu, wypędziłabym ją z łóżka głodem.

Croissanty sprowokowały kolejny wybuch.

– To przecież nic innego niż kilka plasterków ciasta i powietrze!

– Ona zawsze była kulinarną snobką – powiedział Brian.

– Wszystko zaczęło się od tego wyjazdu do Paryża z wycieczką klasową. Wróciła taka napuszona. Nic tylko *merci* i *bonjour*. I „Och, *ten zwykły chleb*, mammo!”. W dodatku jeszcze ta kurdupłowata kobieta ze zgrzytającym głosem, którą zamęczała wszystkich w dzień i w nocy.

– Edith Piaf – mruknął Brian. – Z tą żabą faktycznie znam się dość dobrze.

– Kiedy skończyła szkołę, znów tam pojechała. Przedtem sprzedawała frytki na dwie zmiany, żeby uzbierać na bilet do Paryża.

– O tym mi nie opowiadała. Ile tam była?

– Dokładnie rok. Wróciła z walizką od Louisa Vuittona pełną przepięknych ubrań i butów. Ręcznej roboty! No i te perfumy! Ogromne flakony. Nigdy o tym nie mówiła. Myślę, że jakiś bogaty francuski sutener złamał jej serce.

Blokowali alejkę. Młoda kobieta z dzieckiem na wózku władowała się w nich. Dzieciak wrzasnął:

– Jeszcze raz!

– Co ona robiła we Francji? – spytał Brian. – I dlaczego nic nie wspomniała mi o tej paryskiej wyprawie?

– Jako dziewczyna zawsze miała swoje sekrety i wyrosła na kobietę z sekretami – odparła Ruby. – No dobra, gdzie wy w domu trzymacie tę parszywą sól morską?

Eva poinstruowała Briana, jak przygotować sałatkę z pomidorów i mozzarelli.

– Proszę, nie dodawaj ani nie ujmuj żadnego ze składników, i błagam, trzymaj się proporcji.

Powiedziała mu, którego talerza ma użyć i której serwetki. Ta precyzja sprawiła, że stał się jeszcze bardziej niezgrabny niż zazwyczaj.

Nalał za dużo oliwy? Bazylia miała być skubana czy cięta? Miał dodać cytryny i lodu do jej wódki z tonikiem? Nie powiedziała, więc postanowił podać je osobno.

Czuła zapach bazylii i pomidorów, zanim Brian stopą otworzył sobie drzwi.

Postawił tacę na jej kolanach i stał przy łóżku, czekając na aprobatę.

Od razu dostrzegła, że pomidora pokroił w grube plastry tępym nożem, że nie urwał bazylii łydżek i że z pewnością jej nie opłukał. Mimo jej szczegółowych instrukcji, by nie dodawał niczego więcej, Brian posypał brzeg talerza suszonym oregano.

Starła się opanować.

– W porządku? – zapytał.

– Ślinka mi cieknie – odpowiedziała.

Była mu naprawdę wdzięczna. Zdawała sobie sprawę, jak trudno jest prowadzić dom i pracować na pełen etat.

Podjeżdżała też, że tęskni za Titanią.

Była szósta trzydzieści rano. W ciągu nocy mróz udekorował drzewa i krzaki, nadając parkingowi Centrum Kosmicznego eteryczną poświatę. Z przypadkowego rozmieszczenia samochodów pani Hordern wywnioskowała, że wydarzyło się coś ważnego. Normalnie każdy pracownik parkował swój samochód w przydzielonym mu miejscu. W przeszłości zdarzyła się bijatyka na pięści z powodu głupiego naruszenia warunków użytkowania (które wisiały za szybą wąskiej gabloty przytwierdzonej do drewnianego słupka, stojącego w dalekim rogu parkingu).

Pani Hordern natknęła się na Wayne'a Tonkina, gdy ten wychodził z Centrum Badań.

– Co jest? – zapytała, wskazując głową parking.

– Oby nie miała pani wykupionej wycieczki, pani Hordern, bo cosik mi się widzi, że w przyszłym tygodniu spali nas na wiór.

– O której?

– W samo południe.

– Czyli nie muszę się martwić kupowaniem choinki? – zaśmiała się cicho, spodziewając się, że Wayne się przyłączy.

– Nie – odparł.

Kiedy pani Hordern weszła do środka, zobaczyła, że zespół jakby ktoś wyciągnął prosto z łóżka.

Skórzane Gacie miał na sobie jasnoniebieską jedwabną piżamę. Po raz pierwszy nie posłał w jej stronę swojego hollywoodzkiego uśmiechu.

– Co się stało? – zapytała.

– Nic, zupełnie nic – odpowiedział. – Ziemia wciąż się kręci.

Pani Hordern skierowała się do szatni dla personelu, żeby powiesić swój płaszcz i zmienić ciężkie buty na crocsy, które nosiła w pracy. Z kabiny w toalecie usłyszała łkanie. Wiedziała, że to Titania, ponieważ doktor Cwana Drewniaczka często przychodziła do szatni sobie popłakać. Pani Hordern zapukała do

drzwi kabiny i zapytała Titanię, czy może jej jakoś pomóc.

Aż ją odrzuciło do tyłu, kiedy drzwi się otwarły, a Titania wrzasnęła:

– Nie sędzę! Czy rozumie pani model standardowy w fizyce cząstek podstawowych i jego znaczenie w kontinuum czasu i przestrzeni, pani Hordern?

Sprzątaczką przyznała, że nie wie.

– No to się proszę odczepić! Mój problem w pełni zbiega się z moimi badaniami, których teraz nigdy nie zakończę. Oddałam swoje życie tym cząstkom!

Gdy pani Hordern szła korytarzem, pchając przed sobą maszynę do czyszczenia podłóg, pomyślała: „Nie dzieje się dobrze”.

Właśnie mijała drzwi z tabliczką „Obiekty bliskie Ziemi”, kiedy z pokoju wypadł doktor Brian Beaver i krzyknął:

– Na rany Chrystusa! Niech pani wyłączy tę cholerną maszynę! Staramy się skupić!

– Może i tak – odpowiedziała. – Ale podłoga się sama nie wyczyści, prawda? Nie musi pan przeklinać. Nie mam tego w domu i nie życzę sobie mieć w pracy!

Brian wrócił do biurka, na którym sprzężone komputery wypluwały z siebie liczby, a na ekranie jaśniała czerwona trajektoria nachodząca na duży sferyczny obiekt. Pokój wypełniali ludzie w milczeniu obserwujący monitory. Kilku kolegów przepchało się bliżej i przez ramię nerwowo przyglądali się jego palcom wiszącym nad klawiaturą.

– Nie zaszkodziłoby, gdyby sprawdził pan jeszcze raz dane z Australii, doktorze Beaver – odezwał się Skórzane Gacie – zanim oczy świata na nas spojrzą. To dość ważne, żeby wszystko się zgadzało.

– Jestem prawie pewien – odpowiedział. – Ale nie wszystkie symulacje komputerowe się zgadzają.

– Prawie! – wrzasnął Skórzane Spodnie. – Czy mamy budzić premiera, sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz prezydenta Stanów Zjednoczonych i

powiedzieć im, że jesteśmy *prawie* pewni, że Ziemia ma przesrane?

– Nie pan będzie budził prezydenta – odparł pedantycznie Brian. – Należy zadzwonić do politycznego oficera łącznikowego NASA w Waszyngtonie. – Po czym kontynuował nieśmiało: – Być może metadane z map gwiazdnych są błędne. Zawsze wiedzieliśmy, że nasza zintegrowana baza danych jest potencjalnie podejrzana. A ja wierzę w metody interpolacji doktor Abbot...

– A gdzie ona jest, kiedy jej potrzebujemy? – ryknął. – Na pierdolonym urlopie macierzyńskim w swoich ukochanych walijskich górach, dając cycka temu małemu piłkarzowi o okrągłej twarzy, bez telefonu stacjonarnego, bez zasięgu, a jedyna zaawansowana technologicznie rzecz, jaką ma w tej swojej oblepionej ziemią norze, na którą mówi chatka, to pieprzony toster! Ściągnijcie tu porożercę!

Kilka godzin później, kiedy pani Hordern znów mijała biuro, tym razem z maszyną polerującą, pełna obawy zajrzała przez na wpół uchylone drzwi. Zobaczyła niewielką grupkę ludzi, którzy śmiali się i ściskali sobie ręce. Scena przywiodła jej na myśl Skippy,ego, kangura z serialu telewizyjnego – kiedy on i jego ludzie przyjaciele przezwyciężali jakieś trudności na końcu każdego odcinka.

Brian siedział samotnie z założonymi rękami i gapił się na podłogę.

Kiedy pani Hordern wychodziła z pracy, minęła Wayne'a Tonkina. Polerował swoją nową kosiarkę do trawy z siedziskiem.

Na jej widok przerwał czynność.

– No i świat się nie rypnie w przyszłym tygodniu. Przygłup Beaver coś źle porachował. Ta cała asteroida minie nas o jakieś dwadzieścia siedem milionów mil.

– W pewnym sensie cieszyłam się, że świat nie będzie – powiedziała. – To taka mordęga. Żaden gnojek w moim domu palcem nie kiwnie. Wszystko na mojej głowie.

Wayne zmrużył oczy i odpalił silnik kosiarki. Nie mógł się doczekać, by jej użyć, ale ta pieprzona pogoda od kilku miesięcy

mu na to nie pozwalała.

Brian Junior i Brianne nie byli do końca pewni, jak to się stało, że w samochodzie, którym jechali z ojcem do domu na święta, znalazła się Poppy. Żadne z nich nie miało najmniejszej ochoty siedzieć z nią w aucie ani w domu, a wizja spędzenia z nią czterech tygodni oboje bliźniaków napawała przerażeniem.

Poppy dowiedziała się, że czekają na Briana, i snuła się po korytarzu na parterze, aby się przedstawić. Podśluchiwała, jak bliźniaki śmieją się z beznadziejnego gustu ich ojca – oraz widziała zdjęcie, z którego zerkał brodaty doktor Beaver – wiedziała więc, kogo się spodziewać. Kilku potencjalnych kandydatów minęło ją na korytarzu, zanim pojawił się doktor Beaver we własnej osobie.

Kiedy Brian nacisnął przycisk przywołujący jęczącą windę, Poppy stanęła tuż przy nim.

– Ależ ona się wlecze. Czasami czuję się jak postać ze sztuki Samuela Becketta.

Brian się zaśmiał. Grał Lucky’ego w szkolnym przedstawieniu *Czekając na Godota* i chwalili go za jego „szaloną energię”.

Gdy powoli sunęli na szóste piętro, Poppy powiedziała Brianowi, że jej rodzice leżą w śpiączce w szpitalu Ninewells w Dundee. Wyznała mu, że to będą pierwsze święta, które spędzi samotnie.

Brianowi wydawało się, że dziewczyna się rozplacze. Serce mu się ścisnęło.

Poppy nagle doznała olśnienia. Przypomniała sobie stronę szpitala z Wikipedii. Posłała mu pełen męstwa uśmiech.

– Ale mama i tato na swój sposób mieli szczęście. Leżą w budynku, który zaprojektował Frank Gehry, to był jego pierwszy projekt w Wielkiej Brytanii. Otwarcia dokonał Bob Geldof. Nie mogę się doczekać, aż im o tym opowiem... kiedy już się obudzą.

– Taa, lubię prace Gehry’ego – powiedział Brian. – Mają kosmiczny styl. Przypominają moduł, który mieliśmy zbudować, w sensie: na Księżycu.

Zapytała go, czym się zajmuje zawodowo.

– Nazywam się doktor Beaver, jestem astronomem – odrzekł. Poppy pisnęła i klasnęła w dłonie.

– Łaa! Właśnie nim chcę zostać! Co za niesamowity zbieg okoliczności!

– To prawda, zaiste. Niesamowite – zgodził się Brian.

Wtedy Poppy zakryła sobie usta dłonią.

– O mój Boże! To pan musi być tatą Brianne, on jest astronomem!

– Winny popełnienia zarzucanego mu czynu – odpowiedział. Pomyślał, że Poppy, z tą jej burzą włosów i bladą cerą, jest przesłodka, urocza. Jej silna, egzotyczna seksualność odwiodła go od zadawania dalszych pytań na temat jej mało prawdopodobnych zainteresowań astronomicznych.

– A co robisz w święta Bożego Narodzenia? – spytał. – Dokąd się wybierasz?

– Och, zostanę tutaj i będę chodzić na spacer. Nie mam pieniędzy. Wszystko wydałam, żeby odwiedzić mamę i tatę – wyjaśniła zadumana.

Na chwilę zapadła cisza.

– A zatem znasz Brianne?

– Czy ją znam? Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Trudno mi znieść myśl, że rozstaniemy się na całe cztery tygodnie.

Znów uśmiechnęła się mężnie, ale Brian widział, że to biedne dziecko wewnątrz płacze. Decyzja nie zabrała mu dużo czasu. Kiedy wysiadali z windy, powiedział jej, żeby się spakowała, i dał jej kluczyki do swojego samochodu.

– Jak będziesz gotowa, idź i usiądź w srebrnym peugeotie estate. Ależ bliźniaki będą miały fantastyczną niespodziankę!

Poppy rzuciła mu się na szyję, mamrocząc podziękowania i inne pełne wdzięczności dźwięki, niezbyt podobne do słów.

Brian przytulał ją mocno i z początku się śmiał, ale kiedy jej

żelazny uścisk wokół jego szyi nie zelżał, zaczynał zdawać sobie sprawę z jej młodego, silnego ciała oraz piżmowych perfum. Zmusił się do myślenia o chrząstkowatym mięsie, które musiał przełknąć na szkolnej stołówce – zwykle sztuczka działała.

Bliźniaki zjechały windą same, zostawiając ojca w pokoju Briana Juniora, by mógł skorzystać z jego łazienki i przygotować się do stumilowej drogi powrotnej do Leicester.

– Cztery tygodnie bez tej rąbniętej krowy – powiedziała Brianne.

Brian Junior uśmiechnął się jednym ze swoich rzadkich uśmiechów. Zanim otworzyły się drzwi windy, chcieli przybić piątkę, ale polegli.

– Brian, masz schrzanioną koordynację. Ile razy to już ćwiczyliśmy? Weź. Musisz być straszny w łóżku. Jesteś pozbawiony poczucia rytmu – powiedziała siostra.

– Miałem go wystarczająco dużo, żeby zapłodnić Poppy.

– Nie można zapłodnić kobiety, jeśli nie zdjęło się majtek i nie miało erekcji.

– Wiem o tym! Wiem także, że jeśli nie pozwala się spermie ujść, jaja mogą eksplodować.

Opuścili ciepłe wnętrza budynku i wyszli na ostry wiatr i zacinający śnieg. Podeszli do samochodu ojca i zobaczyli, że na siedzeniu pasażera ktoś siedzi.

Gdy podeszli bliżej, drzwi się otwarły i Poppy wrzasnęła:

– Niespodzianka!

Podróż okazała się koszmarem.

Bagażnik w większości wypełniały walizki Poppy i czarne worki napchane jej dziwacznymi kreacjami i butami szytymi na zamówienie. Brianne i Brian Junior siedzieli wciśnięci między swoje bagaże.

Poppy paplała całą drogę z Leeds do Leicester. Gdyby nie musiał prowadzić, Brian siedziałby u jej stóp – jak gdyby była Homerem, krynica mądrości wykraczającej poza jej wiek.

Myślał sobie: „Oto córka, którą powinienem mieć, dziewczyna, której rozmiar buta jest mniejszy od mojego. Która w

łazience spędza całą wieczność, pindrząc się – nie to co Brianne, która przy myciu twarzy chrząka jak świnia, a cała toaleta zajmuje jej dwie minuty”.

Brian Junior myślał o kijance w łonie Poppy. Nie potrafił sobie przypomnieć, co działo się tamtej nocy, kiedy przysłała do jego łóżka. Obrazy, które przywoływał, składały się z płataniny nóg i rąk, gorąca, zapachu paluszków rybnych, dzwonięcia zębów o zęby, szybkiego oddechu i niewyobrażalnie cudownego uczucia od-pływania od swojego śmiertelnego ciała i zanurzania się w zaskakującym Wszechświecie.

Brianne chciała oczyścić świat z Poppy i spędziła podróż, planując szczegółowo, jak tego dokonać.

Kiedy zjechali z autostrady na skrzyżowaniu numer 21, Brian starał się przygotować bliźniaki na „zmiany w naszym ognisku domowym”.

- Mama jest nieco niedysponowana – powiedział.
- To dlatego nie dzwoniła do nas przez trzy miesiące? – odezwała się gorzko Brianne.
- Poppy odwróciła głowę.
- To wstrząsające. Matka, która nie dzwoni do swoich dzieci.
- Masz rację, Poppy – powiedział Brian.
- Mogliśmy się bardziej starać – rzucił siostrze Brian Junior.

Eva tęskniła za tym, by przytulić bliźniaki, zwłaszcza odkąd nie musiała sprzątać ich pokoi ani zmieniać im pościeli, a także dlatego, że ktoś inny zapewniał im wyżywienie i kupno prezentów pod choinkę. Teraz kolej Briana na irytowanie się ich bałaganiarstwem i lenistwem.

„Tak – pomyślała. – Tak, ktoś inny będzie się czołgał pod ich łózkami i wygarniał spod nich miseczki z zaschniętym słodzonym mlekiem, kubki i talerze. Zbrązowiałe ogryzki po jabłkach, wyschnięte skórki bananów i brudne skarpetki”. Zaśmiała się głośno w swoim czystym białym pokoju.

Brianne i Brian Junior doznali szoku, gdy zobaczyli swoją matkę siedzącą na łóżku w białym pudełku, które kiedyś było sypialnią ich rodziców. Eva rozpostarła ramiona i dzieci przytuliły się do niej.

Nie potrafiła nic powiedzieć. Przepęłniała ją przyjemność trzymania ich w ramionach, czucia ich ciał – które w widoczny sposób zdążyły się zmienić w ciągu tych trzech miesięcy, odkąd widziała je po raz ostatni.

Brianne należało przyciąć włosy. Eva pomyślała: „Dam jej sześćdziesiąt funtów, żeby poszła w jakieś przyzwoite miejsce”.

Brian Junior był poruszony – Eva czuła jego napięte mięśnie – i co niezwykle, pozwolił sobie na to, żeby przez kilka dni się nie golić, dzięki czemu przypominał jej trochę blond wersję Orlanda Blooma. Dla odmiany czarne włoski na twarzy Brianne wrzeszczały o spotkanie z woskową depilacją.

Odsunęli się od niej i usiedli niezgrabnie na brzegu łóżka.

– Opowiedzcie mi wszystko – poprosiła Eva. – Jesteście w Leeds szczęśliwi?

Bliźniaki spojrzały na siebie.

– Jesteśmy, ale... – zaczęła Brianne.

Eva usłyszała czyjś głos dobiegający z dołu:

– Ja nie mogę! Czuję się jak w domu!
Bliźniaki znów wymieniły spojrzenia, wstały i wybiegły z pokoju.

Brian wrzeszczał z kuchni:

– Dzieci! Pomóżcie mi z tymi bagażami!

Na schodach zabrzmiał łomot kroków, a po chwili dziwnie wyglądająca dziewczyna w sfatygowanej sukience koktajlowej, na którą zarzuciła stary męski szlafrok, a paskiem od tego szlafroka obwiązała sobie głowę w stylu Kaddafiego, rzuciła się w ramiona Evy. Matka bliźniaków, poklepując plecy i ramiona dziewczyny, zauważyła, że ramiączka jej stanika są brudne.

– Bob Geldof przez dwadzieścia cztery godziny czuwał przy łóżkach moich rodziców – powiedziała przedziwna postać.

– Dlaczego? – spytała Eva.

– Nie wie pani? Jestem Poppy. Jestem najlepszą przyjaciółką Brianne i Briana Juniora.

Eva usłyszała postękiwania Brianne i Briana Juniora, gdy taszczyli po schodach bagaże nieoczekiwanego gościa, i przestraszyła się, gdy Poppy wrzasnęła:

– Mam nadzieję, że to nie moimi rzeczami tak rzucacie! W walizkach są cenne dzieła sztuki.

Podniosła się z łóżka Evy i poszła do jej łazienki, nie zamykając za sobą drzwi.

Kilka sekund później usłyszała jednostronną rozmowę Poppy.

– Halo, poproszę z Peaches Ward.

Cisza.

– Halo? Siostra Cooke?

Cisza.

– U mnie bardzo dobrze. Zostaję z przyjaciółmi na wsi.

Cisza.

– Co z mamą i tatą?

Cisza.

– Och nie! Mam przyjechać?

Cisza.

– Na pewno? Mogłabym...

Cisza.

– Ile im jeszcze zostało? Proszę mi powiedzieć! Muszę wiedzieć!

Cisza.

– Nie! Nie! Sześć tygodni! Tak bardzo chciałam, żeby byli obecni, gdy skończę studia!

Cisza.

– Serce mi się kraje, kiedy myślę, że to ich ostatnie święta! [pauza] Dziękuję, siostrze, ale robię tylko to, co zrobiłaby każda kochająca córka dla swoich konających rodziców.

Cisza.

– Tak, chciałabym mieć pieniądze, by móc ich odwiedzić w czasie świąt, ale jestem bez grosza, siostrze. Wydałam wszystko na podróże pociągiem i... yyy... winogrona.

Cisza.

– Nie. Jestem jedynaczką i nie mam żadnych żyjących krewnych. Moja rodzina została starta z powierzchni ziemi podczas ostatniej epidemii ptasiej grypy. Ale co tam, w końcu są święta.

Cisza.

– Nie, nie jestem dzielna. Gdybym była [szloch] dzielna [szloch], nie płakałabym teraz.

Eva położyła się na poduszkach i udawała, że śpi. Słyszała, jak Poppy wychodzi z łazienki, cmoka ze strapienia i człapie z pokoju w swoich buciorach, przy których nie nosiła sznurówek. Buty zadudniły na schodach, potem w drzwiach frontowych i wyszły na ulicę.

Brian, Brianne i Brian Junior stali na półpiętrze i dyskutowali, do którego pokoju powinni władować bagaże Poppy.

Brian Junior brzmiał niespotykanie porywczo.

– Nie do mojego, *proszę*, nie do mojego.

– Ty ją zaprosiłeś, tato – powiedziała Brianne. – Powinna spać w *twoim* pokoju.

– Źle się dzieje między mamą a mną. Śpię w szopie. Mama o

to prosiła.

– Boże święty! Rozwodzicie się? – spytała Brianne.

Brian Junior zadał pytanie w tym samym czasie:

– To znaczy, że w tym roku kupujemy dwie choinki, tato?

Jedną dla nas do domu, a drugą dla ciebie do szopy?

– Dlaczego pleciecie o rozwodzie i cholernych choinkach?

Moje serce krwawi, gdy tak o tym rozmawiamy. Nigdy nie pomyślicie o głupim starym tatku! Z jakiej racji miałby cieszyć się ciepłem i blaskiem domu, za który wciąż, do jasnej ciasnej, płaci?

Chciałby, żeby dzieci go przytuliły. Przypomniawszy sobie oglądanie serialu *The Waltons*, kiedy był mały. Jego matka malowała sobie twarz, przygotowywała się do wyjścia z kimkolwiek, kto ostatnio nosił miano „wujka”. Brian pamiętał zapach jej pudru i to, jak zgrabnie operowała malutkimi szczoteczkami. Ostatnia scena serialu, kiedy cała rodzina życzyła sobie dobrej nocy, zawsze stawała mu gulą w gardle.

Zamiast tego Brianne odezwała się ze złością:

– No to gdzie upchniemy bagaże tej wściekłej krowy?

– Jest twoją najlepszą kumpelą, Brianne – powiedział. – W naturalny sposób przyjąłem, że będzie spała w twoim pokoju.

– Najlepszą kumpelą! Prędzej bym uznała chorego psychicznie, nietrzymającego moczu włóczęgę za „najlepszego kumpla” niż tę...

Brianne nie potrafiła wyrazić swojego obrzydzenia. Wróciła do domu i zastała swoją matkę nieruszającą się z łóżka, leżącą w śnieżnobiałym pokoju, najwyraźniej obłąkaną, a teraz jej ojciec oczekuje od niej, żeby dzieliła pokój z tą krwiopijącą wampirzycą Poppy, która zrujnowała jej pierwszy semestr na uniwersytecie.

Bagaż wciąż leżały na półpiętrze, kiedy Poppy zadzwoniła do Briana, żeby mu powiedzieć, że „jakiś staruch z twarzą pokrytą strasznymi bliznami” szedł za nią od sklepiku, dokąd poszła sobie kupić bibułki do skrętów. Zadzwoniła na policję i schowała się przed nim w pobliskim parku.

– To prawie na pewno Stanley Crossley – powiedział Brian. – Uroczy człowiek, mieszka na końcu naszej ulicy.

Brianne wyrwała ojcu telefon.

– Ma takie blizny, ponieważ niemal spłonął w samolocie Spitfire. A może nigdy nie słyszałaś o drugiej wojnie światowej? Dzwon teraz na policję i powiedz im, że się pomyliłaś!

Ale było za późno. Już słyszeli syreny za oknem. Poppy się rozłączyła.

Eva ze złości i frustracji waliła pięściami w poduszki. Naruszono jej spokój. Nie chciała słyszeć podniesionych głosów w domu ani syren za oknem. I nie chciała, żeby ta szalona dziewczucha spędziła tu choćby pięć kolejnych minut. Znany jej Stanley Crossley był wycofanym i uprzejmym człowiekiem, który nigdy nie zapomniiał uchylić kapelusza, kiedy mijała go na ulicy.

Kiedyś, zeszłej wiosny, przysiadł się do niej na drewnianej ławce, którą ufundował jako hołd dla swojej żony, Peggy. Wymienili zdawkowe informacje o pogodzie. Potem nagle, ni z tego, ni z owego, zaczął opowiadać o sir Archiem McIndoe’em, chirurgu, który zrekonstruował mu twarz. Dzięki niemu odzyskał powieki, nos i uszy.

– Byłem chłopcem – powiedział smutno. – Miałem osiemnaście lat. I byłem przystojny. W barakach Nissena, w których mieszkałem z innymi chłopakami, nie wisiało ani jedno lustro.

Myślała, że będzie mówił dalej, ale wstał z ławki, poprawił kapelusz i niezgrabnie poszedł w kierunku sklepu.

Eva leżała na poduszkach. Zza ściany słyszała sprzeczkę Briana Juniora i Brianne. Miała kiedyś zamiar odwiedzić Stanleya, który mieszkał zaledwie jakieś sto jardów od nich. Chciała zaprosić go na herbatę. Wyobraziła sobie biały obrus, paterę i trójkątne kanapki z ogórkiem ułożone na chińskim półmisku. Czuła wstyd, że chociaż mijał jej drzwi co najmniej dwa razy dziennie, nie złożyła mu takiego zaproszenia.

Wściekała się na Briana. Ściągnięcie Poppy do domu wobec tak napiętych relacji rodzinnych było jak napełnienie dmuchanego zamku nitrogliceryną.

– Brian – powiedziała. – Idź i znajdź tę nikczemną głupią

krowę. Odpowiadasz za nią.

Kilka minut później zobaczyła Briana w kapciach biegnącego na drugi koniec ulicy, gdzie starały się zaparkować radiowozy, motocykle i van z policyjnymi psami.

Brian podszedł do krępej policjantki. Zastanawiał się, co lub kto w tak potworny sposób złamało jej nos.

– Wydaje mi się, że potrafię wyjaśnić tę głupią nagonkę.

– Czy jest pan mężczyzną, którego poszukujemy? – zapytała sierżant Judith Cox.

– Oczywiście, że nie! Nazywam się doktor Brian Beaver.

– Jest pan tutaj z powodów medycznych, doktorze Beaver?

– Nie, jestem astronomem.

– Nie jest więc pan lekarzem, proszę pana?

– Jestem pewien, że aby zostać lekarzem, wystarczy uczyć się jakieś siedem lat. My, profesjonalni astronomowie, uczymy się do śmierci. Nowe gwiazdy, nowe teorie powstają każdego dnia, pani sierżant...

– Beaver, proszę pana? Jak ten „zwinny mały budowniczy zapór”? – Zanim Brian zdążył się odezwać, dodała: – Chciałbym poznać odpowiedź na jedno pytanie, doktorze Beaver.

Brian przybrał profesjonalny, skupiony wyraz twarzy.

– Jestem spod znaku Barana. Właśnie zaprosił mnie na randkę znajomy posterunkowy. Moje pytanie brzmi: jeśli on jest Strzelcem, to czy do siebie pasujemy?

– Powiedziałem: astronomem – odparł gniewnie Brian. – Stara się mnie pani sprowokować, pani sierżant?

– Tylko żartowałam, proszę pana! – Zaśmiała się. – Też nie lubię, kiedy się mnie publicznie nazywa świnią.

Brian nie złapał porównania, ale kontynuował:

– Mogę osobiście ręczyć za charakter pana Stanleya Crossleya. Jest uczonym i dżentelmenem i żałuję tylko, że w Anglii nie ma więcej takich ludzi jak on.

– Może i racja, proszę pana – odpowiedziała sierżant Cox. – Ale jestem pewna, że nienaganne maniery Petera Sutcliffe’a¹⁷ są legendarne w Broadmoor.

Wsluchiwała się w trzaski dobiegające z jej krótkofalówki.

– Nie, dla mnie smażony makaron z wołowiną z sosem ostrygowym – powiedziała.

Zatrzymała dłonią Briana, a sama poszła do parku porozmawiać z Poppy, ofiarą natręta.

Eva klęczała na łóżku i wyglądała przez okno, gdy Stanley Crossley przejeżdżał, siedząc w radiowozie. Pomyślała, że może spojrzeć na jej dom, więc mu pomachała, ale patrzył przed siebie. Nie mogła mu w żaden sposób pomóc, sobie także nie mogła. Przepęłniał ją gniew i po raz pierwszy uświadomiła sobie w pełni, jak łatwo mogłaby kogoś zamordować.

Obok domu przejechał kolejny radiowóz. Na tylnym siedzeniu kulila się Poppy i płakała.

Widziała człapiącego ulicą Briana, jego broda powiewała na wietrze, miał pochyloną głowę, by chronić się przed zacinającym śniegiem. Bała się tego, że przyjdzie i opowie, co się stało.

„W sumie – pomyślała – z przyjemnością bym go teraz zamordowała”.

Brian wbiegł do jej ciemnego pokoju i wyglądał jak gorliwy, zarośnięty Hermes, lękający się przekazać wiadomości. Włączył światło.

– Poppy jest w szoku, ma myśli samobójcze. Siedzi na dole. Nie wiem, co z nią zrobić.

– Jak się ma Stanley? – spytała.

– Wiesz, jacy są ci starzy wojskowi, zaciskają usta. Chryste!
– zawołał. – Nie powinienem tego mówić, on przecież ma usta zaciśnięte na stałe. Zastanawiam się, w jaki sposób poprawnie zwracać się do takich ludzi jak Stanley.

– Możesz zwyczajnie mówić na niego Stanley.

– Mam od niego wiadomość. Chciałby zadzwonić i umówić się na wizytę przed świętami.

– Możesz wnieść tu fotel?

– Fotel?

Eva przytaknęła.

– Muszę rozmawiać z ludźmi twarzą w twarz, a teraz, skoro

idzie Boże Narodzenie...

Następnego ranka, kiedy Brian i Brian Junior wnieśli śliczny fotel i ustawili go przy jej łóżku, Eva spytała:

– No a co porabia Jej Melodramatyczność?

– Mówi, że ma bóleści w brzuchu – powiedziała Brianne, stając w drzwiach.

– Widocznie policja się z nią nie cackała – uznał Brian.

– Czyli że policjant mógł podnieść na nią głos. Nie wygląda, jakby ją ktoś pobił w celi. – Brianne spojrzała oskarżycielsko na ojca. – Odeślij ją, tato! Natychmiast!

– Nie mogę wyrzucić za próg dziewczyny bez grosza przy duszy na ten śnieg. W dodatku tuż przed Gwiazdką, prawda?

– Żadna z niej dziewczynka z zapałkami! Ona zawsze spada na cztery łapy!

– Poppy zawsze wygrywa – zgodził się Brian Junior. – Uważa, że jest lepsza od każdego człowieka na ziemi. Uznaje nas za podludzi, którzy mają jej służyć.

W drzwiach pojawiła się Poppy, trzymając się za brzuch.

– Wezwałam pogotowie – szepnęła ledwo słyszalnie. – Wydaje mi się, że to poronienie.

Brian podszedł do niej i pomógł jej usiąść w fotelu.

– Nie mogę stracić tego dziecka, Brianie Juniorze. To wszystko, co mi pozostało... skoro utraciłam już ciebie.

– Okropny dylemat, przed którym stanęliśmy, Brianie – odezwała się Eva – polega na tym, że ona może mówić prawdę.

Eva patrzyła, jak prowadzą Poppy do karetki. Owinęła się w czerwony koc.

Sypał śnieg.

Poppy uniosła rękę i delikatnie pomachała Evie.

Eva nie odmachała. Jej serce było zimne jak chodnik przed domem. Chciała się pozbyć intruza.

O dwudziestej trzeciej zadzwoniono ze szpitala, że Poppy

została wypisana, i zapytano, czy ktoś mógłby ją odebrać.

Kiedy Brian przyjechał na izbę przyjęć, znalazł Poppy leżącą na trzech plastikowych krzesłach. W rękę trzymała miskę, a do ust przytykała zwitek chusteczek.

– Dzięki Bogu, że pan tu jest, doktorze Beaver! Miałam nadzieję, że to pan po mnie przyjedzie.

Briana wzruszyła bladość i smukłość jej palców trzymających miskę. Wsunął jej rękę pod ramiona i pomógł wstać. Drżała. Brian zdjął swój polar i włożył go Poppy. Pożyczył wózek i poprosił, by w nim usiadła, choć protestowała.

– Ależ mogę sama chodzić.

Śnieg pokrył chodniki i budynki, nadając szorstkim zabudowaniom szpitala pewną miękkość. Kiedy dotarli do samochodu Briana, ten otworzył drzwi, podniósł Poppy i delikatnie położył na tylnym siedzeniu, a następnie przykrył ją kocem. Porzucił wózek na skraju parkingu. W normalnych okolicznościach odstawiłby wózek tam, skąd go wziął, ale nie chciał zostawiać jej zbyt długo samej.

Jechał do domu ostrożnie. Główne drogi zostały posypane piaskiem, lecz prószyło tak szybko, że piasek wkrótce przykryła kolejna warstwa śniegu.

Co pewien czas Poppy kwiliła.

Brian odwrócił głowę na tyle, na ile umiał, i powiedział:

– Już niedaleko, maleństwo. Zaraz znajdziesz się w domku i łóżeczku.

Chciał ją zapytać, czy poroniła, ale zorientował się, że niewiele wie o kobietach i ich emocjach, i denerwował się rozmową o mechanice ginekologicznej.

Wkrótce złapała ich śnieżycyca. Otworzył okno, ale nie zdołał dojrzeć krawędzi chodnika. Jechał jeszcze kilka minut, po czym – zaledwie sto jardów od domu – zatrzymał samochód, ale nie wyłączył silnika.

Poppy usiadła i powiedziała cichutko:

– Kocham śnieg, a pan, doktorze Beaver?

– Proszę, mów mi Brian – odparł. – To bez wątpienia

fascynująca substancja. Wiedziałaś, Poppy, że nie ma dwóch takich samych płatków śniegu?

Poppy westchnęła zdziwiona, choć o płatkach śniegu uczyła się w przedszkolu.

– Każdy jest inny? – spytała zdumionym głosem.

– Bliźniaki odgrywały rolę płatków śniegu podczas ich pierwszej szopki bożonarodzeniowej. Ta przygłupia nauczycielka zrobiła im identyczne kostiumy. Nikt na widowni tego nie zauważył, ale ja tak. Zepsuło mi to cały efekt.

– Ja zawsze byłam Marią.

Brian przyjrzał się jej.

– Tak, rozumiem, dlaczego cię wybierano.

– To znaczy, chcesz powiedzieć, że jestem wybrana?

– O tak.

Poppy wychyliła się, zdjęła z kierownicy dłoń Briana, przycisnęła ją sobie do ust i pocałowała. Zaczęła przeciskać się do przodu, mocowała się chwilę z dźwignią zmiany biegów, po czym usiadła Brianowi na kolanach.

– Jesteś moim nowym tatusiem? – zapytała głosikiem dziewczynki.

Brian pamiętał ostatni raz, gdy Titania siedziała mu na kolanach. W ostatnim czasie nieco przytyła i doświadczenie okazało się dość bolesne. Chciał zdjąć Poppy z kolan i posadzić na fotelu pasażera, zanim zbudzi się jego drągal, ale zarzuciła mu rękę na szyję, skubała jego brodę i powtarzała: „Tatuś”.

Nie potrafił się temu oprzeć. Robił rzeczy, które były – co każdy ostatnio potwierdzał – „zupełnie nie na miejscu”. Ponadto schlebiało mu, że taka młoda i niewinna dziewczyna może się interesować pięćdziesięcioletnim głupcem takim jak on.

Zastanawiał się, czy Titania będzie na niego cze-kać w szopie. Być może śnieg powstrzymał ją przed zwyczajową wizytą – ale miał nadzieję, że nie, ponieważ dzisiaj potrzebował kobiety.

Kiedy śnieżycyca zelżała i stała się zaledwie zamiecią, Brian i Poppy wysiedli z samochodu i pieszo udali się do domu.

Eva zobaczyła ich przy furtce.

Brian promieniał, a Poppy szeptała mu coś na ucho.

Eva uderzyła w okno tak mocno, że jedna z szyb pękła. Śnieg wpadł do środka jak woda przez pękającą tamę i wolno topił się w ciepłe pokoju.

Następnego dnia Eva siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, w czasie gdy Alexander wymieniał szybę w oknie i dociskał kit wokół krawędzi, tak jak ona, gdy układała ciasto w formie, by nadać mu karbowany wzór.

– Czy jest coś, czego nie potrafisz?

– Nie umiem grać na saksofonie. Nie znam zasad krykieta. Nie potrafię przypomnieć sobie twarzy żony. Moja orientacja w terenie jest do bani. Nie umiem skakać o tyczce i jestem beznadziejny w walce na pięści.

– Ja nie potrafię ustawić radia cyfrowego. Po dniu zmagania się ze smartfonem poddałam się. Microsoft nie zdołał ustawić na moim komputerze połączenia z internetem, ja też nie. Nie umiem oglądać filmów na iPadzie, ale też nie mam powodu, kino jest pół mili stąd. Powinnam się urodzić przed stu laty. Nie potrafię ściągać muzyki na moją empetrójkę. Dlaczego ludzie kupują mi te gadzety? Byłabym szczęśliwsza ze zwyczajnym radiem, telewizorem z przyciskami z przodu, adapterem i telefonem, z którego korzystałam w dzieciństwie. Czymś istotnym, co stało na stoliku w przedpokoju. Dzwonił tak głośno, że słyszało się go w całym domu i w ogrodzie. A dzwonił wyłącznie wtedy, kiedy ktoś miał coś ważnego do powiedzenia. Ktoś chorował. Trzeba było zmienić termin spotkania. Albo ten, kto chorował, umarł. Teraz ludzie dzwonią do siebie, żeby powiedzieć, że są w McDonalddie i zamawiają cheeseburgera z frytkami.

Alexander się zaśmiał.

– Jesteś taką samą technofobką jak ja. Prostsze życie daje nam więcej szczęścia. Powinienem wrócić do Tobago.

– Nie! Nie możesz! – powiedziała gwałtownie Eva.

Alexander znów się roześmiał.

– Spokojnie. Nigdzie się nie wybieram. Wolniejsze tempo życia więcej kosztuje, a ten moment już przegapiłem.

– Mówisz czasami o swojej żonie?

– Nie, nigdy. Kiedy dzieci pytają, kłamię i mówię, że poszła do nieba. Moje dzieci wierzą, że ona jest gdzieś tam w górze w ramionach Jezusa, a ja nie mam zamiaru niszczyć im tego krzepiącego obrazu.

– Twoja żona była piękna? – spytała cicho.

– Nie, nie była piękna. Była ładna, elegancka. Dbała o siebie. Zawsze nosiła niezłe ubrania, miała swój styl. Inne kobiety trochę się jej bały. Nigdy nie włożyła dresu, nie miała tenisówek. Nie nosiła się swobodnie.

Eva spojrzała na swoje ogryzione paznokcie i wsunęła dłonie pod kołdrę.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Och, Alex, nie wiedziałam, że tu jesteś – powiedziała Brianne. – Napijesz się herbaty albo jakiegoś drinka? W końcu zaraz święta.

– Dziękuję, ale skończę pracę i muszę lecieć.

– Ja bym się z przyjemnością napiła herbaty – przyznała Eva. Wyraz twarzy Brianne zmienił się, gdy spojrzała na matkę.

– Okej. Jestem teraz zajęta, ale postaram się przynieść.

Nastąpiła dość długa chwila skrępowania.

Brianne w końcu odezwała się do Alexandra:

– To na razie. Zobaczymy się na dole?

– Może – odpowiedział i odwrócił się do okna. – Zrobię ci herbatę, Evo, jak z tym skończę.

Przez kolejny tydzień w domu panowała napięta atmo-sfera.

Cisza, szepty i trzaskanie drzwiami. Kobiety krążyły wokół siebie. Eva starała się je zachęcić do udekorowania domu i rozwieszenia lampek. Zgodziły się co prawda, że należało to zrobić, ale ostatecznie nikt nie kiwnął palcem.

Poppy urządziła sobie bazę w pokoju gościnnym. Wzięła we władanie wszystkie meble i porozkładała na nich swoje rzeczy i ubrania, więc Beaverowie musieli siedzieć w kuchni. Za każdym razem, kiedy Brian wpadał na Poppy, dotykali się przelotnie i oboje cieszyła ta konspi-racja. To stykanie się rozaniało Briana

zwłaszcza w te noce, kiedy Titania czekała na niego w szopie.

Wieczorem dziewiętnastego grudnia Brian zapytał Evę:

– Co robimy z Bożym Narodzeniem¹⁸?

– Ja nie będę robić absolutnie nic.

Brian doznał szoku.

– Spodziewasz się, że ja urządzę święta?

Podniósł się z fotela i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Wyglądał jak więzień w celi śmierci, który czeka na wykonanie wyroku.

Eva zmusiła się do milczenia, gdy Brian mierzył się ze strasznym faktem, że będzie odpowiedzialny za święta, za ten Mount Everest spotkań rodzinnych. Wiele świetnych kobiet i kilku mężczyzn padło pod brzemieniem oczekiwań, które spoczęły na ich barkach.

– Ja nawet nie wiem, gdzie ty *trzymasz* święta – powiedział, jak gdyby przez wszystkie poprzednie lata Eva chowała święta w jakimś zamkniętym na kłódkę kontenerze stojącym za miastem i jedyne, co musiała, to wpaść tam i zawieźć je do domu przed dwudziestym piątym grudnia.

– Mam ci powiedzieć, jak się przygotowuje święta?

– Chyba tak.

– Zapewne zechcesz zrobić notatki – poradziła mu.

Brian wyjął z kieszeni niewielki czarny notatnik w moleskinowej obwolucie, który Eva kupiła mu na pocieszenie, gdy oblał egzamin na motocyklowe prawo jazdy. (Kłócił się z egzaminatorem o precyzyjne znaczenie wyrażenia „na pełnym gazie”). Odkręcił wieczne pióro (wygrana w szkole) i czekał.

– Dobrze – powiedziała. – Opowiem wszystko po kolei.

Przerwij mi, gdybyś czegoś nie rozumiał.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu i trzymał pióro uniesione nad kartką.

Eva nabrała powietrza i zaczęła.

– W biurku w salonie znajdziesz imienną listę osób, którym trzeba wysłać życzenia świąteczne, są tam też znaczki i nieużywane kartki. Wypisz je dziś, zanim się położysz. Jutro po pracy objeżdź centra ogrodnicze i sprzedaże uliczne, żeby znaleźć choinkę. Przed oczami masz mieć drzewko doskonałe, soczyście zielone i pachnące, szerokie na dole i zwężające się symetrycznie aż do pojedynczej gałązki na czubku. Pamiętaj, że takie drzewka nie istnieją. Można jeździć tydzień w tę i we w tę i nie znaleźć. O dwudziestej pierwszej na dzień przed uroczystą kolacją spanikujesz i będziesz przeciskał przez drzwi wejściowe byle jakie drzewo, które znalazłeś najbliżej domu. Nie czuj się zbyt rozczarowany, jeśli skończysz z drzewkiem, który pracownik socjalny opisałby jako „upośledzone w rozwoju”.

– Na miłość boską, Eva, róbmy listę!

Eva zamknęła oczy i postarała się skoncentrować na czystych faktach, dzięki którym przygotowała święta w 2010 roku.

– Ozdoby choinkowe w pudełku z napisem „OCH”. Świąteczka na choinkę w pudełku „ŚNC”. Świąteczka do salonu, kuchni, jadalni, schodów, werandy w pudełku z napisem „Ś RÓŻNE”. Nie wyrzucaj okropnych dzwonków ani innych niezdarnie wykonanych ozdób z papier mâché. Zrobili je Brian Junior i Brianne w przedszkolu, zanim odkryli matematykę. Notabene pudełko z przedłużaczami i rozgałęziaczami ma napis „Świąteczna elektryczność”. Zapamiętaj – zapasowe żarówki do lampek są właśnie tam. Wszystkie pudła znajdziesz na strychu naprzeciw drewnianej żyrafy. Kup podpałkę, szczapy i drewno kominkowe w sklepie w Charnwood Forest. Trzy worki węgla kupisz na stacji BP. Kup świece do świeczników – otwórz nawias, sprawdź szerokość, zamknij nawias. Jedź za miasto po jemiołę, bluszcz, gałęzie sosny i szyszki. Wysusz je na grzejniku. Kup srebrną i złotą farbę w sprayu. Pomaluj wyschnięte liście i całą resztę. Posprzątaj lodówkę – użyj różnych resztek i zrób dziwne małe posiłki, smak zamaskuj chili i czosnkiem. Pojeżdź do lokalnego rzeźnika i zamów indyka. Patrz, jak śmieje ci się w twarz. Pojeżdź do supermarketu i staraj się zamówić indyka. Wyjźdź

na dźwięk śmiechu pracowników działu drobiu. Kup dziesięć pudełek mieszanki cukierków za pięćdziesiąt funciaków. Wystój w kolejce godzinę i dziesięć minut, żeby za nie zapłacić. Zdecyduj, ile wydać na dalszych i bliższych krewnych, zrób przebieżkę po sklepach, zignoruj listę prezentów i kupuj nedorzeczne przedmioty. Wróć do domu, rozpakuj prezenty i natychmiast poczuj wyrzuty sumienia. Odwieź wszystko z powrotem następnego dnia i kup dwadzieścia siedem par czerwonych wełnianych skarpet z motywem renifera. Podłącz się do internetu i zamów najnowsze i niezbędne gadżety dla Briana i bliźniaków, zorientuj się, że nie ma w kraju ani jednej sztuki, jedź do sklepu RTV i AGD i daj sobie wmówić kity wciskane przez młodego sprzedawcę, że kontenerowiec właśnie wpłynął do portu w Harwich i że dostawa dotrze do sklepu dwudziestego trzeciego grudnia. Zapytaj, czy możesz zamówić trzy proponowane przez niego gadżety. Pracownik poradzi ci, żebyś stanął w kolejce o piątej trzydzieści rano, bo to będzie twoja jedyna szansa.

– Eva! To się działo w zeszłe święta! Muszę się skupić na tym roku! Połowa twoich rad jest zbyteczna!

Ale Eva właśnie przeżywała ponownie koszmar minionych świąt.

– Wybierz się późnym wieczorem po jakąś kreację na Wigilię, żeby uniknąć kłótni, jak w zeszłym roku, kiedy Brian powiedział: „Evo, nie możesz nosić džinsów w Boże Narodzenie”. Daj się ponieść i kup czerwony blezerek z cekinami i czarną koronkową spódnicę. W Marksie kup dwie piżamy i dwa szlafroki. W dziale spożywczym kup składniki na świąteczną kolację na sześć osób oraz ciastka, herbatniki, babeczki, keks, krojony chleb na kanapki, łososia i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej...

Brian przerwał.

– Jak jedna osoba zdoła poradzić sobie z tyloma danymi?

Ale Eva nie potrafiła przestać.

– Szef działu z drobiem mówi, że należy się ustawić w kolejce o czwartej nad ranem, aby mieć pewność, że dostanie się indyka. Chwiejąc się od ciężaru siat, nie możesz znaleźć

samochoodu, dzwoniś na policję, żeby zgłosić kradzież, po czym tuż przed zjawieniem się policji uświadamiasz sobie, że przyjechałeś taksówką, dzwoniś po taksówkę, żeby cię zabrała z powrotem, znękany głos w słuchawce mówi ci: „Nie ma szans, jesteśmy zapchani dojazdami na imprezy biurowe”. Dzwoniś do znajomych, wszyscy już coś wypili, dzwoniś do krewnych, Ruby mówi: „Jest jedenasta trzydzieści. Jak ci mogę pomóc? Przecież nie mam samochodu”. Wysiąda bateria w telefonie, ciskasz nim w kolczaste krzaki okalające parking. Uspokajasz się i szukasz telefonu. Znajdujesz go, ale krwawisz od poszukiwań. W końcu mąż zgłasza twoje zaginięcie, a oni mówią, że się rozejrzę, patrol dowozi cię do domu o pierwszej trzydzieści w nocy. Drzemiesz dwie godziny, po czym jedziesz autem do Marksa & Spencera, żeby stanąć w kolejce. O czwartej jesteś dziewiętnasty w kolejce. Sprawione indyki skończyły się, nie ma wyjścia, musisz kupić niepatroszonego, z głową, szyją i pazurami. Jego oczy patrzą na ciebie w niewysłowionym smutku, przepraszasz go – wydaje ci się, że w myślach. Ale w rzeczywistości mówisz na głos, a ludzie wokół ciebie myślą, że oszalałeś, ponieważ powiedziałeś: „Bardzo mi przykro, indyku, że musieli cię zamordować w imię tradycji”.

Brian wziął głęboki oddech.

– Eva, Eva, Eva.

– Już wracasz do domu, kiedy przypominasz sobie o kolejce przed sklepem RTV i AGD. Jedziesz tam i widzisz, że kolejka wije się po parkingu jak wąż. Stawać czy nie stawać, oto jest pytanie. Kiedy próbujesz się zdecydować, zasypiasz za kierownicą, a twój samochód powoduje niewielkie uszkodzenie renaulta przed tobą. Kierowca renaulta reaguje gwałtownie, jakbyś zmasakrował jego dzieci i zabił psa. Wymieniacie się danymi dotyczącymi ubezpieczenia i orientujesz się, że twoja polisa jest nieaktualna. Decydujesz się stanąć w kolejce i czujesz niewyobrażalne napięcie, bo wciąż się zastanawiasz, czy sklep wyprzedzi sprzęt, zanim dotrzesz do drzwi wejściowych. Docierasz do lady i wiesz, że gadzety jeszcze są. Starasz się zapłacić, terminal odrzuca twoją kartę, dostajesz pouczenie od dwunastoletniej kasjerki: „Jeśli

trzyma się ją luzem w torebce, jest narażona na zadrapania. Dlaczego nie nosi jej pani w odpowiedniej przegródce w portfelu?”. Mówisz dziecku, że będziesz tak niezorganizowany, jak ci się podoba. Ona pyta: „Ma pani inną kartę?”. Odpowiadasz, że tak, i zaczynasz grzebać w miseczkach stanika. Dajesz ją kasjerce, która stwierdza, że karta jest ciepła i nie będzie działać, dopóki nie ostygnie. Czekamy i czekamy. Ludzie w kolejce za tobą głośno protestują. Krzyczysz na nich, oni krzyczą na ciebie. Kierownik zmiany przynosi tacę z ciasteczkami, żeby udobruchać zziębniętych i zmęczonych klientów. Mężczyzna krztusi się rodzyńkiem z ciastka. W końcu karta jest wystarczająco chłodna, żeby włożyć ją do terminala, ten jednak odmawia przyjęcia zapłaty za gadzety.

Eva zaczęła płakać.

Brian wziął ją za rękę.

– Eva, kochanie. Nie miałem pojęcia. Dlaczego nic nie powiedziałaś? Wcale nie chciałem tego cholernego iPhone’a 4, od Boxing Day¹⁹ leży w szufladzie.

Eva nie dała się pocieszyć.

– Błagasz kasjerkę, żeby spróbowała jeszcze raz. Robi to, mruczając pod nosem. Wydaje ci się, że użyła słowa na „k”, co przecież stoi w sprzeczności z polityką sklepu. Wspominasz jej o tym i rozważasz złożenie oficjalnej skargi, ale mózg i usta nie pracują, więc odpuszczasz. Terminal akceptuje płatność, oddychasz z ulgą. Jedziesz do domu z indykiem i gadżetami leżącymi na siedzeniu obok, na wszelki wypadek zapiętymi pasem bezpieczeństwa. Wracasz do domu i mimo zamętu w głowie, wywołanego lękiem i brakiem snu, rozpakowujesz indyka i zostawiasz na stole w kuchni. Opuuszczasz schodki wiodące na strych, rozplątujesz światełka, rozwieszasz, zaczynasz z artystycznym planem w głowie, kończysz z lampkami leżącymi byle jak na każdej krawędzi i powierzchni. Żarówki strzelają, szukasz zapasowych. Prosisz o pomoc przy dekorowaniu choinki. Bliźniaki i Brian po szoku doznanym na widok smutku czającego się w oczach indyka twierdzą, że nie potrafią się ruszyć, i

przysięgają, że nigdy w życiu nie tkną żadnego mięsa. Wykreślasz z listy świątecznych potraw pieczeń wieprzową i szynkę. Idziesz do kuchni i zastajesz kota sąsiada, jak szarpie się z głową indyka, oczy indyka wyrażają żalność świata. Po raz pierwszy nie walisz kota drewnianą łyżką, ale wynosisz go i indyczą głowę za drzwi. Na kuchennym stole leży siedemnaście reklamówek. Wgryzasz się w marchewkę, nalewasz sobie odrobinę whisky do szklanki, odgryzasz kawałek ciasta leżący na świątecznym talerzu, idziesz usiąść przy kominku. Czy ja nadal będę to wszystko robić, kiedy bliźniaki będą miały trzydzieści pięć lat?

– Eva, widzę, że jesteś zmęczona. Resztę mogę sobie wygooglować... Muszą być jakieś porady w sieci.

– Nie, pozwól mi skończyć przygotowywać Boże Narodzenie. Zrób angielskie śniadanie. Wypij toast szampanem wymieszanym z sokiem pomarańczowym. Otwórz prezenty. Pozbieraj ozdobny papier, poskładaj i włóż do pojemnika recyklingowego. Zadzwoń do krewnych i podziękuj im za prezenty. Zmień suknię wieczorową na powyciągany blezer i skórzaną spódnicę, Brian ci powie, że wyglądasz jak burdelmama, włóż dzinsy.

– Eva, ta spódniczka ledwie zakrywała ci tyłek!

– Przygotuj kolację, niemal zasłabnij, rozkładając potrawy na stole. Wypij za dużo, poproś Briana o pomoc w zmywaniu i usłysz: „Później”. Bliźniaki wyjdą, zrób świąteczną herbatę, kanapki z indykiem, biszkopt, ciasto świąteczne. Wrócą bliźniaki, odmówią wspólnych gier, zagrają w matematyczne gry z Brianem. Odmówią oglądania świątecznych programów w telewizji, włączą na DVD wykład dla zaawansowanych o topologii, prowadzony przez wykładowcę MIT²⁰. Zjedz pół bombonierki. Przygotuj kolację. Pij, aż wpadniesz w stupor. Zrobi ci się niedobrze od słodyczy i wódki, idź spać. Takie miałam święta w zeszłym roku. Może ci się do czegoś przydadzą – podsumowała Eva. – I jeszcze coś, Brian. Nigdy. Więcej. Nie. Zrobię. Świąt.

W porze herbaty w wigilię Bożego Narodzenia śnieg nadal padał. Eva lubiła śnieg – jego piękno, zmianę, jaką wprowadzał w codzienne życie – i cieszyła się chaosem, który tworzył. Wyglądała przez okno za Stanleyem Crossleyem, który chciał z nią porozmawiać. Bała się tego spotkania. Żeby o nim nie myśleć, patrzyła na zewnętrzny parapet, na którym osiadały płatki śniegu i układały się w równą białą listwę.

Przypomniało się jej, jak wyrzuciła z domu na śnieg dziesięcioletnie bliźniaki, które wciąż się kłóciły, chociaż prosiła, żeby przestały. Pukały w okno salonu i błagały, żeby wpuścić je z powrotem, w czasie gdy Eva udawała, że czyta „Vogue’a”. Kilka minut później Brian wrócił z pracy i zobaczył zziębnięte dzieci w mundurkach szkolnych i swoją żonę przy miło trzaskającym kominku, zatopioną w lekturze magazynu, najwyraźniej nieświadomą nieszczęścia swoich dzieci.

– Nasze dzieci mogą skończyć w przytułku – wrzasnął Brian.
– Nie wiesz, ilu pracowników socjalnych mieszka w okolicy?

To była prawda – na okolicznych ulicach parkowała nieproporcjonalnie duża liczba nowych modeli volkswagenów garbusów.

Eva głośno się zaśmiała na to wspomnienie.

Zanim Brian wpuścił je do środka, bliźniaki zmuszone były się tulić, żeby się ogrzać. Powiedziała Brianowi, że to było ćwiczenie z tworzenia więzi – a ponieważ właśnie wrócił z wyjazdu integracyjnego w Brecon Beacons, gdzie musiał złapać, oprawić, ugotować i zjeść zająca, uwierzył jej.

Zobaczyła zbliżającego się Stanleya i dostrzegła, że zawahał się przed furtką. Śnieg pokrywał go całkowicie – od filcowego kapelusza aż po czarne buty. Odsunęła się od okna i usłyszała, jak tupie na werandzie. Zadzwoił dzwonek. Eva położyła się i przygotowywała na to, co miało się stać. Poprosiła Briana, żeby

dopilnował, aby Poppy nie było w domu.

– Jedyne sposoby, w jaki mogę to zagwarantować – powiedział Brian – to ją gdzieś ze sobą zabrać. Zostanę cholerną niańką, ale widzę, że nie mam wyjścia.

Mimo że policja wypuściła Stanleya bez postawienia mu zarzutów, Eva nie chciała ryzykować, że natknie się na Poppy. Nie istniały żadne podstawy, by sądzić, że nie oskarży go znów o to samo. Eva będzie musiała wyjaśnić, że fałszywe oskarżenie o śledzenie jest jednym z wielu bolesnych nieszczęść, jakimi obarcza ich Poppy. Hipochondria, chroniczne kłamanie, histeria, gdy ktokolwiek dotykał „jej rzeczy”, drobiazgi, które zaginęły w domu...

Czy Stanley przyszedł tu, aby złożyć na jej ramiona ciężar doświadczenia bliskości śmierci w płonącym samolocie? Czy zacznie łkać podczas przypominania sobie, jak skwierczała mu twarz i odpadła skóra? Czy spróbuje opisać tę mękę?

Eva bała się takich szczegółów.

Brianne zaprowadziła Stanleya na górę. Z zażenowania i zgrozy odjęło jej mowę. „Jego twarz jest okropna – myślała. – Biedny pan Crossley. Gdybym była na jego miejscu, nosiłabym jakąś maskę”. Chciała mu powiedzieć, że Poppy wcale nie jest jej koleżanką, że jej nienawidzi, nie chciała jej w tym domu i nie rozumie, dlaczego rodzice jeszcze jej nie wywalili za drzwi. Ale jak zwykle słowa nie nadeszły. Na szczycie schodów zawołała:

– Mamo! Pan Crossley przyszedł.

Stanley wszedł do białego pokoju, w którym jedynym przedmiotem odmiennego koloru był żółty fotel poplamiony na pomarańczowo i czerwono; przywiódł mu na myśl niebo podczas zachodu słońca. Ukłonił się delikatnie i wyciągnął rękę. Eva trzymała jego dłoń odrobinę dłużej, niż było to w zwyczaju.

– Czy mogę zabrać pana płaszcz i kapelusz? – spytała Brianne.

Stanley zdjął płaszcz i wraz z kapeluszem podał Brianne. Eva przy górnym świetle zobaczyła, że jego głowa jest płaskorzeźbą blizn.

– Niech pan usiądzie, panie Crossley.
– Gdybym wiedział, pani Beaver, że jest pani niedysponowana – powiedział – czekałbym, aż poczuje się pani lepiej.

– Nie jestem chora – odparła. – Zrobiłam sobie wolne od codziennej rutyny.

– Tak, to może przynieść korzyści, pozwala się od-budować, wzmocnić umysł i ciało.

Eva powiedziała, że Brianne może zrobić herbaty, kawy albo grzanego wina, które Brian przygotował na wieczór.

Machnął ręką.

– Jest pani zbyt miła. Dziękuję, ale nie.

– Cieszę się, że pan przyszedł – powiedziała. – Chciałam pana przeprosić za to, co się niedawno stało.

– Nie musi pani za nic przeproszać, pani Beaver.

– Ta dziewczyna jest gościem w moim domu. Czuję się odpowiedzialna.

– Z pewnością kłębią się w niej problemy.

– Jest też niebezpieczna.

– To miłe, że ją pani przyjęła.

– Nie takie znów miłe... Nie mogłam temu zapobiec. Gardzę nią.

– Wszyscy jesteśmy delikatni – powiedział Stanley. – I właśnie dlatego przyszedłem. To dla mnie niezmiernie ważne, by pani rozumiała, że nie zrobiłem nic, żeby przestraszyć tę dziewczynę. Zerknąłem na jej niecodzienne ubranie, ale nie zrobiłem nic więcej.

– Nie musi mi pan tego mówić. Wiem, że jest pan człowiekiem honoru i żyje wedle najściślejszych reguł.

– Nie odezwałem się do nikogo od powrotu z posterunku. To stwierdzenie, nie szukam współczucia. Mam wielu przyjaciół, do których mogę zadzwonić, i jestem członkiem wielu klubów i instytucji, ale jak pani doskonale widzi, nie poszczyło mi się z twarzą. – Zaśmiał się. – Przyznaję, pławiłem się w użalaniu się nad sobą po moim drobnym wypadku z samolotem, podobnie jak

większość z nas. Zaledwie nieliczni zaprzeczali, że cierpią. Śpiewali, gwizdali – przynajmniej ci, którzy mieli usta. I to właśnie oni mieli się załamać. Smród palonego ciała jest nie do opisanego. Próbowali go zlikwidować za pomocą izaru, jest robiony chyba z węgla, ale... ten odór zawsze tam był, w ustach, na mundurze. Niemniej sporo się śmiałyśmy. Mówiliśmy na siebie świnki morskie. Ponieważ eksperymentował na nas sir Archie McIndoe, powiedział nam, że przesuwamy granice chirurgii plastycznej, co oczywiście zrobił. Przez sześć tygodni miałem przyklejoną skórę z ramienia w miejsce, gdzie kiedyś znajdował się mój nos. Archie ogromnie się o nas troszczył. Myślę, że kochał nas jak ojciec. Śmiał się i mówił: „Żeńcie się z dziewczynami z bardzo słabym wzrokiem”. Wielu chłopaków ożeniło się z pielęgniarkami, ale ja posłuchałem jego rady i ożeniłem się z niedowidzącą dziewczyną, Peggy. Pomagaliśmy sobie nawzajem. W ciemnościach oboje byliśmy zupełnie zwyczajni.

– Wiem, że nie chce pan tego słyszeć, ale i tak to powiem. Uważam, że jest pan niesamowicie dzielny, i mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Stanley spojrzął za okno i potrząsnął głową.

– Przykra prawda, pani Beaver, polega na tym, że wykorzystałem słaby wzrok swojej żony i... – urwał i zaczął rozglądać się po pokoju, szukając czegoś, na czym mógłby zawiesić wzrok. Nie potrafił spojrzeć Evie w oczy. – W trakcie trwania mojego małżeństwa, zaczynając od chwili, gdy wróciliśmy z dwutygodniowego miesiąca miodowego, odwiedzałem raz w tygodniu pewną cieszącą się szacunkiem panią i płaciłem jej sporo pieniędzy, żeby uprawiała ze mną seks.

Eva przymknęła oczy. Odezwała się po chwili:

– Od jakiegoś czasu wiem, że mój mąż ma romans z kobietą, z którą pracuje. Nazywa się doktor Titania Noble-Forester.

Stanley czuł się wystarczająco ośmielony swoim wyznaniem, by powiedzieć Evie więcej.

– Od 1941 roku byłem wściekły. Irytowałem się ponad miarę, gdy mojej żonie zdarzało się coś upuścić, rozlać herbatę czy

przewrócić szklankę wody. Zawsze objęła się o meble i potykała o krawędzie dywanów, i zawsze odmawiała korzystania z tych drobiazgów, które mogłyby pomóc. Znała brajla. Bóg wie, po co się go nauczyła; zamawiałem książki, ale ich nie ruszała. Ale kochałem ją całym sercem i kiedy umarła, nie widziałem sensu, żeby ciągnąć to dalej. Kiedy spała obok mnie w łóżku, niemal potrafiłem wytrzymać swoje koszmary senne. Budziłem się z krzykiem, a moja ukochana żona trzymała mnie za rękę i opowiadała mi o rzeczach, które robiliśmy razem, i o krajach, które udało nam się wspólnie odwiedzić.

Napiął usta w słabym uśmiechu, który w jego przypadku mógłby pełnić funkcję interpunkcji.

– A pana przyjaciółka? Żyje?

– Och, tak. Wciąż ją odwiedzam raz w miesiącu. Nie łączy nas już relacja seksualna. Jest nieco chorowita. Płacę jej dwadzieścia pięć funtów, żeby móc z nią rozmawiać i przytulać się.

– Jak ma na imię?

– Celia. Od dawna pragnęłam wymówić jej imię w obecności kogoś, kto rozumie. Pani rozumie, prawda, pani Beaver?

Eva poklepała kódrę obok siebie. Stanley usiadł na łóżku i wziął ją za rękę. Oboje słyszeli głosy Briana i Poppy, gdy ci wchodzili do domu.

– Popęlenie samobójstwa nie przyniesie ci korzyści – mówił Brian. – Nie wymagamy od ciebie ostatecznego poświęcenia, Poppy.

– Ale on patrzył na mnie tak strasznie.

Brian stał już na schodach.

– Nie może patrzeć inaczej. Ma straszną twarz.

Brian był zażenowany na widok pana Crossleya i swojej żony trzymających się za ręce, niemniej teraz nic go już nie dziwiło. Świat najwyraźniej zwariował.

– Poppy prosi o pieniądze. Chce odwiedzić rodziców w czasie świąt.

– Daj jej, czego chce. Niech zniknie z tego domu. Aha, Brian,

pan Crossley spędzi z nami pierwszy dzień świąt i Boxing Day.

„No cóż, nie usiądę naprzeciwko tego brzydkiego sukinsyna” – pomyślał Brian.

– Obawiam się, doktorze Beaver, że jestem nudnym kompanem – odezwał się pan Crossley. – Chciałbym być bardziej towarzyski. Nie znam żadnych dowcipów, a większość moich opowieści jest raczej smutna. Są państwo pewni, że chcą mieć takiego gościa?

Brian się zawahał.

Eva *spojrzała* na niego.

– Oczywiście, że musi pan przyjść – powiedział szybko. – I proszę się nie martwić żartami. Znajdziemy je w ciasteczkach świątecznych. Będą także papierowe czapeczki i wiele błahostek, na których temat możemy rozmawiać, nie staniemy więc w obliczu tej typowo angielskiej niezręczności. Będziemy wesołą ferajną. Spotka pan dwójkę nadąsanych autystycznych nastolatków, moją matkę, czyli najbardziej apodyktyczną kobietę, jaką znam, oraz moją teściową, Ruby, której zdaniem Barack Obama stoi na czele Al-Kaidy. Spotka pan także mnie, z pewnością w plugawym nastroju, ponieważ po raz pierwszy w życiu będę przygotowywał świąteczną kolację. No i oczywiście moją żonę, tę, która wypisała panu zaproszenie, która wypięła się na jakąkolwiek pomoc przy okazji tych świąt i która będzie gniła w swojej jamie nad naszymi głowami, podczas gdy my będziemy jeść.

Przemówienie Briana spotkało się z ciszą. Zapomniał, z czym przyszedł, więc się oddalił, z przesadną ostrożnością zamykając za sobą drzwi.

Eva odwróciła się na łóżku i leżała teraz z twarzą w poduszkach.

– Wykańcza mnie – powiedziała. – Biedna Titania.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Kiedy pan Crossley znalazł się w cieniu, wciąż roześmiany, Eva zobaczyła cień przystojnego mężczyzny.

– Muszę już iść, pani Beaver – powiedział.

– Proszę, niech pan do nas jutro dołączy. Mam w planie

urznąć się po południu i wypalić dużo papierosów.

– To brzmi całkiem kusząco. Oczywiście. Przyjdę.

Gdy otworzył drzwi, Brian czaił się na półpiętrze.

Stanley uprzejmie poinformował Briana, że zjawi się na kolacji. Brian odprowadził go do drzwi.

– Jeśli jeszcze raz złapie pan moją żonę za rękę, utnę ją panu przy nadgarstku – syknął.

– Znam takich jak pan – odparł Stanley cicho. – Mieliśmy kilku podobnych w szwadronie. Mocni w gębie, chwalipięty. Zawsze byli ostatni do walki, zawsze pierwsi, żeby wrócić do domu. Nieskorzy do konfrontacji z wrogiem, zwykle mieli pecha, bo nagle w tajemniczy sposób tracili widoczność, przestawało działać radio i zacinała im się broń. Oszukiwali przy grze w karty, byli brutalni dla swoich kobiet i w ogóle do dupy. Dobranoc, doktorze Beaver.

Zanim Brian wymyślił ripostę, Stanley włożył kapelusz i wyszedł.

Pokryty lodem chodnik błyszczał w świetle lamp. Zmierzając powoli do spokojnego azylu swojego domu, pan Crossley przytrzymał się ścian i płotów.

W poranek pierwszego dnia świąt Eva obudziła się i wyjrzała za okno. Zobaczyła śnieg padający z granatowego nieba. Dom tonął w ciszy. Ale kiedy się wsłuchiwała, dobiegły ją dźwięki ciepłej wody krążącej w rurach i kaloryferach oraz cichutkie skrzywienie podłogi, kiedy rozciągała się i kurczyła. Spod okapu dolatywały sporadyczne świergoty jakiegoś ptaka. Nie śpiewał, ale w irytujący sposób skrzeczał „czuk, czuk, czuk”.

Eva uchyliła okno i wystawiła głowę, chcąc znaleźć ptaka. Na jej twarzy zwróconej w górę osiadał śnieg, po czym natychmiast się topił. Dostrzegła kosa, miał żółty dziób i świdrujące oko. Drugiego oka brakowało, w jego miejscu ział krwawy oczodół.

Kos zamachał skrzydłami, jakby szykował się do lotu, i skrzeczał swoje „czuk, czuk, czuk”. Jedno skrzydło miał zniekształcone i nie układało się właściwie.

– Co ci się stało? – spytała.

Do pokoju wszedł Brian Junior i przeczesał włosy.

– Kosy mają strasznie irytujący dźwięk budzika.

– Stracił oko i ma złamane skrzydło. Co powinniśmy zrobić?

– Ty nic nie zrobisz – powiedział. – Ja też nic nie zrobię. Jeśli jest poważnie ranny, zdechnie.

– Musi być coś...

– Zamknij okno, śnieg pada ci na łóżko.

Zasunęła okno.

– Może gdybym wniosła go do środka?

– Nie! – wrzasnął Brian Junior. – Życie nie jest łatwe! Natura jest okrutna! Silniejszy wypiera słab-szego! Wszystko umiera! Nawet ty, mamó, wraz ze swoim gigantycznym ego, nawet ty nie wywiniesz się śmierci!

Eva była zbyt zszokowana, by się odezwać.

– Wesółch świąt! – powiedział.

– Wesołych świąt – odparła.

Gdy wyszedł, owinęła się kołdrą. Kos wciąż skrzeczał żałośnie:

– Czuk, czuk, czuk.

Brian przygotowania do swojej pierwszej kolacji świątecznej zaczął od studiowania czasu potrzebnego do ugotowania potraw oraz rad zawartych w książkach kucharskich, które kupił Evie w ciągu wielu lat. Mówiła o nich zawsze „Delia”, „Jamie”, „Rick”, „Nigel”, „Keith”, „Nigella” czy „Marguerite”.

Po dogłębnym zapoznaniu się z książkami napisał „bezpieczny w razie awarii” program komputerowy, za którego wskazaniemi postanowił podążać, trzymając w jednej ręce stoper, w drugiej różne narzędzia – do ubijania, polewania sosem, krojenia, szatkowania, odsączania, mieszania, obierania, przeciskania, otwierania, nalewania i miksowania. Gości zaprosił na dwunastą czterdzieści pięć na drinki i obdarowywanie się prezentami. Chciał, żeby siedzieli przy stole nie później niż o trzynastej dziesięć, gdzie miała czekać na nich przystawka w postaci awokado i sufletu lawendowego.

Było mu przykro, że Poppy wyjechała do Dundee odwiedzić swoich umierających rodziców. Swoimi dokonaniem kulinarnymi podczas świąt chciał jeszcze bardziej jej zaimponować. Wyruszyła poprzedniego wieczoru, zarzucając na ramiona płaszcz Briana wykonany w pięćdziesięciu procentach z kaszmiru i zabierając ze sobą tylko niewielką torbę. Reszta jej bałaganu zalegała w pokoju gościnnym. Zanim salon jako tako zaczął nadawać się do użytku, Brianowi zeszła godzina na sprzątaniu.

Przed południem do pokoju Evy weszła Brianne. Miała na sobie jedwabną piżamę w herbaciane różyczki, za którą zapłaciła Eva, a Alexander zamówił przez telefon. Cała operacja zajęła nie więcej niż pięć minut.

Brianne zrobiła coś dobrego z włosami i jej twarz nie wyglądała tak surowo.

– To najcudowniejsza piżama! Nie chcę jej zdejmować!

– Alexander wybierał – odrzekła Eva.

– Wiem. Czy to nie najmiłszy człowiek?
– Powinnaś mu podziękować, kiedy go zobaczysz.
– Już to zrobiłam. Jest na zewnątrz z dziećmi. Zaprosiłam ich na obiad. Czy to nie najśłodsze dzieci na świecie?
Eva była zaskoczona, ale cieszyło ją, że Alexander tu jest.
– Najśłodsze? Nie używasz takich słów.
– Ale one są słodkie, mamó. I są takie mądre! Znają masę wierszyków i wszystkie stolice świata. Alex jest z nich taki dumny. Uwielbiam jego imię. Alexander. On naprawdę jest Aleksandrem Wielkim, prawda, mamó?
– Tak – zgodziła się Eva. – Ale Alexander ma czterdzieści dziewięć lat, Brianne.
– Czterdzieści dziewięć? To jak trzydzieści!
– Raz wygłosiłaś przemowę, że nikt powyżej dwudziestego piątego roku życia nie powinien nosić dżinsów ani tańczyć publicznie.
– Ale Alexander świetnie wygląda w dżinsach i zdawał maturę z matematyki, mamó! On rozumie równania różniczkowe niejednorodne!
– Widzę, że bardzo go lubisz – powiedziała Eva.
– Lubię? *Lubię* babcię Ruby. Lubię kocie wąsy i garnki z jasnej miedzi. Ale w Alexandrze Tacie jestem kurewsko i na zabój *zakochana!*
– Proszę! Nie przeklinaj.
– Ależ z ciebie cholerna hipokrytka! – wrzasnęła Brianne. – Sama przeklinasz! I starasz się zniszczyć mój związek z Alexem!
– Nie ma czego psuć. Nie jesteś Julią. Nie mamy tu do czynienia z konfliktem Montekich i Kapuletów. Czy Alexander w ogóle wie, że go kochasz?
– Tak, wie – odpowiedziała wyzywająco Brianne.
– I?
Brianne spuściła oczy.
– Oczywiście, że mnie nie kocha. Nie miał czasu mnie poznać. Ale kiedy zobaczyłam, jak zmaga się z regałem w Leeds, natychmiast wiedziałam, że jest osobą, na którą czekałam od

czasu, gdy byłam dzieckiem. Zawsze zastanawiałam się, kto to będzie. A wtedy on zapukał do moich drzwi.

Eva starała się chwycić rękę Brianne, ale ta wyrwała ją i schowała za plecami.

– Był dla ciebie miły? – spytała.

– Dzwoniłam do niego trzy razy, kiedy wracał autostradą. Powiedział mi, że powinnam częściej wychodzić i spotykać ludzi w moim wieku.

– Ma rację, Brianne – powiedziała delikatnie Eva. – On ma siwe włosy. Ma więcej wspólnego ze mną niż z tobą. Oboje kupiliśmy drugi solowy album Morrisseya.

– Wiem o tym – odparła Brianne. – Wiem o nim wszystko, co można wiedzieć. Wiem, że jego żona zginęła w wypadku samochodowym i że to on prowadził. Wiem, że nazwisko Tate pochodzi od jego przodków, którzy byli niewolnikami. Wiem, jak dużo zarabiał w pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku. Wiem, jakie płacił podatki. I do której szkoły i klas chodzą jego dzieci. Wiem, że ma debet na koncie w wysokości siedemdziesięciu siedmiu funtów i piętnastu pensów oraz że nie powinien mieć w ogóle debetu.

– Powiedział ci o tym?

– Nie. Prawie z nim nie rozmawiałam. Wystalkowałam go.

– Co to znaczy?

– To jak rozmowa z neandertalką! Przeczytam o nim każdy możliwy dokument. Jeśli jest jakaś informacja, której potrzebuję, mogę znaleźć ją w necie. Zmapowałam historię jego życia i któregoś dnia stanę się jego częścią.

– Ale, Brianne, nie zapominaj o jego dzieciach. Nie lubisz dzieci, pamiętasz?

– Lubię *jego* dzieci! – krzyknęła.

Eva nigdy nie widziała swojej córki w takim stanie emocjonalnym. Usłyszała, że otwierają się drzwi pokoju Briana Juniora, a kilka sekund później syn wpadł do jej sypialni.

– Słyszę, że czepiasz się mojej siostry, mamó. Dlaczego się nie odwalisz i nie dasz nam spokoju?

Bliźniaki trzymały się razem i wszystko musiało się zacząć jeszcze w jej łonie.

Ucieszyła się, kiedy wyszli, ale nigdy wcześniej nie czuła się taka samotna. Słyszała, że rozmawiają w pokoju Briana Juniora. Mówili cicho i stanowczo, jak gdyby planowali co najmniej polityczną intrygę.

Podręczny komputer Briana wpadł do sosu z indyka. Próbował wyjąć go za pomocą szczypiec, ale wpadł z powrotem do brytfanny, obryzgując mu twarz wrzącą ciecżą. Zawył i włożył twarz pod kran z zimną wodą. Znów spróbował ze szczypcami i tym razem udało mu się podnieść sprzęt. Wrzucił go do zlewu, w którym piętrzyły się brudne naczynia. Tak jak podejrzewał, ekran zgasł.

Brian wpadł w panikę.

Co się jeszcze stanie?

Jak długo powinien piec się indyk?

Kiedy ma postawić na gazie brukselkę?

Powinien już wyjmować pudding z szybkiwaru?

Czy sos chlebowy jest wystarczająco gęsty?

Gdzie jest tłuszcz do ziemniaków?

Ignorując hałasy dobiegające z kuchni, także niewyraźne krzyki i przekleństwa, Ruby i Yvonne siedziały wygodnie w fotelach w salonie naprzeciwko rozpalonego kominka i wspominały kolacje sprzed lat, które przyszło im gotować.

– Bez pomocy komputera – powiedziała Ruby.

– Albo męża, który by potrafił gotować – dodała Yvonne.

Alexander spacerował ze swoimi dziećmi wzdłuż Bowling Green Road i uważał na samochody. Chodniki były śliskie od ubitego śniegu. Pomagał Venus jeździć na nowym rowerku z bocznymi kółkami. Thomas pchał wózek dla lalek z pluszową żyrafą w środku leżącą na różowej poduszce. Alexander zastanawiał się, czy nie przesadził z genderem.

Stanley Crossley trzasnął frontowymi drzwiami, kiedy mijali jego dom. Pogratulował dzieciom ich świątecznych prezentów i rzekł:

– Mam nadzieję, że nie jestem zbyt wcześnie.

Alexander się zaśmiał.

– Zapewne zjemy nieco później, niż było w planie.

– Dla mnie nie ma to znaczenia – odparł Stanley.

Przed domem Beaverów Thomas powiedział Stanleyowi, że żyrafa ma na imię Paul.

– To nader odpowiednie imię dla żyrafy – skomentował starzec.

Venus patrzyła na Stanleya.

– Czy boli pana twarz?

– Teraz już nie – odpowiedział. – Ale wygląda strasznie, prawda?

– Tak – przyznała Venus. – Gdybym była panem, nosiłabym maskę.

Stanley się roześmiał, lecz Alexander poczuł zażenowanie i starał się przeprosić.

– To szczerza reakcja dziecka – powiedział dobitnie Stanley. – Niebawem się do mnie przyzwyczai.

Słyszac glosy na zewnatrz, Eva uchylila okno i wystawila glowe na zewnatrz.

– Wesołych swiat! – krzyknela.

Spojrzeli w gore i odkrzykneli:

– Wesołych swiat!

„Pięknje wyglada – pomyslal Alexander – nawet z tymi zmierzwionymi wlosami”.

„Nawet gdyby teraz zza rogu wykuslykal Tiny Tim²¹ – pomyslal Stanley – nikt by sie specjalnie nie zdziwil”.

Usiedli w koncu do stolu o siedemnastej pientnascie. Brianne zapewnila sobie miejsce naprzeciwko Alexandra.

Czesc potraw okazala sie nawet jadalna.

– Tylko na kilku rzeczach sie wylozyles, Brian – powiedziala Ruby, gdy wyczyscila swoj talerz. – Twoje pieczone ziemniaki okazaly sie malo chrupiace, nie mialy skorke, a sos do indyka mial smieszny smak.

– Plastikowy – dodala Yvonne.

– Nie, metaliczny – poprawił je Brian Junior.
– Indyk jako taki był wyśmienity – odezwał się Stanley. –
Moje gratulacje, doktorze Beaver.

Brian ślaniał się na nogach. Jeszcze nigdy nie miał za sobą tak ciężkiej próby, zarówno fizycznej, jak i intelektualnej. Za zamkniętymi kuchennymi drzwiami na zmianę szlochał, przeklinał, krzyczał, załamywał się i histerycznie się śmiał, gdy walczył o to, by podać wszystko w tym samym czasie, a do tego ciepłe. Ale w heroiczny sposób mu się udało nałożyć trzynaście potraw na pół-miski i postawić na stole. Wyjęto krakersy, każdy włożył papierową czapkę i pozzymał się nad dowcipami.

Ruby pogratulowała Alexandrowi grzecznego zachowania jego dzieci.

– Tatuś powiedział, że da nam dziesięć funtów, jeśli będziemy dobrzy – odezwała się Venus.

Alexander się zaśmiał i pokręcił głową.

– Zdefiniuj dobro – odezwał się Brian Junior.

– Dziecko ma dopiero siedem lat! – ostudziła jego zamiary Yvonne.

Venus podniosła rękę i wpatrywała się w Briana Juniora, który skinął głową.

– Dobro to znaczy mówić ludziom dobre kłamstwa, żeby ich nie skrzywdziły prawdziwe słowa.

– Venus – odezwał się Brian. – Chciałbym poznać twoją opinię o posiłku, który ugotowałem i który właśnie zjadłaś.

– Tatusiu, muszę być dobra?

– Nie, po prostu powiedz prawdę, kochanie.

Venus położyła swoją serwetkę na stole. Odwinęła ją i pokazała przypalonego klopsika, osmaloną kielbasę, ociekającego tłuszczem ziemniaka, trzy rozgotowane brukselki i niedopieczony pudding.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Alexander schował twarz w dłoniach. Kiedy spojrział przez palce, zobaczył usta Brianne, wypowiadające: „Kocham cię”. Potrząsnął głową i szybko spojrział w inną stronę.

– Ale widzę, Venus, że z indykiem sobie poradziłaś – powiedział Brian.

Thomas poprawił swoją czapkę i odzywając się po raz pierwszy tego wieczoru, powiedział cichutko:

– Indyka rzuciła pod stół.

Nastąpił kolejny wybuch śmiechu.

Alexander poczuł zaskoczenie i przerażenie zarazem, że zapomniał o Evie. Wcześniej nieustannie o niej myślał.

– Czy ktoś zaniósł coś do jedzenia Evie? – zapytał.

Rozległy się kolejne salwy śmiechu, kiedy uzmysłowili sobie, że całkowicie o niej zapomnieli. Zachowało się niewiele. Nawet indyk się skończył. Alexandrowi udało się jednak zebrać przyzwoitą ilość jedzenia na talerzu. Włożył całość do mikrofalówki i włączył ją na trzy minuty. Przygotował nieco nowego sosu, przelał go do niewielkiej sosjerki i wyruszył na poszukiwania kolejnego pudełka krakersów. Brian powiedział, że powinno gdzieś być.

Reszta gości nie miała ochoty ruszać się od stołu. Podano kolejne drinki i rozmowa nabrała tempa. Często ktoś parsknął śmiechem. Nawet Stanley i Brian rozmawiali ze sobą.

– Tak, Stanley – powiedział Brian. – Moim zdaniem jedyne, czego człowiek potrzebuje na zimę, to kołdra o skali ciepła pięć.

Nagle otworzyły się drzwi kuchenne i do pokoju wpadła Poppy, ogłaszając swoim dziewczęcym głosem:

– Nie żyją. Mamusia i tatuś nie żyją!

Śmiech ustał.

– Twoi rodzice umarli? – spytała Ruby.

– Biedne dziecko! – zawołała Yvonne. – W dodatku w święta.

– Jasne – prychnęła Brianne. – Uwierzę, kiedy zobaczę świadectwo zgonu.

– Brianne, jak możesz tak mówić! – odezwała się Yvonne. – Wstyd mi za ciebie.

Poppy spojrzała na Brianne wyzywająco.

– Jeszcze go nie wystawiono.

– Dopóki nie zobaczę oficjalnego świadectwa zgonu, nie zamierzam okazywać ci ani odrobiny współczucia, okej? – powiedziała Brianne. – Kiedy umarli? Wczoraj? Dzisiaj?

– Dziś rano – odparła Poppy.

– I byłaś tam?

– Tak, byłam z nimi do końca.

– Umarli dokładnie w tej samej chwili, prawda?

– Tak – odpowiedziała Poppy. – Trzymałam ich oboje za ręce.

Brianne rozejrzała się po twarzach zafascynowanych gości przy stole.

– Kurczę, to najbardziej niesamowity zbieg okoliczności, o jakim słyszałam. Upiorne.

Poppy, z tryumfującym uśmiechem, ogłosiła:

– Aparatury zostały odłączone w tym samym momencie, na moją prośbę.

Brianne ciągnęła dalej.

– O której umarli?

– Dziś rano o dziesiątej.

– W Dundee? – upewniła się Brianne.

– Tak.

– A jak udało ci się dotrzeć z Dundee do Leicester przed osiemnastą trzydzięci w święto? Przecież transport publiczny nie działa, prawda?

– Nie – odpowiedziała Poppy. – Złapałam taksówkę.

Brianne, brzmiąc dokładnie jak inspektor Morse, spytała:

– W głębokim śniegu? Tam są przecież śnieżyce. Zawieje.

– Mieliśmy szczęście z pogodą.

– Zatrzymaliście się na coś do jedzenia? – nie przestawała Brianne.

– Nie, umieram z głodu. Trochę mi słabo.

Zatoczyła się lekko i usiadła na wolnym krześle przy stole.

– Co tak naprawdę zrobiłaś z pieniędzmi, które dali ci moi rodzice na lot do Dundee?

– Wystarczy, Brianne! – przerwał jej Brian.

Zapisała mikrofalówka.

Alexander wyjął z niej jedzenie dla Evy i postawił na stole, po czym wrócił do kuchni po tacę. Poppy postawiła talerz przed sobą, sięgnęła po czysty nóż i widelec i podziękowała.

Wszyscy przez chwilę przyglądali się w niemym przerażeniu, jak wkłada sobie jedzenie do ust, i krzyknęli naraz, że to posiłek Evy. Poppy złapała talerz i pobiegła z nim do kuchni.

– Mam nadzieję, że niesiesz to Evie! – krzyknął za nią Alexander.

– Dlaczego ona wróciła? – spytał cicho Brian Junior. – Znow wszystko zepsuje.

Alexander pobiegł na górę.

Eva leżała twarzą do ściany. Odwróciła się do niego, a gdy zobaczyła, że przyszedł z pustymi rękami, powróciła do poprzedniej pozycji.

– Jestem taka głodna. Zapomnieliście o mnie?

Alexander usiadł na brzegu łóżka.

– Ja nie. Myślę o tobie cały czas. Poczuj moje serce.

Wziął jej dłoń i położył na swojej białej koszuli.

– Czujesz rytm? Mówi: „Eva”.

Eva, starając się zmniejszyć nieco napięcie, powiedziała:

– Mogłabym zjeść twoje serce. Z imbirem, czosnkiem i papryczkami chili.

„Och, nie, mamy tu *sytuację* i muszę sobie z tym jakoś poradzić” – pomyślała.

Odwrócił jej dłoń i pocałował.

Przyglądała się jego twarzy, widziała zmarszczki wokół oczu i szary zarost na policzkach.

– Jedyne, o czym mogę myśleć, to jedzenie – powiedziała.

Zerwał się gwałtownie.

– Kanapka z indykiem?

Kiedy zszedł na dół, zobaczył w salonie Poppy. Wpychała sobie palcami do ust ostatni kęs jedzenia.

W porze lunchu w Boxing Day Brian położył na kolanach Evy dużą drewnianą tacę. Był to tradycyjny posiłek Beaverów z okazji tego święta.

– Na dole trwa istny pieprzony *Dzień Świstaka*. Te same twarze, tylko jedzenie inne. Każdy jak z klubu złamanych serc, co nie ma dokąd pójść.

Brianne znów zaprosiła Alexandra z dziećmi mimo niezadowolenia Briana, a Alexander przyjął zaproszenie, ponieważ chciał spędzić z Evą jak najwięcej czasu, zanim pojedzie do swojej byłej teściowej.

Stanley zjawił się na zaproszenie Ruby. Powiedziała, że posiadanie w domu dżentelmena to znaczna zmiana.

Tylko Poppy zaginęła. Wyszła wcześniej rano do centrum, żeby „karmić głodnych”, jak się wyraziła, w magazynie w centrum miasta prowadzonym przez chrześcijan w czasie trwania świąt.

– Ta dziewczyna ma złote serce – powiedział Brian.

Bliźniaki w tym samym momencie wetknęły sobie palce do gardeł.

– Sałatka wygląda pięknie – stwierdziła Eva.

– Moja matka dziś rano splądrowała supermarket – odezwał się Brian. – Z tamtego indyka zostały same kości.

Eva spojrzała na talerz, na którym leżały różne mięsa.

– Wszystko wygląda bardzo ładnie.

– Twoja matka pieprzyła się z tym całe rano – rzucił pogardliwie.

Na tacy stał talerzyk z sałatką, na którą składały się poukładane w coraz mniejszych okręgach kolejno pomidor, ogórek, burak ćwikłowy, duża rzodkiewka oraz kawałek dymki. Na kolejnym talerzyku znajdowała się dymiąca porcja pieczonych ziemniaków naciętych na krzyż, w środku których szybko topiła się bryłka masła. Małe owalne naczynie zawierało niewielki

kopczyk tartego pomarańczowego sera. Dwa kawałki pasztetu wieprzowego w cieście leżały otoczone marchewko-wymi pałeczkami oraz zakrzywionymi półksiężycami zielonej papryki. W kieliszku na jajka był brązowy sos. Serwetkę złożono w kształt wachlarza. Evę ucieszył spory kieliszek czerwonego wina.

– Syn Alexandra nosi różowy kostium baletnicy, ale jeszcze nikt nie zwrócił na to uwagi – oświadczył Brian.

– Twoja mama powiedziała mi, że po obejrzeniu *Czarnoksiężnika z krainy Oz* chciałeś mieć parę czerwonych bucików Dorotki – odezwała się Eva.

– Ale ich nie dostałem, prawda? – odparł urażonym tonem.

Kiedy Brian zszedł na dół, by dołączyć do pozostałych gości, zaczął go Alexander.

– U Ewy wszystko w porządku? – zapytał.

– A dlaczego coś by miało być nie w porządku? Wszyscy jej nadskakują. Jeśli nie będzie ostrożna, straci władzę w kończynach.

Yvonne włożyła sobie do ust cieniutki jak opłatek kawałek szynki.

– No cóż, nie zgadzam się z większością tego, co mówisz, Brian, ale w pełni podzielam twoje zdanie w kwestii Ewy. To zwykle lenistwo. Co by się stało, gdybyśmy przestali ją karmić? Zagłodziłaby się na śmierć czy zeszłaby na dół i nakarmiła się sama?

– Powinniśmy to sprawdzić – uznała Ruby.

– Nie sprawdzajcie tego przez kolejny tydzień, bo wyjeżdżam – powiedział Alexander.

Brianne jakby rąbnął piorun.

– Dokąd jedziesz?

– Jedziemy do mamusi mojej mamusi – odpowiedziała Venus.

– I położymy trochę kwiatków w miejscu, gdzie nasza mamusia jest zakopana – dodał Thomas.

Yvonne odwróciła się do Alexandra.

– Nie ciągasz tych maleństw po cmentarzach, prawda?

– Nie. Prowadzę je tylko na jeden – odparł bez uśmiechu

Alexander.

Brian Junior twittował do twitterian na całym świecie:

Najgorsza kolacja św. w życiu. Coś jak karbon, ludzie. Teraz Boxing Day, nuda – siedzenie wśród zombiaków, apokalipsa zombiaków na prosię.

– W tej chwili priorytetem moim i Brianne jest pozbycie się Poppy – powiedział do zebranych.

– To dziecko jest chore – odezwał się Brian w jej obronie. – Rozmawiałem z nią dziś rano. Zaproponowała, że wyjedzie dziś po południu, ale powiedziałem jej, że musi zostać, dopóki nie będzie sobie potrafiła sama poradzić.

– Pogodzenie się ze śmiercią mojej mamy zajęło mi całe lata – wtrąciła się Ruby. – Myślałam o niej, kiedy wieszalałam pranie w wietrzne dni. Miejmy nadzieję, że ta biedna mała Poppy ma dobre wspomnienia z czasów, gdy jej mamusia i tatuś byli zdrowi i cali.

– Pana twarz wygląda coraz lepiej – powiedziała Venus do Stanleya.

– Niezmiernie miło mi to słyszeć – odparł, a zwracając się do pozostałych, zapytał: – A w kwestii Poppy, czy ktokolwiek z was zauważył, że pod tym pstrokatym pier-ścionkiem ma wytatuowaną swastykę? Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę ze znaczenia tego symbolu.

– Młodzi ludzie flirtują ze wszelkiego rodzaju motywami, które szokują, ale to nie robi z niej od razu Evy Braun – odezwał się Brian. – Ma miejsce w tym domu, dopóki ja w nim mieszkam.

– Zdziwiał mnie pan, doktorze Beaver – powiedział Stanley. – Nie obrażają pana symbole faszystowskie? Nie wziąłbym pana za sympatyka nazizmu.

– Sympatyka nazizmu! – powtórzył Brian. – Ona ma osiemnaście lat, flirtuje z różnymi filozofiami.

Zadzwoił dzwonek. Thomas zgramolił się ze swojego stołka i poszedł otworzyć.

– Kochane z niego serduszko – wzruszyła się Ruby. – Ale nie sięgnie do klamki.

Thomas wyprężył się na palcach i obiema rękami pociągnął

klamkę w dół.

Widok małego czarnego chłopca w różowym kostiumie baletnicy i baletkach zdziwił doktor Titanię Noble-Forester.

– Płakała pani? – zapytał Thomas.

– Tak – odpowiedziała. – Płakałam.

– Ja płakałem w samochodzie przez dziesięć minut.

– Dlaczego?

– Nic innego nie miałem do roboty – odparł. – Jak długo pani płakała?

– Całą noc i jakąś godzinę czy dwie dziś rano. – Po czym dodała: – Czy ten łajdak doktor Beaver jest w domu?

– Tak – odpowiedział Thomas, wciąż stojąc w progu.

– Chciałabym z nim porozmawiać. Odsuniesz się, proszę, od drzwi?

Titania słyszała podniesione głosy dobiegające z głębi domu. Jeden z nich należał do Briana. Wrzeszczał coś o mitologii nordyckiej, symbolice pogańskiej i odynizmie.

– Chciałaby pani tam pójść? – zapytał Thomas.

– Tak, dziękuję.

Thomas zaprowadził Titanię do kuchni.

Brian niemal udławił się skórką upieczonego przez siebie ziemniaka, gdy oświadczyła:

– Wyrzucił mnie z domu, Brian. Nie mogę jechać do matki, to by ją zabiło. Nie mogę też jechać do siostry. Nie dam tej suce satysfakcji. Powiedziałeś, że odejdziesz od Evy po świętach. Cóż, już jest po świętach.

Każdy wydał z siebie westchnienie. Poza Brianem. Wystrzelił ze swojego krzesła, jakby go ktoś trafił z działa sporego kalibru. Wylądował obok Titanii, podłoga jęknęła pod jego ciężarem. Gorączkowo starał się wypchnąć kobietę z kuchni, ale ta nie ruszyła się z miejsca.

Stanley Crossley, który wstał zaraz po wejściu Titanii, spytał:

– Proszę pani, wygląda pani na roztrzęsioną. Czy mogę podać pani coś do picia?

– To jest mój dom, do cholery! – ryknął Brian. – To ja

decyduję, kto pije, a kto nie!

Titania splotła ręce na piersi i stanęła pewniej na nogach. Nie ruszyła się ani na krok.

– Poproszę podwójną wódkę, tonik, plasterek cytryny i pół garści kruszonego lodu oraz różową słomkę, jeśli pan znajdzie. Dziękuję.

– Kim ona jest, skoro bywa w tym domu? – spytała Ruby.

– Stara kobieto – odezwała się Titania – od wielu lat jestem kochanką doktora Briana Beavera.

– Kochanką? – zdziwiła się Ruby. Według niej Brian należał do tego gatunku ludzi, a wraz z nim królowa, których w żaden sposób nie kojarzyła z seksualnością.

Brian rozglądał się po swojej kuchni.

Co się stało z jego światem? Sprawiał wrażenie, jakby nie znosił ludzi, którzy się tu znajdowali. Był mężczyzna z poparzoną twarzą przygotowujący drinka dla Titanii – kobiety, której niegdyś pożałował. Był chłopiec w stroju baletnicy i siedmioletnia dziewczynka, która wyznawała własną szkołę utylitaryzmu, dwie starsze kobiety należące do wieków średnich (albo połowy lat pięćdziesiątych), jego bliźniaki, bystrzejsze od niego, które ostentacyjnie odwróciły się plecami do jego kochanki, oraz ten irytująco dobrze wykształcony czarny mężczyzna z włosami opadającymi mu niemal do pasa. A na górze, jak wisienka na torcie, znajdowała się żona, która musiała *pomyśleć*, i to zajmowało jej cały czas.

Czy został jedynym normalnym homo sapiens? Czy ignoranci naprawdę spodziewają się, że znajdą podobnych sobie na planecie leżącej na rubieżach kosmosu? Było mało prawdopodobne, by jakiś obcy pisał liściki do roznosiciela mleka albo opłacał ubezpieczenie na życie swoich zwierząt. Czy te nieuki nie rozumieją, że prawdziwymi obcymi są ludzie?

Powrócił myślami do dzieciństwa, gdy śniadanie było o siódmej trzydzieści, obiad o dwunastej czterdzieści pięć, a kolacja o osiemnastej. Co do minuty. Pora na sen przychodziła o dziewiętnastej piętnaście, dopóki nie skończył dwunastu lat, i o

dwudziestej, gdy miał trzynaście, potem przesunęła się o kolejne pół godziny. Nie było żadnych komputerów, które mogłyby go rozpraszać – choć czytał o nich w maga-zynie „Look and Learn”. W nagrodę matka zabrała go do Leicester, żeby zobaczył pierwszy komputer w mieście, który znajdował się w pomieszczeniach fabryki pończoch i miał wielkość dwóch jego pokoi. Znow zaczął rozpaczać nad faktem, że z pewnością wyzionie ducha, zanim minie pięćdziesiąt lat i nie zobaczy rozwoju nanotechnologii, komputerów kwantowych czy następującej świadomości planetarnej. Z jego ciśnieniem będzie miał szczęście, jeśli zobaczy lądowanie na Marsie.

– Brian! – powiedziała ostro Yvonne.

– Tak?

– Znowu to robisz.

– Co robie?

– Zawieszasz się jak wtedy, gdy byłeś dzieckiem i gapiłeś się w niebo.

Brian gwałtownie chrząknął, jak gdyby coś rzeczywiście stanęło mu w gardle.

– Wiem, że może jestem zbyt staroświecka – odezwała się Ruby – ale czy tylko mnie się wydaje, że cała ta sytuacja jest nieco kompromitująca? – Spojrzała na Titanię. – W moich czasach, Brian, pobiłby cię mąż tej pani. Miałbyś szczęście, gdybyś zachował całe rzepki. Powinieneś się wstydzić.

– Brian przez lata był nieszczęśliwy w małżeństwie – powiedziała Titania ze współczuciem w głosie. Następnie zwróciła się do niego: – Idę na górę porozmawiać z twoją żoną.

– Czy ja też mogę iść? – spytał Thomas.

Titania zaśmiała się jednym ze swoich szczekających śmiechów.

– Dlaczego nie, chłopczyku? Nie jesteś za młody, żeby się dowiedzieć, że twoja płeć jest ograniczona i okrutna.

– Thomas, usiądź – odezwał się Alexander.

Titania wzięła wódkę, wyszła z kuchni i krzyknęła:

– Eva!

– Na górze!

Pierwsza myśl Evy, gdy zobaczyła Titanię, była taka, że ta kobieta w białej bluzce i czarnej spódnicy wygląda jak szefowa domu pogrzebowego. Skórę wokół oczu miała tak opuchniętą, jakby cierpiała na ciężką alergię, albo, biedna, bardzo długo płakała.

– Nie powiedział mi, że jesteś piękna – odezwała się Titania.

– Mówił mi, że jesteś chudym babonem. Jesteś naturalną blondynką?

– Tak. A ty naturalnie ruda?

Titania usiadła na fotelu i znów zaczęła płakać.

– Obiecał mi, że od ciebie odejdzie po świętach.

– Być może to zrobi – powiedziała Eva. – Boxing Day to wciąż święta. Może odejdzie jutro.

– Mój mąż mnie wyrzucił. Nie miałam dokąd pójść.

Eva rzadko bywała złośliwa – serce miała miękkie jak jej poduszki z gęsim puchem – ale czuła się dotknięta ośmioma latami kłamstw.

– Zamieszkać z nami. Możesz się zatrzymać w jego największej szopie. Jest tam sporo miejsca na ubrania. Obie wiemy, że w kwestii ubrań Brian nie ma wiele do powiedzenia.

– Nie wydaje mi się, żeby to był gest wynikający z altruizmu.

– Bo tak nie jest – zgodziła się Eva. – On lubi swoją samotnię. Szlag go trafi na samą myśl, że w jego ukochanej szopie ktoś mieszka na stałe.

Obie kobiety się zaśmiały, lecz nie po przyjacielsku.

– Dopiję drinka i wezmę swoje rzeczy z samochodu – odezwała się Titania.

– Powiedz mi coś – rzekła Eva. – Udajesz orgazmy?

– Zwykle nie ma na to czasu, on dochodzi w kilka minut.

Załatwiam to sama.

– Biedny Brian, w futbolowej lidze kochanków jest Accrington Stanley²².

– Dlaczego nikt mu nie powiedział?

– Dlatego, że nam go żal – odparła Eva. – I dlatego, że

jesteśmy silniejsze od niego.

– Kiedy CERN²³ zaprosił mnie do pracy przy akceleratorze cząstek, powiedział: „Naprawdę? *Muszą* mieć poważne kłopoty kadrowe” – wyznała Titania.

– Kiedy po raz pierwszy pokazałam mu swój haftowany fotel, nad którym pracowałam dwa lata, powiedział: „Sam mógłbym się nauczyć haftować, gdyby mi się chciało. To tylko materiał, igła i nić, prawda?”.

Titania przebiegła dłońmi po oparciach fotela.

– Jest przepiękny.

Gdy wyszła, Eva klękła przy oknie i patrzyła, jak Titania próbuje wtargać coś, co wyglądało jak zawartość niewielkiego gospodarstwa domowego.

W kuchni Titania i Brian zaczęli się kłócić, ponieważ odmówił noszenia jej rzeczy do szopy. Reszta gości odpłynęła od kuchennego stołu i usiadła na schodach, niezbyt wiedząc, dokąd pójść ani co robić.

Eva słyszała ich przytłumione głosy w korytarzu i zaprosiła ich do siebie.

Ruby zagłębiła się w fotelu, Stanley przysiadł na brzegu łóżka, używając swojej laski jako podpórki, a reszta rozsiadła się po turecku na podłodze i oparła o ściany.

Alexander dostrzegł spojrzenie Evy i przez chwilę patrzył jej w oczy.

Thomas i Venus zaczęli się bawić w Okrutną Rosyjską Nauczycielkę Baletu, zabawę, która zdominowała ich zajęcia w święta. Kiedy Venus perorowała, że arabeska Thomasa była do bani, i zagroziła mu laniem nie-widzialną różgą, Alexander poprosił, żeby bawili się na dole.

Odezwała się komórka Briana Juniora.

Dzwonił Ho.

– Tak? – powiedział do słuchawki Brian.

– Gdzie mam się udać, żeby dostać pieniądze od rządu?

Brian Junior nieco się zmieszał.

– Nie nadążam. Wyjaśnij.

– Nie mam pieniędzy na jedzenie. I jestem głodny.

Dzwoniłem do Poppy, ale nie odbiera. No więc może wiesz, gdzie w Leeds znajduje się biuro z rządowymi pieniędzmi?

– Dziś jest zamknięte – wyjaśnił Brian Junior. – Ale kiedy otworzą, i tak nie dadzą ci pieniędzy. Jesteś studentem.

– A gdzie dostanę pieniądze?

– Ho, nie mogę ci pomóc. Nie mam głowy do czyichś problemów.

– Jeśli pójdę do jednego z waszych kościołów i poproszę

jakiegoś księdza o pieniądze, da mi trochę?

– Pewnie nie.

– Ale jeśli powiem mu, że jestem głodny i że nie jadłem od dwóch dni i dwóch nocy?

– Proszę, źle się od tego czuję – wił się Brian Junior.

– Ale ja jestem jak ten wasz Jezus na pustyni. On też czasem nie miał jedzenia.

Brian Junior oddał słuchawkę Brianne, która uważnie się przysłuchiwała.

– Przez ciebie już wszyscy troje jesteśmy nieszczęśliwi – powiedziała ze złością.

– Telefon mi mówi, że prawie nic nie mam na koncie.

– Zrób tak – odezwała się Brianne. – Włóż swój płaszcz i czerwony szalik i idź do świątyni sikhów. Jest przy głównej ulicy, na tyłach naszego budynku. Przed wejściem powiewają pomarańczowe flagi. Nakarmią cię. Wiem, bo chłopiec z mojego seminarium w pierwszym tygodniu nauki przepuścił wszystkie swoje pieniądze na motocykl z drugiej ręki i perkusję i sikhowie karmili go przez miesiąc. A teraz powtórz instrukcje, które ci dałam – powiedziała surowo. Słuchała przez chwilę. – Dobrze. Płaszcz, szal, klucze. Idź teraz – powiedziała i się rozłączyła.

– Kolejna nazistka w domu – wymamrotał Alexander.

– Dlaczego ten biedny chłopiec jest w takim położeniu? – spytała Eva.

– Oddał Poppy większość swoich pieniędzy – odpowiedziała Brianne.

– Wszystkie drogi prowadzą do Poppy – zauważył Stanley. – Co z nią zrobić?

– Z radością przyglądałbym się, jak stąd odchodzi. Boso. I jak kona w śniegu – powiedziała Brianne.

Eva złapała się za głowę.

– Proszę, córeczko, nie mów takich rzeczy. Stajesz się taka gruboskórna.

– Nic nie wiesz o niej ani o spowodowanych przez nią szkodach! – wrzasnęła Brianne. – Dlaczego pozwoliłaś zostać jej

w naszym domu? Przecież wiesz, że Bri i ja jej nienawidzimy!

– Cóż – odezwała się Ruby – współczuję temu biednemu dziecku. Jej rodzice właśnie zmarli! Wczoraj długo z nią rozmawiałam. Ich ciała zostaną przywiezione z powrotem do Leicester. Poradziłam jej, żeby skorzystała z usług tutejszej firmy pogrzebowej. Doskonale się uwinęli przy waszym dziadku. To nie była ich wina, że po ciało pojechali pod zły adres. Faitree Avenue brzmi jak Fir Tree Avenue.

Brianne uklękła przy oparciu fotela i patrząc babci w oczy, powoli i starannie dobierając słowa, odezwała się:

– Babciu, dlaczego władze Dundee wysyłają ich ciała do Leicester? Zgodnie z tym, co mówiła Poppy, mieszkali w Hampstead, otoczeni bogatymi krewnymi i znanymi na całym świecie przyjaciółmi. Jej sąsiadem był Hugh Grant.

– Wiem o tym! – odparła zniecierpliwiona. – Poppy mówiła mi, że często zapraszali go do swojego samolotu. Raz musiał przejść stery, kiedy tata Poppy źle się poczuł. Musiał awaryjnie lądować w parku Hampstead Heath. Jeden policjant został lekko ranny.

– Ty głupia starucho! – krzyknęła Brianne. – Wszystko, co ci powiedziała, to kłamstwo!

Ruby zmarszczyła twarz.

– Zdziwiasz mnie, Brianne. Odzywać się do starszych w ten sposób! Byłaś kiedyś miłą i grzeczną dziewczynką. Zmieniłaś się, od kiedy poszłaś na uniwersytet.

Brianne podniosła się z kolan.

– Firma pogrzebowa nie przywiezie żadnych ciał! Jej rodzice żyją i mieszkają w Maidenhead! Jej matka była dziś na Facebooku, chwalać się swoim znajomym, że dostała pod choinkę elektryczny koc!

– Skąd o tym wiesz? – spytała Eva.

Brianne i Brian Junior wymienili spojrzenia.

– Jesteśmy nieźli, jeśli chodzi o komputery – powiedział

Brian Junior.

Brianne położyła dłoń na ramionach brata.

– Ona nie nazywa się Poppy Roberts, lecz Paula Gibb. Jej rodzice zajmują mieszkanie komunalne. Nie mają prywatnego samolotu. Nie mają nawet samochodu ani centralnego ogrzewania.

– Przynajmniej mają elektryczny koc – rzucił Alexander i rozejrzał się po zebranych.

Poza Evą, nikt się nie uśmiechnął.

– Od jak dawna o tym wiecie? – spytał Stanley.

– Od kilku dni – odpowiedziała Brianne. – Zachowaliśmy to dla siebie. Zwykle nie ma co robić w Boxing Day, prawda?

– Osobiście uważam, że to obrzydliwe – odezwała się Yvonne. – Takie dwa wielkie umysły jak wasze przeciw dziewczynce w żałobie.

– Bri – odezwała się spokojnie Brianne. – Trzeba pokazać dane Poppy.

Brian Junior wstał i przeciągnął się, żeby rozluźnić mięśnie, jakby prosił Brianne o okazywanie mu nieco większego szacunku. Westchnął głęboko i poszedł do swojego pokoju.

Kiedy wrócił z dużym zielonym pudełkiem, Brianne powiedziała:

– Rozdaj papiery.

– Ale jak? Na chybił trafił?

Przytaknęła.

Rozdał wyglądające na oficjalne dokumenty, niektóre były spięte zszywkami.

Przez kilka chwil trwała cisza, w czasie której wszyscy czytali pierwsze zdania otrzymanych wydruków.

– No cóż – odezwała się Ruby. – Przeczytałam ten mój kawałek kilka razy i nic z niego nie rozumiem.

– Czy to jakiś test na inteligencję? – spytała Yvonne.

– Trzymasz w ręku świadectwo urodzenia, Yvonne.

Przeczytaj nam je na głos.

– Przestań mówić do mnie jak do psa, do kundla. Kiedy ja byłam dziewczynką...

– Taa – przerwała jej Brianne. – Kiedy ty byłaś dziewczynką, pisałaś kredą na tabliczce.

– Przepróś babcię – nakazała Eva córce.
– Przepszam – wymamrotała niedbale Brianne.
– Zatem z tego, co zostało tutaj napisane, wynika, że to świadectwo urodzenia dziewczynki nazywającej się Paula Gibb, urodzonej trzydziestego pierwszego lipca dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Jej ojciec nazywa się Dean Arthur Gibb, pracuje jako dozorca parkingu. Jej mama to Claire Theresa Maria Gibb, asystentka na torze kręgielni.

Brian Junior zaśmiał się na głos i powiedział z amerykańskim akcentem:

– Jebać to, koleś, chodź na kręgle.
Rodzina nigdy nie słyszała, żeby przeklinał. Eva poczuła ulgę: oto ma dowód, że jej syn może być zwyczajnym nastolatkiem.

– Bri – odezwała się Brianne do brata. – Bez Lebowskich, proszę. To poważne sprawy.

– Ja mam raport pracownika socjalnego – powiedział Alexander. – Kiedy Paula miała trzy i pół roku, na jakiś czas została umieszczona w domu zastępczym.

W pokoju zaległa cisza.

Eva spojrzała znad swojej kartki.

– Ja mam dokument przyjęcia do szpitala uniwersyteckiego z jedenastego czerwca dziewięćdziesiątego piątego oraz raport z półrocznej obserwacji napisany przez jej opiekuna socjalnego, Delfinę Ladzinski. – Eva przebiegła wzrokiem dokument. – Gdzie mam zacząć?

Chrząknęła i przeczytała na głos jej zdaniem najważniejsze szczegóły, jakby czytała prognozę pogody.

– Opinia medyczna na temat przyjęcia na oddział: ślady przypalania papierosem na wierzchu dłoni i przedramionach, wszy, zakażenia po ukąszeniach pcheł, liszajec. Była niedożywiona, nie umiała mówić. Bała się korzystać z toalety. Prawie jak *Rebecca ze Słonecznego Potoku*²⁴, prawda?

Yvonne wstała.

– Nie wiem jak inni, ale ja mam tego dosyć. Jest święto.

Mam ochotę zjeść kanapkę z indykiem i pobawić się Panem Bulwą, a nie pławić w rynsztoku.

– Siadaj, Yvonne! – powiedziała Ruby. – Jest kilka spraw, którym musimy stawić czoło. Mam przed sobą raport policji z Thames Valley na temat pożaru domu sierot w Reading. Paula Gibb została przesłuchana. Powiedziała, że chciała tylko zapalić papierosa, używając kostki do rozpalania ognia Zip. Spanikowała i wyrzuciła kostkę do sali rekreacyjnej, gdzie wylądowała na stole do bilardu...

– Kiepsko się przez to czuję – przerwała Yvonne.

– To wszystko tłumaczy – odezwała się Eva.

– Ale nic z tego nie usprawiedliwia jej obecnego zachowania – nalegał Stanley.

Alexander pokiwał głową.

– Moja mama często zamykała mnie w ciemnym pokoju. Nie wiem, dokąd szła. Kazała mi się trzymać z dala od okien i mówiła, że jeśli będę płakał, to mnie odda. Robiłem więc to, co kazała. Ale jakoś dałem sobie radę.

Uniósł wzrok i zobaczył, że Eva wpatruje się w niego z taką intensywnością, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Gdybym wiedziała, że w tym domu znajduje się obłąkana osoba, hm, to znaczy, kolejna obłąkana osoba, nigdy bym tu nie przyszła – powiedziała Yvonne.

– Nie jestem obłąkana – sprzeciwiła się Eva. – Mam ci przypomnieć, że twój syn, a mój mąż, kłóci się właśnie na dole ze swoją kochanką?

Yvonne spuściła oczy i poprawiła pierścionki na swoich powykrzywianych przez artretyzm palcach.

– Dostałem jej dwa świadectwa szkolne. Na jednym ma zdanych dwanaście przedmiotów i nic poniżej czwórki. Na drugim ma najwyższą ocenę z angielskiego oraz dodatkowo wyróżnienie z religioznawstwa – rzekł Brian Junior.

– Zatem nie tylko jest psychopatką – powiedział Alexander. – Jest całkiem bystrą psychopatką. To przerażające.

Nagle, kiedy usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych i

charakterystyczne człapanie Poppy, wszyscy zerwali się na nogi i wpatrywali się w drzwi sypialni.

– Chciałabym z nią porozmawiać. Synu, czy możesz ją poprosić, żeby do mnie przyszła? – spytała Eva.

– Dlaczego ja? Dlaczego ja muszę iść? Nie chcę z nią rozmawiać. Nie chcę na nią patrzeć. Nie chcę oddychać tym samym powietrzem.

Każdy spojrzął po sobie, ale nikt się nie ruszył.

– Ja pójdę – odezwał się Alexander.

Zszedł na dół i znalazł ją, gdy udawała, że śpi, przykryta czerwonym kocem na sofie w salonie. Nie otworzyła oczu, jednak Alexander widział, że nie zasnęła i co pewien czas lekko unosi powieki.

– Eva chce z tobą pomówić – odezwał się głośno. A potem patrzył, jak dziewczyna wciela się w postać kogoś, kogo właśnie obudzono. Czuł względem niej mieszankę współczucia i pogardy.

– Musiałam zasnąć! – oświadczyła Poppy/Paula. – To był wyczerpujący poranek. Każdy w przytułku chciał uszczknąć trochę czasu Poppy.

– Cóż – powiedział. – Teraz trochę czasu Poppy chce uszczknąć Eva.

Kiedy weszli do sypialni Ewy, Poppy stanęła w pokoju pełnym oskarżycielskich twarzy. Ale już nieraz zdarzało się jej być w podobnej sytuacji. „Poradzisz sobie, dziewczyno” – powiedziała do siebie.

Eva poklepała brzeg łóżka.

– Usiądź, Paula. Nie musisz już kłamać. Wiemy, kim jesteś. Wiemy też, że twoi rodzice żyją. – Uniosła kartkę papieru. – Jest tutaj napisane, że twoja matka dwudziestego drugiego grudnia poszła do Ministerstwa Zabezpieczenia Społecznego prosić o pożyczkę, bo mówiła, że nie ma pieniędzy na święta. Twoją matką jest Claire Theresa Maria Gibb, prawda? Nawiasem mówiąc, nazywasz się Poppy czy Paula?

– Poppy – odpowiedziała dziewczyna z krzywym, nerwowym uśmiechem. – Proszę, nie nazywajcie mnie Paula.

Proszę. Nie nazywajcie mnie Paula. Dałam sobie nowe imię. Nie nazywajcie mnie Paula.

– W porządku. – Eva wzięła ją za rękę. – Nazywasz się Poppy. Dlaczego nie chcesz być sobą?

W pierwszym odruchu Poppy chciała udać płacz i szlochanie: „Ale ja nie wiem, kim jestem!”. Ale ciekawość zwyciężyła. Kim była? Mogłaby odpuścić sobie dziewczęcy głosik, pomyślała. Gdy spojrzała na swoją postrzępioną sukienkę z lat pięćdziesiątych, nagle okazała się wcale nie tak uroczo ekscentryczna jak stylowe kreacje Heleny Bonham Carter. Również jej buciory ze starannie poluzowanymi sznurówkami straciły swój „charakter”. Zmieniła ustawienia w głowie na neutralne i odczekała kilka sekund, żeby zobaczyć, dokąd ją to zaprowadzi. Odezwała się, testując swój nowy głos:

– Czy mogę zostać, aż zaczną się zajęcia? Proszę.

– Nie! – rzucili jednocześnie Brianne i Brian Junior.

– Tak, możesz zostać do rozpoczęcia kolejnego semestru – powiedziała Eva. – Ale wymienię ci teraz kilka zasad panujących w domu. Po pierwsze, żadnych kłamstw.

– Żadnych kłamstw – powtórzyła Poppy.

– Po drugie, koniec z wylegiwaniem się na sofie w samej bieliźnie. I po trzecie, koniec z kradzieżami.

– Wczoraj wieczorem znalazłam w jej torbie nasz minutnik – powiedziała Brianne.

Poppy usiadła obok Alexandra.

– Dostałaś wielką szansę – odezwał się. – Nie schrzań tego.

– I to tyle, tak? Zostało jej wybaczone, tak? – powiedziała Brianne.

– Tak – odparła Eva. – Tak jak wybaczyłam waszemu ojcu. Stanley podniósł rękę.

– Czy mogę coś powiedzieć? – Spojrzał na Poppy. – Nie należę do ludzi, którzy łatwo wybaczą, i wprost nie mogę wyrazić, jak złości mnie i martwi swastyka, którą sobie wytatuowałaś. Dręczy mnie to. Wiem, że jesteś młoda, ale z pewnością uczyłaś się historii współczesnej i masz pełną

świadomość, że swastyka symbolizuje straszne zło. Tylko proszę, nie mów mi, że twój nazistowski tatuaż przedstawia hinduskiego boga czy inne głupoty. Oboje wiemy, że zdecydowałaś się na swastykę albo dlatego, że jesteś nazistką, albo dlatego, że chciałaś się chwalić swoją alienacją wobec naszego dzisiejszego społeczeństwa i aby szokować. Mogłaś wybrać węża, kwiat, drozda, ale wybrałaś swastykę. Mam w domu kolekcję dokumentów, które pokazują, jak toczyła się druga wojna światowa. Jeden z filmów przedstawia wyzwolenie obozu koncentracyjnego Belsen. Słyszałaś o tym miejscu?

– Tam zginęła Anne Frank. Pisałam o tym na egzaminie.

– Kiedy wojska alianckie przybyły uwolnić więźniów – kontynuował Stanley – zastały szkielety ledwie żywych istot, błagających o chleb i wodę. Odkryto ogromny dół pełen zwłok. To było przerażające, ale część nieszczęśników jeszcze żyła.

Buldożer...

– Wystarczy, Stanley! – krzyknęła Ruby.

– Przepraszam, nie chciałem nikogo zdenerwować. –

Odwrócił się znów do Poppy. – Jeśli chciałabyś obejrzeć filmy, czuj się zaproszona. Usiądziemy i obejrzymy je razem.

Poppy potrząsnęła głową.

Zapadła cisza.

– Usunę to – odezwała się w końcu Poppy. – Laserem.

Kocham Anne Frank. Zapomniałam, że była Żydówką. Płakałam, kiedy naziści znaleźli ją na strychu. Tatuaż ze swastyką mam tylko dlatego, że gdy miałam czternaście lat, zadurzyłam się w chłopaku, który uwielbiał Hitlera. Miał pod łóżkiem walizkę pełną bagnetów, medali i podobnych rzeczy. Powiedział mi, że Hitler kochał zwierzęta i był wegetarianinem i że jego jedynym pragnieniem było zaprowadzenie na świecie pokoju. Gdy spędzaliśmy czas w jego domu, mówiliśmy do siebie Adolf i Eva. Tak sobie życzył.

Wszyscy spojrzeli na Evę.

– Mieście pretensje do mojej matki.

– Nazywasz się po gwiazdce filmowej! – oburzyła się Ruby.

– Evie Marie Saint.

– Rzucił mnie po dwóch miesiącach – powiedziała Poppy. – Ale tatuaż został.

Stanley pokiwał głową.

– Więcej nie poruszę tego tematu. – Lekko zakaszła, co zabrzmiało jak kropka, po czym zwrócił się do Ruby: – Ach! Eva Marie Saint. Scena z Marlonem Brando. Swing, rękawiczka, jej śliczna twarz.

Rozmowa zeszła na inne tematy.

Alexander opuszczał pokój Evy jako ostatni.

– Jeśli będziesz mnie potrzebować, dzwoń – powiedział. – Przybiegnę.

Kiedy wyszedł, Eva nie potrafiła pozbyć się słów piosenki, które kołatały się jej w głowie. Zaczęła sobie cichutko nucić. „Zima, wiosna, lato lub jesień...”.

W środku nocy, gdy reszta domu spała, Poppy zakradła się do pokoju Evy. Ściany oświetlał księżyc w pełni i w tym właśnie świetle Poppy wdrapała się na łóżko.

Eva się poruszyła, ale nie obudziła.

Poppy położyła głowę na ramieniu Evy i objęła ją w pasie.

Rano Eva czuła czyjaś obecność. Ale kiedy spojrzała w bok, zobaczyła tylko wgłębienie w poduszce.

Pan Lin poczuł podekscytowanie, gdy zobaczył odręczne pismo swojego syna na kopercie listu, który odebrał z poczty na przedmieściach Pekinu. Prawdopodobnie Ho przysłał życzenia świąteczne. Pan Lin wiedział, że ludzie w Anglii czczą dzień narodzin Jezusa Chrystusa – który, jak mu powiedziano, był nie tylko synem ich Boga, ale także rewolucyjnym komunistą, którego władze torturowały i wykonały na nim wyrok śmierci.

Pomyślał, że zaczeka z otwarciem listu, aż wróci do domu. Albo wręczy go żonie i zobaczy radość na jej twarzy. Oboje tęsknili za swoim dzieckiem. Wysłanie go do Europy było trudną decyzją, ale nie chcieli, żeby pracował w fabryce jak oni. Pragnęli, żeby został chirurgiem plastycznym i zarabiał ogromne pieniądze. Nieprzebrane morze młodych Chinek na całym świecie pielęgnowało w sobie wstyd związany z kształtem ich oczu i małymi piersiami.

Pan Lin zatrzymał się przy straganie, żeby kupić żywą kure. Wybrał taką, która zapewni im posiłek na kilka kolejnych dni, zapłacił i niosąc ją za łapy, poszedł na targ warzywny i owocowy, gdzie kupił pięknie zapakowane pudełko rajskich jabłek w prezencie dla żony. Jabłuszka kosztowały pięć razy tyle co zwykłe jabłka, ale pan Lin uwielbiał swoją żonę. Prawie się z nim nie kłóciła, miała wciąż czarne włosy, a jej twarz przecinało zaledwie kilka zmarszczek. Smuciła się wyłącznie wtedy, kiedy mówiła o córce, której nie mogli mieć.

Minął plac zabaw znajdujący się przy wieżowcu, w którym mieszkał z żoną na dwudziestym siódmym piętrze. Spojrzał w górę i znalazł ich okno. Miał nadzieję, że winda działała.

Gdy dotarł do mieszkania zdyszany i z trudem łapiący powietrze, jego żona wstała z krzesła i podeszła się z nim przywitać.

– Patrz, kto do nas pisze – powiedział i wręczył jej list od Ho.

Uśmiechnęła się z zachwyty i dotknęła czerwono-zielono-złotych znaczków świątecznych, jakby były drogocennym dziełem rąk ludzkich.

– To narodzenie ich Jezusa – powiedziała.

Kura gdakała i chciała się uwolnić. Pan Lin zaniósł ją do wąskiej kuchni i wrzucił do zlewu. Usiedli razem naprzeciw siebie przy niewielkim stoliku. Pani Lin położyła list między nimi.

Pan Lin wyjął z reklamówki rajskie jabłka i ustawił je obok listu.

Jego żona promiennie się uśmiechnęła.

– Są dla ciebie – powiedział.

– Ale ja tobie niczego nie kupiłam! – zawołała.

– Nie było takiej potrzeby. Dałaś mi Ho. Ty otwórz list.

Otwierała go powoli i ostrożnie. Przebiegła wzrokiem po pierwszych liniijkach. Przestała czytać, a jej twarz skamieniała. Przesunęła list po stole w jego stronę.

– Musisz być silny, mężu – powiedziała.

Pan Lin w trakcie lektury kilka razy krzyknął. Kiedy dotarł do końca, odezwał się:

– Nigdy nie lubiłem kwiatów maku²⁵. Jest wulgarny i zbyt łatwo się rozsiewa.

Kura zagdakała.

Pan Lin wstał, wziął ostry nóż, drewniany klocek i szybko pozbawił kurę głowy. Wrzucił ją z powrotem do zlewozmywaka i patrzył, jak jasna krew znika w odpływie.

W sylwestra do drzwi zadzwonił ktoś obcy, kobieta. Chciała rozmawiać z Evą.

Titania, bo akurat przypadała jej kolej otwierania drzwi, zapytała:

– Kogo mogę przedstawić?

– Mieszkam na końcu Redwood Road – powiedziała. – I raczej nie podam swojego nazwiska.

Titania wpuściła kobietę i poprosiła, by zaczekała w korytarzu, podczas gdy sama udała się na górę.

– Nosisz tę okropną apaszkę, którą Brian kupił mi na święta – stwierdziła Eva, kiedy ją zobaczyła. – Co jeszcze mi zabrałaś?

Titania się zaśmiała.

– Tylko twojego męża.

– Stonowany kolor oliwkowy także ci pasuje – zauważyła Eva. – Powinnaś częściej się tak ubierać. Wprowadź ją.

Kiedy Titania zeszła na dół, Eva przeczesła dłońmi włosy i poprawiła poduszki.

Kobieta zbliżała się do wieku średniego i podjęła decyzję, by jej włosy rosły w sposób naturalny. Były szare i sztywne. Miała na sobie szary dres oraz szare tenisówki. Wyglądała jak maźnięcie ołówka na białej kartce.

Eva poprosiła ją, żeby usiadła na fotelu.

– Nazywam się Bella Harper – powiedziała, wyraźnie wymawiając każdy wyraz. – Przechodzę pod pani oknem co najmniej cztery razy dziennie.

– Tak, widywałam, jak prowadzi pani dzieci do szkoły.

Bella wyjęła z kieszeni dresu garść chusteczek.

Eva przygotowała się na to, co nieuniknione. Czuła odrazę do łez. Dziś ludzie płaczą zbyt łatwo.

– Potrzeba mi porady na temat najlepszego i najmniej niemiłego odejścia od męża – powiedziała Bella. – Te święta

okazały się torturą. Zadręczył nas. Czuję się tak, jakby moje wywleczone na wierzch nerwy smagał zimny wiatr. Obawiam się, że dłużej nie dam rady.

– Dlaczego przyszła pani do mnie?

– Pani zawsze tutaj jest. Czasami chodzę po okolicy nad ranem i często widzę panią w oknie z papierosem.

– Ale ja nie jestem mądra – powiedziała Eva. – Nie chce pani rad ode mnie.

– Muszę podzielić się swoją historią z kimś, kogo nie znam ani kto nie zna mnie.

Eva postarała się stłumić ziewnięcie i wyglądać na zainteresowaną. Z jej doświadczenia wynikało, że dawanie rad nigdy nikomu nie przyniosło nic dobrego.

Bella owinęła sobie chusteczkę wokół palców.

– No dobrze – podszepnęła Eva. – Dawno, dawno temu... czy to w czymś pomaga?

– Tak, dawno, dawno temu był sobie chłopak i dziewczyna. Mieszkali w tej samej wsi. Kiedy oboje mieli po piętnaście lat, zaręczyli się. Ich rodziny były niezmiernie szczęśliwe. Pewnego dnia chłopiec stracił nad sobą panowanie, bo dziewczyna nie nadażwała za nim, kiedy biegali. Nakrzyczał na nią i przestraszył ją. Potem, niedługo przed ślubem, chłopak i dziewczyna siedzieli w samochodzie. Wyjęła zapalniczkę z gniazda w desce rozdzielczej i przypadkowo upuściła ją na podłogę. Chłopiec uderzył ją w twarz z prawej strony. Potem przyciągnął ją do siebie i uderzył z lewej strony. Straciła dwa zęby i trafiła na pogotowie dentystyczne. Siniaki zeszły dopiero po sześciu tygodniach. Ale ślub się odbył. Nie minęło dużo czasu, a chłopiec bił ją, ilekroć się zdenerwował. Potem za każdym razem prosił mnie o przebaczenie. Powinnam go zostawić, zanim urodziły się dzieci.

– Ile macie dzieci? – zapytała Eva.

– Dwóch chłopaków – odparła Bella. – Zaczęłam się go tak bać, że nie potrafię się zrelaksować, kiedy jest w domu. Gdy wraca z pracy, chłopcy idą do swoich pokojów i zamykają drzwi. – Bella wykręcała sobie dłonie. – I oto koniec bajeczki.

– Chce pani wiedzieć, jak postąpić? – spytała Eva. – Ilu zna pani silnych mężczyzn?

– Och, nie, nie akceptuję przemocy.

– Ilu zna pani silnych mężczyzn? – powtórzyła Eva.

Bella policzyła w głowie.

– Siedmiu.

– Musi pani do nich zadzwonić i poprosić o to, żeby panią uratowali. Będzie pani wiedziała kiedy.

Bella pokiwała głową.

– Jak ma na imię pani mąż?

– Kenneth Harper.

– I jak długo ma pani jeszcze zamiar żyć z Kennethem Harperem?

Bella spuściła wzrok.

– Chciałabym zacząć nowy rok bez niego. – Spojrzała na wpatrzoną w nią Evę i wpadła w popłoch. – O nie! Jest w pubie, ale o dziewiątej wróci na kolację. Teraz jest ósma, a ja jeszcze nie obrałam ziemniaków! Muszę iść. Nie lubi, kiedy kolacja się opóźnia.

Eva przekrzyczyła panikę Belli.

– Gdzie są pani dzieci?

– U mojej mamy – odpowiedziała, zrywając się z łóżka i biegnąc do drzwi.

– Proszę zebrać kilku facetów, niech pani teraz do nich zadzwoni. Proszę im powiedzieć, żeby przyszli tutaj.

– Nie pochwalam ruchu obrony obywatelskiej.

– To nic z tych rzeczy. Chroni pani z pomocą rodziny i przyjaciół siebie i dzieci. Proszę sobie wyobrazić życie bez niego. No dalej, proszę zamknąć oczy i to sobie wyobrazić.

Bella zamknęła oczy na tak długo, że Eva bała się, że kobieta zasnęła.

Ale wtedy Bella wyjęła telefon i zaczęła wybierać kolejne numery.

Kiedy Brian wrócił z monopolowego z sześcioma butelkami cavy, zgrzewką piwa Carling Black Label, skrzynką różowego

wina i dwiema wielkimi siatami różnych chipsów na sylwestra, zdziwiła go grupa mężczyzn siedząca na schodach i opierająca się o ścianę w przedpokoju.

Kiwnął im głową.

– Obawiam się, że przyszli panowie za wcześnie na otwarty dom²⁶, jeszcze się nie otworzyliśmy.

Odezwał się ich rzecznik, człowiek w poplamionej tłuszczem koszuli w szkocką kratę i pokrytych błotem kaloszach.

– Moja siostra nas poprosiła, żebyśmy jej pomogli wykopać z domu męża.

– W Nowy Rok? – powiedział Brian. – Biedny koleś. Czy to nie zbyt ostro?

– Ten skurwiel na to zasługuje – odparł młody mężczyzna z zaciśniętymi pięściami. – Chciałem mu urwać łeb jeszcze przed ołtarzem.

– Dzieci się go boją – odezwał się człowiek z ogorzałą twarzą i własnoręcznie wykonaną fryzurą. – Nigdy by od niego nie odeszła, tak ją zastraszył. Żal mi jej.

Starszy pan o zmęczonych oczach, który siedział na schodach, powiedział:

– Kiedy poprosił mnie o rękę mojej córeczki, powinienem kopnąć go w dupę tak, żeby wpadł do zasranej dziury z kompostem. – Spojrzał na Briana, o którym pomyślał, że są w podobnym wieku. – Masz pan córkę?

– Mam, w rzeczy samej. Siedemnastolatkę.

– Co byś pan zrobił, gdybyś się pan dowiedział, że regularnie dostaje manto?

Brian postawił na podłodze pudełko z winem, po-gładził brodę i pomyślał.

– Zakneblowałbym go, związał, wrzucił do bagażnika, zawiózł do pobliskiego kamieniołomu i za pomocą nylonowej liny, używając węzłów marynarskich, przywiązałbym go do chybotliwej skały. Potem potoczyłbym kamień na brzeg urwiska i czekałbym na płask. Problem z głowy.

– Nie może pan tak zrobić – odezwał się nerwowo

mężczyzna. – Gdzie byśmy skończyli, gdybyśmy mordowali wszystkich, którzy nam nie pasują? Żylibyśmy w chłodniejszej wersji Mogadiszu.

– Ten pan spytał mnie, co bym zrobił, więc powiedziałem – bronił się Brian. – Tak czy siak, muszę zorganizować otwarty dom. Ale jeśli będziecie potrzebować współrzędnych na ten kamieniołom...

– Dzięki, ale na to się nie zanosz – powiedział starszy mężczyzna. – Chociaż gdyby tak się to miało skończyć, mamy za domem kompostownik, a świnie są zawsze głodne.

– No cóż, życzę panom powodzenia. Szczęśliwego Nowego Roku.

Brian złapał zakupy i przepchnął się do kuchni, gdzie zaczął je rozpakowywać na stole. Titania polerowała kieliszki.

– Za każdym razem, kiedy otwieram swoje drzwi frontowe, muszę się zmierzyć z dramatami innych ludzi – powiedział.

Na piętrze Bella rozmawiała z mężem przez telefon. Wrzeszczał tak głośno, że Eva oczekiwała eksplozji aparatu. Belli drżał głos.

– Kenneth, jestem z rodziną – mówiła. – Przy tej samej ulicy. Idziemy teraz do domu. – Wyłączyła telefon i zwróciła się do Evy: – Nie mogę mu tego zrobić.

– Uchodzi im to na sucho, bo wiedzą, że nam ich żal. Grają na naszej słabości. Jeśli teraz pójdziecie, do dziesiątej się wyniesie.

– Ale gdzie on się podzieje?

– Jego matka żyje?

Bella przytaknęła.

– Mieszka jakieś cztery mile stąd, ale on jej nigdy nie odwiedza.

– No cóż, jego mama będzie miała cudowną noworoczną niespodziankę, prawda?

Później Eva zobaczyła przez okno, jak na chodniku siedmiu mężczyzn rozmawia z Bellą.

Pewnym krokiem skierowali się do domu Belli.

Eva wiedziała, że wybiła północ, dzięki dźwiękom dzwonów kościelnych i eksplozji sztucznych ogni. Usłyszała strzelające korki szampana na dole i grzmiący głos Briana:

– Szczęśliwego Nowego Roku!

Pomyślała o wszystkich minionych sylwestrach. Zawsze spodziewała się więcej. Na próżno czekała na coś szczególnego i magicznego, gdy wskazówka zegara mijała dwunastą.

Ale wszystko działo się po staremu.

Nigdy nie mogła z resztą śpiewać *Auld Lang Syne*. Lubiała słowa pieśni „Podziękuj kielichom, które wzniesiemy dziś”²⁷ i zazdrościła świętującym, ale nie potrafiła rozewrzeć ramion i tańczyć w kółku z innymi. Ludzie przerywali krąg i zapraszali ją, by się przyłączyła, lecz niezmiennie odmawiała.

– Wolę patrzeć – odpowiadała zawsze.

– Eva nie potrafi się bawić – mawiał Brian.

Nie mylił się. Nie lubiła nawet słowa „zabawa”, które kojarzyło się jej z przymusową radością, klaunami i komedią slapstickową. Paradami z Korei Północnej, podczas których szeregi zsynchronizowanych dzieci tańczyły z przyklejonym do ust uśmiechem.

Była głodna i chciało się jej pić. Znow najwidoczniej o niej zapomnieli.

Wcześniej tego dnia Brian chodził wzdłuż ulicy i roznosił ulotki z zaproszeniem dla sąsiadów na otwarty dom. Ulotka obwieszczała (Eva zadrżała na słowo „wpadać”):

Wpadajcie, proszę, i zabawcie się.

Poznajmy się.

Przynieście butelkę.

Przekąski zapewnione, ale sugeruję najeść się przed wyjściem.

Grzeczne dzieci będą tolerowane.

Drzwi otwieramy o 21.30.

PS Doktor Brian Beaver urządzi krótką wycieczkę do swojego obserwatorium i w zależności od widoczności (lub – jak nazywacie to wy, nieastronomo-wie – warunków atmosferycznych/zachmurzenia) będzie szansa zobaczenia Saturna, Jowisza, Marsa i być może kilku mniejszych planet.

Yvonne podarowała Evie uroczy dzwonek świątynny z Bali kupiony w sklepie remontowo-budowlanym, aby z jego pomocą mogła się porozumiewać z rodziną, ale Eva jeszcze go nie użyła. Wydawało jej się czymś obrzydliwym wzywać kogoś, aby zaspokajał jej potrzeby. Wołała zaczekać, aż ktoś sobie o niej przypomni i przyniesie jej coś do jedzenia. Przez ścianę słyszała, jak bliźniaki coś szepczą i stukają w klawisze laptopów. Szybkość klikania była niesłychana. Co pewien czas dobiegał ją śmiech i zawołanie:

– Przybij piątkę!

Usłyszała, że jej matka i Yvonne wspinają się po schodach.

– Nie wiem, czy się wybrać z tym do lekarza, czy nie – powiedziała Ruby. – To może być niegroźna torbiel.

– Jak dobrze wiesz – odpowiedziała Yvonne – przez trzydzieści lat byłam recepcjonistką w gabinecie lekarskim. Mogę cię zapewnić, że torbiel nie jest niczym dobrym.

Usłyszała, że razem wchodzi do łazienki. Po raz pierwszy Ruby czuła się niepewnie.

– Czy mam zdjąć gorset, koszulkę i stanik?

– No cóż – mruknęła Yvonne. – Niczego nie stwierdzą przez warstwy ubrań, prawda? Nie wstydz się, widziałam w swoim życiu tysiące cycuszków.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwało nerwowe trajkotanie Ruby.

– Myślisz, że Eva przechodzi załamanie nerwowe?

– Załóż ręce za głowę i nie ruszaj się... – poinstruowała ją Yvonne. – Tak, ma załamanie nerwowe. Powiedziałam to już pierwszego dnia.

Znów nastąpiła cisza. Po czym Eva usłyszała głos Yvonne:

– Ubierz się.
– No i co? – spytała Ruby. – Co myślisz?
– Myślę, że powinnaś zrobić sobie prześwietlenie. Masz grudkę wielkości orzecha laskowego. Od jak dawna o tym wiesz?
– Jestem zbyt zajęta, żeby się szlajać po szpitalach. – Ruby ściszyła głos: – Muszę się *niq* zajmować.

Eva zastanawiała się, czy przeżywa załamanie nerwowe.

Kilka lat temu Jill – jej koleżanka z biblioteki – nagle zaczęła do siebie mówić, mrużyć pod nosem, że nieszczęśliwie wyszła za mąż za Berniego Ecclestone’a. Potem zaczęła zrzucać z półek na podłogę wszystkie książki z czerwonymi okładkami, mówiąc, że ją szpiegują i przekazują wiadomości MI5. Kiedy ktoś się do niej zbliżył, krzyczała na niego, że jest agentem systemu. Jakiś idiota zadzwonił po ochronę i próbował wyprowadzić ją wyjściem ewakuacyjnym. Walczyła jak dzikie zwierzę – gryzła, drapała i warczała, aż w końcu uciekła w kierunku parku miejskiego, który przylegał do terenu uniwersytetu.

Eva i ochroniarz pobiegli jej śladem. Strażnik z nadwagą wkrótce stracił oddech. I to Eva ją złapała. Jill przypadła twarzą do trawy i wpijała palce w źdźbła.

– Pomóż mi! Jeśli się puszczę, odleczę.

Eva uznała, że najuczciwszą rzeczą będzie usiąść Jill na plecach i przyszpilić ją do ziemi. Kiedy zjawił się zziębnięty ochroniarz, Jill znów zaczęła krzyczeć i walczyć. Parkową alejką zbliżał się bardzo szybko policyjny radiowóz na sygnale. Eva nie mogła zrobić nic więcej dla swojej koleżanki. Policjantom i ochroniarzowi w końcu udało się ją unieruchomić i samochód z Jill odjechał.

Kiedy Evie pozwolono wreszcie odwiedzić Jill w szpitalu psychiatrycznym, z początku jej nie rozpoznała. Siedziała w nijakim pokoju na plastikowym krześle i delikatnie się kołysała. Inni pacjenci przerażali Evę. Dźwięk telewizora był nie do zniesienia.

„To dom wariatów – pomyślała. – To naprawdę jest dom wariatów”. Gdy szła przez teren szpitala, przemknęło jej przez

głowę: „Wolałabym umrzeć niż znaleźć się w takim miejscu”.

Wiele lat później obejrzała amatorską inscenizację *Marat/Sade* teatru wydziałowego. Brian niezwykle przekonująco grał szaleńca. Przez kilka kolejnych tygodni nawiedzała ją myśl, że szaleństwo może czaić się za rogiem i czeka, żeby wślizgnąć się w głowę śpiącego człowieka, zawładnąć nim.

Eva chwilę drzemała. Kiedy się obudziła, przestraszył ją widok Julie, jej sąsiadki, która siedziała w fotelu.

– Patrzyłam, jak śpisz. Chrapałaś. Przyszłam życzyć ci wszystkiego dobrego w nowym roku i wyrwać się z tego wariatkowa, którym nazywam domem. Jestem na granicy wytrzymałości, Eva. Oni mnie nie słuchają. Stracili dla mnie cały szacunek. Wydaliśmy fortunę na prezenty gwiazdkowe dla nich. Steve kupił chłopcom po PlayStation i telewizor dla Scotta, żeby mógł oglądać swoje kreskówki przed snem. Każdy dostał od mikołaja duży worek pełen zabawek, lecz połowa z nich już jest zepsuta. Steve nie może się doczekać, aż pójdzie do pracy, ja zresztą też.

Eva, która czuła irytację z powodu pustego żołądka, powiedziała:

– Na miłość boską, Julie! Jeśli tobą pomiatają, zabierz im to cholerne PlayStation! Schowaj je, aż nauczą się szacunku. Przypomnij też Steve’owi, że jest dorosłym mężczyzną i że ten przymilny ton, jakiego używa w stosunku do nich, nie działa. Czy on w ogóle potrafi podnieść głos?

– Tylko podczas meczów w telewizji.

– Ty i Steve boicie się karania dzieci, bo wydaje się wam, że przestaną was przez to kochać – powiedziała Eva. Po czym ryknęła: – Mylicie się!

Julie podskoczyła i zaczęła się wachlować dłonią.

Eva pożałowała, że krzyknęła tak głośno i żadna z nich nie wiedziała, co teraz powiedzieć.

Julie spojrzała krytycznie na fryzurę Ewy.

– Chcesz, żebym cię ostrzygła i zajęła się skórą głowy?

– Kiedy chłopcy wrócą do szkoły, co? Przepraszam, że

krzyknęłam, Julie, ale jestem taka głodna. Czy możesz mi coś przynieść? Ciągłe o mnie zapominają.

– Albo to, albo głodem próbują wykurzyć cię z łóżka –
odrzekła Julie.

Kiedy Julie poszła do swojego anarchistycznego domu, Eva poczuła falę litości nad samą sobą i prawie żałowała, że nie ma jej na dole. Słyszała krzyk Briana:

– *Brown Sugar!* Titania! Dalej!

Gdy popłynęła muzyka, wyobraziła sobie, jak dumnie chodzą po kuchni i śpiewają razem z Rolling Stonesami.

Nowy Rok. Titania i Brian większość popołudnia spędzili na kochaniu się. Brian połknął viagrę o czternastej piętnaście i wciąż działała.

Za każdym razem Titania jęczała: „OMB!”, prawda była jednak taka, że miała już dość. Brian zbadał większość jej otworów i cieszyło ją, że dobrze się bawił, ale miała kilka rzeczy do zrobienia, musiała odwiedzić parę osób. Nieświadomie bębniła palcami po jego plecach. Ale to tylko go pobudziło i zanim się spostrzegła, odwrócił ją na brzuch, tak że prawie się udusiła, mając twarz zanurzoną w poduszkę z kaczego pierza. Musiała walczyć o powietrze.

– OMB! – krzyknęła. – Chcesz mnie zamordować?

Brian przerwał na chwilę, żeby złapać oddech.

– Słuchaj, Titanio, czy możesz wrócić do krzyczenia: „O mój Boże!”? OMB nic dla mnie nie znaczy.

Titania, która wciąż leżała na brzuchu i nogi miała oparte o ścianę, powiedziała:

– Jesteśmy jak te dwa woły w jarzmie i ciągle obracamy tym cholernym kołem. Ile viagry wzięłeś?

– Dwie.

– Jedna w zupełności by wystarczyła – odparła Titania z wyrzutem. – W tej chwili kończyłabym prasować twoje rzeczy.

Brian wykonał nadludzki wysiłek, przywołując na myśl obrazy, które świetnie służyły mu przez wszystkie te lata: dekolt pani Fox, która uczyła go fizyki w Cardinal Wolsey Grammar; pewna Francuzka leżąca topless na plaży w Saint-Malo; kobieta jedząca rurkę z kremem na tyłach piekarni, krem na koniuszku jej języka.

Nic nie działało. Walka zdawała się nie mieć końca.

Titania wciąż spoglądała na zegarek. Jej głowa i tułów zwisały teraz z krawędzi łóżka. Pod szufladą widziała swoje

zrolowane skarpetki, o których myślała, że zaginęły.

– OMBŚ! – krzyknęła. – Jak długo jeszcze?

– Pouprawiajmy agresywny seks – wyszeptał.

– Ja już uprawiam agresywny seks – odpowiedziała. – Jestem absolutnie wkurzona! Jeśli zaraz ze mnie nie zleziesz, to...

Nie musiała kończyć zdania. Brian osiągnął orgazm tak gwałtownie i głośno, że Ruby, która stała nad studzienką w ogrodzie i opłukiwała szlauchem śmierdzącą końcówkę starego mopa, pomyślała, że jej zięć zaczął trzymać w szopie dzikie zwierzęta.

Nic nie mogło jej już zdziwić. Kiedyś myślała, że aby płacić funta i siedemdziesiąt pensów za butelkę wody z Islandii, trzeba zupełnie nie mieć rozumu – zwłaszcza że z kranu płynęła smaczna zimna woda. Ale myliła się.

W jakiś sposób, kiedy Ruby myślała o czymś innym, wszyscy na świecie zwariowali.

Alexander wszedł do domu Evy – w owych dniach drzwi nie były zamknięte na zamek – i zawołał: „Cześć!”.

Nikt poza Evą nie odpowiedział.

Szedł na górę i powtarzał w głowie słowa, które chciał powiedzieć. Dużo czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni wyznawał kobiecie miłość.

– Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku – powiedziała. – Wyglądasz na przeziębionego.

– Jestem... i szczęśliwego Nowego Roku. Byłem na Beacon Hill malować. Nigdy nie próbowałem pejzaży zimowych. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, ile śnieg ma odcieni. Ale wyszło mi straszne dziadostwo. Na głównej drodze mijalem Ruby i ją podwiozłem. Powiedziała, że Brian i Titania wydawali jakieś głośne zwierzęce odgłosy w szopie.

– Już słyszę, jak sąsiedzi ostrzą ołówki, żeby napisać petycję. Oboje się zaśmiali.

– Zadziwia mnie ich relacja – powiedziała Eva.

– Przynajmniej jest to jakaś relacja.

– Ale nie wyglądają, jakby się lubili.

– Lubię cię, Evo.

– Ja też cię lubię, Alex – odpowiedziała i wytrzymała jego spojrzenie.

Między nimi wytworzyła się krucha przestrzeń, jakby ich oddechy zamarzyły i mogły się strzaskać w pył, gdyby powiedzieć niewłaściwe słowo.

Eva uklękła przy oknie, żeby zobaczyć, czy jest śnieg.

– Świeży opad. Dobry na lepienie bałwana, do zjeżdżania na sankach. Chciałabym...

Zamilkła, lecz Alexander szybko podjął wątek.

– Mogłabyś! Mogłabyś szybko zjeżdżać z górki, trzymając mnie za biodra. Na pace vana mam sanki.

– Nie próbuj wyciągać mnie z łóżka!

– Kilka lat temu mocno się natrudziłem, żeby taką jedną do niego zaciągnąć.

Uśmiechnęła się.

– Myślę, że moim pierwszym noworocznym postanowieniem jest uniknięcie wprowadzania w swoje życie nowego mężczyzny.

– Przykro mi to słyszeć. Przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć, że cię kocham.

Eva wycofała się ze środka łóżka na jego krawędź i przylgnęła do ściany.

– Coś źle zrobiłem? – zapytał.

– Być może dawałam mylne sygnały – odparła ostrożnie, nie chcąc ranić jego uczuć. – Jak powiedział zwolniony z pracy kolejarz.

– Być może oboje dawaliśmy mylne sygnały. Mogę powiedzieć, co czuję?

Kiwnęła głową.

– Kocham cię – powiedział. – Chcę z tobą być do końca życia. Nie musiałabyś wstawać z łóżka. Woziłbym cię w nim do supermarketu, zawiózł do Glastonbury.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie chcę tego słuchać. Nie wezmę na siebie odpowiedzialności za czyjeś szczęście. Nie jestem w tym dobra.

– Zaopiekuję się tobą. Możemy być razem. Będę z tobą siedział w łóżku. Jeśli chcesz, będę twoją Yoko.

– Ty masz dzieci i ja mam dzieci – powiedziała. – I musisz wiedzieć, że Brianne jest w tobie zakochana. Nie chciałabym mieć jej za rywalkę.

– Ona jest dzieckiem, to tylko zauroczenie. Miłością jej życia jest Brian Junior.

– Już mam za sobą codzienne obowiązki z małymi dziećmi.

– Nie lubisz moich dzieci? – zapytał osłupiały, a jego głos zabrzmiał o oktawę wyżej.

– To cudowne i zabawne dzieciaki. Ale ja już przerabiałam hodowanie dzieci. Nie zniosę patrzenia na to, jak tracą złudzenia, gdy zobaczą, w jakim świecie żyją.

– Takie jest życie, ale to wciąż fantastyczny świat. Gdybyś widziała, jak dziś rano śnieg lśnił w promieniach słońca... i drzewa, sople wisiały na nich jak srebrny deszcz...

– Przepraszam.

– Czy mogę się obok ciebie położyć?

– Na kołdrze.

Zdjął buty i postawił je na kaloryferze, po czym ułożył się obok niej.

Światło w pokoju nie było włączone, a słońce już zaszło, ale śnieg zza okna sprawiał, że dało się zobaczyć kontury pokoju. Trzymali się za ręce i patrzyli w sufit. Opowiadali sobie o swoich byłych miłościach, o jego zmarłej żonie i jej obecnym mężu. W pokoju panowało ciepło, robiło się coraz ciemniej, aż w końcu oboje zasnęli, ramię w ramię, jak marmurowe rzeźby.

Kiedy Brianne wróciła ze sklepu, w którym kupiła dla Alexandra szyty szkicownik pod akwarele, pchnęła drzwi sypialni Evy i zobaczyła, że jej matka śpi na kołdrze.

Na poduszce obok leżała karteczka. Wzięła ją na półpiętro, żeby przeczytać. Była od Alexandra. Pisał:

Najdroższa Evo,

dziś przeżyłem jeden z najpiękniejszych dni mojego życia.

Śnieg miał w sobie magię, a leżenie obok Ciebie dzisiejszego popołudnia było największym szczęściem od wielu lat.

Kochamy się, wiem to na pewno. Niemniej odsunę się.

Dlaczego wszystko, co wiąże się z miłością, jest takie bolesne?

Alex

Brianne wzięła liścik do swojego pokoju i podarła na drobne kawałeczki, które schowała do pustej paczki po chipsach wyjętej z kosza na śmieci.

Brian i Titania jedli późną kolację po długiej sesji oglądania gwiazd. Warunki okazały się wspaniałe, widzieli cuda i dziwy na chłodnym i bezchmurnym niebie. Zawsze czuli się poruszeni tym, co widzieli przez teleskop. Ekran komputera w pracy nie potrafiły oddać prawdziwego piękna kosmosu.

Kiedy Brian żuł zimny kotlet barani, powiedział:

– Byłaś dziś przepiękna, Tit. Przez większość czasu trzymałaś buzię na kłódkę i dostrzegłaś tę gwiazdę zmienną, która z pewnością nie została jeszcze opisana.

Titania nabiła na widelec oliwkę ze słoika. Nie potrafiła sobie przypomnieć chwili, kiedy czuła większe szczęście. Chciała, żeby Brian osiągnął, ile się da. Jego oddanie pracy było całkowite. Titania wiedziała, że kiedyś Eva hamowała jego rozwój, oczekując, że weźmie na siebie część odpowiedzialności za wychowywanie dzieci. Biedny Brian nie potrafił skończyć swojej książki *Obiekty bliskie Ziemi* przez żądania Ewy, aby się angażował. Czy pani Churchill naciskała męża, żeby nakrył do stołu, zanim przystąpił do wojny?

Wyciągnęła rękę.

– Co? – zapytał Brian.

– Chwyć mnie za rękę – wyszeptała.

– Chciałbym cię ostrzec, Tit – zauważył – że wciąż połowicznie kocham swoją żonę.

Titania cofnęła dłoń.

– Czy to znaczy, że mnie także kochasz połowicznie?

– Przez ponad dwadzieścia lat moje synapsy były nastawione na życie z Evą Beaver. Musisz dać im szansę, żeby zaadaptowały się do ciebie, Tit.

„Zmuszę go, żeby mnie kochał – pomyślała. – Będę doskonałą kochanką, koleżanką i przyjaciółką. Przecież już prasuję jego pieprzone koszule”.

Później, kiedy leżeli już w łóżku i rozmawiali o swoim dzieciństwie oraz pierwszym świadomym obserwowaniu nieba, Brian powiedział:

– Działo się to, kiedy miałem siedem lat i leżałem na plecach w ogrodzie babki w Derbyshire. Zmierzchało się i gwiazdy pojawiały się niemal jedna po drugiej. Niebo powoli zmieniało kolor z ciemnoniebieskiego na czarny, gwiazdy zdawały się płonąć. Następnego dnia w szkole zapytałem panią Perkins, co trzyma je w górze. Dlaczego nie spadają? Powiedziała mi, że każda z nich jest słońcem i że trzyma je coś, co nazywają grawitacją. Zadumałem się wtedy po raz pierwszy. Zanim poszedłem do domu, dała mi książkę *Nocne niebo* z serii Księga Biedronki. Nadal ją mam. I chcę zostać z nią pochowany. W Death Valley w Nevadzie.

– Ze względu na widoczność? – zapytała. Została nagrodzona, gdy Brian objął jej nagie ramię i złapał prawą pierś. Mówiła dalej: – Zdarzało mi się zabierać opakowanie po batoniku Milky Way do ogrodu i dopasowywać obrazek do tego, co widziałam na niebie. Uwielbiałam te batoniki, ponieważ reklamowali je jako coś, co można jeść między posiłkami.

Brian się zaśmiał i rzekł:

– Podczas tych rzadkich okazji, kiedy niebo nad Leicester było czyste, zobaczyłem Drogę Mleczną i aż mnie przygniotło. Poczulem się bardzo malutki. Choć nie przytłoczyło mnie to od razu. To zdarzyło się dopiero wtedy, gdy zrozumiałem, że Droga Mleczna jest jednym ze spiralnych ramion naszej Galaktyki.

– Galaktyka! – powiedziała, ośmielona bliskością Briana. – Kolejna czekoladowa pychota nazwana w terminologii kosmicznej! Ale Milky Way miało lżejszą bazę. Nasi rodzice zaakceptowali je. Nazwa Milky Way będzie lepszym zamiennikiem dla białej ścieżki twojej żony.

Brian nie słuchał tego, co nazywał „szemraniem Tit”. Rozmyślał o batoniku Mars. Wojenny rumak wśród batoników czekoladowych.

– Myślisz, że ona jest klinicznie szalona, Bri? – spytała. –

Rozkłada prześcieradła do toalety, teraz zaczęła mówić do siebie. Bo jeśli tak, być może powinniśmy pomyśleć o postawieniu jej diagnozy, a nawet o hospitalizacji. Dla jej własnego dobra.

Brian nie lubił, kiedy Titania używała słowa „my”.

– Ciężko z nią dojść do ładu – powiedział zirytowany. Niechętnie krytykował żonę przy kochance. Pomyślał o ślicznej twarzy Evy, po czym spojrzął na Titanię. Nie było między nimi porównania. – Ona nie mówi do siebie, tylko recytuje wszystkie wiersze, których nauczyła się na pamięć w szkole.

Brian wyłączył lampkę przy łóżku i ułożyli się do snu.

Pół godziny później wciąż nie spali.

Titania organizowała w głowie małżeństwo z Brianem. Wyobrażała sobie, że będą mieli tradycyjny ślub. Chciała włożyć jedwabną suknię w kolorze kości słoniowej.

Brian zastanawiał się, czy dałby radę żyć z Titanią, z kobietą, która *każdego* wieczoru zjadała dużą paczkę drażetek czekoladowych. Nie zabraniał jej ich kupować, ale nienawidził, kiedy wkładała sobie kilka do ust i przesuwała językiem tam i z powrotem.

Słyszał wtedy ciche stukanie o zęby.

Szóstego stycznia, jeszcze przed powrotem do Leeds, bliźniaki siedziały w Percy Gee Building i sęczyły dietetyczną colę.

– Nie wiesz, jak to jest – powiedziała Brianne. – Nigdy nie byłeś zakochany.

Czekali razem, żeby wziąć udział w konkursie matematycznym na uniwersytecie w Leicester. Turniej imienia Normana Lamonta przyciągał bardzo niewielu brytyjskich uczestników. Dla większości startujących angielski nie był pierwszym językiem.

– Być może nie mam doświadczenia w kwestii romantycznej miłości, ale czytałem na ten temat książki – powiedział. – I jeśli mam być szczery, nie wiem, o co tyle hałasu.

– To fizycznie boli.

– Tylko wtedy, jeśli uczucie jest nieodwzajemnione, jak twoje do Alexandra.

Brianne zaczęła uderzać głową w plastikowy stolik.

– Dlaczego on nie może mnie pokochać?

Brian Junior zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Brianne czekała cierpliwie. Oboje szanowali proces przekuwania precyzyjnych myśli w jasną wypowiedź.

W końcu Brian Junior się odezwał:

– Raz: on kocha się w mamie. Dwa: nie jesteś rozkoszna, Brianne. I trzy: nie jesteś także piękna.

– To naprawdę irytujące, że ty zgarnąłeś pulę genów mamy z urodą.

– A ty dostałaś onieśmielającą dawkę męskości taty. Nawet chciałbym tak mieć.

– Dlaczego od razu nie powiesz czegoś w stylu, że jestem zwalistą lesbą?

Dobiegł ich głos z głośnika:

– Uczestnicy poziomu pierwszego proszeni są o kierowanie się do sali Davida Attenborough.

Oni pozostali na miejscach. Patrzyli, jak większość uczestników szura w kierunku sali egzaminacyjnej. Czuli się jak pasażerowie pierwszej klasy, którzy patrzą z pogardą, jak pasażerowie klasy ekonomicznej wleką się do odprawy ze swoimi tanimi walizkami i zawodzącymi dziećmi.

Był to moment, w którym zawsze się rozsmakowywali. Powiedzieli: „Rzyg!” i przybili piątkę.

Ich pozostali przeciwnicy spoglądali nerwowo znad swoich laptopów. Beaverowie byli znakomitą drużyną.

– Myślisz, że uda nam się znaleźć kogoś, kto nas pokocha, Bri?

– A czy to ma znaczenie? Oboje wiemy, że spędzimy życie razem jak łabędzie.

Była trzecia nad ranem. Czas, kiedy umierają słabi. Eva stała na straży swojego terytorium. Widziała, że co jakiś czas przez drogę przebiegały lisy, jak gdyby były klientami na zakupach. Inne małe ssaki, których nie potrafiła zidentyfikować, także plątały się przed domem.

Patrzyła, jak czarna taksówka skręciła w pobliską uliczkę, zawróciła i zaparkowała przed jej domem. Patrzyła, jak wysiadł z niej kierowca. Ogromny mężczyzna. Zadzwoił do drzwi.

„Kto w tym domu zadzwonił po taksówkę o tej porze?” – pomyślała.

Po chwili dzwonek odezwał się znowu.

Usłyszała biegnącą korytarzem Poppy.

– Okej, okej, już idę! – krzyczała.

W progu rozegrała się sprzeczka – wysoki głosik Poppy i niski, dudniący głos mężczyzny.

– Nie, nie może pan wejść, ona śpi! – wołała.

– Nieprawda – naciskał mężczyzna. – Dopiero co ją żem widział w oknie. Muszę z nią pogadać.

– Proszę przyjść jutro.

– Nie mogę czekać do jutra – powiedział. – Muszę się z nią zobaczyć teraz.

– Nie może pan wejść! – wrzasnęła. – Odejdź pan!

– Proszę. To sprawa życia i śmierci. Jeśli nie masz, panienko, nic naprzeciwno, usuń mi się z drogi.

– Nie dotykaj mnie, nie dotykaj mnie! Zabieraj łapy!

Eva zeszywniała ze strachu i poczucia winy. Powinna zejść na dół i stawić czoło mężczyźnie, ale choć zsunęła nogi z łóżka, nie potrafiła ich postawić na podłodze. Nawet po to, żeby uratować Poppy. Zastanawiała się, czy zbiegłaby na dół, gdyby w podobnym niebezpieczeństwie znalazły się bliźniaki.

– Przepraszam, przepraszam, ale muszę się z nią rozmówić.

Usłyszała ciężkie kroki na schodach. Wciągnęła nogi na łóżko i opatuliła sobie kołdrą szyję, jakby była dzieckiem, któremu przyśnił się koszmar. Zebrała siły na przyjęcie mężczyzny.

Nagle znalazł się w pokoju, mrugając oczami w ostrym świetle. Miał wycieńczoną twarz człowieka pracującego na nocnej zmianie. Powinien się ogolić, a jego włosy były w strąkach, kiedy zaczesał grzywkę i wsunął kosmyki za uszy. Ubranie miał zmięte i zaniedbane. Ciężko oddychał.

„Nie mogę się z nim kłócić – pomyślała Eva. – Muszę się postarać zachować spokój. Najwyraźniej jest pod wpływem”. Przyjrzała się, czy nosił przy sobie coś, czego mógłby użyć jako broni. Miał puste dłonie.

– To pani jest Evą Beaver, tak?

Eva opuściła nieco kołdrę.

– Czego pan chce?

– Inni taksówkarze o pani gadali. Nie wiedzą, co z pani za jedna, ale widują panią co jakiś czas w oknie w ciągu nocy. Kilku z nich bierze panią za prostytutkę. Ja nigdy żem tak nie pomyślał. Ale potem jeden z braci Belli powiedział mi, że to pani im pomogła.

– Belli Harper? – spytała.

– Taa – przytaknął. – Powiedział, że udziela pani porad siedem dni w tygodniu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Powiedział, że z pani to jest święta.

Eva się roześmiała.

– Pana informator się myli.

Poppy poszła do pokoju bliźniaków i ich obudziła. Wpadli do sypialni Evy, Brian Junior trzymał w dłoniach stary kij do krykieta, oczy miał szeroko otwarte ze strachu. Za nim stała Brianne z udręczoną miną, ziewała i mrugała.

– Wynoś się z sypialni mojej mamy! – krzyknął wściekle Brian Junior.

– Nie zamierzam jej skrzywdzić, synu – powiedział taksówkarz. – Po prostu muszę z nią pogadać.

– O trzeciej nad ranem? – rzuciła sarkastycznie Brianne. – O

co chodzi? Zbliża się koniec świata? Czy chodzi o coś ważniejszego?

Mężczyzna popatrzył na Evę takim zbolalym spojrzeniem, że zapytała:

– Jak pan się nazywa?

– Barry Wooton.

– A ja Eva. Proszę, niech pan usiądzie. – Po czym zwróciła się do bliźniaków: – Wszystko będzie dobrze, wracajcie do łóżek.

– Nigdzie nie idę – powiedział Brian Junior.

Barry usiadł na fotelu i zamknął oczy.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jestem.

Poppy, która ze wszystkich sił starała się przypochlebić Evie, spytała:

– Czy podać komuś filiżankę herbaty?

– Czasem zgadzam się z ojcem – mruknął Brian Junior. – To herbaciany kraj.

– Ja poproszę – powiedziała Eva.

– Taa, ja też – odezwał się taksówkarz. – Kapka mleka, dwie kostki cukru.

– Dla mnie zielona. I wypiję ją tutaj – stwierdził Brian Junior.

Oparł się o ścianę i zaczął uderzać kijem o dłoń.

Brianne miała na sobie piżamę ojca. Ładnie na niej leżała.

Usiadła na łóżku i w obronnym geście objęła matkę w pasie.

– Powinnam powiadomić Briana i Titanię? – spytała Poppy.

– W żadnym razie – odpowiedziała Eva.

Barry spojrział na cztery obce osoby.

– Zwykle się nie awanturuję. Sam się sobie dziwię. Chciałem z panią pogadać, pani Beaver. Za każdym razem, kiedy żem mijał pani dom, chciałem zatrzymać taryfę i zapukać do pani drzwi.

– A dlaczego zrobił to pan dzisiaj?

– Chyba żem chciał z kimś pogadać, zanim się wykończę.

– Och, cudownie – powiedziała Brianne. – Z pewnością wiesz o tym, Barry, że moja matka, która ma serce chłonne jak bagna Romney Marsh, postara się rozwiązać twoje problemy.

– Wcale nie zamierzasz się zabić, Barry – powiedział

monotonnym głosem Brian Junior.

– Napisałeś o tym w sieci? – spytała Brianne.

– Że co? – odezwał się Barry.

– Teraz to prawie konieczność, Barry. Musisz się zalogować i ustawić w kolejce z resztą wywłok oczekujących zwrócenia na nie uwagi.

Eva spojrzała na swoje dzieci. Co się z nimi stało? Kiedy zrobiły się takie nieczule?

Barry poprawił się w fotelu. Czuł, że z łatwością mógłby umrzeć z zażenowania. Język uwiązał mu w ustach. Pomyślał, że już nigdy nic nie powie. Z oczu zaczęła kapać mu woda. Ucieszył się, kiedy wróciła dziwnie wyglądająca dziewczyna z trzema kubkami herbaty i podała mu jeden. Nigdy w życiu nie widział nikogo, kto byłby tak ekstrawagancko ubrany. Siorbnął herbatę i sparzył sobie usta, ale nic nie powiedział.

Cisza stała się nieznośna.

W końcu odezwała się Eva.

– Dlaczego postanowiłeś się zabić?

Barry otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w słowo weszła mu Brianne:

– Chyba już wrócę do łóżka. Nie mogę znieść myśli o tych wszystkich komunałach, które tłoczą się w głowie Barry’ego i zaraz nieuchronnie pojawią się dzięki jego aparatowi głosowemu.

– Barry, ty się zwyczajnie nie lubisz – powiedział Brian Junior.

Brianne opatulila się szczerze szlafrokiem i dumnie poszła spać.

– Poppy, idź się położyć – poprosiła Eva.

Dziewczyna, dając się, wyszła z pokoju.

Barry nie potrafił się zdecydować, czy ta wysoka i dobrze zbudowana czarnowłosa dziewczyna go obraziła, czy nie. Nie spodziewał się, że kiedy przyjdzie porozmawiać z tą całą Evą, znajdą się przy tym jacyś inni ludzie. Pomyślał, że tylko pogorszył sprawę. Niemal na pewno mu ubliżono, sparzył sobie usta, stracił kilku pasażerów i aż do tej chwili nie pamiętał, że pierwszy

pospieszny, pod który miał zamiar się rzucić, nie odjedzie z Sheffield wcześniej niż o piątej rano. Do samobójstwa zostały mu więc trzy godziny.

„Jak zwykle – pomyślał. – Zaś odwalił żem fuszerkę. I tak całe życie: gubię rzeczy, psuję rzeczy, kradnę rzeczy, łapią mnie z rzeczami”. Czuł, że nigdy nie nauczył się reguł kierujących życiem, podczas gdy każdy inny mężczyzna, kobieta, dziecko i zwierzę je znali. Zawsze włókł się z tyłu – często dosłownie – i krzyczał: „Zaczekajcie na mnie!”. Ale jedyne, co mógł, to sprzątać po kobietach, które go zostawiały.

– Nie żartuję, Barry, strasznie śmierdzisz – powiedziała mu kiedyś pewna dziewczyna.

Od tego czasu kąpał się dwa razy dziennie. Nie minęło wiele czasu, a jego rachunki za ciepłą wodę się podwoiły. Wtedy zarabiał mniej – ludzie nie jeździli nocami, nie zostawiali napiwków. Czasami zdarzyło mu się nie zarobić nawet na benzynę. Nie miał rodziny. Pobił się ze swoim nowym szwagrem podczas wesela, a wtedy jego matka powiedziała mu dobitnie: „Już nie jesteś moim synem. Jesteś dla mnie martwy”. Ale po prawdzie, skopanie tego jełopa na parkiecie sprawiło mu radość. Nikt nie będzie nazywał jego siostry zdzirą. Niemniej nawet ona stanęła przeciwko niemu. Za dnia, kiedy próbował spać, ta bójka nieustannie kołatała mu się w głowie. Był taki zmęczony, ale nie umiał się wyspać...

– Wyglądasz na wykończonego – powiedziała Eva.
– Bo jestem – przytaknął. – I mam swoje zmartwienia.
– Co jest na szczycie listy?
– Jak bardzo będzie bolało, kiedy pociąg ciachnie mnie po szyi. To moje główne zmartwienie. Że pewnie będzie boleć, zanim kojfnę.

– Są łatwiejsze sposoby, Barry. I pomyśl o maszynieście, ten obraz zostanie z nim na zawsze. W dodatku przez ciebie pasażerowie spóźnią się co najmniej godzinę, bo ekipa będzie szukać twojej głowy i kończyn. Pomyśl o nieznanym, który w reklamówce z Tesco przyniesie twoją odciętą głowę.

– Czy tak właśnie robią? – spytał Brian Junior.

– Widziałam taki film dokumentalny – odpowiedziała.
– Myślisz, coby nie pociąg? – odezwał się Barry.
– Nie. Zdecydowanie nie pociąg.
– Myślałem się wieszać. Mam belkę stropową...
– Nie – powiedziała stanowczo Eva. – Można tak wisieć kilka minut. Walczyć o oddech. Nie zawsze pęka kark, Barry.
– Racja. Usuwam z listy. Masz jakieś przemyślenia o utopieniu się?
– Nie. Ale mam przyjaciółkę, nazywa się Virginia Woolf – skłamała Eva – która włożyła sobie do kieszeni kamienie i weszła do morza.
– Udało się?
– Nie – znów skłamała. – Nie udało się. Teraz jest zadowolona, że się nie udało.
– A co z paracetamolem?
– Jest niezły, ale jeśli nie umrzesz, zniszczysz sobie wątrobę i będziesz konał w męczarniach przez dwa tygodnie. Albo wysiądą ci nerki i skończysz na dializach. Cztery godziny dziennie, pięć razy w tygodniu. Twoja własna krew będzie płynąć w plastikowych rurkach przed twoimi oczami.
– Coś tak jakby wygląda, że łatwiej jest żyć – powiedział i zaśmiał się gorzko.
– Mogę rozwalić ci łeb kijem do krykieta – odezwał się posępnie Brian Junior.
Barry znów się zaśmiał.
– Nie, chyba już pójdę. Dziękuję.
– Równie dobrze możesz żyć, Barry – powiedziała Eva. – Co jest na drugim miejscu twojej listy?
– Jak się z kimś na serio zaprzyjaźnić.
– Palisz?
– Nie, obrzydliwy nałóg.
– Powinieneś spróbować. Mógłbyś dołączać do tych małych grupek przed pubem czy klubem. Stałbyś się częścią wzgardzanej mniejszości, którą łączy spora solidarność. Szybko zdobyłbyś znajomych. Tak naprawdę nie musiałbyś palić fajek, tylko je

odpalać i trzymać między palcami.

Barry wyglądał na nieprzekonanego.

– Nie podoba ci się ten pomysł?

– Nie bardzo.

– No dobrze. – Eva klasnęła. – Kup sobie psa.

– A masz komputer, koleś? – wtrącił się Brian Junior.

Barry był wstrząśnięty, że ktoś nazwał go „kolesiem”. Nigdy mu się to nie zdarzyło.

– Taa, mam laptop, ale tylko oglądam na nim filmy.

– Zamilcz! – Brian Junior był zszokowany. – To tak jakby zanurzać palec w wodzie, zamiast w niej pływać. To zupełnie inny świat, Barry. I nie mówię o ukrytej sieci. Nawet początkujący może znaleźć niesamowite rzeczy, rzeczy, które mogą zmienić życie. Na świecie są miliony kolesi takich jak ty podłączonych do netu, możesz się z nimi skontaktować. Kilka dni i będziesz miał zupełnie inne podejście do życia. Tam są ludzie, którzy chcą się z tobą zaprzyjaźnić.

– Nie wiedziałbym, jak zacząć – powiedział Barry. – Razem z komputerem przyszła książka, ale to jakieś bzdury.

– To proste! – zachęcał go Brian Junior. – Naciskasz kilka klawiszy i już: jesteś w internecie, leży przed tobą cały świat.

– Których klawiszy?

Brian Junior zaczął się męczyć oporem stawianym przez Barry’ego.

– Dam ci kilka wskazówek, ale nie prosź mnie, żebym się angażował w jakieś emosamobójcze pieprzenie. Pomogę ci, stary, ale męczy mnie słuchanie tych samych historii. Gruby, brzydkie zęby, żadnych przyjaciół, bez dziewczyny na balu maturalnym. Koniec.

Barry przesunął językiem po swoich zaniedbanych zębach.

– Ignoruj Briana Juniora i jego siostrę, oni żyją w bardzo małym świecie o nazwie internet, gdzie cynizm jest normą, a okrucieństwo zajęło miejsce poczucia humoru – powiedziała Eva.

– To niepodważalna prawda – zgodził się Brian Junior.

– Mogę ci dać kilka praktycznych porad, jeśli chcesz –

odezwała się Eva.

– Biorę wszystko, co działa.

– Kiedy siedzisz w wannie, dokładnie myj włosy szamponem i dokładnie spłukuj. Używaj odżywki do włosów. Idź do fryzjera i poproś, żeby ostrzygł cię modnie. Jeśli zaś chodzi o twoje ubrania... Nie noś takich dziecięcych kolorów. Nie jesteś prezenterem w telewizji dla dzieci.

Barry pochylał się do przodu z delikatnie rozchyłonymi ustami i uważnie słuchał.

– Znajdź dobrego dentystę z refundacją leczenia i napraw sobie zęby. A kiedy rozmawiasz z kobietą, pamiętaj, że rozmowa jest jak ping-pong. Ty coś mówisz, ona coś mówi. Potem ty odpowiadasz na to, co ona powiedziała, po czym znów ona mówi. Zadajesz jej pytania. Ona odpowiada. Rozumiesz zasadę?

Barry kiwnął głową.

– Kup sobie dwudziestoczerogodzinny dezodorant. I uśmiechaj się, Barry, pokaż jej swoje nowe zęby.

– Powinienem to notować.

Brian Junior upajał się rolą guru od IT.

– Nie ma takiej potrzeby. Są odpowiednie strony dla tych, którzy boją się wyjść z domu. Taki jakby poradnik dla ofiar losu. Mnóstwo użytecznych informacji. Na przykład, jak przejść się ulicą i nie wywołać w nikim ataku przerażenia. Czyli: żadnego gapienia się w oczy zbliżającej się kobiety i żadnego łożenia w nocy za kobietą. Jedzenie: na pierwszej randce nigdy nie zamawiaj spaghetti. Ubrania: jakiego koloru skarpetki włożyć do brązowych butów. *Nigdy* nie noś szarych butów. Plus różne informacje na temat seksu i tak dalej.

Barry uśmiechnął się półgębkiem.

– Chyba pójde do domu i wywalę wszystkie szare buty.

– No to jak, nie zbliżysz się dziś do torów kolejowych? –
upewniła się Eva.

– Nie. Padam na pysk. Wróce do domu i się prześpię.

– Najlepsza strona to rezydentpiwnicy kropka org. Jest trochę nazbyt amerykańska, ale zwyczajnie zignoruj wszystko, co

dotyczy odpowiedniego zachowania na meczu bejsbolowym.

– Nie idzie mi najlepiej z czytaniem – przyznał się Barry. – Ale spróbuję się z tym uporać. Dziękuję. – Podniósł się z fotela i zwrócił do Evy: – Przepraszam, że tak się zwałem na głowę. Czy mogę przyjść o jakiejś lepszej porze?

– Tak, chcemy wiedzieć, jak ci idzie, prawda, Junior?

– Mam w sobie niewiele ludzkiej ciekawości, Barry, więc niezbyt mnie to obchodzi, ale wiem, że moja mama z pewnością doceni kolejną kurtuazyjną wizytę. Może jak już sobie naprawisz zęby? Pokażę ci podstawy, nauczę korzystać z internetu i podam kilka adresów.

W progu Barry odwrócił się i posłał Evie promienny uśmiech. Jego usta wyglądały jak Koloseum, tyle że bez kotów.

Przez kilka minut z przedpokoju dobiegały ciche mamrotania. Kiedy Eva usłyszała trzaśnięcie drzwiami, podniosła się do okna, żeby pomachać Barry'emu.

Odpalił silnik i zaczął zawracać w trzech rzutach. Po czym zrobił to jeszcze raz. I jeszcze raz.

W końcu się zorientowała, że Barry wykonuje taksówkarską wersję lotniczej beczki.

Śnieg zdeorganizował kraj. Transport i usługi, a także urzędy pocztowe działały chaotycznie.

O osiemnastej trzydzieści, tydzień później, przez otwór pocztowy w drzwiach wpadła kartka od Alexandra, a wraz z nią reklamy i rachunki. Brian zebrał wszystko i zaczął sortować przy kuchennym stole. Na kartce znajdowała się ręcznie malowana akwarelami scena przedstawiająca Tamizę, Most Westminsterski i budynki Pałacu Westminsterskiego. Brian odwrócił kartkę i przeczytał:

Droga Evo,

oszaleję w domu mojej teściowej, zmusza nas, żebyśmy wszyscy rozpoczynali dzień o siódmej rano i kładli się do łóżek o dwudziestej pierwszej, „aby oszczędzać światło”.

Od czasu, kiedy tu jestem, sprzedałem cztery obrazy. Aczkolwiek moja teściowa sądzi, że „paćkanie farbą na papierze nie jest tym, czym mężczyzna powinien zarabiać na życie”.

Wrócimy do Leicester w przyszłym tygodniu. Myślę o Tobie codziennie.

Brian spojrział na obrazek na pocztówce i prychnął jak wielbłąd. Dla niego to wcale nie wyglądało na Pałac Westminsterski. I odkąd to Tamiza jest niebieska i wylewa się na ulicę? Tak czy owak, zawsze uważał, że impresjonizm to oszustwo.

Wrzucił pocztówkę do szuflady „na najróżniejsze rzeczy” w kredensie, po czym odwrócił się do tacy, którą przygotowywał dla Ewy. Leżały na niej talerzyk z kanapką z serem, jabłko, pomarańcza i paczka biszkoptów.

Napełnił termos gorącą herbatą i zaniósł Evie.

– To ci powinno wystarczyć do mojego powrotu. Po co, do kurwy nędzy, wybrali sobie Leeds? Rzut cholernym kamieniem od domu są dwa porządne uniwersytety. Widzę je, kiedy się golę!

W samochodzie panowała cisza. Poppy grała skruszoną.

Po kilku milach Brian odezwał się do niej:

– Nie jesteś taką jak zwykle trajkotką, Poppy.

– Nie – odpowiedziała. – Medytowałam. Staram się dowiedzieć, kim jestem, Brian. Jestem w trakcie indywidualności.

Bliźniaki zachichotały.

– Ja doskonale wiem, kim jesteś, Poppy – powiedziała z tylnego siedzenia Brianne. – Chciałabyś, żebym ci powiedziała?

– Nie – odparła miękko Poppy. – Ale dziękuję, Brianne.

Brianne rozsiadła się wygodnie i cieszyła chwilą.

– Nie zniosę już tego napięcia – powiedział Brian Junior. – Nie chodzi tylko o to, że jesteś niebezpiecznym kierowcą, tato, ale też o to, że każdemu z nas w głowie tłucze się gorzki monolog. Czy możemy włączyć jakąś muzykę? Proszę.

– Przyjmę krytykę swoich umiejętności jako kierowcy, kiedy spędzisz za kółkiem ładnych parę lat, synu. Wciąż mam nadzieję, że te święta zostaną za nami, a my ruszymy dalej. Dlaczego nie porozmawiamy o czymś interesującym? Wymyśliłem kilka tematów. Chcielibyście je usłyszeć?

– Tak – powiedziała Poppy.

– Nie – odpowiedziały bliźniaki w tej samej chwili.

– W porządku. Co powiecie na bezrobocie?

Nikt nie odpowiedział.

– Euro?

Znow nikt nie odpowiedział.

– No dobrze, coś dla was, młodych. Co zabiłoby was szybciej: rekin czy lew?

– Rekin – odezwał się Brian Junior. – Z przewagą piętnastu sekund.

– A może: od jak dawna posuwasz Titanię? – powiedziała Brianne. – Porozmawiajmy o tym.

- Nie jesteś mężczyzną, Brianne. Nie zrozumiałabyś.
- Ja jestem mężczyzną i nie rozumiem – oświadczył bez wyrazu Brian Junior.
- Jesteś chłopcem. Zresztą podejrzewam, Brianie Juniorze, że pozostaniesz chłopcem do końca życia.
- To wyjątkowo krzywdzące słowa – zauważył Brian Junior.
- Zwłaszcza gdy padają z ust człowieka, któremu zdarza się nosić bejsbolówkę daszkiem do tyłu.
- I który słucha, jak strzelają płatki Rice Krispies po dolaniu do nich mleka, oraz który śpiewa w tym czasie „Trzask, chrup i trach” – dodała Brianne.
- Nigdy w życiu nie spotkałam bardziej dorosłego mężczyzny – odezwała się Poppy matowym głosem. – Żałuję, że nie jesteś moim ojcem, Brian.
- Położyła swoją dłoń na spoczywającej na drążku zmiany biegów dłoni Briana.
- Brian nie próbował się uwolnić od tego dotyku. Kiedy zmieniał biegi, pozwalał, by ręka Poppy poruszała się razem z jego dłonią.
- Jak możesz woleć Titanię od mamy? – spytała Brianne. – Mama jest wciąż piękna. I jest miła, i troszczy się o ludzi. Titania wygląda jak zawartość słoja z preparatem. I nie jest miła, tato. Nazywa Alexandra za jego plecami „człowiekiem magnum”. Mówi, że z wierzchu jest ciemnobrązowy jak wyrób czekoladopodobny, a w środku biały jak lody.
- Brian się zaśmiał.
- Musisz przyznać, Brianne, że on brzmi i zachowuje się jak pomniejszy monarcha ze Scarborough na Tobago.
- Został adoptowany przez angielską parę, która wysłała go do Charterhouse²⁸! – krzyknęła Brianne. – Nic nie poradzi na to, jak mówi!
- Brian próbował zmusić ogromną ciężarówkę do zjechania na środkowy pas za pomocą długich świateł i podjeżdżania zbyt blisko.
- Zaiste ona protestuje aż do przesady – przekrzyczał zgrzyt

przekładni. – Brzmisz, jakbyś się nieco w nim durzyła.

– To coś więcej niż zadurzenie. Ja go kocham.

Brian stracił koncentrację na tym, co się dzieje na drodze, i musiał szarpnąć kierownicą, żeby samochód wrócił na swój pas.

– Jest starszy od ciebie o trzydzieści dwa lata, Brianne.

– Mam to gdzieś.

– Przestaniesz mieć gdzieś, gdy będziesz musiała podcierać jego starożytny tyłek, a jego zęby będą leżeć w szklance stojącej przy łóżku. Czy on odwzajemnia twoją miłość?

Brianne spojrzała za okno na śnieg wirujący w snopach światła.

– Nie – odpowiedziała.

– Nie – powtórzył Brian. – Ponieważ jesteś zaślepioną głupią nastolatką. Jesteś jeszcze dzieckiem.

Brian Junior nachylił się, aż jego usta znalazły się bardzo blisko ucha Briana.

– Ależ z ciebie hipokryta. Jesteś osiemnaście lat starszy od Titanii.

Brian zaczął krzyczeć i gwałtownie gestykulować.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Przez lata przerażała mnie myśl, że zostawi mnie dla kogoś młodszego!

Samochodem rzucało z prawa na lewo.

Poppy zabrała swoją dłoń i pisnęła:

– Proszę, połóż obie ręce na kierownicy!

– Chciałbym dokładnie wiedzieć, kiedy odkochałeś się w mamie – naciskał Brian Junior. – Chcę wiedzieć, jak długo okłamujesz naszą rodzinę.

– Wcale nie odkochałem się w waszej mamie. Życie dorosłych jest skomplikowane. – Po długiej ciszy Brian dodał: – Powinniśmy się trzymać tematu „Euro: walczyć lub uciekać”. Z rozdrapywania strupów nikomu nie przyjdzie nic dobrego.

– Uwielbiam rozdrapywać strupy – powiedziała Brianne. – To takie satysfakcjonujące, kiedy schodzą i odsłaniają świeżą skórę pod spodem.

– W porządku! – wybuchnął Brian. – Oboje jesteście tacy,

kurwa, dorośli! Powiem wam dokładnie, jak to było ze mną i Titanią! Pytajcie, o co chcecie!

Bliźniaki zamilkły.

– Czy zaczęło się cudownie romantycznie? – spytała Poppy.
– Zakochałeś się od pierwszego wejrzenia?

– Bardziej przypominało to powolny pożar. Imponowała mi jej inteligencja i jej genialne badania. Była jak terier łapiący trop tego, o czym wiedziała, że jest ważne. Zrobiła sobie wielu wrogów, ale nie we mnie.

Bliźniaki rzuciły sobie kpiące spojrzenie.

– Jak się zaczął wasz romans? – zapytała Poppy.

Brian uśmiechnął się w ciemności.

– Pewnej nocy w bibliotece uniwersyteckiej... w dziale filozofii...

– W bibliotece? – Brianne była przerażona. – Przecież tam pracowała mama! To ohydne!

– Dzisiaj bym tego nie zrobił – powiedział Brian. – Wszędzie są te cholerne kamery przemysłowe.

– Kiedy *to* miało miejsce? – spytał Brian Junior.

– Mniej więcej w tym czasie, kiedy zdarzyła się katastrofa Columpii.

– Więc masz romans z Titanią od dwa tysiące trzeciego roku?

– Katastrofa mocno mnie dotknęła, synu. Byłem wtedy niezwykle podatny na zranienia. Wasza matka jakby nie rozumiała mojej rozpacz. Ale była tam Titania, podobnie jak ja roztrzęsiona. Zbliżyła nas Columbia. Daliśmy sobie pociechę.

– Aha, jasne – powiedział Brian Junior. – I nie wystarczyło ci ośmiu lat, żeby się uporać z niepowodzeniem wahadłowca przy ponownym wejściu w atmo-sferę ziemską?

Brian odwrócił się i spojrzał na syna.

– Okej. Przyznaję. Była w tym także namiętność. I fizyczność. Byłem nieodpartą siłą, a Titania była nieruchomym obiektem.

Kierowca znajdującej się niebezpiecznie blisko ciężarówki zatrąbił. Brian tak gwałtownie nacisnął hamulec, że Poppy

natychmiast pomyślała o urazie szyjnego odcinka kręgosłupa i możliwym odszkodowaniu.

Kiedy wszystko się uspokoiło, Brian Junior powiedział:

– No więc tak. Najpierw dowiadujemy się, że jesteś cudzołożnikiem, a teraz zdajemy sobie sprawę, że jesteś intelektualną ruiną. Analogia, którą się posłużyłeś, twoja domniemana siła grawitacji, mogła wyjść wyłącznie z ust intelektualnego kurdupla. Ta pop-naukowa analogia jest chybiona, a fałszywa logika jest równie niebezpieczna co twoje umiejętności w pro-wadzeniu samochodu. Przez takich „naukowców” jak ty zginęły miliony ludzi.

– Dalej, Bri – powiedziała Brianne.

Dalsza kłótnia rozwijała się szybko i potężnie, osiągając szczyty niezrozumienia, aż w końcu ojciec i syn zorientowali się, że ugrzęźli na naukowym plateau i rozprawiają o przestrzeni sześciowymiarowej.

Poppy czuła znużenie. Żeby przeżyć tę niekończącą się drogę (a znajdowali się dopiero na zjeździe na lotnisko East Midlands, na rany Chrystusa), pozwoliła sobie na fantazję, wyobrażając sobie, że jest dziecięcą panną młodą Briana. Stojąc przy ołtarzu, wyglądałaby olśniewająco w swoich białych koronkach przy jego zwalistej sylwetce i gęstej brodzie. Skłoniłaby go do sprzedania domu (z Evą w środku), zerwania z zasuszoną Titanią i kupienia loftu w centrum miasta. Wpłynęłaby na jego zwierzchników i uzmysłowiłaby im, że zasługuje na profesurę. Zmusiłaby go do wydawania trzystu pięćdziesięciu funtów na strzyżenie włosów i brody u samego Nicky’ego Clarke’a. Po wyrzuceniu jego swobodnych akademickich ciuchów (sztruksowe spodnie, zamszowe mokasyny, tweedowa marynarka, rogowe oprawki okularów), zachowywałaby się jak jego agentka, załatwiałaby mu występy w telewizji i w końcu zaczęłoby się kręcić w środowisku celebrytów. Zawsze chciała poznać Katie Price i dalejłame. Nakłoniłaby go do zrobienia sobie wazektomii. Kazałaby sobie płacić za seks, a później – kiedy stałby się słaby albo zacząłby tracić zmysły – oddałaby go do domu opieki. Oczywiście w grę

wchodziłaby także miłosierna śmierć. Na rozprawę włożyłaby czerń i skromny kapelusik. Ścisłałaby w dłoniach białą lnianą chusteczkę i co jakiś czas ocierała łzy. Kiedy przewodniczący ławy przysięgłych ogłosiłby: „Niewinna”, zemdłałaby w ławie oskarżonych. Zanim minęli zjazd na Ikeę, wyszła za Briana, zmieniła jego życie i zdążyła go pogrzebać.

A on prowadził dalej, nieświadomy swojego przeznaczenia.

Poppy przestała snuć marzenia i przerwała Brianowi Juniorowi, który nawijał o czymś, czego nie rozumiała i nie chciała rozumieć.

– Dla mnie to oczywiste, że wasz tato zakochał się w Titanii do szaleństwa. Musiała być wtedy piękna. Prawda, Brian?

Brian się zawahał.

– Nie była piękna, nie była nawet ładna. Nie powiedziałbym także, że atrakcyjna. Ale rozumiała moje oddanie przedmiotom badań. Kiedy wracałem późno do domu, Eva nie wyrażała żadnego zainteresowania tym, co porabiałem cały dzień. Prawie nie podnosiła wzroku znad tych swoich haftów. Tak, gdyby świat miał się skończyć, ona wciąż by... szyla, szyla, szyla.

– Wszystkie te kłamstwa, tato, przez wszystkie te lata – powiedziała smutno Brianne.

Poppy odwróciła się na siedzeniu przodem do Briana. Jej szantungowa spódniczka ułożyła się tak, że Brian kątem oka zauważył bladozielone majtki.

Przez milę jechali w milczeniu.

– Pora na muzykę – powiedział Brian.

Nacisnął przycisk na odtwarzaczu CD i samochód wypełniły dźwięki Nelson Riddle Orchestra. To okazało się torturą dla jego dzieci, ale zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy Brian i Poppy zaczęli śpiewać z Sinatrą *Strangers in the Night*. Brian wydobywał z siebie pseudoamerykański akcent, falset Poppy z kolei boleśnie zbaczał z linii melodycznej.

Bliźniaki włożyły sobie palce do gardła i nałożyły na uszy tłumiące wszelkie inne dźwięki słuchawki. Gdy mijali znak zjazdu na Leeds, Brian i Poppy wykonywali na dwa głosy *I've Got You*

Under My Skin.

Kiedy tylko Brian wysadził ich przed akademikiem, bliźniaki skierowały się do windy, żeby jak najszybciej wystawić na eBayu prezenty od rodziny – iPady pierwszej generacji kupione w komisie były zabawnie przestarzałe i nie spełniały ich potrzeb. Leżały na dnie czarnego worka razem z szalem, który Ruby zrobiła na drutach dla Briana Juniora, oraz autobiografią Tony’ego Blaira z dedykacją na stronie tytułowej: „Dla Brianne, wesołych świąt od babci Yvonne”.

Jedynie Poppy zamarudziła i starała się za pomocą spojrzeń dać Brianowi do zrozumienia, że jest najbardziej fascynującym mężczyzną, jakiego w życiu poznała, i że nie zniesie męki rozstania z nim.

O wpół do czwartej nad ranem Brian Junior usłyszał, że u Poppy otwierają się drzwi, a zaraz potem dobiegł go szum prysznic.

Śpiewała: „I’ve got me under my skin”²⁹.

To rozwścieczyło Briana Juniora. Walnął pięścią w ścianę i przeraziła go myśl: „W sumie mógłbym ją zabić”.

Dzięki przeszukaniu ukrytej sieci wiedział, że można kogoś „zniknąć” i nigdy nie zostać złapanym.

Siostra Spears kazała Evie zdjąć koszulę nocną. Chciała ją zbadać pod kątem odleżyn.

Eva przykrywała kołdrą swoją nagość, jak tylko się dało.

– Znałam ludzi, którzy zmarli z powodu odleżyn, pani Beaver. Jeśli się nic z nimi nie zrobi, mogą prowadzić do infekcji, owrzodzenia i ostatecznie do amputacji. – Uniosła kolana Evy i krytycznie przyjrzała się jej piętom. Następnie obejrzała pośladki, kończąc oględziny na łokciach. Wyglądała niemal na zawiedzioną, kiedy nie znalazła żadnych podrażnionych miejsc.

– Z pewnością używała pani maści z dobrą barierą ochronną – stwierdziła.

– Nie – odpowiedziała Eva – ale wiem co nieco o odleżynach. Po prostu się ruszam i zmieniam pozycję.

Eva się ubrała. Pielęgniarka zmierzyła jej ciśnienie i chrząknęła nad wynikiem, mimo że mieścił się w normie. Wsunęła termometr do ucha Evy i znów chrząknęła. Schowała termometr.

– Jak wypróżnianie?

– Świetnie – odparła grzecznie Eva. – A u pani?

– Bardzo mnie cieszy, że tak lekko to pani traktuje, pani Beaver, zważywszy na pani położenie. Pani matka na dole powiedziała mi, że mąż mieszka z inną kobietą w dobudówce w ogrodzie.

– W szopie.

– Pani matka powiedziała mi także, że kiedy musi pani skorzystać z toalety, tworzy pani coś, co nazywa „białą ścieżką”, i jest to pani zdaniem przedłużenie łóżka. To prawda?

– Tak, to prawda. *To jest* przedłużenie łóżka. Czy gdybym wystrzeliła w pani głowę pocisk i przez niego pani głowa, siostrze Spears, pękłaby na pół, to ta kula byłaby bytem osobnym czy częścią broni?

Mniej więcej coś takiego zapamiętała z podsłuchanej

pewnego ranka rozmowy Briana i Briana Juniora na temat fizyki kwantowej, która zakończyła się, kiedy słoik z marmoladą wyslizgnął się z ręki bliźniaka i rozbił na podłodze.

Siostra Spears zrobiła notatkę w kartotece Evy.

– Chciałabym zobaczyć, co pani tam pisze.

– Obawiam się, że pani karta objęta jest tajemnicą – powiedziała pielęgniarka, odsuwając ją z zasięgu ręki Evy.

– Myli się pani, siostrze Spears. Prawo zezwala pacjentom czytać ich kartoteki.

– Uznaję, że nie jest pani wystarczająco stabilna emocjonalnie, by zapoznać się z własną kartoteką. Mogłoby to wywołać kolejny epizod psychotyczny.

– Fizycznie i umysłowo jestem zdrowa.

– To całkiem powszechne mniemanie u pacjentów chorych psychicznie.

Eva zaczęła się śmiać.

– Więc tak czy siak pani wygrywa?

– W tym pytaniu czai się paranoja – odpowiedziała siostra Spears.

– Szkolono panią w stawianiu diagnoz na temat zdrowia psychicznego?

– Nie szkolono, ale jest to temat, który żywo mnie interesuje. W mojej rodzinie był przypadek osoby chorej, nie ma się czego wstydzić, pani Beaver.

Eva poczuła chłód, fizyczną oznakę strachu.

– Czy w ten sposób sugeruje pani, że jestem chora psychicznie?

– Wróć do kliniki i poinformuj pani lekarza, że w mojej opinii przechodzi pani swego rodzaju załamanie nerwowe. Powiem to jeszcze raz, pani Beaver, nie ma się pani czego obawiać. Niektórzy najwybitniejsi mężczyźni i kobiety cierpieli tak jak pani. Proszę pomyśleć o Churchillu, Alastairze Campbellu, Lesie Dennisie.

– Ale ja nie jestem chora psychicznie! – naciskała Eva.

– Od czasów „czarnego psa” biednego pana Churchilla nauka

poszła do przodu. Istnieją dziś cudowne leki, dzięki którym w ciągu kilku tygodni znów stanie się pani dawną sobą. Zdoła pani wyjść z łóżka i wrócić do społeczeństwa.

– Ale ja nie chcę do niego wracać.

Siostra Spears włożyła swój granatowy płaszczyk przeciwdeszczowy i powoli przewlekła pasek przez skórzaną brązową sprzączkę.

– Rzecz jasna, pojawię się jeszcze. Do widzenia, pani Beaver.

Kiedy Eva pięć minut później usłyszała na korytarzu głos swojej matki, a po chwili trzask zamykanych drzwi, krzyknęła:

– Mamo!

Wdrapanie się na schody zajęło Ruby więcej czasu niż zwykle i gdy pojawiła się przy łóżku Evy, ledwo łapała oddech.

Eva nie chciała denerwować matki, ale musiała szczerze z nią porozmawiać.

– No i jak? Miło się gawędziło z pielęgniarką?

– Tak – odpowiedziała Ruby. – Opowiadała mi o doktorze Bridgesie. Nie było go w pracy trzy dni. Uszkodził sobie nos eklektyczną golarką.

– Elektryczną. I nie powinna rozsiewać plotek o lekarzach.

– Nie lubi tego ciemnego doktora, tego Lumbogo, mówi o nim, że jest leniwy. No, ale oni tacy są, prawda?

– Nie, nie są.

– Za nic w świecie nie chciałabym mieć jej pracy. Te wszystkie rzeczy, które musi robić. Opowiedziała mi o kilku swoich najgorszych przypadkach. To obrzydliwe, z czym ta biedna kobieta się mierzy.

– Opowiedziałaś jej o Brianie i Titanii. Powiedziałaś jej, że mieszkają w dobudówce w ogrodzie.

– No cóż, nie mogłabym nazwać tego szopą, prawda?

– I wołałabym, żebyś jej nie mówiła o białej ścieżce.

– Ale przecież każdy *wie* o białej ścieżce.

– Każdy?

– Hm, no, każdy, kogo znam. Powiem ci prawdę, Evo. Każdy uważa, że to szurnięte. I powiem ci coś jeszcze: siostra Spears też

uważa to za szurnięte i w ogóle.

– A ty, mamó? Co ty myślisz? Czy ty także uważasz, że to szurnięte?

Ruby smutno potrząsnęła głową.

– Czuję się tak, jakbym cię nigdy nie znała i nigdy miała nie poznać. Nikt z nas już nie wie, kim jesteś. Wszyscy chcemy starą Evę z powrotem.

– Nie lubiłam starej Evy. Była nieszczęśliwym tchórzem.

– To, czego ci trzeba, to zmiana otoczenia. Miałaś urocze czteromiesięczne wakacje. Dlaczego nie wstaniesz, nie weźmiesz prysznic, nie umyjesz głowy jednym z tych swoich warzywnych bajerów...

– Ziołowych.

– ...nie włożysz jakichś ciepłych ubrań. Mogłybyśmy pójść na zakupy. W parku rosną przebiśniegi. Mogę pożyczyć od Stanleya wózek. Ważysz tyle, co nic, z łatwością mogłabym cię pchać. Chciałabym się tobą zająć, Evo.

– Nic nie rozumiesz, mamó, prawda? Pomyśl o mnie jak o ogromniej larwie. Jestem tu, w tym pokoju, i się przepoczwarzam.

Ruby poczuła się niepewnie.

– Gadasz głupoty, przestań!

– Pewnego dnia zrzucę powłokę – powiedziała Eva. –
Czekam na to. I zastanawiam się, kim będę.

– Będiesz samiuteńka, jeśli nie przestaniesz mówić takich rzeczy.

Ruby zeszła na dół i zastała Titanię, która wyciągała ubrania z pralki. Jej rzeczy i Briana plątały się razem. Jedna z jego koszul owijała jedną z jej koszul nocnych.

– Nie jesteś w pracy?

Titania, która uważała Ruby za najgrubszą osobę, jaką w życiu widziała, odparła:

– Najwyraźniej nie. Jestem tutaj, w kuchni, w trzech wymiarach. W czterech, jeśli doliczyć czas.

Ruby wskazała brodą pokój Evy.

– Jej się pogarsza. Właśnie mi powiedziała, że jest jak

ogromna larwa.

Titania szeroko otworzyła oczy.

– Jesteś pewna, że nie powiedziała: „Daj mi rabarbar” albo „Gdzie jest ta chałwa” czy coś w tym stylu?

– Wiem, że mam już swoje lata, ale z całą pewnością słyszałam, jak mówiła, że *jest* ogromną larwą.

– Owadem?

– Tak.

– *Très* kafkowskie.

– Czy możesz powiedzieć Brianowi, kiedy wróci z pracy, że Eva teraz uznała się za ogromną larwę?

– Och, tak. Z przyjemnością przekażę mu tę wiadomość.

– Idę do domu – powiedziała Ruby. – Słabo się coś czuję. – Kiedy wkładała płaszcz, dodała: – Titanio, co by się stało z Evą, gdybym zmarła?

– Jakoś byśmy dali radę.

– Karmilibyście ją? – upewniła się Ruby.

– Oczywiście.

– Pralibyście jej rzeczy, zmieniali pościel?

– Z pewnością.

– Myli ją?

– Tak.

– Ale nie kochalibyście jej, ty i Brian, prawda?

– Jest sporo ludzi, którzy ją kochają.

Głosy Ruby się załamał.

– Ale ona potrzebuje swojej mamusi i gdybym znalazła się w ramionach Jezusa, nikt by nie dbał o nią *jak należy*, prawda?

– Myślę, że Alexander ją kocha.

Ruby podniosła swoją pustą torbę na zakupy.

– Ty mówisz o seksie, ja mówię o miłości.

Titania patrzyła, jak idzie korytarzem i pomyślała, że w ostatnim tygodniu mocno się postarzała. Chwiała się na nogach i miała przygarbione ramiona. Mogła w sumie zasugerować Ruby, żeby zmieniła swoje pół-buty na niskim obcasie na sportowe buty Merrella.

Gdy Brian otworzył drzwi, poczuł curry, swoją ulubioną potrawę. Titania stała przy kuchence i podgrzewała ćapati nad płomieniem. Każda powierzchnia, która mogła błyszczeć, lśniła. W powietrzu unosił się nikły zapach wybielacza. Wszystko zostało wyszorowane. Na stole stał niewielki wazonik z przebiśnigami, leżały dwa nakrycia oraz oddychała butelka burgunda. Wypolerowane kieliszki odbijały światło świec.

Podniósł pokrywkę i powąchał.

– Co to jest? Kurczak?

– Nie, koźlina – odpowiedziała Titania. – I zanim zapomnę: twoja żona obecnie sądzi, że jest ogromną larwą. „Monstrualnym szkodnikiem”.

Brian miał delikatny żołądek. Odłożył pokrywkę. Jego apetyt zmałał.

– Ogromną larwą? – spytał. – Nie mogłaś poczekać, aż zjemy?

Następnego dnia na progu pojawił się Barry Wooton. Przyprowadził ze sobą kobietę, którą przedstawił Yvonne jako swoją „nową przyjaciółkę”.

Yvonne, która była na porannej zmianie, zaprowadziła ich do pokoju Evy, mówiąc do siebie po drodze. Jak służąca w dramacie kostiumowym zaanonsowała:

– Pan Barry Wooton i panna Angelica Hedge.

Eva usiadła na łóżku.

– A więc nadal z nami jesteś? – zwróciła się do Barry’ego.

– Taa – zaśmiał się. – Dzięki.

Eva spojrzała na panią Hedge i czekała, aż zostaną sobie właściwie przedstawione.

– Lubi, jak się na nią mówi Angel – powiedział Barry. – Czekala w kolejce na taksówkę przed dworcem. Powiedziała: „Jak na lutowy poranek wygląda pan całkiem radośnie”, a ja na to: „No cóż, wszystko dzięki niesamowitej Evie Beaver”. No i chciała cię poznać.

Angelica była niewysoką i drobną kobietą bez stylowej fryzury. Ciężki makijaż nie potrafił zakryć rysów twarzy nieco przypominających sowę. Wyciągnęła do Evy odrobinę zniszczoną dłoń. Jej głos okazał się cichy i pozbawiony akcentu.

– To zaszczyt móc panią poznać, pani Beaver. To wspaniałe, że uratowała pani życie Barry’emu.

– To święta kobieta – dodał Barry.

– Ale proszę się strzec – mówiła dalej Angelica. – To chyba Konfucjusz, a może Platon napisał: „Jeśli uratujesz życie człowiekowi, jest on twój na wieki”.

– No cóż – powiedział Barry. – Ja bym tam nie miał nic naprzeciw, ale nie wiem, jak Eva.

Eva uśmiechnęła się słabo i pozwoliła potrząsać swoją dłoń odrobinę za długo. Wydawała z siebie odgłosy sprzeciwu.

– Czy to twoja teściowa nas wpuściła? – spytała Angelica.
– Yvonne.
– Ile lat ma Yvonne?
– Ile ma lat? – zamyśliła się Eva. – Nie wiem. Siedemdziesiąt pięć, może sześć.
– I mieszka tu?
– Nie, zgłasza się trzy albo cztery razy w tygodniu.
– A twoje dzieci?
– Mają siedemnaście lat – odpowiedziała, po czym zadała sobie pytanie: „Dlaczego ona chce wiedzieć, kto ile ma lat? Może ta dziewczyna jest autystyczna?”
– A ty? Ile masz lat?
„Tak, jest autystyczna” – pomyślała Eva i odpowiedziała pytaniem:
– A jak ci się wydaje?
– Nigdy nie wiem, ile ludzie mają lat. Możesz być dobrze trzymającą się sześćdziesiątką albo staro wyglądającą czterdziestką. Kto to może wiedzieć, kiedy wszędzie tyle botoksu.
– No cóż, jestem pięćdziesiątką wyglądającą na pięćdziesiątkę.
– Jak długo tu mieszkasz?
– Dwadzieścia sześć lat – odpowiedziała, a przez głowę przemknęła jej myśl: „To będzie męczące”.
– Barry mi powiedział, że jesteś przykuta do łóżka. To straszne.
– Nie, nie jestem przykuta do łóżka i nie jest to straszne.
– Jesteś taka dzielna. Twój mąż ma na imię Brian?
– Tak.
– A ile ma lat?
– Pięćdziesiąt pięć.
Do pokoju weszła Yvonne.
– Czy twoi goście mają na coś ochotę, Evo? Mamy herbatę, kawę, mamy gorącą czekoladę i oczywiście różne zimne napoje. Myślę też, że mogłabym przygotować jakieś lekkie przekąski.
Eva czuła, że mogłaby wstać z łóżka, udusić ją gołymi

rękami i zrzucić ze schodów, taka była wściekła. „Yvonne nigdy mnie nie lubiła – pomyślała. – A teraz mam dowód”.

Barry oraz jego towarzyszka odwrócili się do Yvonne i powiedzieli jednocześnie:

– Gorącą czekoladę.

Rozbawiło ich to, a Barry wskazał Angelice fotel, żeby usiadła. Przysiadł na oparciu i oboje wpatrywali się w Evę. Ona zaś położyła głowę z powrotem na poduszkach. Yvonne nie spieszyła się na schodach, nieświadoma, że Eva odlicza każdą sekundę do chwili, kiedy jej niechciani goście znajdą się po drugiej stronie drzwi.

Minęło trzydzieści pięć wycieńczających minut, zanim Yvonne przyniosła piekielnie gorące kubki z czekoladą Barry’emu i Angelice, a ci natychmiast je upuścili, gdy tylko ich palce zetknęły się z rozgrzаныmi naczyniami.

Brązowy wrzątek rozlał się na nogi Barry’ego i na białą podłogę. Jego nylonowe skarpetki zatrzymały gorący płyn i Barry zawył z bólu. Zrobił się spory rozgardiasz, kiedy Yvonne starała się powstrzymać powódź niewielką liczbą chusteczek, które przyniosła z toalety.

– Zimna woda! – krzyczała Eva. – Włóż stopy do zimnej wody!

Ale nikt nie słuchał.

Przez wrzaski Barry’ego i popiskiwanie Angeliki przebijał się krzyk wściekłej na Evę Yvonne:

– To nie moja wina! W tym pokoju nie ma niczego, na czym można by je postawić! Dlaczego musiałaś się pozbyć wszystkich mebli?

Eva starała się ostudzić temperaturę rozmowy, mówiąc z uśmiechem:

– Taka wskazówka, Yvonne, kiedy podajesz komuś kubek z wrzącym napojem, postaraj się wcześniej podać rękawice azbestowe.

– Wskazówka? – wrzasnęła Yvonne. – No to jedna dla ciebie! Ludzie wylegający się w łóżku i wpatrzeni w swój pępek nie

powinni kpić z tych, którzy robią im przysługi! Powinnam być w domu. To nawet nie jest mój dzień zajmowania się tobą, Ruby powinna tu być! Ale wiesz co? Cierpi na jeden ze swoich wygodnych „bólów głowy”. A ja czekam na paczkę z Amazona. Ma przyjść książka Alana Titchmarsha *When I Was a Nipper*, a oni byli na tyle uprzejmi, żeby znaleźć dla mnie egzemplarz pierwszego wydania z autografem. Będę miała wtedy komplet. Zostawiałam liścik na drzwiach, w którym poprosiłam kuriera, żeby umieścił książkę w schowku na węgiel, ale zapewne zjawi się ktoś, kto nie umie czytać po angielsku!

– Co to jest schowek na węgiel? – spytała Angelica.

– To pomieszczenie, gdzie się przechowuje węgiel – warknęła Yvonne.

– A nie chcesz wiedzieć, ile lat ma schowek na węgiel? – spytała Eva.

– Właśnie, a ile ma lat?

– Niebawem będzie obchodził sześćdziesiątą rocznicę urodzin.

Podczas zmywania podłogi mopem, zdejmowania ubrań i smarowania poparzonej skóry maścią, którą Yvonne wyjęła ze swojej ogromnej torebki, znów doszło do niepotrzebnej gadaniny. Kiedy Yvonne znalazła odpowiednio duży opatrunek dla Barry’ego i prała mu skarpetki oraz spodnie, Angelica wciągała go w rozmowę. Zaczęła od pytania:

– Ile masz lat, Barry?

– Trzydzieści sześć – odpowiedział. – Nie mów, że wyglądam na więcej, bo wiem, że tak jest. To przez nocne zmiany. Za dnia nie mogę spać. Po jednej stronie sąsiaduję z Massive Attack, po drugiej z jakąś klasyką. Prosiłem ich, żeby ściszyli, ale to patafiany. Nade mną mieszkają szpilki, a pode mną cholerny pies. Nigdy nie przenoś się do współczesnego budownictwa. Nie dziwię się sobie, że byłem tak zdesperowany. Gdybym nie zapukał do drzwi Ewy, moja głowa znajdowałaby się teraz w reklamówce Tesco, co nie, Eva?

– Najprawdopodobniej – powiedziała cicho Eva.

– Mówię ci, to święta kobieta. Kto inny by otworzył drzwi komuś tak zrozpaczonemu, jak ja wtedy?

– Samarytanie? – mruknęła Eva.

– Dobrze wiedzieć, że są na świecie ludzie – kontynuował Barry – którzy zrezygnują ze snu, żeby pogadać w nocy z nieznajomym.

– Nie miałam wyboru – szepnęła Eva do Angeliki. – Wprosił się.

– A która dokładnie była godzina? – zapytała.

– Trzecia dwadzieścia siedem w nocy – odparł.

– A jak się czułaś, kiedy ten obcy wprosił się do twojej sypialni? Zaniepokojona? Zszokowana? Przerażona?

– No cóż, z pewnością byłam zaskoczona.

– Mogłaby dostać medal albo coś – powiedział Barry.

– Czy powiedziałaś o sobie, że byłaś pełna współczucia?

– Niespecjalnie – odezwała się po chwili Eva.

Każdy nerw w jej ciele był napięty z irytacji. Czuła, że jej gniew rośnie jak niedźwiedź budzący się ze snu zimowego. Starła się odciąć od terażniejszości i myśleć o innych rzeczach. Zaczęła spacerować po plaży na greckiej wyspie. Połyskujące w słońcu Morze Egejskie miała po lewej stronie, wynajęta willa stała kilka kroków od niej po prawej. Ale po kilku chwilach przegrała tę walkę i znów wylądowała w sypialni ze swoimi dręczycielami.

Barry nawijał swoje:

– Zaprzyjaźniłem się z kilkoma osobami w komputerze. To tacy ludzie jak ja, co się chcieli zabić. Udana z nich paczka, nieźle się razem śmiejemy.

– Często mi się wydaje, że życie nie jest warte przeżycia – powiedziała Angelica. – Pamiętasz adres ich strony?

Barry zaczął grzebać w kieszeni kurtki i wyjął z niej niewielki czerwony notesik.

– To dajerz rade kropka org – wydukał mozolnie. Spojrzał na Evę i zapytał: – Jest Brian Junior? Chciałbym mu podziękować za pomoc i w ogóle. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że podam moim nowym znajomym twój adres?

– Barry, nie! – zajęczała Eva.

– Jesteś zbyt skromna. Ludzie powinni wiedzieć, jaka cudowna z ciebie kobieta. Nie powinnaś chować swojego światła pod czymś tam.

– Yvonne! – krzyknęła Eva.

Słyszała ślimacze kroki swojej teściowej na schodach. W końcu weszła do sypialni.

– Yvonne, Barry i jego przyjaciółka muszą już iść. Będiesz tak miła i przyniesiesz jego ubranie?

– Jeszcze nie jest gotowe, dopiero co trafiło do suszarki – odparła. – Jeśli włożę je w takim stanie, dostanie zapalenia płuc.

Eva starała się zachować spokojny głos:

– To mit powtarzany przez wiekowych rencistów. Nie można dostać zapalenia płuc przez mokre skarpetki i wilgotne spodnie. Gdyby to była prawda, cała moja szkoła byłaby chora po zabawie w kałużach. – Jej gniew zaczął przebijać się przez słowa. – Pół swojego dzieciństwa spędziłam mokra albo wilgotna. Płaszcz z gabardyny nie jest odporny na śnieżyce czy ulewne deszcze. Spałam w pokoju, gdzie w kącie stało wiadro, bo pieprzony dach przeciekał. Tak więc Barry, idź z Yvonne i Angelicą na dół, włóż swoje wilgotne ubranie i wyjdźcie!

Barry był bliski łez, ponieważ myślał, że Eva jest jego przyjaciółką. To był dla niego wielki cios.

Angelica wyłączyła niewielki dyktafon Sony, który trzymała w kieszeni kowbojskiej koszuli.

– Od dawna nie widzieliśmy pana Choleryka, prawda, Evo? – odezwała się teściowa. – I pan Choleryk nie ma żadnego wsparcia. Przestałam liczyć krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy zapadli na zapalenie płuc, ponieważ niedokładnie wysuszyli swoje pranie!

– Przez ten mit musiałam prać i wieszać to cholerne pranie po całym domu! – krzyknęła Eva w odpowiedzi. – Prało się w poniedziałek, suszyło przed kominkiem we wtorek, zdejmowało we środę, prasowało w czwartek oraz wietrzyło w piątek i sobotę. Chowalo do szafy w niedzielę i zaczynało wszystko od początku w

poniedziałek! W każdy z tych cholernych dni moja matka odgrywała męczennicę. To było jak mieszkanie w chińskiej pralni!

– No cóż, tak czy owak muszę wracać do pracy – oznajmiła Angelica.

– Podwiozę cię – powiedział smutno Barry.

– Do widzenia, Evo, prawdopodobnie nie zobaczysz mnie przez jakiś czas – pożegnała się Yvonne. – Niezwykle dotknęły mnie twoje uwagi. Zostałam niesprawiedliwie potraktowana.

– Barry, wyglądasz fantastycznie, zupełnie inny człowiek – powiedziała Eva. – Przepraszam, wyszła ze mnie krowa. Jeśli będziesz tędy przejeżdżał i zobaczysz mnie w oknie, pomachaj mi. Chciałabym zobaczyć twoje światła w ciemności. Pociesza mnie, że jesteś gdzieś w pobliżu.

– Jesteś cudowną kobietą, Evo – odezwał się Barry. – Chciałbym ci kupić prezent. Co byś chciała?

– Podoba mi się wszystko. Cokolwiek wybierzesz, Barry, będzie pięknym podarunkiem.

Eva patrzyła, jak Barry i Angelica odjeżdżają.

Kilka minut później dom opuściła Yvonne.

Z osłupieniem zauważyła, że jej teściowa ciężko kuleje. Na głowie miała swój robiony na drutach beret z pomponem włożony tyłem na przód. Eva chciała otworzyć okno i jej o tym powiedzieć, ale postanowiła nie ryzykować; Yvonne mogłaby pomyśleć, że się z niej wyśmiewa.

Minęły trzy dni. Yvonne się nie pokazała. Brian poszedł się dowiedzieć, co się stało. Wrócił zmartwiony.

– Matka ma jakąś obsesję związaną z Alanem Titchmarshem. Grozi, że uwzględni go w testamencie. – I dodał po chwili: – Nie miała żadnego makijażu. Na początku jej nie poznałem. – Na koniec mruknął smutno: – Wydaje mi się, że zaczyna jej brakować piątej klepki.

Następnego dnia, gdy Brian był w pracy, pani Hordern weszła do jego gabinetu i powiedziała:

– Pana żona jest na okładce „Mercury’ego”.

Brian złapał lokalną gazetę i zobaczył, że pierwszą stronę zajmuje rozmazane zdjęcie Evy siedzącej na łóżku. Nagłówek brzmiał: „Człowiek uratowany przez «Świętą»”.

Brian odwrócił strony i na trzeciej przeczytał:

Tutejsza kobieta, Eva Beaver (50 l.), mieszkająca przy Bowling Green Road w Leicester, zgodnie ze słowami taksówkarza, Barry’ego Wootona (36 l.), ma „wyjątkowy dar”.

– Ocaliła mi życie – powiedział przysadzisty mężczyzna (zdjęcie powyżej, po prawej). – To święta kobieta.

Było tam ciemne czarno-białe zdjęcie Barry’ego, który wyglądał trochę jak Shrek. Brian czytał z rosnącym niedowierzaniem.

– W piątek w nocy byłem zrozpaczony – powiedział Barry reporterce „Mercury’ego”, Angelice Hedge, w swoim schludnym mieszkaniu przy Arthur Court w Glenfield Estate. – Miałem doła i sądziłem, że moje życie nie jest nic warte.

Oczy Barry’ego wypełniły się łzami, kiedy wymieniał nieszczęścia, które przywiodły go do tak żalosego stanu:

– Przejechałem własnego psa, Sindy, gaz i prąd zdrożały, ogrzewanie w domu trafił szlag, jacyś chuligani pocięli mi z tyłu tapicerkę i choć wydałem majątek na zamieszczanie ogłoszeń w klubie samotnych serc, wciąż nie znalazłem żony.

Barry wyjaśnił, że dom pani Beaver go „przywołał”.

– Jest przykuta do łóżka i często nad ranem widywałem ją w oknie. Właśnie jechałem położyć głowę na szynach kolejowych, kiedy poczułem, że coś mnie pcha w kierunku jej domu. Była trzecia dwadzieścia siedem nad ranem, ale zadzwoniłem do jej drzwi.

Brian czytał dalej i dowiedział się, że jego żona jest „aniołem”, „wybawczynią”, „cudotwórczynią”. On, Brian Beaver (75 l.), był „głównym naukowcem atomowym” i mieli „osiemnastoletnie trojaczki: Poppy, Brianne i Briana Juniora”.

Natychmiast usiadł do komputera i napisał e-mail do wydawcy.

Szanowny Panie,

chciałbym zaprotestować w najbardziej możliwy sposób w sprawie Waszego artykułu z pierwszej strony dotyczącego mojej żony, Ewy Beaver. Zawiera wiele kłamstw i nieścisłości, jak choćby to, że jestem naukowcem atomowym. Pracuję w obserwatorium i mam 55 lat. W mojej pracy jest przymusowa emerytura. Z pewnością nie pozwolono by mi tu pracować, gdybym miał 75 lat.

Nie jestem ojcem trojaczków. Poppy, o której piszecie, była naszym gościem i nie jest moją progeniturą.

Co więcej, moja żona z pewnością nie jest „aniołem”, „wybawczynią”, „cudotwórczynią” ani „świętą”, nie jest też „przykuta do łóżka”. Postanowiła nie wstawać z łóżka z przyczyn znanych tylko sobie.

We właściwym czasie skontaktuje się z Państwem mój prawnik.

Z wyrazami szacunku,

Dr Brian Beaver, inżynier, magister, dr filozofii (Oksford)

Kiedy nacisnął ikonkę „wyślij”, pobiegł korytarzem, żeby pokazać Titanii pierwszą stronę gazety. Śmiała się w trakcie czytania artykułu i dostała lekkiej histerii, kiedy dotarła do informacji, że Brian ma siedemdziesiąt pięć lat.

Gdy powiedział jej, że napisał do wydawcy, stwierdziła:

- Ty idioto! Przez to ta sprawa nie przyschnie!
- Wtrącił się jeden ze stażystów Titanii, Jack Box.
- To już jest na Twitterze. Hasztag brzmi kobietawlozku.

Mam wam pokazać?

Ani Brian, ani Titania nigdy wcześniej nie wysyłali niczego na Twitterze ani nie czytali.

Palce Jacka Boxa zatańczyły nad klawiaturą.

- Przez ostatnie trzy godziny pojawiły się trzy posty.

Brian przeczytał w kolejności:

Eva Beaver świętą? Nie sądzę. To szmata.

Potrzebuję twojej pomocy! Chcę się zabić, gdzie jesteś?

Zdychaj! Brine Beevar!!!! jeszcze dyhasz majac 75 starcze!! nuklerany silnik zabije was szyskich!! deformujecie nsze dzieci!!!!

– Szkoda, że wysłałem ten e-mail, Tit – przyznał Brian. – Ale czy Eva się przejmuje? Nie, jest obojętna na moje cierpienie.

Czytał dalej:

#Kobietawlozku, czytasz to? Szkoda, że nie ma mnie w twoim łóżku. Nieźle wyglądasz.

Kiedy patrzyli na ekran, pojawiła się informacja: „Jeden nowy wynik”.

Jack Box kliknął myszką i wyskoczyła wiadomość od GreenMan2478:

#Kobietawlozku. Wiem, że potrzebujesz duchowego uzupełnienia. Pamiętaj, wszyscy powstaliśmy z gwiazd, lecz ciebie pokrywa pył gwiezdny. Trzymaj się, Siostro.

– Gównu, a nie pył gwiezdny – mruknął Brian. – Gdyby Evę pokryły pozostałości po supernowej, nie żyłaby długo.

Do dwudziestej drugiej pojawiło się sto pięćdziesiąt siedem twittów, a do szóstej rano liczba ta niemal się potroiła.

Jeden z użytkowników zadał proste pytanie: „Dlaczego leży w łóżku?”.

Sugestie posypały się z całego świata.

Następnego dnia, w piątek, przed domem Evy zjawiły się dwie osoby z lokalnej stacji telewizyjnej, prosząc o możliwość przeprowadzenia z nią wywiadu.

– Jestem jej matką – powiedziała Ruby, gdy otworzyła drzwi.
– Nazywam się Ruby Brown-Bird. – Natychmiast rozpoznała prezentera. – O, Derek Plimsoll. Jestem pana wielką fanką, oglądam pana codziennie w wiadomościach.

To prawda, Ruby go uwielbiała. Był niezwykle przystojny i zabawny i zawsze pod koniec prowadzonego przez siebie programu o osiemnastej rzucał jakiś dowcip. Przez wszystkie te lata patrzyła, jak jego czarne włosy siwieją, a ciało wiotczeje, ale wciąż nosił urocze pastelowe garnitury i krzykliwe krawaty. Gdy rozmawiał z politykami, był pełen szacunku. Nigdy nie wyglądał na zirytowanego, kiedy nie odpowiadali na pytania – nie to, co Jeremy Paxman. Ruby traktowała go jak członka rodziny. Czasami, kiedy mówił: „Dobranoc, East Midlands, do jutra”, zwracała się do ekranu i żegnała się: „Tak, do zobaczenia jutro, Derek”.

Dziewczyna, która przyszła z nim i trzymała kamerę ze statywem, przywitała się.

– A ja jestem Jo.

Nie przypadła Ruby do gustu. Była jedną z kobiet w stylu Poppy, które malują sobie usta na jaskrawo i noszą wielkie buty. Ruby nie rozumiała dzisiejszych kobiet.

Zaprosiła ich do kuchni i przeprosiła za bałagan, którego nie było.

Derek zmarszczył swój opalony nos.

– Co tak przepysznie pachnie?

– Mam ciasto w piekarniku – odparła Ruby.

– Ciasto! – powiedział zarówno zdziwiony, jak i zachwycony.

– Jeśli nie jesteś w ciąży, z pewnością będzie pyszne.

Ruby skrzekliwie prychnęła śmiechem i złapała się za twarz.
– Ja? W ciąży? – Znów się zaśmiała. – Ja mam siedemdziesiąt dziewięć lat! Wycięli mi macicę!

– Założę się, że z ciebie niezła flirciara, Ruby – powiedział Derek. – Och, przejrzałem cię na wylot, kochana, i jestem coraz bardziej podekscytowany.

Jo zmrużyła oczy i zwróciła się do Ruby.

– Widzisz, co ja muszę znosić? Jest bez przerwy dokuczliwy.

– Jesteśmy ze starej szkoły, prawda, Ruby? – odezwał się Derek. – Cieszą nas żarciki z podtekstem erotycznym i w nosie mamy poprawność polityczną.

– W dzisiejszych czasach boję się otworzyć usta – zgodziła się Ruby. – Za każdym razem, kiedy coś mówię, jest tak, jakbym kogoś obrażała. Nie mam zielonego pojęcia, jak mam mówić na czarnych ludzi.

– Zwyczajnie – powiedziała Jo. – Mówisz, że są czarni.

– Nie – stwierdził Derek z afektowanym południowoindyjskim akcentem. – My są człowieki kolorowe, co nie?

Kiedy Ruby nalewała gościom herbaty, Derek rozplątał się nad czajniczką.

– Czajniczek, mlecznik, cukiernica, chińska porcelana i apostołskie łyżeczki! – zachwycił się.

Jo postawiła kamerę na statywie i pokręciła obiektywem.

– Światło jest w porządku – powiedziała i włączyła nagrywanie.

Derek zwrócił się do Ruby.

– Czy mogę zadać ci kilka pytań na temat twojej córki?

Poczuła się mile połączona.

– Oczywiście, że tak.

Zawsze miała ambicję znaleźć się w telewizji.

Derek odwrócił się do Jo.

– Ruby, uważaj, ona będzie próbowała przewiercić się wzrokiem przez twoje ubrania. Jo gra dla przeciwnej drużyny.

Ruby poczuła się skonsternowana.

– On próbuje ci powiedzieć, że jestem lesbijką, i sugeruje, że zamierzam cię seksualnie napastować – powiedziała Jo.

Ruby nieco się przestraszyła.

– Wszystko w porządku, Ruby – powiedział Derek. – Nasza Jo ma kogoś, na kogo mówi się „stały partner tej samej płci”. Nie będzie chciała cię wyhaczyć.

Po tym jak Ruby pomalowała sobie usta szminką w kolorze fuksji i przypięto jej mikrofon do bluzki, zaczął się wywiad.

– Musimy sprawdzić poziom dźwięku – zaczął Derek. – Pani Brown-Bird, co miała pani na śniadanie?

– Dwie filiżanki herbaty, płatki, jajko, bekon, kiełbaski, kaszankę, grillowane pomidory, grzanki, fasolę, grzybki i tosty – wyrecytowała Ruby.

Na piętrze Eva obudziła się z męczącego snu. Uciekała przed Michaeliem Parkinsonem³⁰.

Kiedy w pełni wróciła jej świadomość, zrobiła to, co zwykle: wytrzepała kołdrę, poprawiła poduszki i wyjrzała przez okno. Zobaczyła zaparkowaną naprzeciwko furgonetkę mercedesa z napisem na boku *East Midlands Tonight*. Z kuchni dobiegały ją głosy, w tym głos jej matki.

– Mamo! – krzyknęła.

Po chwili usłyszała otwierające się kuchenne drzwi i kroki w przedpokoju.

Jej matka wrzasnęła, narzekając na schody:

– To cholerstwo mnie wykończy!

Zataczając się, weszła do pokoju Evy i ciężko usiadła w fotelu.

– Czemu sobie nie zainstalujesz windy? – wydyszała. – Nie dam rady wchodzić tu sześć razy dziennie.

– Kto jest na dole?

– Derek Plimsoll i lesbijka.

Eva nie wyglądała, jakby skojarzyła.

– *Derek Plimsoll*. Znasz go. Pan z telewizora. *East Midlands Tonight*. Opowiada dowcipy i na końcu stuka plikiem kartek o biurko.

Eva pokiwała głową.

– No to właśnie on. I lesbijka. Właśnie skończyłam udzielać im wywiadu. – Wskazała na wpięty mikrofon.

– Wygrałaś w bingo akumulator? – spytała Eva.

– Nie, tu chodzi o *ciebie*.

– O mnie!? – wykrzyknęła Eva.

– Tak, o ciebie. Derek Plimsoll czytał artykuł w „Mercurym”, tak jak wszyscy w tym kraju. Chciałby przeprowadzić z tobą wywiad do czegoś, co się nazywa „ekstradodatek socjalny”.

Eva wstała i zaczęła deptać materac.

– W żadnym wypadku! – krzyczała. – Prędzej zjem własne rzygi! Idź na dół i powiedz im, że odmawiam!

– A magiczne słowo?

– Proszę! – wrzasnęła Eva.

Ruby nie była przyzwyczajona do tego, że Eva na nią krzyczy.

– Myślałam, że się ucieszysz – powiedziała ze łzami w oczach. – Przecież to telewizja. To znaczy, że jesteś kimś wyjątkowym. Nie mogę zejść na dół i mu powiedzieć, że nie chcesz. Będzie zawiedziony, może nawet pęknie mu serce.

– Da sobie radę.

Ruby podniosła się z fotela, pomrukując, i zaczęła schodzić.

Kiedy znalazła się z powrotem w kuchni, głośno wyszeptwała Derekowi:

– Powiedziała, że nie, że się wymawia i że prędzej zje swoje wymioty. – Zwróciła się do Jo: – Mieliliśmy psa, który robił takie rzeczy... ohyda! Ucieszyłam się, kiedy zdechł.

Uśmiech ześlizgnął się z twarzy Dereka.

– Ruby, nie mogę stąd wyjść bez tego wywiadu. Jestem niezwykle doświadczonym i poważanym dziennikarzem. Mam swoją dumę zawodową. Czy byłaby pani zatem tak uprzejma, madame, i wróciła na górę, aby uzmysłwić swojej córce, że rozmawiałem z każdym celebrytą, który postawił nogę w East Midlands. Walczyłem na niby z Muhammadem Alim. Zadałem panu Nelsonowi Mandeli kilka przenikliwych pytań na temat jego

terrorystycznej przeszłości i, Boże, miej ją w swojej opiece, flirtowałem z księżną Dianą. – Pochylił się i wyszeptał Ruby do ucha: – I na Boga, ona ze mną też flirtowała. Wyczułem to, wydawała się samotna bez tego swojego fagasa, mogliśmy się napić kilka głębszych i... no cóż, kto wie, co by się mogło wydarzyć. Ja na nią leciałem, ona leciała na mnie...

Zawiesił głos i lubieżnie mrugnął do Ruby.

Ruby okazała się przejętym współspiskowcem. Przytaknęła i zawróciła.

Eva niecierpliwie wyczekiwała dźwięków wynoszenia się z domu ekipy telewizyjnej, ale słyszała jedynie słowa swojej matki, które ta kierowała do schodów:

– Już dobrze, schody, wszystko, co musicie zrobić, to się nie ruszać, to ja się muszę na was wspinać. Tak, wiem, że skrzypicie, ale ostatecznie jesteście z drewna. Kiedy ja skrzypię, to słyszysz moje biedne kości. I to jest bolesne.

Eva nie była zaskoczona.

Jej matka zawsze przemawiała do sprzętu domowego. Zaledwie wczoraj słyszała: „No dalej, żelazko, nie trać pary, przed nami jeszcze trzy koszule nocne Ewy”.

Ruby oparła się o framugę, usiłując złapać oddech.

Eva stała na łóżku i z góry patrzyła na swoją matkę.

– No i co? Dlaczego sobie nie poszli?

– Nie możesz powiedzieć „nie” Derekowi Plimsollowi – wycharczała. – Przeprowadził wywiad z księżną Dianą, kiedy była żywa.

Jo oglądała na ekraniku kamery rozmowę z Ruby. Szminka w kolorze fuksji sprawiała, że wyglądała, jakby krwawiły jej usta.

– Eva zawsze była trochę dziwna – mówiła. – Przez lata nam się wydawało, że jest opóźniona, zbikowana. Zdarzało się jej wystawiać sztuki teatralne z tyłu ogrodu, do niemych ról wykorzystywała królika. Ćwiczyli cały dzień, a potem musiałam iść patrzeć. Brałam ze sobą robótki, żeby jakoś minął ten czas. Królik był do kitu.

– Nie możemy użyć żadnego ujęcia z planem ogólnym –

powiedziała Jo Derekowi. – Ruby ma rozsunięte nogi, widać jej majciochy.

Jo miała już tego serdecznie dosyć. Jej miłość do cinémarité stała się powodem studiowania na Goldsmiths, ale miała nadzieję pracować z Mikiem Leigh i improwizującymi profesjonalnymi aktorami, a nie z ogółem społeczeństwa. Beznadziejnie się wyrażali, mieli wady wymowy i zwykle używali frazesów, jak: „To był koszmar”, „Byliśmy załamani”, „Jeszcze się z tym nie uporałem” czy – jej ulubiony – „Jestem w siódmym niebie”.

Pięć minut później, gdy Eva wciąż nie pojawiała się na dole, Derek powiedział:

– Mam już dość pierdzenia w stołek. Idę na górę. Chodź za mną.

Trochę się obawiał, co tam zastanie. Przeżył w swoim życiu kilka przykrych niespodzianek, jak choćby odpowiedź stutrzyletniego mężczyzny, który – gdy Derek zapytał go o sekret długowieczności – krzyknął w wywiadzie na żywo: „Brandzlowanie!”. Wspinał się na górę, gwizdząc motyw przewodni z *Egzorcysty*.

– Stąpamy po cienkim lodzie, Derek – odezwała się Jo, kiedy szła za nim i filmowała.

Na górze Derek syknął do Ruby:

– Z drogi. Zasłaniasz ujęcie!

Odepchnął ją, a ona się nieco zachwiała.

– Bardzo ładna scena, kiedy potracasz starszą kobietę, Derek.

Eva zobaczyła Dereka Plimsolla i dziewczynę z kamerą na ramieniu, jak wchodzą do pokoju i zbliżają się do niej.

– Nie pozwól im tu wejść, mammo! – krzyknęła. – Zamknij drzwi!

Ruby nie wiedziała, co robić. Jo także się wahała; nie podobało jej się to, co się działo. Urocza kobieta, którą widziała przez obiektyw, była wyraźnie przerażona. Jo zdziwił zupełny brak mebli w białym pokoju. Było piękne światło. Nie mogła wyłączyć kamery, dopasowała więc kontrast i filmowała dalej.

Eva zakopła się pod kołdrą.

– Mamo! Mamo! – krzyczała. – Dzwon po Alexandra! Jego numer jest w notesie!

Jo udało się nakręcić krótkie ujęcie, zanim kobieta zniknęła pod białą pościelą.

Derek wszedł w kadr.

– Jestem w sypialni Evy Beaver – ogłosił – czy jak mówią o niej dziesiątki ludzi: „Świętej z przedmieść”. Do domu zaprosiła mnie pani Brown-Bird, matka Evy, ale Eva jest nieśmiałą, nerwową kobietą, która zażądała, by nie filmować jej twarzy. *East Midlands Tonight* uszanowało jej prośbę. Jest tam. To tamto wyrzucenie na łóżku.

Zbliżenie Jo ukazało wypukłość pod białą kołdrą.

– Mamo, jesteś tu jeszcze? – krzyknęła Eva spod spodu.

– Tak, ale nie mogę się teraz zmierzyć ze schodami – odpowiedziała. Rozsiadła się w fotelu. – Łaziłam tam i nazad jak jakiś cholerny skoczek pogo. Mam siedemdziesiąt dziewięć lat. Jestem za stara na takie zabawy. Mam ciasto na dole. Ja się wykończę.

– Pani Brown-Bird, my tu próbujemy kręcić! – wrzasnął Derek. – Proszę nie mówić, nie gwizdać ani nie śpiewać.

Ruby wstała z fotela.

– Nie zostanę tam, gdzie mnie nie chcą – powiedziała.

Dokuśtykała do poręczy i mocno się jej złapała, a gdy poczuła się pewniej na nogach, zeszła do kuchni, gdzie zaczęła szukać notesu z telefonami Evy. Numer Alexandra znajdował się na pierwszym miejscu listy, napisany jego charakterem pisma. Ruby usiadła przy kuchennym stole i mozolnie zaczęła naciskać klawisze telefonu.

Odebrał natychmiast.

– Eva? – spytał.

– Nie, Ruby. Chce, żebyś przyjechał. Są tu ludzie z telewizji, a ona ich tu nie chce.

– Co? Potrzebny jej wykidajło?

– Tak. Chce, żebyś się tu zjawił i wykopał ich z domu –

powiedziała, poszerzając instrukcje, które dostała od Ewy.

– Dlaczego ja? Ja się nie wdaję w uliczne bójki.

– No tak, ale ludzie bardziej się boją czarnych typów, prawda?

Alexander się zaśmiał.

– Okej, będę za pięć minut. Wezmę ze sobą swoje zabójcze pędzle.

– Bardzo dobrze, bo ja już mam tej awantury po dziurki w nosie. Idę do domu.

Ostrożnie odłożyła słuchawkę na miejsce, włożyła kapelusz i płaszcz, zdjęła swoją torbę na zakupy z haka na drzwiach kuchni i wyszła. Było chłodne popołudnie.

Eva przekonała Jo do wyłączenia kamery i siedziała teraz na łóżku z założonymi rękami, wyglądając – zdaniem Dereka – jak współczesna Joanna d'Arc.

– Czy będziesz rozsądna i udzielisz mi wywiadu, mówiąc to, co chcesz, czy mam mówić za ciebie? Jeśli to drugie, może ci się nie spodobać, co ja mam do powiedzenia.

– Oto, co mam do powiedzenia. Wypierdalajcie z mojego domu!

– Nie powiem, żeby mnie to cieszyło – powiedziała Jo. – Napastujesz ją, Derek, i być może poinformuję dział zasobów ludzkich.

– W porządku, wszystko, co ci się nie podoba, możemy wyciąć.

– Ale ja się nie zajmuję montażem. Ja tylko nagrywam.

– Nie byłaś taka szlachetna, kiedy wtargnęliśmy w zeszłym tygodniu do tamtej rozpaczającej wdowy.

– Której? W zeszłym tygodniu mieliśmy dwie.

– Tej, której przygłupi mąż wpadł do przemysłowej mieszarki do chleba.

– Nie cieszyło mnie to.

Derek złapał Jo za ramiona.

– Ale to było takie artystyczne końcowe ujęcie, te łzy płynące po jej twarzy, ten efekt tęczy, jaki ci się udało osiągnąć.

– Filmowałam jej łzy przez kryształową wazę. Nie jestem z tego dumna. Wstyd mi.

– Wszyscy wstydzimy się w telewizji, kochana, ale to nas nie powstrzymuje. Nigdy nie zapominaj, że dajemy widzom to, czego *chcą*. – Derek obniżył głos i zwrócił się do Evy: – A tak przy okazji, czy mogę powiedzieć, że jest mi przykro, ponieważ twój mąż postanowił od ciebie odejść? Pewnie jesteś zdruzgotana, prawda?

– Znasz znaczenie słowa „zdruzgotany”? – Nie czekała, aż odpowie. – To znaczy: „załamany lub zrujnowany, rozbity na drobne kawałki”. Ale ja siedzę na łóżku w jednym kawałku. A teraz, proszę, zamknijcie za sobą drzwi.

Już na schodach Derek powiedział:

– Właśnie dlatego nienawidzę pracować z kobietami. Poza swoim dupskiem nie widzą świata. – Falsetem, który miał imitować kobiecy głos, dodał: – O rajuśku, wzbierają we mnie emocje i moje hormony biorą górę, i wszystko musi być etyczne i z kobiecego punktu widzenia.

Usłyszeli zgrzyt klucza w zamku. Do domu wszedł Alexander, niosąc zawinięty w folię bąbelkową wprawiony w ramę obraz sporych rozmiarów.

– To wy przeszkadzacie Evie? – zapytał.

– A to ty jesteś Alexander, o którym wspominała pani Brown-Bird? Przyjaciel rodziny, co? – odezwał się Derek.

– Proszę natychmiast wyjść, nikt was tu nie chce – powiedział stanowczo Alexander.

– Posłuchaj, słoneczko, mamy tu niezły materiał. Nie codziennie znajdujemy świętą na przedmieściach. Mamy kilka zbliżeń jej okna, zrobiliśmy wywiad z jej matką, a Barry Wooton opowiedział nam swoją niezwykle nudną, ale także niezmiernie tragiczną historię. Jedyne, czego nam trzeba, to Eva. Tylko kilka słów.

Alexander uśmiechnął się szeroko, czym przypomniał Derekowi o niedawnej wizycie w Twycross Zoo i kręceniu materiału o krokodylicy, która właśnie miała składać jaja.

– Przeprowadzałeś ze mną wywiad podczas mojej pierwszej wystawy – powiedział. – Znam twoje wprowadzenie na pamięć. „Przed państwem Alexander Tate, jest malarzem, ale nie maluje getta ani portretów członków gangów, ani też kanciastych pejzaży miejskich ruin. Nie, Alexander maluje akwarele angielskich wsi...”. I wtedy puszczone muzykę klawesynową.

– Pomyślałem, że to przyjemny kawałek – odpowiedział Derek.

– Derek, potraktowałeś Alexandra protekcyjnie – powiedziała Jo. – Sugerowałeś, że malowanie akwareli jest niespotykanym zajęciem wśród czarnych ludzi.

– Bo jest – stwierdził Derek.

Jo zwróciła się do Alexandra.

– Moja życiowa partnerka jest czarna. Może ją znasz?

Priscilla Robinson.

– To zabawne, ale nie – odparł. – Mimo że powinienem znać tych dziesięć tysięcy czarnych harujących na polach bawełnianych w Leicester.

– Nie kładź tego gówna na mojej wycieraczce, wuju Tomie! – powiedziała Jo ze złością.

Derek Plimsoll ciężko usiadł na schodach.

– To jest ostatni raz, kiedy pojechałem do kogoś do domu. W przyszłości każdy będzie się zjawiał w moim studiu.

Alexander spojrział z góry na fryzurę Dereka. Pomyślał, że tymi białymi odrostami trzeba będzie się niebawem zająć. To żalosne.

Eva patrzyła, jak Derek i Jo w ciszy zmierzają w kierunku mercedesa. Nie spuściła z nich wzroku, dopóki nie odjechali i nie zniknęli jej z oczu.

Szybko rozłożyła białą ścieżkę. Za każdym razem, kiedy stawiała na niej stopę, wyobrażała sobie, że idzie po Drodze Mlecznej, z dala od Ziemi i jej udręk. Po wysikaniu się i umyciu rąk, sięgnęła po zestaw do makijażu. Chciała wyglądać jak najlepiej. Drogie, lśniące pojemniczki i szczoteczki, które zgromadziła przez te wszystkie lata, były jej talizmanami – dyskretny złoty logotyp chronił ją od złego. Wiedziała, że przepłaciła, tę samą zawartość mogłaby kupić za jedną szóstą ceny, ale miała to gdzieś, świadomość zawyżania cen sprawiała, że czuła się poirytowana i nerwowa, jakby była cyrkowcem, który ma przejść po wysoko zawieszanej linie bez zabezpieczenia.

Spryskała się perfumami, których używała od czasu, gdy była młodą bibliotekarką i nie mogła sobie na nie pozwolić. Bardzo ją poruszyła anegdota z Marilyn Monroe, która na pytanie „Co lubisz nosić w łóżku?” odpowiedziała: „Chanel No. 5”.

„Pewnie to nie była prawda” – pomyślała Eva. Na dłuższą metę nic nie okazuje się prawdą. Z czasem wszystko ulega dekonstrukcji. Czarne robi się białe. Krzyżowcy okazali się gwałcicielami, grabieżcami i oprawcami. Bing Crosby tłukł swoje dzieci. Winston Churchill zatrudnił aktora, żeby ten przeczytał na antenie niektóre z jego najslawniejszych przemówień. Kiedy Brian jej o tym wszystkim powiedział, odparła: „Ale oni *powinni* być szczerzy”. Potrzebowała w życiu bohaterów i bohaterek, a przynajmniej ludzi, których mogłaby szanować i podziwiać.

Po zrobieniu makijażu wróciła do łóżka i wciągnęła prześcieradło jak most zwodzony. Złożyła je starannie i schowała pod poduszkami. Była z siebie dumna, że przez prawie pięć miesięcy ani razu nie zeszła z białej ścieżki. W jakimś sensie

wiedziała, że to kwestia wyobraźni, ale czuła, że gdyby z niej zбочyła i stanęła na drewnianej podłodze, wszystko wymknęłoby się spod kontroli, a ona zaczęłaby wirować i podążać za Ziemią w jej podróży dookoła Słońca.

W połowie schodów Alexander się zatrzymał.

– Mogę wejść na górę? – krzyknął.

– Tak! – odkrzyknęła Eva.

Gdy zrobił jeszcze dwa kroki, zobaczył siedzącą na łóżku Evę. Wyglądała przepięknie. Znow jej kości przyoblekało ciało, a głębokie wgłębienia na policzkach zniknęły.

W końcu stanął w drzwiach i powiedział:

– Nieźle wyglądasz.

– Co trzymasz pod pachą? – spytała.

– Obraz, jest dla ciebie. Prezent. Na tę gołą ścianę, naprzeciw której siedzisz.

– Ale ja lubię nagą ścianę – odparła miękko. – Lubię patrzeć, jak wędruje po niej światło.

– Malując go, odmroziłem sobie cholerny tyłek.

– Nie chcę mieć tu niczego, co zakłóciłoby mi myślenie.

Prawda była jednak inna: przerażała ją myśl, że mogłaby się jej nie spodobać jego praca. Zastanawiała się, czy potrafiłaby kochać człowieka, którego sztuki nie podziwiała. Zamiast tego powiedziała:

– Wiesz, że się nie przywitaliśmy?

– Nie musisz się ze mną witać, zawsze jesteś ze mną. Nigdy mnie nie opuszczasz.

– Nie znam cię – odparła. – Ale ciągle o tobie myślę. Nie mogę przyjąć obrazu, ale chętnie wezmę folię bąbelkową.

Nie tego oczekiwał. Wyobrażał sobie, że oszaleje na widok obrazu, zwłaszcza kiedy wskaże jej drobną sylwetkę Evy na szczycie wzgórza, postać z plamką blond włosów. Już widział, jak rzuca mu się w ramiona. Całowaliby się, pieściłby jej piersi, delikatnie ocierałaby się o jego brzuch. W pewnym momencie zakopaliby się pod kołdrą i zaczęli odkrywać swoje ciała.

Nie spodziewał się, że wyląduje na brzegu łóżka, strzelając

przezroczystymi plastikowymi bąbelkami.

– Powinnaś mieć odźwiernego – powiedział między jednym a drugim satysfakcjonującym pyknięciem. – Kogoś, kto będzie decydował o tym, komu wolno wejść, a komu nie.

– Jak Cerber – powiedziała. – Trzygłowy pies, który strzegł wejścia do jaskini, gdzie ktoś, nie pamiętam kto, mieszkał. Chodziło o owoc granatu i jakieś nasiono, ale nie... Nie pamiętam.

Nieśmiało zadzwonił dzwonek do drzwi.

Ewę zmroziło.

– Ja pójdę – powiedział Alexander.

Po jego wyjściu Eva zastanawiała się intensywnie, kiedy po raz pierwszy usłyszała o Cerberze.

Siedziała w klasie, ulewny deszcz uderzał o wysokie okna. Martwiła się, gdyż znów zapomniała swojego wiecznego pióra, a w każdej chwili klasa mogła zostać poproszona o zanotowanie czegoś. Pani Holmes, jej nauczycielka angielskiego, opowiadała klasie składającej się z trzydziestu sześciu dwunastolatek historię.

Eva czuła zapach nauczycielki – mieszanina perfum Soir de Paris oraz maści Vicks VapoRub.

Wrócił Alexander i rzekł:

– Na dole jest kobieta, która przeczytała o tobie w internecie i koniecznie musi z tobą porozmawiać.

– No cóż, ja wcale nie muszę koniecznie rozmawiać z nią – odcięła się Eva.

– Jej córka zaginęła trzy tygodnie temu.

– Ale dlaczego przyszła do mnie? Do kobiety, która nie może wyjść z łóżka?

– Jest przekonana, że możesz jej pomóc – odparł Alexander.

– Przyjechała z Sheffield. Jej córka nazywa się Amber. Ma trzynaście lat...

Eva mu przerwała.

– Nie musiałeś podawać mi jej imienia ani wieku. Teraz mam to dziecko już w głowie.

Podniosła poduszkę i wrzasnęła w nią.

– To znaczy „nie”, prawda? – spytał Alexander.

Matka Amber, Jade, od zniknięcia swojej córki nie pozwoliła sobie na kąpiel, prysznic ani mycie włosów. Nie zmieniała też ubrań. Nosiła majtkoworóżowy dres, teraz poszarzały z brudu. Miała go na sobie w chwili zaginięcia Amber.

– Amber była szczęśliwą, energiczną dziewczyną. Tak jak zwykle miałam ją zawieźć do szkoły, ale za późno się obudziłyśmy i nie byłam ubrana. Nie miałam czasu zrobić jej drugiego śniadania. Chciałam je przygotować i zawieźć jej później. Nie mogła zostać porwana... nie jest zbyt ładna. Jest grubokoścista. Ma okropne włosy. Nosi aparat ortodontyczny. Nie mogła zostać porwana... Ci zboczeńcy lecą na ładne dziewczynki, prawda?

Eva pokiwała głową i zapytała:

– Kiedy ostatni raz spałaś?

– Och, nie mogę spać ani brać prysznic, nie mogę myć włosów, dopóki nie wróci Amber. Kładę się na kanapie w nocy i oglądam wiadomości na Sky, w razie gdyby coś o niej mówili. Moja matka obwinia mnie. Mój mąż obwinia mnie. Ja siebie obwiniam. Wiesz, gdzie jest Amber, Evo?

– Nie, nie wiem – odpowiedziała. – Połóż się obok mnie.

Gdy Alexander wrócił z herbatą dla Evy i Jade, obie spały ramię w ramię. Poczuli nagłe ukłucie zazdrości, Jade leżała na jego miejscu. Zaczął się wycofywać z pokoju, ale Eva usłyszała skrzypnięcie podłogi i otworzyła oczy.

Uśmiechnęła się na jego widok i delikatnie wyslizgnęła spod kołdry. Usiadła na brzegu łóżka i machała nogami.

Alexander zauważył, że paznokcie u jej stóp wymagają obcięcia i że różowy lakier niemal zniknął. Bez słów wyjął z kieszeni szwajcarski scyzoryk, który podarowała mu żona. Miał wiele narzędzi i całkiem sporo ważył, ale Alexander zawsze miał go ze sobą. Wziął stopę Evy, położył sobie na kolanie i wyszeptał:

– Ładne stopy, ale paznokcie ździry.

Eva się uśmiechnęła.

Jade wciąż spała. Eva miała nadzieję, że śni o Amber, że znów są razem w miejscu, gdzie były szczęśliwe.

Gdy Alexander skończył obcinać paznokcie, złożył cążki i wysunął ze scyzoryka pilniczek. Eva zachichotała, kiedy przesuwał nim po świeżo obciętych paznokciach.

– Myślisz, że Jezus był pierwszym pedikiurzystą?

– Pierwszym sławnym – odpowiedział.

– Czy w dzisiejszych czasach jest jakiś sławny pedikiurzysta?

– Nie mam pojęcia. Sam sobie obcinam paznokcie u stóp. Nad kartką wydartą z „London Review of Books”. Nie każdy tak robi?

Rozmawiali bez zniżania głosu, świadomi, że Jade – wykończona i nieszczęśliwa – śpi głęboko.

Alexander poszedł do swojego vana i przyniósł butelkę rozpuszczalnika i kawałek białej tkaniny.

– Masz zamiar podpalić sąsiadów?

– Możesz sobie spędzać miesiące w łóżku, ale to żaden powód, żeby się zapuszczać. – Zanurzył tkaninę w rozpuszczalniku i zmył stary lakier z paznokci jej rąk i nóg. Kiedy skończył, powiedział: – Teraz ogarnę twoje włosy.

Wyciągnął ze scyzoryka maleńkie nożyczki. Eva się zaśmiała.

– Są jak z baśni braci Grimm! Co robisz w weekend?

Przycinasz nimi trawę na łące?

– Aha – odpowiedział. – Dla szurniętego elfa.

– A co się z tobą stanie, jeśli nie podołasz temu zadaniu?

– Siedem łabędzi wydziobie mi moje duże brązowe oczy – odparł i zaśmiali się oboje.

Nie zajęło więcej niż piętnaście minut zmienienie jej fryzury z „zachowawczej Evy” na „kurczę, Eva!”.

– Na koniec – powiedział Alexander, magiczny pomocnik – pora na brwi.

W ogromnym skupieniu wysunął ze scyzoryka szczypczyki

tak maleńkie, że niemal nie było ich widać w jego palcach.

– Chcemy figlarnych łuków, nie włochatych gąsienic.

– Włochatych? – spytała Eva.

– To znaczy...

– Wiem, co to znaczy. Żyłam z niespotykanym włochatym człowiekiem przez ostatnie dwadzieścia osiem lat.

Eva czuła lekkość w swoim ciele, zupełny brak grawitacji. Wcześniej doświadczała już czegoś podobnego. Kiedy była dzieckiem i bawiła się z innymi dziećmi, wtedy przez kilka chwil, wzniosłych i bezpiecznych, miała uczucie, że świat ich wyobraźni jest prawdziwszy niż nudna rzeczywistość, która niosła ze sobą przeważnie niemiłe rzeczy. Czuła narastającą dziką euforię i ledwie potrafiła usiedzieć w miejscu, żeby Alexander mógł w spokoju wyregulować jej brwi.

Chciała tańczyć i śpiewać, ale zamiast tego mówiła. Czuła, jakby ktoś wyjął jej z ust knebel.

Żadne z nich nie słyszało, że Brian i Titania wrócili, zjedli kolację i poszli spać.

O piątej trzydzięci nad ranem Alexander powiedział:

– Muszę zmykać do domu. Moje dzieci wcześniej wstają, a ich babcia nie. – Spojrzał na matkę Amber i dodał: – Powinniśmy pozwolić jej spać?

– Nie chcę jej budzić – odparła Eva. – Niech wróci do życia w swoim tempie.

Alexander podniósł obraz i trzymając go tylną stroną w kierunku Ewy, zniósł na dół i zostawił w korytarzu.

Eva słyszała w ciszy poranka, jak odjeżdża. Zostawił swój szwajcarski scyzoryk na parapecie. Podniosła go. Był zimny w dotyku.

Trzymała go w dłoniach, aż się ogrzał.

Eva klęczała i patrzyła na swoje odbicie w szybie, starając się dostrzec swoją fryzurę à la Joanna d'Arc, kiedy matka Amber poruszyła się i obudziła. Eva patrzyła na jej twarz i dostrzegła tę jedną chwilę, kiedy senność zniknęła i uderzyła ją surowa rzeczywistość: jej córka zaginęła.

– Nie powinnaś pozwolić mi *zasnąć*! – powiedziała i zaczęła szukać swoich butów, po czym je włożyła. Włączyła telefon i dodała ze złością: – Amber mogła chcieć się dodzwonić. – Sprawdziła telefon. – Nic. Ale to dobra wiadomość, prawda? – powiedziała promiennie. – To znaczy, że nie znaleziono jej ciała, prawda?

– Jestem przekonana, że ona żyje.

– Na pewno?

Jade chwyciła się odrobiny optymizmu, jakby Eva była największym strażnikiem wszelkiej wiedzy.

– Pisali w internecie, że masz supermoce. Niektórzy twierdzą, że jesteś czarownicą i parasz się czarną magią.

– Nie mam nawet kota – uśmiechnęła się Eva.

– Wierzę, że jesteś dobrym człowiekiem. Myślisz, że gdybyśmy usiadły w ciszy i mocno się skoncentrowały, dowiedziałybyśmy się, gdzie ona jest? Widzisz ją?

Eva starała się wycofać, mówiąc:

– Nie, nie posiadam pozazmysłowej percepcji. Nie jestem kryminologiem. Nie mam odpowiednich kwalifikacji, żeby wydawać opinię, i nie wiem, gdzie jest Amber. Przykro mi.

– Skąd więc masz pewność, że ona żyje?

Eva czuła obrzydzenie do samej siebie. Jedyne, co chciała powiedzieć, to: „Większość tych, co uciekli, znajdowano żywych”.

– Nie, masz rację. Wiedziałabym, gdyby nie żyła – powiedziała Jade.

– Wiele nastolatek ucieka do Londynu.

– Byłyśmy tam raz. Oglądałyśmy *Nędzników*. Powiedziała, że staje po stronie arystokracji. Nie potrafiłam jej zaciągnąć do sklepu z przecenionymi rzeczami. – Kręciła głową. – Co mam teraz robić?

– Weź prysznic, umyj głowę, wyszoruj zęby.

Gdy wyszła z łazienki, Eva uznała, że Jade jest teraz lepiej przygotowana na stawienie czoła nieszczęściu, którego bała się tak, jakby miało ją pochłoniąć.

– Gdzie pójdziesz? – spytała Eva.

– Mam ze sobą kartę kredytową, mam paliwo. Pojadę do Londynu i jej poszukam.

– Pojechałam do Paryża, jak miałam szesnaście lat – zwierzyła się Eva. – Mój Boże! Każdego ranka budziłam się w innym miejscu, ale ostatecznie wiedziałam, że żyję.

Mimo że żadna z kobiet nie przywykła do okazywania emocji, przytuliły się na kilka chwil, zanim Eva pozwoliła Jade wyjść.

Gdy już została sama, Eva patrzyła na przeciwległą ścianę tak długo, aż Amber i jej matka zostały zepchnięte w głąb umysłu. W miejsce, które Eva uznawała za ciemną stronę księżyca.

Tak jak podróż zaczyna się od pierwszego kroku, tak tłum zaczyna się od pierwszej osoby. Sandy Lake była nadpobudliwą czterdziestojednoletnią Angielką, która myślała, że jeśli będzie nosić jaskrawe ubrania i osobliwy kapelusz, ludzie uznają, że ma „dziwaczną i niecodzienną” osobowość. Była jedną z pierwszych, która krzyczy: „No dalej, Tim!” ze swojego miejsca na widowni głównego kortu Wimbledonu – także wtedy, gdy sędzia poprosił o ciszę. Ponieważ upomniał ją azjatycki sędzia, myślała, że żartował.

O Evie przeczytała na Twitterze. Wielu twitterian twierdziło, że Eva jest mądrą kobietą, która nie wstaje z łóżka na znak protestu przeciw okrucieństwom świata, czyli wojnom i głodowi oraz umierającym dzieciom i tak dalej (choć częściowo winę ponosiły matki, gdyż mają za dużo dzieci i decydują się mieszkać mile od najbliższej studni). Z kolei na innym forum przeczytała, że Eva potrafi kontaktować się ze zmarłymi i że przepowiada przyszłość.

Sandy poczuła się w obowiązku znajdować się blisko Ewy. Tak więc przedwczoraj przyjechała z Dulwich i zatrzymała się naprzeciwko jej domu, wyposażona w namiot, śpiwór, karimatę, składane krzeselko, niewielką kuchenkę turystyczną i pudełko z żelazną porcją żywnościową na wszelki wypadek.

Zwiedziła najbliższą okolicę i znalazła kilka niezłych sklepów. Musiała być w odpowiedniej odległości od sklepiku. Żartowała z innymi ludźmi, że jest nieco uzależniona od kolorowych celebryckich magazynów. Nic nie dawało jej więcej szczęścia niż oglądanie zdjęcia Carol Vorderman ze strzałką wskazującą na jej cellulit.

Sandy odziedziczyła spory wolno stojący dom w Dulwich, pełen ciemnych i ciężkich mebli, dywanów z Wilton i ozdobnych zasłon. Gdy była w domu, mieszkała w kuchni i rzadko odwiedzała inne zakątki budynku. Swoje nieliczne ubrania trzymała na

poręczy w dawnym pokoiku lokaja, a spała w śpiworze na poobijanej sofie, która kiedyś służyła za legowisko dla psa jej rodziców.

Nie chciała za dom wziąć „śmiesznych pieniędzy”. Zdawała sobie sprawę, że jego wartość sięga ponad milion funtów i że jest „niezwykle pożądaną rezydencją”, a skądinąd wiedziała, że agenci nieruchomości są niegodziwi i niegodni zaufania, nie miała zaś najlepszego przyjaciela, który doradziłby jej w kwestii pieniędzy i rozmaitych rzeczy.

Za to miała miliony internetowych przyjaciół! To właśnie oni mówili jej, gdzie będzie ustawiać się najlepsza kolejka albo w którym miejscu odbędzie się najbliższa demonstracja. Często chodziła na Trafalgar Square³¹, i to z wielu różnych okazji. Nie miała swoich polityków. Maszerowała z każdym – od Organizacji Wyzwolenia Palestyny po Synów Syjonu – i ze wszystkimi miło spędzała czas. Sami cudowni ludzie, co do jednego.

Jej ulubiona kolejka to ogonek tworzący się przed kortami Wimbledonu, ściśle przylegający do tłumu spacerowiczów, którzy czekali naprzeciw Albert Hall po kilka ostatnich wejściówek na koncert Last Night of the Proms³². Sandy знаła na pamięć słowa pieśni *Kraj nadziei i chwały*.

W 1999 była tak podekscytowana orkiestrowym wykonaniem *Floral Dance*, że zgodziła się na stosunek seksualny na tyłach Albert Hall z Malcolmem Ferretem, bladym nauczycielem z rudymi rzęsami. Niewiele pamiętała z całej schadzki, jedynie to, że nie potrafiła usunąć ceglanego pyłu ze swojego bladozielonego polaru. Dostrzegła Malcolma w kolejce rok później, ale zignorował jej nieśmiałe machanie, udając, że wgapia się w opakowanie po snickersie, którego właśnie jadł.

Jednym z najważniejszych wydarzeń roku było dla niej wypuszczenie na rynek najnowszego iPada. Uporządkowany tłum przed sklepem firmowym Apple'a na Regent Street doznał częściowej hysterii. Znajdowali się tam przeważnie młodszy ludzie, ale Sandy powiedziała im, że jest młoda sercem i używała wielu współczesnych fraz, jak choćby „przeciągnij i upuść”. Znała także

kilka młodzieżowych słów, jak „męty” i „skun”. Wiedziała, że zaimponowała tym młodym ludziom, kiedy je wypowiedziała.

Sandy nieustannie wymieniała urządzenia techniczne na nowsze modele. Tata i mama nieźle się spisali, zostawiając jej pieniądze w banku. Ale co będzie, kiedy pieniądze się skończą, a ona zostanie w tyle z przestarzałą technologią i wizją, że nigdy jej nie dogoni?

Zawsze mogła gdzieś pojechać. Poświęteczne wyprzedaże na Oxford Street okazały się świetną rozrywką, w przeciwnym razie Sandy nie otwierałaby ust do nikogo przez cały świąteczny okres. To prawda, dała się porwać tłumowi i znokautować w masowym pędzie klientów po sztuce za połowę ceny w luksusowym sklepie Selfridges, ale jakoś się pozbierała i zdołała złapać łyżkę wazową, zanim znów upadła.

Sandy nigdy nie była samotna, zawsze znalazła się jakaś kolejka, w której mogła stanąć. Nie czuła się dziwnie z tym, że miała trzydzieści lat więcej od wszystkich wokół. Nie przeszkadzało jej też, że raz zdarzyło się jej wypchnąć z ogonka po nową książkę o Harrym Potterze jakieś dziecko bez opieki. Dawali ograniczoną liczbę specjalnego wydania z auto-grafem – a zresztą takie książki były zbyt cenne dla dzieci. Poczowała się zdruzgotana, kiedy JKR oświadczyła, że kończy serię o Harrym. Znalazła pocieszenie wśród fanów cyklu na stronie MugoleNet.

A teraz miała swoją Evę, swoją piękną Evę.

Sandy nie wiedziała, jak długo Eva pozostanie w łóżku – ale cokolwiek miało się stać, wiedziała, że rok 2012 okaże się dla niej wybitny. Wielu ludzi zechce zwrócić bilety na imprezy olimpijskie, więc powstanie wiele kolejek, do których się przyłączy. Premiery miały mieć iPad 3 oraz iPhone 5. Zaklepała sobie też wyjazd do Disneylandu na Florydzie. Słyszała, że są tam oszałamiające atrakcje, a kolejki do tych cudów i dziwów poruszają się tak wolno, że w godzinach szczytu czeka się nawet dwie godziny. W tym czasie zawrze wiele nowych znajomości z ludźmi z całego świata.

Ostatnią godzinę spędziła na chodniku naprzeciw domu Ewy,

walcząc z okrutnym wschodnim wiatrem, który chciał zdmuchnąć jej namiot, kiedy dołączyła do niej Penelope. Penelope wierzyła, że między ludźmi żyją anioły i że Eva bez wątpienia jest „wysokim rangą aniołem”, który utknał między niebem a ziemią. A w łóżku położyła się dlatego, że musi ukrywać swoje skrzydła.

Kiedy z okna Ewy wypadło białe piórko i porwane przez wiatr wylądowało blisko stóp Sandy, Penelope powiedziała:

– Widzisz? Mówiłam ci! – I dodała pełnym szacunku głosem:
– To znak, że na twoim ramieniu siedzi Anioł Stróż.

Sandy była podatna na wpływy.

Gdy się chwilę zastanowiła, uświadomiła sobie, że zawsze lubiła anioły, a jej ulubioną kolędą jest *Słuchaj, brzmi aniołów pieśń*. Tak, teraz wszystko nabierało sensu: tatuś zawsze na nią mówił „mój aniołku”, nawet wtedy, gdy była od niego dwa razy większa. Obecnie ważyła jakieś sto kilogramów i niebezpiecznie zbliżała się do granicy wytrzymałości swojego krzeselka turystycznego.

Eva po raz pierwszy dostrzegła Sandy i Penelope, kiedy obudziła się z głębokiego snu. Tej nocy nic jej się nie śniło.

Zobaczyła przez okno dwie kobiety w średnim wieku stojące na chodniku po drugiej stronie ulicy: jedna miała na głowie śmieszny czapkę z dzwoneczkiem na końcu, druga przez lornetkę obserwowała jej okno.

Obie zamachały, a Eva odruchowo im odmachała – zanim usunęła się z pola widzenia.

Dwie mile dalej Abdul Anwar siedział przy kuchennym stole i ziewał. Patrzył, jak żona napełnia jego menażkę składającą się z kilku aluminiowych naczyń z zaciskiem i przykręcaną pokrywką. Spojrzał na wydartą pierwszą stronę „Leicester Mercury”, a w nim na zdjęcie przedstawiające Evę i jego kolegę, taksówkarza Barry’ego Wootona.

Żona Abdula, Aisha, przygotowywała ćapati na kolację – chociaż Abdula miało na niej nie być. Czekala go nocna zmiana. Wtedy żona zawsze przygotowywała mu posiłek w jego aluminiowej menażce, na który ich dzieci mówiły „tatusiowy

piknik”.

– Aisha – powiedział. – Nie zapomnij posłać kopii tego artykułu naszej rodzinie. Już z nią kiedyś rozmawiałem o moim przyjacielu Barrym.

– Nie będę tego wysyłała ślimaczą pocztą – odparła. – Zeskanuję. Ciągłe żyjesz w przeszłości, Abdul.

Abdul wstał i objął żonę w talii. Aisha obie ręce miała zajęte przygotowaniem ćapati. Spojrzał w dół na płaską patelnię, do której przyciskała placek dłonią owiniętą w ściereczkę kuchenną. Kiedy go odwróciła, łapiąc palcami, sapnął i zawołał:

– Chwała Allahowi! To ta kobieta z łóżka, ta święta.

– Błogosławiony Bóg! – rzekła Aisha i wyłączyła kuchenkę.

Razem spojrzeli na ćapati. Placek w nieprawdopodobny sposób przypominał twarz Ewy. Dobrze przypieczone, brązowo-czarne miejsca wyobrażały oczy, brwi, usta i nos. Jej włosy składały się z porwanych brzegów ciasta. Abdul przyniósł pierwszą stronę gazety i porównali. Ani mąż, ani żona nie mogli uwierzyć w to, co widzieli.

– Zaczekamy, aż ostygnie. Może się zmienić – powiedziała.

Miała nadzieję, że tak się jednak nie stanie. Przypomniała sobie, jak pewien hinduski piekarz zobaczył Elvisa Presleya w pączku. Do sklepu ciągnęły tłumy. Niemniej po trzech dniach ekspozycji Elvis zaczął bardziej przypominać Keitha Vaza, lokalnego członka parlamentu, który w konsekwencji zwiększył swoją przewagę w kolejnych wyborach.

Gdy ćapati ostygło, Abdul wziął aparat i sfotografował Aishę przy kuchence, jak stoi między zdjęciem Ewy a tym, co Anwar później w Radiu Leicester nazwał „świętym ćapati”.

Po wyjściu Abdula do pracy, który z podniecenia zapomniał obiadu, Aisha usiadła przy biurku z komputerem stojącym pod schodami. W dziesięć minut stworzyła na Facebooku stronę „Kobieta w łóżku”, po czym dodała link do własnej strony, pisząc: „Eva – święta objawia się na ćapati Aishy Anwar”. Poczowała dreszcz, kiedy miała nacisnąć ikonkę, dzięki której jej czterystu dwudziestu trzech znajomych zobaczy wpis.

Następnego dnia Bowling Green Road została zablokowana samochodami. Rozlegała się kakofonia klaksonów, bollywoodzkiej muzyki, podnieconych oraz wściekłych głosów tych, którzy chcieli zaparkować.

Ruby była podenerwowana, gdy otworzyła drzwi i zobaczyła brodatego mężczyznę, który zapytał, czy mogą zobaczyć „wybrankę”.

– Nie dzisiaj, dziękuję – odpowiedziała i zamknęła drzwi.

W tym samym czasie przed domem Aishy Anwar gromadził się tłum. Czuła się w obowiązku oprowadzić wszystkich gości, by wskazać im podobieństwo między „opiekunką Evą” a ćapati. Aisha musiała także zapewnić gościom poczęstunek, ale gdy usłyszała, jak jeden z nich dość głośno wyszeptał: „Jej kuchnia to przeżytek z lat siedemdziesiątych. Te pomarańczowe kafelki!”, pożałowała swojej impulsywności i wyobraziła sobie, że zjada ćapati z wizerunkiem Ewy z aloo gobi i dalem.

W ciągu kolejnego tygodnia Eva przypomniła sobie o wiele więcej, niż nauczyła się w szkole podstawowej i liceum. Najdłuższa rzeka świata. Stolica Peru. Jakie państwa składają się na Skandynawię. Tabliczka mnożenia. Ile półkwart mieści się w galonie. Ile cali jest w jardzie. Główne fabryki Wielkiej Brytanii. Ilu żołnierzy zginęło podczas pierwszego dnia pierwszej wojny światowej. Ile lat miała Julia. Wiersze, których kiedyś uczyła się na pamięć: „Wyruszyć w morze muszę znów, gdzie nieba kres i wody dal”, „Witaj, duchu wdzięczny!” czy „Głupcy! Ja także miałem wielką chwilę, / Słodką i dziką godzinę chwały”³³. W tym czasie tłum rósł i stawał się nieustającym jazgotem w tle.

Sąsiedzi narzekali na niedogodności i narastał problem z parkowaniem. Policja została wezwana dopiero wtedy, gdy niektórzy mieszkańcy nie zdołali znaleźć miejsca na swojej ulicy i musieli zostawiać samochody pół mili dalej.

Na nieszczęście posterunkowy Gregory Hawk nie mógł zaparkować w pobliżu domu Ewy i zmuszony był przejść dość spory kawałek na piechotę. Kiedy w końcu stanął pod drzwiami, zastał Ruby na werandzie, łapiącą pierwsze promienie wiosennego słońca i sprzedającą herbatę oraz kawałki ciasta owocowego. Na ogrodowym stole postawiła bukiet żonkili w wazonie, aby łatwiej ściągnąć klientów, i wydawała porcje, których wielkość zależała wyłącznie od tego, czy ktoś się jej spodobał, czy nie.

Posterunkowy Hawk już chciał sprawdzić, czy Ruby ma zezwolenie na handel i na sprzedaż jedzenia oraz papiery związane z analizą ryzyka, kiedy musiał ustąpić miejsca ciężarówce jakiejś odległej stacji telewizyjnej, która cofała na ulicy, o milimetry omijając pojazdy stojące wzdłuż drogi. Po poinformowaniu kierowcy, że nie znajdzie miejsca, aby zaparkować zgodnie z przepisami, znów skierował się do stołu akurat wtedy, kiedy Ruby krzyczała:

– Następny do toalety!

Zobaczył, że z domu wychodzi mężczyzna w druidzkim nakryciu głowy, mijając się w progu z kobietą z napisem „Eva” na czole.

Posterunkowy Hawk próbował sobie przypomnieć, czy pobieranie opłat za udostępnianie prywatnej toalety to wykroczenie cywilne, czy kryminalne.

Kiedy zbliżył się do Ruby, ta wyjaśniła mu, że funty, które trzyma w kieszeniach swojej puchowej kurtki, to datki na rzecz charytatywnego stowarzyszenia Brown Bird & Beaver. Posterunkowy zapytał, czy to stowarzyszenie zostało zarejestrowane, i usłyszał, że „jest w trakcie”.

Następnie udał się do grupy dziwnie wyglądających ludzi i ostrzegł ich, że jeśli nie przestaną śpiewać, zawodzić, dzwonić dzwoneczkami i skandować „Eva! Eva! Eva!”, ukarze ich mandatem za zakłócanie porządku.

Jakiś anarchista w wojskowym płaszczu, bojówkach i czarnym golfie spędził godzinę na pisaniu „Pomóż policji – sam się pobij” na swoim czole.

– Żyjemy w kraju policyjnym – krzyczał anemicznie.

Ręka posterunkowego Hawka sięgnęła po paralizator, ale powstrzymał się, gdy zwalista kobieta w czapeczce elfa powiedziała:

– Anglia jest najlepszym krajem pod słońcem, a nasza policja jest absolutnie cudowna!

Anarchista zaśmiał się cierpko.

– Dziękuję, proszę pani, to miło być docenianym – powiedział posterunkowy.

Pomyślał, że całe to zbiegowisko to jakaś hańba. Gdziekolwiek się obejrzał, wszędzie byli jacyś Azjaci, niektórzy klęczeli zatopieni w modlitwie, inni siedzieli na kocach i chyba raczyli się śniadaniem, a całkiem spory gang starszych muzułmanek, chrześcijanek i hindusek zebrał się pod oknami Evy, gdzie klaskały i śpiewały. Nie było żadnych barierok zabezpieczających, żadnego zespołu nadzorującego, nikt nie

kierował ruchem. Zadzwoił po wsparcie, a następnie skierował się do dwóch starszych kobiet stojących w drzwiach domu pod numerem piętnastym.

Zażądał od Yvonne, żeby zaprowadziła go do właściciela nieruchomości.

– Mój syn, doktor Brian Beaver, jest w pracy, gdzie ratuje świat przed atakiem meteorytów. Niech pan lepiej sam porozmawia z Evą. Jest na górze, drugie drzwi po lewej.

Posterunkowy Hawk nic nie mógł na to poradzić, ale poczuł dreszcz na myśl, że spotka się z kobietą znajdującą się na pierwszych stronach gazet, o której internet aż huczał i którą widział w telewizji, jak odmówiła wywiadu staremu dobremu Derekowi Plimsollowi. Uznał to za dowód, że ona ma coś do ukrycia.

Kto by nie chciał wystąpić w telewizji?

Miał ambicję, aby być rzecznikiem policji w sprawach o morderstwa. Znał wszystkie zwroty i czasami ćwiczył je w głowie, kiedy znudzony jeździł tu i tam, upominając młodych kierowców skuterów, że należy włączyć światła.

Zobaczył ją, zanim ona zobaczyła jego. Oszołomiło go jej piękno – miała być staruchą kołopiędziesiątki, prawda?

Eva doznała szoku, kiedy dostrzegła pałakowatego chłopaka o dziecięcej twarzy w policyjnym mundurze.

– Dzień dobry, przyszedł pan mnie aresztować? – spytała.

Wyjął swój notatnik.

– Nie na tym etapie, proszę pani, ale chciałbym zadać pani kilka pytań – powiedział. – Od jak dawna przebywa pani w łóżku?

Eva starała się policzyć w myślach.

– Od dziewiętnastego września.

Posterunkowy kilkakrotnie zamrugał.

– Od pięciu miesięcy?

Wzruszyła ramionami.

– Czy jest pani z mężem w separacji?

– Nie.

– Zamierza pani opuścić męża w najbliższej przyszłości? –

spytał ośmielony jej szczerą odpowiedzią.

Obejrzała niejedyn program policyjny w telewizji i stąd co nieco wiedziała o procedurach. Niemniej wraz z rozwojem przesłuchania zaczęła zdawać sobie sprawę, że pytania posterunkowego Hawka były całkowicie skupione na niej – i że chce, aby młody policjant jej nadskakiwał.

Ich ostatnia wymiana zdań okazała się szczególnie niedorzeczna.

– Jakie jest pani nastawienie do policji?
– Myślę, że policjanci są złem koniecznym.
– Czy kiedykolwiek brała pani pod uwagę umówienie się na randkę z policjantem?

– Nie, nie wychodzę z łóżka.

Ulżyło jej, kiedy zarumieniony chłopiec w końcu powiedział:

– Ostatnie pytanie. Dlaczego nie wychodzi pani z łóżka?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Eva.

Kiedy posterunkowy Hawk wrócił do komisariatu, zapytał swojego przełożonego, czy może zostać funkcjonariuszem bezpośrednio kontaktującym się z rodziną kobiety w łóżku.

– Powoduje sporo zamieszania, okolica jest elegancka i mówi się o pozwie. Jeden z sąsiadów jest radcą prawnym.

Sierżant Price nie ufał klasie średniej. Raz musiał stawić się w sądzie za spoliczkowanie jakiegoś gówniarza. Skąd mógł wiedzieć, że jego ojciec był sekretarzem radcy prawnego?

– Jasne, czemu nie? – powiedział do posterunkowego. – Obie moje bezpośrednio policjantki są na macierzyńskim. A ty jesteś czymś najbardziej zbliżonym do kobiety.

Gdy posterunkowy Hawk szedł w kierunku radiowozu, jego delikatne policzki płonęły. „Taa – pomyślał. – Nie ma to tamto, jak tylko zacznę mieć zarost, zapuszczę sobie wąsy”.

To właśnie Dave Strong, policjant, który był już po służbie, znalazł Amber. Zebrała pod wieżowcem Gherkin w Londynie z siedemnastolatkiem o imieniu Timmo, choć rodzice nazwali go Timothy.

Posterunkowy Strong zadziałał intuicyjnie – uznał, że to

nieco dziwne, aby tak młoda dziewczyna w przybrudzonym mundurku szkolnym wyciągała rękę, zaczepiała pracowników biur i prosiła o „trochę drobnych”, podczas gdy Timmo śpiewał bezładną wersję *Wonderwall*.

Niemniej kiedy matka Amber rozmawiała z prasą, całą zasługę uratowania swojej córki przypisała Evie, nie zaś policjantowi.

– Ona ma supermoce – powiedziała Jade sceptycznemu dziennikarzowi z „Daily Telegraph”. – Ona widzi rzeczy, których my nie potrafimy dostrzec.

Ta sprawa okazała się pierwszorzędnym newsem – młodzieńcza miłość i być może seks nieletnich w „The Sun” oraz (ponieważ Timmo uciekł przed maturą) artykuł w „Guardianie” pod tytułem *Czy przyciskamy naszą młodzież zbyt mocno?*

Prasa chętnie rzuciła się na tę nową informację o Evie. „Daily Mail”, który zamierzał umieścić na pierwszej stronie tekst *Eva jest była bibliotekarką*, zmienił tytuł na: *Eva ze zdolnością postrzegania pozazmysłowego znajduje uciekinierkę*.

W południe w walentynki do pokoju Evy weszli Brian i Titania.

Zauważyła, że oboje płakali. Nie czuła się zaniepokojona – odnosiła wrażenie, że Brytyjczycy dawno temu przestali trzymać się kupy, a teraz notorycznie płakali w miejscach publicznych i byli za to *oklaskiwani*. Ci, którym ronienie łez nie przychodziło z łatwością, lądowali w szufladce „osobowość analna”.

– Mamusia nie żyje – powiedział Brian, łkając.

Kiedy tylko odzyskała oddech, spytała:

– Twoja czy moja?

– Moja – zapłakał.

„Dzięki Bogu” – pomyślała.

– Bri, tak mi przykro – powiedziała.

– Była cudowną matką – chlipał.

Titania próbowała go objąć, ale odepchnął ją i podszedł do Evy, która czuła się w obowiązku poklepać go po plecach. Pomyślała: „Niezła pokazówka człowieka, który «nie widział powodu» kupowania matce prezentu urodzinowego, twierdząc, że «ona niczego nie potrzebuje»”.

– Spadła z rozkładanej drabiny, starając się sięgnąć po awaryjną paczkę papierosów – powiedziała Titania łamiącym się głosem i z oczami pełnymi łez.

Eva o tym nie wiedziała, ale w rzeczywistości Titania płakała dlatego, że Brian nie dał jej kartki walentynkowej albo pudełka rachatlukum, co zwykł robić każdego roku, od kiedy zaczął się ich romans.

– Kolejna śmiertelna ofiara palenia. Nie żyła od trzech dni. W jakim społeczeństwie my żyjemy, jeśli stara kobieta może leżeć na kuchennej podłodze martwa od *trzech dni*, zanim ktokolwiek ją zauważy? – rzekł Brian.

– Kto ją znalazł? – spytała Eva.

– Peter, czyściciel szyb – odpowiedział Brian.
– *Nasz* Peter, czyściciel szyb?
– Zadzwoił na policję i to policjanci wyważyli drzwi –
wyjaśniła Titania.
– Tak. I Peter zapłacił za wymianę cholernych drzwi.
Doskonale wiedział, że trzymamy tutaj zapasowe klucze –
powiedział Brian.
– Jest w szoku – odezwała się Titania.
– Będzie w jeszcze większym szoku, kiedy dostanie ode
mnie cholerny rachunek za trzywarstwowe drzwi z
supernowoczesnym wpuszczanym zamkiem! – wrzasnął Brian.
– Nie, ty jesteś w szoku – powiedziała z naciskiem Titania.
– Była najlepszą matką, jaką może mieć człowiek –
powiedział Brian drżącymi wargami.

Eva i Titania wymieniły ukradkowe spojrzenia.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

Titania popatrzyła na leżącą w łóżku Evę, szlochającego
Briana i oświadczyła:

– Wygląda na to, że muszę otworzyć.

Kiedy uchyliła drzwi, przyjęła zwyczajową dawkę powitań.
Rozległy się krzyki: „Cudzołożnica!”, „Grzesznica!”, „Szmata!”.
Chociaż się starała, nie mogła przywyknąć do zniewag, jakie
słyszała za każdym razem, gdy natykała się na tłum.

Kobieta w zielonej kamizelce trzymała duży bukiet różnych
białych kwiatów owiniętych w białą bibułę i przewiązanych białą
satynową wstążką. Kiedy Titania wypatrywała wśród kwiatów
kartonika od Briana z jej imieniem, na środku drogi zatrzymała się
pocztowa furgonetka.

Gdy listonosz i kobieta, która dostarczyła kwiaty, minęli się
na ścieżce, ucięli sobie pogawędkę.

– Koszmarny dzień! – powiedziała.

– Prawie tak źle, jak w Boże Narodzenie – odparł.

– No nic, dziś jestem wieczorem zaproszona na wyżerkę.

Titania wzdrygnęła się, słysząc słowo „wyżerka”.

– Twój mąż o tym wie? – spytał listonosz.

Titanię zaskoczyły głośność i czas trwania ich śmiechu. Nie byłoby bardziej rozbawieni, gdyby na końcu ścieżki pojawił się Peter Kay³⁴ i odstawił swój ostatni show.

Titania znalazła mały bilecik z napisem „Dla Evy, mojej miłości”.

Wrzasnęła na dwoje doręczycieli:

– Dlaczego pracujecie w tych swoich zasranych robotach, skoro tak bardzo ich nienawidzicie!?

– Co jest? – spytał listonosz. – Nikt cię nie kocha?

Wręczył jej sporych rozmiarów paczkę listów i kartek spiętych recepturką.

– Chwilę przed wyjściem z sortowni zobaczyłem worek przesyłek do Evy. Jutro zjawię się z wózkiem.

Titania powiedziała ze złością:

– Walentynki to kolejny przykład na to, jak rynek komercjalizuje socjalno-seksualne relacje, zmieniając miłość ze stanu „bycia” w akt „posiadania”, i ostatecznie upadła nas wszystkich. Tak więc jestem dumna z tego, że ci, którzy *mnie* kochają, nie wpadli w pułapkę kartek i czekoladek.

Weszła do domu i trzasnęła drzwiami, ale wciąż słyszała szyderczy śmiech listonosza. Być może po-winna użyć prostszego języka, ale uznała, że nie będzie traktować z przychylnością niewykształconych ludzi.

Dlaczego to oni nie wzniosą się na jej poziom?

Kiedy Eva przytuliła do piersi biały bukiet, od razu wiedziała, kto jej go podarował. Karteczkę napisała swoim schludnym charakterem pisma Venus i domyśliła się, że to Thomas narysował kulfoniaste pocałunki na dole bilecika.

– Gdybym była w zarządzie Interflory, wprowadziłabym do polityki firmy zasadę, aby nie używać chryzantem w bukietach. Mają zapach śmierci – powiedziała.

Brian zapadł się w fotelu i opowiadał o identyfikacji ciała matki.

– Wyglądała, jakby spała, ale miała na nogach te cholerne kapcie w kształcie kangurów, które kupiła jej pod choinkę Ruby.

Są śmiertelnie niebezpieczne, ostrzegałem ją. Nic dziwnego, że spadła z drabiny. – Spojrzał na Evę. – Twoja matka jest bezpośrednio odpowiedzialna za śmierć mojej matki.

Eva milczała, a Brian mówił dalej:

– Wystąpiło już *rigor mortis*. Lekarz musiał wyłamać jej palce, żeby wyjąć spomiędzy nich paczkę silków. – Otarł oczy zwiniętą w kulkę chusteczką. – Przygotowała sobie galaretkę w salaterce do puddingu. Wciąż stała na kuchennym stole. Pokrywał ją delikatny nalot z kurzu. Nienawidziłaby tego.

– Powiedz Evie o listach – odezwała się Titania.

– Nie mogę, Tit. – Zaczął głośno płakać.

– Pisała do siebie listy – powiedziała Titania. – Listy miłosne. Tak jak w piosence, siadała i po prostu pisała do siebie list. W jej torebce znaleziono kopertę adresowaną do Alana Titchmarsha.

– Powinniśmy nakleić znaczek i wysłać go za nią? Nie znam etykiety dotyczącej śmierci i usług pocztowych – powiedział Brian i zaniósł się szlochem.

– Ani ja – odparła Eva. – I osobiście nie obchodzi mnie, czy list do pana Titchmarsha zostanie wysłany, czy nie.

– Coś z tym cholerstwem trzeba zrobić – powiedział nieco histerycznie. – Mam wykonać jej prośby czy też nie?

– Uspokój się, Bri – szepnęła Titania. – To nie jest tak, że Alan Titchmarsh czeka na list od twojej matki.

– Nigdy, przenigdy nie wysłała mi listu. Nawet żeby pogratulować mi obrony doktoratu.

Eva usłyszała za oknem głos Alexandra i poczuła sporą ulgę. On wiedziałby, co zrobić z tym głupim, cholernym listem do Titchmarsha. Koniec końców chodził do szkoły publicznej. Poczua się odprężona. Potem usłyszała głos swojej matki. Wyjrzała przez okno i zobaczyła Alexandra podtrzymującego Ruby, która ubrała się cała na czarno, włącznie z filcowym kapeluszem, z którego zwisała do połowy opuszczona woalka.

– Czuję, że będziemy musieli zakasać rękawy – powiedziała Titania.

Czekali w milczeniu, jeśli nie liczyć szlochu Briana, aż Ruby i Alexander wejdą po schodach. Usłyszeli głos Ruby:

– Dlaczego Bóg karze mnie odebraniem mi Yvonne?

– A czy twój Bóg nie powinien wydawać niezbadanych wyroków? – spytał Alexander.

Kiedy Ruby weszła do pokoju i zobaczyła Briana, odezwała się:

– Myślałam, że Bóg zabierze mnie pierwszą. Mam dziwny guzek. Mogłabym umrzeć w ciągu tygodnia. W dwutysięcznym roku pewna Cyganka powiedziała mi, że dożyję osiemdziesiątki. Od tamtego dnia żyję jakby na kredyt.

Brian wstał wściekły z fotela, żeby zrobić miejsce teściowej.

– Czy możemy skoncentrować się na mojej matce? – rzucił ze złością. – W chwili obecnej to ona nie żyje.

– Yvonne umierająca ot tak, bez ostrzeżenia, sprawiła, że mizernie się poczułam. Mój guzek pulsuje. Yvonne miała mnie zabrać do lekarza. Nie to, co moja córka, która nie chce zwlec się z łóżka.

Ruby dotknęła swojej piersi i skrzywiła się, czekając, aż ktoś zacznie się dopytywać.

– Bądź grzeczna, Ruby – powiedział Alexander, tak jakby mówił do niesforne go dziecka.

– Guzek jest najprawdopodobniej torbielą, mamó – odezwała się Eva. – Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym w cztery oczy?

– Miałam nadzieję, że zniknie. Powiedziałam Yvonne, ona wiedziała o mnie wszystko. – Odwróciła się do Briana. – I powiedziała mi wszystko *o tobie*.

To była ukryta groźba.

– Obwiniam cię za śmierć mojej matki. Gdybyś jej nie kupiła tych kretyńskich kapci w kształcie kangurów, dziś by żyła.

– Winisz mnie za śmierć Yvonne? – wykrzyknęła Ruby.

– Wiem, że nie należę do rodziny, ale... – odezwała się Titania.

– Titanio – przerwał jej Alexander. – Myślę, że nie powinniśmy się w to mieszać.

Grupa nastolatek w szkolnych mundurkach wpadła w tłum i razem ze wszystkimi zaczęła skandować: „Eva! Eva! Eva!”. Ktoś trzymał palec na dzwonku przy drzwiach. Eva zakryła uszy dłońmi.

– Nie spodziewajcie się, że otworzę – powiedziała Ruby. – To była działka Yvonne. Zastanawiałam się, gdzie się podziewała przez ostatnie trzy dni. Lubiła ludzi. Mnie ani grzeją, ani ziębią, ale w większości ziębią. Yvonne okazała się niezwykle pomocna. Sama bym sobie nie poradziła z tymi ludźmi na ulicy. Z każdym dniem jest ich coraz więcej.

– Mam robotę – odezwała się pośpiesznie Titania. – I życie przed sobą.

Brian stał przy łóżku Evy.

– I teraz, jak zwykle, rozmawiamy o Evie – warknął. – Powinienem posłuchać mojej kochanej *martwej* matki. Radziła, żebym się wyprowadził, i uświadomiła mi, że moje małżeństwo się skończyło. Tu się zatem kończy moje wspieranie Evy. Pozwólcie teraz osieroconemu synowi, sierocie, opłakiwać matkę.

– I trzeba pomyśleć o pogrzebie – ciągnęła niezrażona Ruby. – Jest luty. Mogę złapać zapalenie płuc. Co będzie z Evą, jeśli trafię do szpitala i podłączą mnie do tlenu?

– Ja się nią zajmę – powiedział Alexander. – Będę otwierał drzwi. Będę decydował, kto może wejść. Będę gotował. Będę prał jej pościel.

– Kwiaty, Alexandrze, są doskonałe – odezwała się Eva. – Dziękuję. Ale nie możesz się mną zajmować, masz swoją pracę.

– Właśnie dostałem pieniądze za zlecenie. Wystarczy na kilka tygodni.

– A twoje dzieciaki? – spytała Ruby. – Nie możesz ich wyciągać z łóżek w nocy.

Alexander spojrzał na Evę.

– Nie, wszyscy zamieszkalibyśmy tutaj.

– Moja matka nie żyje, a ty korzystasz z okazji, żeby wprowadzić się tu wraz z rodziną – powiedział Brian. – Myślisz, że będziesz tu mieszkał, nie płacąc czynszu, korzystając z mojego

prądu, mojej gorącej wody, z moich szerokopasmowych łączy? Cóż, koleżko, niezmiernie mi przykro, ale w tym hotelu nie ma wolnych miejsc.

– To, że Yvonne nie żyje, Bri, jest straszne, okropne, tak potworne, że nie mieści się w głowie, ale Alexander pod ręką to dla nas korzystne rozwiązanie – powiedziała Titania.

– Tamta Cyganka w Blackpool powiedziała mi, że spotkam wysokiego czarnego mężczyznę – odezwała się Ruby.

Brian stracił cierpliwość.

– O czym ty, na Boga świętego, pieprzysz? Moja matka nie żyje! Zamknij swoją cholerną jadaczkę, kobieto! Zastanawiam się, dlaczego moja kochana, bezinteresowna matka została mi odebrana, a ty z tymi swoimi niedorzecznymi uwagami i przedpotopowym mózgiem zostałam na tym świecie!

– Nie zamordowałam twojej mamy! – zawołała Ruby i ukryła twarz w dłoniach.

– Nie waż się mówić o mojej matce, że jest głupia! – krzyknęła Eva. – Nic nie poradzi na to, jaka jest!

Czuła taką wściekłość, że zaczęła iść na kolanach w kierunku Briana, który przysiadł na brzegu łóżka.

Zza okna dobiegły wiwaty i kilka wrzasków, kiedy – po raz pierwszy od kilku dni – zobaczył ją tłum.

Wzbierał w niej gniew, aż wybuchł, zmieniając się w słowa pełne furii i oskarżeń.

– Okłamywałeś mnie każdego dnia przez osiem lat! Powiedziałeś mi, że codziennie kończysz pracę o osiemnastej trzydzieści z powodu swojego oddania projektowi. Ale naprawdę oddawałeś się Titanii Noble-Forester! Zawsze zastanawiałam się, dlaczego jesteś taki wyczerpany i głodny, dlaczego zdołałeś zjeść trzydaniową kolację.

– To dlatego nigdy nie wzięłeś mnie na kolację, tak? – wrzasnęła Titania. – Nie mogłeś się doczekać, aż dorwiesz się do koktajlu z krewetek, kotleta i ciasta ze śliwkami swojej żony!

– Nigdy nie przestałem kochać żony – powiedział cicho Brian. – Myślałem, że można kochać dwie kobiety. W sumie trzy,

jeśli doliczyć moją biedną matkę.

– Nigdy wcześniej nie powiedziałeś, że mnie kochasz. – Gniew Titanii wyparował. Wyszepiała Brianowi do ucha: – O kurczę! Ależ afrodyzjak. Może zajmiemy się trochę sobą, wiewiórko? Chodź, pójdziemy do szopy.

Dzwonek przy drzwiach dźwięczał tak, jak gdyby jakiś szaleniec chciał się dostać do środka za wszelką cenę.

Po kilku chwilach, gdy nikt się nie ruszył, Alexander spojrzął na Briana.

– Mam otworzyć?

– Czyń cholerne honory.

– Evo, czy mogę?

Skinęła głową. Kiedy jakiś maniak stał pod drzwiami, dobrze było mieć w pobliżu Alexandra.

Zasalutował jej żartobliwie i poszedł otworzyć.

Titania podała Evie paczkę listów, którą trzymała w rękach.

– Połowa z tego to śmieci, reszta dla ciebie – powiedziała.

Wyprowadziła Briana z pokoju, jakby był małym chłopcem.

– Wiewiórko? – spytała Eva.

Z przerażeniem spojrzała na pakiet listów. Większość z nich była zaadresowana do „Kobiety w łóżku, Leicester”. Na kilku przysłanych ze Stanów Zjednoczonych napisano: „Do anioła w łóżku, Anglia”. Na jednym z Malezji było napisane jedynie: „Eva, UK”. Po zerknięciu na pierwsze trzy odłożyła całą resztę.

Każdy z nich zawierał opis cierpienia i złudne oczekiwania.

Nie mogła pomóc tym ludziom, a ciężar ich bólu był dla niej nie do udźwignięcia.

Często zdarzało się jej rozpraszać swoją uwagę układaniem w głowie różnych list. Teraz wpatrywała się w białą ścianę naprzeciwko, aż straciła ostrość widzenia; czekała na hasło. Dziś tematem był ból.

Najgorszy ból

1. Urodzenie bliźniaków.
2. Upadek z wysokiej gałęzi na beton.

3. Przytrzaśnięte drzwiami samochodu palce.
4. Owrzodzone gruczoły mleczone.
5. Wdepnięcie w ognisko.
6. Ugryzienie przez świnię w gospodarstwie agroturystycznym.
7. Ropień zęba podczas święta bankowego³⁵.
8. Przejechanie po stopie – Brian cofał samochodem.
9. Wbicie igły w kolano.
10. Jeżowiec w stopie, Majorka.

Następnego dnia pojawił się ból innego rodzaju, gdy Brian Junior wysłał e-maila do Evy na komórkę Alexandra. Alexander wydrukował go, używając jakiegoś skomplikowanego połączenia urządzeń wi-fi, i przyniósł wraz z kubkiem prawdziwej kawy.

Matko, rozmów telefonicznych nie uznaję za przyjemne i nie będę już więcej korzystał z tej formy łączności. Być może raz na jakiś czas skomunikuję się z Tobą za pomocą urządzeń elektronicznych, może nawet zaryzykuję z kaprysami poczty tradycyjnej.

– Pretensjonalny gnojek – mruknęła Eva. – Wydaje mu się, że kim jest? Anthonym Trollope'em³⁶?

Wróciła do lektury wiadomości od syna.

Dowiedziałem się od mojego ojca, że moja babcia, jego matka, nie żyje. Hipokryzją z mojej strony byłoby okazywanie smutku, jej los jest mi obojętny. Była głupią starą kobietą, co tylko potwierdziła sposobem, w jaki umarła. Jednakowoż powinienem się pojawić na pogrzebie w czwartek. (Nie mogę mówić w imieniu Brianne, ma seminarium tego dnia z niesamowitym, boskim wręcz profesorem wizytującym o nazwisku Shing-Tung Yau. To rzadkość, aby studenci, którzy nie ukończyli jeszcze pierwszego roku, dostąpili takiego zaszczytu. Niemniej obawiam się, że będzie mniej niż entuzjastycznie nastawiony, gdy usłyszy, co ona ma do powiedzenia na temat przestrzeni Calabiego-Yau).

Eva przerwała.

– Żal mi biedaka. Wiesz, Alex, nie rozumiem swoich dzieci. Nigdy ich nie rozumiałam.

– Eva, nikt nie rozumie swoich dzieci – powiedział. – Ponieważ one nie są *nami*.

Wróciła do e-maila z mniejszym entuzjazmem.

W związku z tym, że nie zobaczymy się na cmentarzu, być może zainteresuje Cię, że moja praca, w której udowadniam, że teoria nierówności wielomianów jednorodnych Bohnenblusta-Hille'a kryje w sobie sprzeczność, została zaakceptowana do druku w „Annals of Mathematics” i najprawdopodobniej ukaże się we wrześniowym numerze oraz że przyznano mi stypendium w Kolegium św. Jana w Oksfordzie. Jednakże zapewne je odrzucę. To z pewnością nie jest Cambridge, a moja obecna lokalizacja jest dla mnie akceptowalna. Niedaleko stąd znajduje się kafejka, która zapewnia pełne angielskie śniadanie w cenie, na jaką mogę sobie pozwolić. To podtrzymuje mnie przy życiu przez cały dzień. Jedyne, czego mi trzeba późnym wieczorem, to kawałek chleba oraz okruch edamskiego sera.

Eva starała się nie przejmować tym dowodem postępującego zdziwaczenia Briana Juniora, przestraszył ją jednak ten e-mail. Chłopak zawsze był tym słabszym bliźniakiem – później zaczął mówić i chodzić – i tym, który uczepił się jej spódnicy, gdy po raz pierwszy zaprowadził go do przedszkola. Ale pamiętała również, że to Brian Junior oczarowywał przechodniów swoim uśmiechem, kiedy wozila bliźniaki w podwójnym wózku. Już wtedy Brianne była mniej intrygująca. Jeśli ktoś się do niej zbliżał, wyła i chowała twarz.

Eva czytała dalej. Nie czuła niczego poza wrażeniem poniesionej porażki i być może musiała – po raz pierwszy – zmierzyć się z faktem, że Brian Junior przeniesie się do Doliny Krzemowej, gdzie będzie mógł żyć i pracować z podobnymi sobie.

Odczuwam swoisty żal, że nie będziesz uczestniczyć w pogrzebie swojej zmarłej teściowej. Mój ojciec jest, tu cytuję, „zdruzgotany”. Rozmawiałem także z Barbarą Lomax, szefową Psychologicznej Pomocy dla Studentów, i zapewniła mnie, że powodem, przez który „nie jesteś zdolna” do opuszczenia łóżka, jest to, że znajdujesz się w kleszczach agorafobii, będącej najpewniej konsekwencją przeżytej w dzieciństwie traumy.

Alexander, chcąc poprawić nastrój, zaśmiał się i powiedział:
– Zobaczyłaś coś nieprzyzwoitego w drewnitni?

Eva nie podchwyciła żartu. Kolejnych kilka linijek przeczytała po cichu, nie chciała, żeby Alexander je słyszał ani ją osądzał.

Pani Lomax wyluszczyła mi, że zna ludzi, którzy zostali wyleczeni w ciągu sześciu tygodni. Jednak aby tak się stało, konieczne są dieta, ćwiczenia, odwaga oraz samodyscyplina. Poinformowałem Barbarę, że moim zdaniem jesteś pozbawiona odwagi, ponieważ z premedytacją pozwoliłaś mojemu ojcu cudzołożyć pod swoim dachem i nic nie mówiłaś.

Eva już nie potrafiła nad sobą zapanować i głośno wrzasnęła:
– Nie pod moim dachem! W jego kurewskiej szopie!

Następnie wróciła do lektury.

Barbara zapytała mnie: „Czy masz napady złości dotyczące Twojej matki?”. Powiedziałem jej, że ostatnio z trudem wytrzymuję przebywanie w tym samym pokoju, w którym znajduje się moja matka.

Eva ostatnie zdanie przeczytała jeszcze raz. I jeszcze raz.

Co zrobiła źle?

Karmiła go, dbała o niego, kupowała mu dobre buty, chodziła z nim do dentysty i okulisty, budowała z nim rakiety z klocków Lego, zabierała na wycieczki do zoo i sprzątała mu pokój. Jechał lokomotywą parową, a apteczka pierwszej pomocy zawsze znajdowała się pod ręką. Przez całe jego dzieciństwo niemal nie podnosiła na niego głosu.

Złożyła wydrukowany list na pół, później na czworo, później jeszcze raz, i znów, i znów. Chciała, żeby był jak najmniejszy, ale poddała się i włożyła go do ust. Był niesmaczny, lecz nie mogła go wyjąć. Alexander zwyczajnym ruchem podał jej szklankę wody i Eva zaczęła zmiękczać zwitek papieru jak krowa żująca pokarm, aż zrobiła się z niego miazga.

Językiem docisnęła kłębek do policzka i powiedziała:

– Potrzebuję zasłon na okna. Białych zasłon.

W wieczór poprzedzający pogrzeb swojej matki Brian poszedł zobaczyć się z Evą. Poprosił ją, żeby ponownie przemyślała swoją decyzję o trzymaniu się z dala od ceremonii kościelnych i późniejszego pochówku.

Eva zapewniła Briana, że kochała Yvonne i pomyśli o niej w czasie trwania pogrzebu, ale nie opuści łóżka.

– A co gdyby chodziło o Ruby, o twoją własną matkę? – spytał.

– Muszę rozważyć to pytanie.

– Nie mogę znieść myśli o tym, jak leżała na tych zimnych kafelkach w kuchni – powiedział ze łzami w oczach.

Eva pogłaskała go po dłoni.

– Ona i tak miała po dziurki w nosie współczesnego świata, Brian. Nie potrafiła pojąć, jak w jej kablówce może być pornografia. Kiedy po raz pierwszy oglądała telewizję, prezenter występował w smokingu.

– Myślisz, że miała dobre życie?

– Na tyle, na ile mogła – odpowiedziała ostrożnie. – W końcu urodziła się w świecie mężczyzn i twój tata nie pozwalał jej nosić spodni.

– Pamiętasz te wszystkie walentynki, które dostawała każdego roku?

– Uzbierało się ich sporo.

– Sama je sobie wysyłała.

– Musiała się czuć strasznie samotna, Bri. Nigdy nie poradziła sobie ze śmiercią twojego ojca.

– Byłaś samotna, kiedy wychodziłem do pracy?

– Byłam o wiele bardziej samotna, kiedy wracałeś i siedzieliśmy obok siebie na sofie.

– Ale trafiło nam się kilka szczęśliwych chwil, prawda?

– Z pewnością, jednak nie potrafię ich umiejscowić w czasie.

– Zagraniczne wczasy – powiedział zirytowany. – Kemping w Walii. Floryda.

Eva chciała się zgodzić z Brianem, ale w jej wspomnieniach

roiło się od komarów, padało, były błoto, udar słoneczny,
odwodnienie, niekończąca się jazda samochodem, sprzeczki i
pełne żalu pojednania.

Przodkowie Beaverów kupili rodzinną kwaterę w cieniu niewielkich, zwartych drzew iglastych na cmentarzu przy kościele Świętego Guthlacka. Między drzewami nie mieściła się żadna koparka mechaniczna, a ich korzenie sprawiały, że wykopanie nowego grobu okazywało się próbą sił i wytrzymałości.

Kiedy podwozili szefa zakładu pogrzebowego do niedostępnego normańskiego kościoła, aby uderzył w donośne dzwony, zobaczyli dwójkę grabarzy rzucających w siebie kamikami. Gdy Brian, Titania i bliźniaki ich minęli, usłyszeli, jak jeden z nich krzyczy:

– Ty cipo, prawie trafiłeś mnie w oko!

Brian kazał kierowcy się zatrzymać. Wysiadł i poszedł w kierunku niewykopanego do końca grobu swojej matki.

Młodzieńcy upuścili kamienie i złapali za szpadle.

– Wiem, że kwestie dotyczące nieprzeklinania są w dużym stopniu dla was nie do pojęcia, niedojdy, ale ta *dziura*, którą macie wykopać, będzie miejscem ostatecznego spoczynku mojej matki. Nie krzyczcie „cipa” nad jej grobem.

Wrócił do limuzyny.

Kiedy tylko zatrzasnął drzwi, jeden z chłopaków spojrzał na niego, wymamrotał „cipa” i wskoczył do grobu.

Brian już miał zamiar wyjść z auta, ale Brian Junior wciągnął go z powrotem.

– Daj spokój, tato.

Brian był kłębkim nerwów. Trzy mile jechali za karawanem wiozącym ciało jego matki. Za nimi jechał Alexander w swoim starym wanie, a z nim Stanley Crossley i Ruby.

Siostry Yvonne, Linda, Suzanne i Jean, stały w kruchcie, paliły papierosy i strzepywały popiół na swoje dłonie. Brian pomyślał, że to zachowanie w połączeniu z tym, że miały zbyt głębokie dekolty, było niewłaściwe. Nie rozmawiał z nimi od lat.

Podczas chrztu zdarzył się „incydent”, który źle się skończył. Jego matka nigdy nie potrafiła opowiedzieć mu szczegółów – mówiła jedynie: „Połało się za dużo alkoholu”. To by tłumaczyło, dlaczego przyglądały mu się z taką niechęcią.

Jeszcze bardziej nieprzyjaźnie patrzyły na Titanię, oceniając jej twarz, włosy, czarną kreację, torebkę i buty. Wyraźnie się nią interesowały. Jak Brian śmiał afiszować się tą lampucerą w miejscu publicznym? Jego szalona małżonka już zhańbiła rodzinę, robiąc z siebie widowisko, a teraz jeszcze dodatkowo znieważyla ją przez niepojawienie się na pogrzebie własnej teściowej.

Odsunęły się, żeby wpuścić do kościoła Alexandra, Stanleya Crossleya i bliźniaki. Ruby wyczuła, co się święci, i zniknęła w poszukiwaniu toalety.

Kiedy już wszyscy usiedli, Ruby zrobiła spóźnione, ale pełne dramatyizmu wejście, nie dając rady niezwykle ciężkim drzwiom kościoła. Wiatr wyrwał jej klamkę z ręki i trzasnął nimi tak mocno, że pastor i zatopieni w cichej modlitwie żałobnicy, wszyscy klęczący na klęcznikach, podskoczyli i odwrócili się, aby zobaczyć skamieniałą z szoku Ruby. Stanley Crossley, który na ramieniu swojego ciemnego garnituru nosił czarną opaskę, siedział w tylnym rzędzie. Wstał i pomógł Ruby przejść nawą, aby usiadła z rodziną.

Ogarnęła ją wściekłość, gdy na katafalku blisko ołtarza zobaczyła coś, co wyglądało jak kartonowe pudło.

– Kto zostawił coś takiego w kościele? Gdzie jest trumna Yvonne? – spytała szeptem Briana.

– To jest jej trumna – szepnął Brian w odpowiedzi. – Model ekologiczny.

– A co, gdyby miała stać w domu?

Pastor zaczął mówić skromnemu zgromadzeniu, że Yvonne urodziła się w grzechu i w grzechu zmarła.

– Ona chciała trumnę z orzecha włoskiego z mosiężnymi uchwytami i ciemnofioletowym obiciem – szepnęła Ruby do Briana. – Razem przeglądaliśmy katalogi.

– Jej polisa na życie nie wystarczyła na orzech – odparł

półgębkiem.

Pastor wyglądał jak borsuk w komży. Odezwał się głębokim głosem:

– Zebraliśmy się tutaj w ten okrutnie mokry i wietrzny poranek, aby uczcić życie naszej siostry Rity Coddington.

Rozległy się pomruki i chichoty, kiedy zebrani usłyszeli jego błąd. Wszelako mówił dalej:

– Rita urodziła się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym jako córka Edwarda i Ivy Coddingtonów. Był to ciężki poród kleszczowy, przez który Rita miała podłużną głowę. Śmiali się z niej w szkole, ale...

Ruby wstała i przerwała mu:

– Przepraszam, ale pan mówi jakieś głupoty. Kobieta w tym kartonowym pudle to Yvonne Beaver. Jej rodzicami byli Arthur i Pearl, i miała najnormalniejszą głowę na świecie.

Pastor zerknął na swój pulpit i natychmiast zauważył, że pomylił notatki dotyczące Yvonne Beaver z tymi, które wiązały się z kolejną ceremonią. Zwrócił się do zebranych.

– Mogę działać tylko z tym, co mi dano. Zanim zacznę, upewnię się względem kilku faktów, dobrze? Najpierw hymn. Czy prosiliście o *All Things Bright And Beautiful*?

– Tak – odpowiedział Brian.

– I o *Onward Christian Soldiers*?

Brian przytaknął.

– A teraz muzyka współczesna. Prosiliście o *Yellow Submarine* Beatlesów i *Rawhide* pana Frankiego Laine'a?

– Tak – wymamrotał Brian.

– Czy przed ślubem zajmowała się kartami perforowanymi?
Brian znów pokiwał głową.

– Słuchaj pan – powiedziała głośno Brianne. – Możemy już jechać z tym koksem?

– Mowę pożegnalną odczyta wnuk Yvonne, Brian Junior – ogłosił pastor.

Ci, którzy znali Briana Juniora, patrzyli z lękiem, jak zbliża się do pulpitu.

– Słodki Jezu – westchnął Alexander i skrzyżował palce.

Mowa pochwalna była pierwszym publicznym wystąpieniem Briana Juniora. Początek okazał się niezły, obficie czerpał ze strony internetowej mowypogrzebowe.com. Kiedy wykorzystał wszystko, co miał zanotowane, zaczął improwizować.

Opowiadał o najwcześniejszych wspomnieniach bliźniaków dotyczących Yvonne.

– Była hiperhigieniczna i kiedy zostawaliśmy u niej na noc, brała mojego misia i małą Brianne i wkładała je do pralki, żeby rano czekały na nas świeże i pachnące.

Rozejrzał się po wnętrzu kościoła, patrzył na rzeźbione kolumny, na znaki i symbole, których nie potrafił rozszyfrować. Na zewnątrz było już niewiele światła, wystarczająco jednak, by rozświetlić witraże i ożywić znajome postaci biblijne.

– Misio stracił przez nią zapach – powiedział.

– Małpcia też – odezwała się z pierwszego rzędu Brianne.

Brian Junior wytarł oczy rękawem marynarki i mówił dalej:

– Wiem, że kilkoro z was martwi się kruchością trumny babci, sprawdziłem więc proces rozkładu ludzkiego ciała. Biorąc pod uwagę jej wzrost, szacunkową wagę i opierając się na zmianach pór roku i temperatury, przypuszczam, że jej trumna oraz ciało nie zgniją wcześniej niż...

– Dziękuję, Juniorze! – zawołał Brian. – Zejdź, synu.

Pastor pospiesznie stanął za pulpitem i zanim Brian Junior zdążył zająć miejsce w ławce, dał znać organiście, żeby zagrał pierwszy hymn.

Ruby i Stanley śpiewali głośno, żadne z nich nie potrzebowało książeczki do nabożeństwa.

Ruby rzuciła okiem na Stanleya i pomyślała: „To niesamowite, do czego człowiek potrafi się przyzwyczać, kiedy ma na to czas”.

Eva rozkoszowała się ciszą w domu. Przestało padać i po smugach światła na ścianie mogła powiedzieć, że zbliżała się jedenasta.

Za oknem także było cicho. Ulewa rozegnała tłum, który

rozbiegł się w poszukiwaniu schronienia.

Myślała o Yvonne, którą przez ostatnie dwadzieścia pięć lat widywała przynajmniej dwa razy w tygodniu. Przywołała wspomnienia.

Yvonne nad morzem, otrzepująca na wietrze koce z piasku.

Yvonne z dziecięcą wędką, starająca się z bliźniakami złowić kijanki.

Yvonne w łóżku, płacząca z reumatycznego bólu.

Yvonne niemogąca powstrzymać się od śmiechu na widok Normana Wisdoma w telewizorze.

Yvonne i klekot jej zębów podczas niedzielnych obiadów.

Yvonne kłócąca się z Brianem o kreacjonizm.

Yvonne strzepująca popiół z papierosa do zapiekanki, którą podawała.

Yvonne i jej przerażenie w restauracji we Francji, gdy jej befszyk tatarski okazał się surowym mięsem.

Eva zdziwiła się, że opłakuje śmierć Yvonne.

Pastor, który starał się zadzierzgać więzi ze swoją wspólnotą, śpiewał ze zgromadzonymi aż do ostatniego wersu *Yellow Submarine*.

Kiedy miał to już wreszcie za sobą, powiedział:

– Wiecie, życie jest jak banan. Słodki wewnątrz, ale z zieloną skórką, której trzeba pozwolić dojrzeć... – Zrobił pauzę. – Ale czasami zostawia się go na zbyt długo i kiedy znów sobie o nim przypominasz, skórka jest czarna, a kiedy w końcu ją zdejmujesz, co dzieje się z dobrym owocem?

Z pierwszego rzędu odezwał się Brian Junior:

– Banan wytwarza etylen, ostatecznie się utlenia i rozpada na dalsze związki gazowe o podobnej masie.

– Dziękuję za twój wkład – powiedział pastor. – Ostatecznie ciało Yvonne ulegnie rozpadowi, ale jej dusza osiągnie życie wieczne w Królestwie Bożym i na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

Brian Junior się zaśmiał.

Pastor poprosił zgromadzonych, aby klękali, a następnie

przeczytał im fragment o zmartwychwstaniu z Biblii Króla Jakuba. Jedynie Ruby pozostała w pozycji stojącej. Wskazała na swoje kolana, poruszyła ustami, bezgłośnie mówiąc: „Kolana!”, i potrząsnęła głową.

Kiedy skończył czytać, pastor spojrział na zebranych. Przeszli z nogi na nogę, ziewali i spoglądali na zegarki. Pomyślał, że nadszedł czas na obrzędy zakończenia. Chrząknął, odwrócił się do trumny i przemówił:

– Polećmy Yvonne Primrose Beaver miłosierdziu Bożemu, naszemu Stwórcy i Zbawcy.

– Stwórcy? – odezwał się głośno Brian Junior. – Nie sądzę. – Mówił dalej, jakby brał udział w seminarium magisterskim: – Fenotypowa zmienność plus zróżnicowana reprodukcja plus dziedziczność równa się naturalna selekcja. Darwin – jeden, Bóg – zero.

Pastor spojrział na Briana Juniora i pomyślał: „Biedny chłopak, zespół Tourette’a to okrutna przypadłość”.

Alexander pomyślał: „Kiedy to się wreszcie *skończy*? Kiedy ta drętwa, ściskająca dupę ceremonia dobiegnie końca?”.

Na poprzednim pogrzebie, na który poszedł, był chór gospel, *steel pan*³⁷ i tańce. Ludzie zarzucali biodrami i podnosili ręce nad głowę, tak jakby naprawdę cieszyli się, że ten, kto odszedł, niebawem znajdzie się w ramionach Jezusa.

– Oddajemy Yvonne Twojej łasce – odezwał się pastor. – W imię Pana Jezusa, który umarł i żyje, i króluje razem z Tobą i na wieki wieków.

– Amen – odpowiedzieli zgromadzeni i odetchnęli z ulgą, że ceremonia nareszcie się skończyła.

Czterech pracowników zakładu pogrzebowego przeszło w ciszy przez nawę, podnieśli ekologiczną trumnę, ułożyli ją sobie na ramionach i w takt piosenki Raw-hide wyszli z kościoła w kierunku świeżo wykopanego grobu.

Żałobnicy poszli za nimi.

Brian cicho śpiewał razem z Frankiem Laine,em. W wyobraźni trząsał biczem i spędzał szarżujące bydło na

równinach Teksasu.

Gdy niesiono kartonową trumnę do miejsca pochówku, kilkoro czcicieli anioła z Bowling Green Road dołączyło do procesji. Na ich czele szła Sandy Lake i jej przyjaciel, anarchista William Wainwright.

Sandy trzymała lilię, którą kupiła w sklepiku pana Barthiego. Nie chciał psuć gotowego bukietu składającego się z sześciu kwiatów, ale okazała się tak namolna, że w końcu się poddał. Swojej żonie powiedział później, że rozważa przejście na emeryturę i zmianę branży na taką, w której nie będzie musiał wchodzić w kontakty z ludźmi.

Jego żona go skarciła.

– Ha! Więc teraz będziesz się bawił z robotami? Wrócisz na uniwersytet i zrobisz magisterkę z elektroniki i doktorat z robotyki? Zdasz skończyć siedemdziesiątkę do tego czasu, głupi grubasie! Ja umrę z głodu, a nasze dzieci skończą w ryszotku!

Podczas odmierzania ryżu pan Barthi cieszył się, że nie porozmawiał szczerze ze swoją żoną. Miał wystarczająco smutny dzień. Pani Yvonne Beaver była dobrą klientką i ciekawą rozmówczynią, nie to co jej syn.

Brakowało mu także Ewy Beaver. Specjalnie dla niej kupował w pobliskiej hurtowni pomidorowe zupy Heinza. Każdego dnia zjadała chochlę na obiad. Nikt inny w jej rodzinie nie przepadał za tą potrawą, każdy lubił coś innego.

Na Bowling Green Road słychać było krzyki i obelgi rzucane przez przeciwstawne obozy, jakie wytworzyły się wśród ludzi. Czcciele wampirów wymyślali frakcji Harry’ego Pottera.

Aby nie słyszeć hałasu, Eva postawiła przed sobą zadanie przypomnienia sobie wszystkich ulubionych piosenek – od dzieciństwa aż do chwili obecnej. Zaczęła od *I’m A Pink Toothbrush* Maxa Bygravesa, potem trafiło się *The Sun Ain’t Gonna Shine (Anymore)* Walker Brothers, po czym nie potrafiła sobie przypomnieć *Back To Black* Amy Winehouse. Wiedziała, że dziewczyna miała świetny głos i doskonałą tonację. Czuli się osobiście urażona, kiedy profesjonalni piosenkarze fałszowali.

Pani Bailey, jej nauczycielka muzyki w szkole, zabrała ją na Festiwal Muzyki Regionalnej. Eva miała zaśpiewać przed surową komisją klasyczny utwór Schuberta *Pstrąg*. Pod koniec spojrzała na ich roześmiane twarze i automatycznie uznała, że z niej szydzą, więc uciekła ze sceny, biegnąc długimi korytarzami, aż znalazła się w ogrodzie z ławkami, gdzie inni uczestnicy konkursu jedli drugie śniadanie. Wszyscy się na nią gapili.

Na szkolnym apelu w poniedziałkowy rano dyrektorka szkoły, panna Fosdyke, ogłosiła po modlitwie, że Eva Brown-Bird zdobyła złoty medal na Festiwalu Muzyki Regionalnej. Eva była w szoku i nie potrafiła znieść ogłuszających oklasków. Zarumieniła się i spuściła głowę. Kiedy panna Fosdyke zawołała ją, żeby weszła na scenę, ta puściła się biegiem między rzędami dziewczynek do najbliższych drzwi. W drodze do szatni usłyszała głośny wybuch śmiechu z auli. Nie mogąc dłużej wytrzymać w szkole, zabrała swój płaszcz oraz tornister i chodziła w rześistym deszczu w okolicy domu tak długo, aż mogła do niego wrócić.

Kiedy uczestnicy pogrzebu pojawili się przed domem, tłum wyraził swoje niezadowolenie na widok Briana i Titanii. Po geście, jaki wykonał Alexander, zamilkli. Zdjęcia z pogrzebu Yvonne już wisiały w internecie. Kilku twitterian wyraziło swoje obawy, że korzystanie z ubikacji z nią było prostsze.

Żałobnicy po wejściu do domu usłyszeli Evę śpiewającą znaną im piosenkę: „Jam cicho stał na łące, za rybką patrzył w ślad, jak łśni w promieniu słońca, co w jasną wodę wpadł”.

– To Schubert, *Pstrąg* – szepnęła Titania do Ruby.

– Dlaczego ludzie zawsze mówią mi coś, o czym wiem?

Kiedy Eva przeszła na niemiecki, Ruby się dołączyła.

– *Ich stand an dem Gestade, und sah in süßer Ruh, des muntern Fisches Bade im klaren Bächlein zu.*

Spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się.

– Dajesz, babciu – odezwała się Brianne.

– Ćwiczyła tę cholerną piosenkę po angielsku i niemiecku całymi tygodniami – powiedziała Ruby. – Prawie oszalałam.

Eva krzyknęła z góry:

– Tak, a gdzie jest mój złoty medal, mamó?

– Och, nie, tylko nie znów o medalu! Skończ już z tym, Evo!

Ruby odezwała się do Stanleya:

– Doskonale wiedziała, że nie lubię bałaganu. Musiała go sobie schować w jakimś bezpiecznym miejscu.

Stanley się uśmiechnął, sam wysoko cenił sobie porządek.

Ruby złapała się balustrady u dołu schodów i krzyknęła:

– Poza tym i tak nie był ze złota!

Dużo później Eva zapytała Brianne, jak wypadł pogrzeb.

– Brian Junior zrobił z siebie wała podczas wygłaszania mowy pogrzebowej, ale było w porządku. Nikt nie płakał. Poza ojcem.

– A nie mogłaś wycisnąć z siebie łzy, Brianne? Niewątpliwie

do dobrego tonu należy płakać na pogrzebie.

– Ależ z *ciebie* hipokrytka! Myślałam, że najważniejsze są dla ciebie prawda i piękno, i całe to dziewiętnastowieczne gówno.

Brianne była zła i zawiedziona, że Alexander poświęcił jej tak mało uwagi. Spędził z nią tyle samo czasu co z resztą rodziny. Okej, więc jej nie kochał. Ale powinien mieć świadomość, że istniała między nimi silna więź. Zdołała usiąść obok niego w kościele, ale nie dbał o nią bardziej niż o worek starych ziemniaków.

Zlekceważył ją. Była wściekła. Musiała powiedzieć swoim internetowym znajomym, co czuła. Poszła do pokoju Briana Juniora i odpaliła swój laptop.

Brat był już zalogowany na Twitterze. Pisał:

Babcia jaka taka = przekąska dla robaka. I toczy się, toczy się w ramiona nieistniejącego Jezusa.

Przełączył się na Facebook i kliknął w grupę, którą ktoś założył na cześć jego matki. Używając jednego ze swoich trollowych kont, zaczął szydzić z zebranego przed domem tłumu, ze szczególnym uwzględnieniem Sandy Lake. Swój hejterski komentarz zakończył pytaniem: „Ma ktoś może odstąpić granat?”.

Brianne weszła do tej samej grupy i używając swojego imienia i nazwiska, napisała:

Przed moim domem stroi wstrętna czarna niedojda. Wydaje mu się, że jest jakimś wykidajłą, ale powinien popracować nad swoim wizerunkiem, bo jego dredy są równie bujne co ogon zdechłego osła. Zetnij je, dziadu.

Alexander stał na progu w świetle lampy na werandzie. Miał na sobie granatowy płaszcz i palił papierosa.

Rozległo się kilka płaczliwych krzyków, ludzie błagali Ewę, żeby pozwoliła im się z nią zobaczyć, zanim skończy się dzisiejsza pora odwiedzin. Zaczęła udzielać audiencji, pięć osób każdego dnia. Alexander decydował, kto się z nią zobaczy, wybierając z niezwykle różnorodnego zbiorowiska.

Tego popołudnia udzieliła konsultacji pewnemu pięćdziesięciosiedmiolatkowi, którego matka chciała poślubić

mężczyznę po siedemdziesiątce – jak może ją powstrzymać?

– Nie powstrzyma jej pan. Kupi jej pan butelkę szampana i da im swoje błogosławieństwo.

Druga była entuzjastka piór, która wierzyła, że Eva ukrywała parę pięknych skrzydeł. Eva się odwróciła, podciągnęła koszulkę aż po kark i pokazała entuzjastce swoje plecy bez żadnych upiększeń.

Później zjawiała się nastolatka, która oznajmiła Evie, że chce umrzeć i dołączyć do Kurta Cobaina w niebie. Przyszedł także niezwykle otyły Amerykanin, który przyleciał z Nowego Orleanu, płacąc za dwa siedzenia w klasie biznesowej, żeby powiedzieć, iż Eva jest reinkarnacją Marilyn Monroe i że chciałby z nią „pokonwersować”.

No i oczywiście zjawiali się ludzie pogrążeni w żałobie, którzy nie potrafili stawić czoła okrutnej prawdzie, że nigdy więcej nie zobaczą swoich ukochanych. Przysyłali notatki i zdjęcia z prośbą, aby Eva porozmawiała z ich zmarłymi i przekazała wiadomości, które mają dla żyjących. Eva z trudem tłumiała emocje w swoim pokoju. Jeśli pojawiały się łzy, odwracała się tyłem.

Alexander zgasił papierosa o podeszwę buta, a niedopałek rzucił do studzienki kanalizacyjnej. Cicho odezwał się do Sandy:

– Na dzisiaj będzie tyle. Posłuchaj swojej dobrej strony. Żadnego krzyczenia na Evę dzisiejszej nocy. Okaż trochę szacunku. Dziś mieli pogrzeb.

Tego samego wieczoru, kiedy Alexander położył spać Venus i Thomasa w dawnym pokoju Briana Juniora i zanim sam się położył, spojrział przez okno. Dostrzegł, że jedyną osobą, która została, była Sandy Lake siedząca przed swoim namiotem rozstawionym po drugiej stronie ulicy.

Urządziła się najwygodniej, jak się dało, podkładając pod swoją karimatę kartony i gazety. Przy swojej latarce czytała magazyn poświęcony celebrytom wierzącym w anioły.

Alexander uchylił okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Sandy natychmiast podniosła głowę; w jej spokojnej wytrwałości było coś, co go niepokoiło. Dokładnie zamknął okno.

Sandy miała dziś chandrę. Penelope ją opuściła i wróciła do domu leczyć zapalenie oskrzeli. Sandy wytrwała tu najdłużej, ale wciąż nie udało się jej uzyskać właściwej audiencji u Evy. Dziesięciominutowa sesja to było dla niej zbyt mało. Eva obiecywała jej kolejną konsultację, ale z jakiegoś powodu wciąż ją odkładano, Sandy zaś traciła cierpliwość. Musiała Evie opowiedzieć historię swojego życia – jak źle ją traktowali ludzie, i to od zawsze, a także o tym, jak poszła do sklepu za rogiem i rozmawiała z panem Barthim o aniołach i Evie, lecz nie chciał słuchać.

– Te twoje bzdury mi umykają. Jestem agnostykiem – powiedział do niej niedawno.

Wszystko przez Alexandra. To on trzymał ją z dala od Evy. Był zazdrosny, bo to ona została, sama się nią mianując, znaną na całym świecie ekspertką w kwestii fenomenu Evy. Jej notes zawierał więcej wycinków prasowych niż któregokolwiek innego fana Evy i mogła wyrecytować z pamięci główne punkty wspinania się Evy na szczyt popularności. Jej iPad miał linki do wszystkich powiązanych z Evą stron internetowych i blogów. Była dumna ze skuteczności nowo ustawionej aplikacji, która nieustannie wyszukiwała nowości dotyczące kobiety w łóżku.

Stała się głównym źródłem informowania oraz dezinformowania ludzi na temat domniemanych mocy duchowych Evy. Sandy miała skłonności do przesady, gdy opisywała fikcyjne spotkanie z Evą, w czasie którego znalazła się „w obecności istoty spoza światów. Jest piękna wieczystym pięknem, którego nie można przyrównać do niczego na tym świecie. I każde słowo, jakie pada z jej ust, jest mądre i prawdziwe”.

Kiedy nowo przybyli naciskali ją, aby ujawniła, co tak niezmiernie przejmującego wyznała jej Eva, Sandy otarła oczy chusteczką i powiedziała: „Przepraszam, zawsze paruję mi oczy, gdy rozmawiam z Evą...”. Następnie, co jej widownia uznała za irytująco rozwlekłą pauzę, oznajmiła: „Eva zwróciła się wyłącznie do mnie, a jej słowa przeznaczone były tylko dla moich uszu. Ale kiedy wychodziłam z jej pokoju, zobaczyłam, że wstaje i się unosi

w powietrzu przez kilka sekund. Dała mi znak! Właśnie w ten sposób Eva wyjawiała mi, że zostałam wybrana”.

Cynicy oczywiście zakwestionowali słowa Sandy i zapytali: „Wybrana do czego?”, „wybranka” odpowiedziała świętoszkowatym tonem: „Czekam na kolejny znak, nadejdzie z nieba”.

Sandy potrzebowała Evy, by ta zwróciła się do świata i powiedziała wszystkim krajom w stanie wojny, żeby przestały walczyć. I żeby pomogła tym wszystkim szkrabom, które nie mają wody ani jedzenia. Była przekonana, że świat jej wysłucha, i nastanie radość w niebie aniołów, i nie będzie więcej walk, powodzi, głodu czy trzęsień ziemi. Nastaną pokój, szczęście i miłość na całym świecie. Zatem rozmowa z Evą miała najwyższy priorytet.

Co mogło być ważniejsze?

Spojrzała na rozświetlone okno Evy, zmówiła modlitwę i wślizgnęła się do namiotu, w którym William Wainwright spał jak dziecko po zażyciu barbituranów.

Ewie zdawało się, że za każdym razem, kiedy wygląda przez okno, widzi Sandy z przyklejonym do ust błogim uśmiechem. Ta kobieta zniszczyła jej świat za oknem.

Wcześniej Eva zakłęła i zapytała Alexandra:

– Czy ta wariatka nigdy nie śpi?

– Nawet kiedy śpi, ma otwarte oczy – odparł. – Ale nie martw się. Jestem drzwi obok. Jeśli będziesz mnie potrzebować, po prostu zapukaj w ścianę.

Pod koniec lutego bliźniaki wróciły do Leeds i z ulgą zajęły pokoje w akademiku – przy Bowling Green Road nie dało się poważnie popracować. Według wyliczeń Briana Juniora dzwonek u drzwi dzwonił średnio dziewięć i pięć setnych raza na godzinę.

Zdecydowali, że od teraz będą pracować razem. Będą sobie nawzajem pomagać przy esejach i zadaniach, dzięki czemu mieli mieć więcej czasu na projekty specjalne.

Zaczęli od swoich finansów i sprzedali podarowaną przez matkę biżuterię w lombardzie położonym w centrum miasta. Ustalili, że w przyszłości na ich plany nie będą wpływać sentymenty.

W drugim tygodniu drugiego semestru z powodzeniem włamali się do uniwersyteckiej bazy danych związanej z zakwaterowaniem i zmienili swój status z „Zaległości płatnicze” na „Opłacono do końca 2013 roku”. Dzień po tym tryumfie, który każdemu z nich dawał czterysta funtów miesięcznie, poszli kupić sobie jakieś ubrania.

Siedzieli na sofie naprzeciwko przymierzalni w domu towarowym Debenhams i długo rozmawiali o swoim życiu i o tym, czym chcieliby się zajmować w przyszłości.

Brianne wyznała, że skoro nie może mieć Alexandra, nie chce żadnego mężczyzny.

Brian Junior powiedział, że nigdy się nie ożeni.

– Nigdy mnie seksualnie nie pociągały ani kobiety, ani mężczyźni.

– Czyli co? – Uśmiechnęła się Brianne. – Wisimy na sobie do końca życia?

– Jesteś jedyną osobą, z którą potrafię wytrzymać dłużej niż dwie minuty – przyznał Brian Junior.

Kiedy włożyli swoje nowe ubrania, wyszli z przymierzalni i zdziwili się, jak bardzo potrafią być do siebie podobni. Oboje

nosili czerń, a po kilku turach negocjacji i kursach do stojaków ustalili coś w rodzaju munduru. Był cały czarny, poza lamparcim paskiem i srebrnymi ozdobnikami na ich kowbojskich butach.

Pewni swojego obecnego i przyszłego bogactwa, zo-stawili stare ubrania w przebieralni. Gdy szli ramię w ramię przez sklep, zaczęli synchronizować swoje kroki.

Kolorysta u fryzjera Toni & Guy posłuchał ich instrukcji i zafarbował im włosy na purpurowo. Po tym jak stylistka zrobił im bardzo proste fryzury, udali się do najlepszego salonu tatuażu w South Yorkshire.

Kiedy tatuażysta spytał ich, czy są spokrewnieni z tą babką w łóżku o nazwisku Beaver, odpowiedzieli razem: „Nie”.

– Jest spoko – odparł zawiedziony.

Zrobiono im podstawowe testy alergiczne i kiedy czekali na wyniki, usiedli na zewnątrz przy kawie, więc mogli zapalić. Jako nihiliści, którymi się stali, czuli, że mają *obowiązek* palić.

Odpalili papierosy i spokojnie się zaciągali.

– Czy kiedykolwiek wrócimy na Bowling Green Road? – spytał Brian Junior.

– Po co? Żeby mierzyć się z tymi okropnymi ludźmi, których zwykliśmy nazywać mamą i tatą? Czy – jak moglibyśmy ich teraz nazwać – Wielkim Dorosłym i jego żoną Fałszywym Prorokiem.

– Kiedy byłem mały, kochałem ich. Ty też, Brianne. Nie zaprzeczaj!

– Małe dzieci to idioci, wierzą w pieprzoną wróżkę zębowa, Mikołaja i Boga!

– Wierzyłem w nich – ubolewał Brian Junior. – Wierzyłem, że zawsze postępują słusznie. Mówią prawdę. Powstrzymują swoje zwierzęce żądze.

Brianne parsknęła śmiechem.

– Zwierzęce żądze? Albo czytałeś Stary Testament, albo D.H. Lawrence’a.

– Disneyland wciąż mnie boli – powiedział Brian Junior. – Myśl, że kiedy my staliśmy z mamą w kolejce do przejażdżki trasą „Co za mały świat”, tata płacił prostytutce kartą kredytową.

– Urządzimy ostateczne pożegnanie?

Żadne z nich nie miało kartki papieru. Kto używał obecnie takich rzeczy? Razem usunęli więc ze swoich laptopów wszelkie ślady rodziców. Potem Brianne włączyła na swoim laptopie wirtualny płomień i wstukała „Eva Beaver” i „Brian Beaver”. Junior położył palec wskazujący na palcu Brianne i razem nacisnęli klawisz, który spowodował, że zapłonęły imiona ich rodziców, i tym samym oczyścili sobie z nich pamięć po wszystkie czasy.

Omówili tatuaże, jakie chcieli mieć. Miało to być podzielone na dwie części równanie, które złożone dawało doskonałą sumę.

Gdy wyszli z salonu, zwracali na siebie sporą uwagę – ale nikt, nawet szumowiny, które włóczyły się po mieście za dnia, nie ważył się skomentować.

Brian Junior czerpał od siostry siłę i pewność siebie. W przeszłości chodził, gapiąc się pod nogi. Teraz patrzył przed siebie, a ludzie się odsuwali, schodząc mu z drogi.

Eva spoglądała, jak rozwijają się liście jaworu. Po raz pierwszy mogła zostawić otwarte okno. Leżała na plecach i ćwiczyła na łóżku: powoli podnosiła nogi do momentu, aż poczuła, że napina się jej brzuch. Dzięki smużce papierosowego dymu wijącej się za oknem wiedziała, że Alexander jest przed domem.

Rano słyszała, jak spiera się z Venus i Thomasem. Żadne z nich nie wiedziało, gdzie się podziało ich szkolne obuwie. Eva zaśmiała się, kiedy usłyszała pytanie Alexandra:

– Gdzie widzieliście je po raz ostatni?

„Idzie linijka za linijką wedle nieoficjalnego scenariusza rodziców” – pomyślała.

Od ilu tysięcy lat dzieciom zadawano to samo pytanie? Kiedy dzieci zaczęły nosić buty i z czego były zrobione? Ze skóry zwierząt? Tkane z włókien roślinnych?

Nie wiedziała o tylu rzeczach.

Usłyszała także, jak Alexander mówi:

– Skończcie jeść. W Afryce dzieci głodują.

Pomyślała, że kiedy ona była mała, mówiło się o chińskich dzieciach.

Na pytanie Thomasa: „Dlaczego dzieci muszą chodzić do szkoły?”, odparł: „Bo tak”.

Gdyby nie tłum przed domem, z przyjemnością odprowadzałyby ich wzrokiem, patrzyłyby na dredy Alexandra i jego elegancki granatowy płaszcz oraz na dzieci w czerwonym i szarym mundurku.

Jej matka narzekała, że rysunki i obrazki dzieci „rozpleniły się po całym domu”.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, ale to szmira – dodała.

Eva wiedziała, że jej matka dziś piekła. Powietrze aż kleiło się od słodkiego zapachu ciast, które Ruby będzie później sprzedawała tłumowi.

Poprosiła ją, żeby tego nie robiła.

– Zachęcasz ich, żeby się tu dalej kręcili, i ich wykorzystujesz.

Ale Ruby kupiła sobie nowy dywan do salonu z samych zysków płynących ze sprzedaży herbaty i ciastek. Odmówiła wycofania się z interesu.

– Jak ci się nie podoba, to wstań z łóżka. Od razu sobie pójdą, jak tylko się zorientują, że jesteś po prostu zwyczajną kobietą.

Eva odwróciła głowę podczas ćwiczeń szyi i zobaczyła parę srok przelatującą za oknem z kawałkami suchej trawy w dziobach. Gniazdowały w dziupli w jaworze. Przez tydzień obserwowała z uwagą ich latanie tam i z powrotem.

„Dwie – smutek znika”³⁸ – pomyślała.

Zastanawiała się, czy możliwe jest, aby mężczyzna i kobieta mogli być ze sobą w pełni szczęśliwi.

Kiedy ona i Brian, po jego usilnym naleganiu, wydawali przyjęcia, zaproszone małżeństwa zaczynały wieczór od wymiany konwencjonalnych uprzejmości. Ale kiedy Eva podawała profiterole własnego wypieku, często trafiała na parę, która zmieniała się w kłótliwych pedantów, podważających wiarygodność przytaczanych przez swojego partnera anegdot i poprawiających nic nieznaczące szczegóły. „Nie, to była środa, nie czwartek. I miałeś na sobie granatowy garnitur, nie szary”. Wychodzili wcześniej z twarzami jak posągi z Wyspy Wielkanocnej. Albo siedzieli i siedzieli, pomagając sobie mocnym alkoholem i wpadając w pijackie grzęzawisko depresji.

Eva uśmiechnęła się do siebie i pomyślała: „Już nigdy więcej nie będę musiała wydawać żadnego przyjęcia ani w żadnym uczestniczyć”.

Zastanawiała się, czy sroki są szczęśliwe – czy szczęście wiązało się wyłącznie z ludzkim postrzeganiem?

Kto naciskał, aby w amerykańskiej konstytucji znalazło się sformułowanie „dążenie do szczęścia”?

Wiedziała, że Google podałyby jej odpowiedzi w ułamku

sekundy, ale jej nie spieszyło się z ich uzyskaniem. Być może do niej przyjdą, jeśli zaczeka.

Alexander zapukał.

– Czy jesteś gotowa na kierowcę transportu dalekobieżnego z dwiema rodzinami? Jedna jest w Edynburgu, druga w Bristolu.

Eva jęknęła.

– Jest gorzej – powiedział Alexander. – W przyszłym tygodniu kończy pięćdziesiąt lat. Obie żony organizują mu wielkie przyjęcie.

Zaśmiali się.

– To jest moje przyjęcie i będę płakała, jeśli tylko mi się zachce...

– Nigdy nie widziałem, żebyś płakała. Zdarza ci się?

– Nie, nie potrafię płakać – odparła Eva i spytała: – Co ja tutaj robię, Alex?

– Dajesz sobie drugą szansę, prawda? Jesteś dobrym człowiekiem, Evo.

– Ależ nie jestem! – upierała się. – Nie cierpię, kiedy zakłócają mój spokój. Czuję, jak ich nieszczęścia zatruwają mój organizm. Ledwie oddycham. Jak mogę być dobrym człowiekiem? Już mi nie zależy. Nudzą mnie ludzie, których spotykam. Wszystko, czego chcę, to leżeć tu i nic nie mówić, niczego nie słyszeć. Nie martwić się tym, kto jest następny w kolejce.

– Myślisz, że moja robota jest łatwiejsza? – spytał Alexander. – Stoję w progu i odmrażam sobie jaja, gadając cały dzień ze świrami.

– Oni nie są świrami – zaprotestowała. – To tylko *ludzie*, którzy sami wpędzili się w kłopoty.

– Tak? Powinnaś zobaczyć tego, którego odprawiłem. – Alexander przysiadł na łóżku. – Nie chcę tam sterczeć za drzwiami na zimnie. Chcę być z tobą tutaj.

– Myślę o tobie nocami. Dzieli nas ściana – powiedziała Eva.

– Wiem. Śpię zaledwie stopę od ciebie.

Oboje skupili się na swoich paznokciach.

– No dobrze. Ile czasu poświęcisz bigamiście? – za-pytał.

– Tyle co zwykle. Nie zniosę więcej niż dziesięć minut – odparła zirytowana.

– Posłuchaj, jeśli nie chcesz się z nim zobaczyć, nie rób tego. Pozbędę się go.

– Jestem szarlatanką. Ludzie myślą, że im pomagam, ale to nieprawda. Dlaczego oni wierzą we wszystko, co przeczytają w gazecie?

– Gazety to przeszłość. Tu idzie o internet. Nie masz pojęcia, prawda? Nie masz pojęcia, jacy oni są szaleni. Leżysz tu sobie na górze, my zapewniamy obsługę hotelową, a ty dosłownie chowasz się pod kołdrą, jeśli zdarza ci się natknąć na coś zbyt nieprzyjemnego, coś, co mogłoby zdenerwować małą Evę. Po prostu pamiętaj, że na dole odwała się prawdziwą robotę, niebezpieczną. Nie jestem zawodowym ochroniarzem. Czytam twoją pocztę, Evo. Kilka listów odłożyłem na później. Czy ostatnio maluję? Nie. Ponieważ chronię Evę przed maniakami, którzy chcą ją wypatroszyć. Evę diwę.

Usiadła prosto.

Chciała wstać z łóżka i położyć kres kłopotom, które powodowała. Niemniej kiedy przyszło do zwieszenia nóg, podłoga nie wydawała się jej już taka solidna. Poczowała, że gdyby stanęła, przesiąkłaby przez deski, jak gdyby zrobione były z galaretki.

Zakreśliło się jej w głowie.

– Daj mi, proszę, minutkę, potem przyślij bigamistę.

– Okej. I zacznij znów jeść. Zostały z ciebie skóra i kości.

Wyszedł i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Eva czuła, jakby ktoś uderzył ją w klatkę piersiową.

Od pewnego czasu wiedziała, że źle się zachowuje. Była samolubna, wymagająca i niemal zaczęła wierzyć w to, że znajdowała się w centrum swojego niewielkiego kosmosu. Musi powiedzieć Alexandrowi, że powinien zabrać dzieci i wrócić do siebie.

Zastanawiała się, czy da radę bez miłości i troski Alexandra. Żeby poradzić sobie z okropnym bólem, jaki wywołała w niej myśl o życiu w swoim więzieniu bez niego, musiała walczyć.

Wróciła do ćwiczeń, kilkakrotnie uniosła nogi. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

Rodzice Ho, pani i pan Lin, szli zakurzonym wąskim skrajem ośmiopasmowej autostrady.

Nie rozmawiali. Hałas samochodów okazał się zbyt duży.

Dwa lata temu nie było jej tutaj. Okolica składała się z domków jednorodzinnych, sklepów i warsztatów, alejek i tajemniczych przejść, gdzie ludzie wiodli swój żywot pod czujnym okiem sąsiadów. Jeśli któryś z nich zakaszał, słyszeli go wszyscy, święta zaś obchodzono wspólnie.

Skręcili i minęli nowy wieżowiec i salon samochodowy, w którym pyszniły się lśniące auta na sprzedaż. Doszli do podjazdu, na którym w rzędzie stały skutery ustawione wedle kolorów. Pan Lin zawsze chciał mieć skuter. Przesunął dłonią po kierownicy i siedzeniu jednego w jego ulubionym kolorze – seledynowym.

– Spójrz na stare rowery – powiedziała pani Lin, gdy ruszyli dalej.

Za ogrodzeniem z siatki, oświetlone reflektorami firmy ochroniarskiej, stały ich setki.

Zaśmiali się oboje.

– Komu by w ogóle przyszło do głowy kraść stare rowery? – spytała pani Lin.

Skręcili za róg i znaleźli się na swojej starej ulicy, skąd wciąż nie wywieziono gruzu.

Minęli placyk, przy którym mieszkali dziewiętnaście lat i gdzie Ho bawił się bezpiecznie na wolnych od ruchu alejkach. Tylko w pięciu starych domach wciąż ktoś mieszkał. Jeden z nich należał do lichwiarza, pana Qu. Chodziły plotki, że pan Qu ma powiązania z Pekińską Radą Turystyki i że przekupił człowieka w buldożerze, aby zatrzymał maszynę i nie burzył jego domu. Pan Qu obawiał się profesjonalnych lichwiarzy, którzy psuli mu rynek.

– Jest pan tam, panie Qu? – zawołał cicho pan Lin przy otwartych drzwiach. – Tutaj pan Lin, pański dawny sąsiad.

Pan Qu stanął w drzwiach i przywitał ich.

– Ha! – zawołał. – Jak wam się podoba mieszkanie w niebie, razem z ptakami?

Państwo Lin należeli do dumnych ludzi.

– Znakomicie – odpowiedziała pani Lin. – Lepiej niż na ziemi, z psami.

Pan Qu zaśmiał się uprzejmie.

Pan Lin nigdy nie lubił lichwiarza. Uważał, że czerpanie korzyści z niedoli swoich klientów było oburzające. Niemniej odwiedził wiele banków i w każdym z nich odmówiono mu pożyczki. Protestował, mówił, że znajdzie drugą pracę i będzie pracował nocami, pomagając budować nowy Pekin. Ale był taki kruchy, a skóra na jego głowie była tak pomarszczona, że wyglądał jak ktoś, kto w każdej chwili może dołączyć do swoich przodków. Żaden pracownik banku nie uważał, że pożyje wystarczająco długo, żeby spłacić pożyczkę.

– Jak sobie radzi Ho w Anglii? – spytał pan Qu.

– Radzi sobie świetnie – odpowiedziała pani Lin. – Studia idą mu jak z płatka i zdobywa najlepsze wyniki na egzaminach.

– Kierunki społeczne czy biznes?

– Biznes – odparł pan Lin.

Pan Qu wprowadził ich do środka niewielkiego domu i poprosił, aby usiedli. Wykonał gest, aby pan Lin zaczął mówić.

– Zdarzyły się nam niespodziewane wydatki – powiedział. – Rodzinne. Powódź na prowincji.

– Straszne nieszczęście – odezwał się pan Qu. – A o jakich wydatkach dokładnie mówimy?

– Pokrywających położenie nowej podłogi, kupno materacy, kuchenki, ubrań dla ośmiu osób i telewizora – wymieniła szybko pani Lin. – Jednak to nie wszystko...

– Potrzebujemy piętnastu tysięcy dolarów amerykańskich.

Pan Qu zaśmiał się beztrąsko.

– Znacząca suma! Macie jakiś zastaw?

Pan Lin był przygotowany.

– Zastawem będzie sam Ho. Za sześć lat zostanie

wykwalifikowanym lekarzem. Z dyplomem angielskiego uniwersytetu. Odda co do grosza.

Pan Qu pokiwał głową.

– Ale jak na razie jest studentem pierwszego roku medycyny... Tylu już musiało zrezygnować, okrywając rodziny hańbą.

– Nie Ho! – powiedziała z naciskiem pani Lin. – Wie, jak ogromnie się poświęciliśmy.

– W świetle tego, ile będę musiał czekać na zwrot... – zawahał się pan Qu. – Powiedzmy, że oprocentowanie wyniesie trzydzieści procent.

– Może pan dostawać część wypłat Ho przez dziesięć lat – powiedział pan Lin. – Przelewane z jego konta bankowego na pańskie.

Miał nadzieję zagrać na żyłce hazardowej pana Qu.

Ten jednak pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Jaka jest najcenniejsza rzecz, jaką pan posiada, panie Lin?

Pan Lin spojrzał w bok.

– Moja żona. Jest mi niezwykle droga.

Kiedy wracali, pani Lin przysiadła w miejscu, które kiedyś było ich gankiem. Miała czerwoną twarz.

– Wstyd. Taki wstyd.

Pan Lin wyjął z kieszeni przekaz pieniężny na zagraniczną walutę.

– To była tylko transakcja biznesowa.

– Ale on nas upokorzył – powiedziała.

– Jak?

– Nie chciał, żebyśmy z nim wypili herbatę.

Jawor za oknem Ewy obsypał się liśćmi i stał się trzepotliwą jasnozieloną markizą między oknem a tłumem po drugiej stronie ulicy. Eva nie widziała już Sandy Lake, ale wciąż słyszała, jak wykrzykuje swoje denerwujące hasła za dnia i w nocy. Obowiązywał nakaz sądowy zabraniający Sandy zbliżać się do Bowling Green Road 15 na odległość mniejszą niż pięćset metrów. Ale regularnie łamała zakaz i raz, ośmielona powolną reakcją policji, starała się wdrzeć do domu, czym sprowokowała Alexandra, któremu puściły nerwy.

Popychała go i szarpała się z nim.

– Zejdź mi z drogi, Sambo! – krzyczała. – Muszę porozmawiać z wysokim rangą aniołem Ewą!

Wtedy właśnie, na wyraźną prośbę Ewy, Alexander złożył oficjalną skargę u posterunkowego Hawka, który zbagatelizował „znaczenie naprzykrzania się” Sandy.

– No tak – powiedział. – Może i jest nieco nadpobudliwa, ale osobiście właśnie to lubię w tej kobiecie. Bywałem na takich randkach, podczas których, poza kilkoma pierwszymi minutami, prawie nic nie mówiły.

– Niech ją pan więc zaprosi na pizzę i gwarantuję panu, że nie dotrwa pan do chwili nakładania sobie sałatek – powiedział z naciskiem Alexander. – Ona jest poważnie chora psychicznie. Zresztą powinien pan wiedzieć, jak reagują czarni, kiedy nazwa się ich „Sambo”. Mnie to akurat nie wadzi, ale niech pan sobie wyobrazi wśród tej zgrai trochę znudzonej czarnej młodzieży i ma pan, panie posterunkowy Hawk, zamieszki jak ta lala.

– Nie, natychmiast rozładuję sytuację – odparł posterunkowy. – Byłem na kursie świadomości rasowej. Ale, panie Tate, dlaczego się jej pan nie odgryzie? Jeśli następnym razem powie na pana „Sambo”, dlaczego nie nazwie jej pan „grubasem”? Kiedy lepiej pana pozna, zorientuje się, że jest pan ludzką istotą, zupełnie jak

ona. Niech jej pan powie, że w waszych żyłach płynie czerwona krew.

Alexander spojrział na niewinną i nieskalaną głębszą myślą twarz posterunkowego Hawka i zrozumiał, że nic, co powie, nie wywrze na policjancie wrażenia. Zamknął swój umysł na dorosłość i zacementował wejście podczas szkolenia w szkole policyjnej. Nigdy więcej go nie otworzy.

Eva leżała na łóżku twarzą w kierunku drzwi. Trwało upalne lato, drażniły ją zaduch i bzyczenie much pod sufitem. Chciała, żeby przyszedł ktoś z tacą z jedzeniem i pić.

Głód wywoływał w niej panikę. Ostatnimi czasy zdarzało się, że zostawała zupełnie sama, kiedy Alexander miał jakieś zlecenia.

Co zrobi, jeśli przez weekend nikt do niej nie przyjdzie? Czy wstanie z łóżka i zejdzie na dół do kuchni, czy będzie tu leżeć i się głodzić – czekając, aż jej organy wewnętrzne wyłączą się jeden po drugim, serce w końcu westchnie i się podda, mózg da kilka ostrzegawczych sygnałów i odłączy swoje ścieżki, ona zaś zobaczy tunel z jasnym światłem na końcu?

Pomyślała o wnętrzu swojego organizmu, o trylionach komórek mniejszych od grubości ludzkiego włosa. O systemie odpornościowym, który zagrożony chorobą wzywa wszystkie dobre komórki obronne na zebranie kryzysowe. Jak komórki wybierają lidera, który podejmie decyzję o tym, czy powitać chorobę, czy z nią walczyć. Jak w starożytnej demokracji ateńskiej, gdy mieszkańcy spotykali się, aby ustalić, jak należy rządzić miastem.

Zastanawiała się, czy zabieramy ze sobą nasz wszechświat, jeśli *jesteśmy* bogami.

Alexander zapukał i wszedł. Trzymał w ręku kawałek kartki. Zobaczył, że wygląda na zmęczoną i zgrzaną.

– Masz dzisiaj na to siłę? – spytał.

– Nie wiem. Kto tam jest?

– Te same czubki co zwykle. Nowi są na liście. – Spojrzął na kartkę i starał się odszyfrować własny charakter pisma. – Handlarz płodami rolnymi, który twierdzi, że nikt go nigdy nie kochał.

– Tak, spotkam się z nim.
– Potem jest vegetarianin, który pracuje w rzeźni. To jedyna praca, jaką udało mu się znaleźć. Powinien rzucić robotę?
Sprawdziłem, czy nie ma noży.

Eva podniosła się na łokciu i zerknęła na listę.

– Jestem taka głodna.

– Czego byś chciała?

– Przynieś mi chleba. Sera. Dżemu. Czegokolwiek.

Zatrzymał się w drzwiach.

– Nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby powiedzieć „proszę”? Dzięki temu mniej bym się czuł jak eunuchowaty sługus.

– Okej. Proszę – powiedziała niechętnie.

– Dziękuję, madame. Czy to wszystko?

– Słuchaj, jeśli masz mi coś do powiedzenia...

– Mam ci wiele do powiedzenia – przerwał jej. – Nie mogę już patrzeć na to, jak się marnujesz, gnijesz w swojej dziurze, decydując, kto zobaczy wielką Evę, a kto zostanie odprawiony przez jej zachciankę. Czy zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie widziałem, żebyś stała? Nie wiem nawet, jaka jesteś wysoka.

Głośno westchnęła. Przygnębiała ją myśl o wysłuchiwanie nieszczęść ludzi. Ci, z którymi mieszkała, wydawali się permanentnie nieszczęśliwi, a teraz nawet Alexander okazywał napięcie.

– Nie mogę teraz jasno myśleć – błagała. – Jestem taka głodna.

Alexander zbliżył swoją twarz do jej twarzy i poradził:

– No cóż, to zbierz się z wyra i sama idź do kuchni.

– Myślałam, że rozumiesz. Jest między nami porozumienie, prawda?

– Nie wydaje mi się. Trochę jest tak, że każde z nas ma nogi zalane betonem. Żadne z nas nie może wykonać ruchu.

Wyszedł, zostawiwszy za sobą otwarte drzwi, jakby nawet nie chciało mu się nimi trzasnąć.

Eva sięgnęła po listę i zaczęła ją czytać. Zdenerwowały ją

niektóre komentarze Alexandra dotyczące oczekujących.

Żonaty – ma kochanka. (No i co z tego?).

Pomoc w stołówce – pokazała mi siniaki. Zrobione przez męża.

Sierżant detektyw, wydział narkotyków – uzależniony od amfetaminy. Przeraziła go metamfetamina.

Blacharz – ma wiele internetowych kont hazardowych. Stracił piętnaście tysięcy funtów oraz wyczerpał pięć tysięcy limitu debetowego na karcie. Żona o niczym nie wie. Gra nadal, postawa „prawie trafione”.

Niepracująca zawodowo matka sześciorga dzieci z Ipswich – bardzo nie lubi piątego dziecka.

Cieśla – jutro ma zostać eksmitowany.

Szkolna asystentka – często z powodzeniem kradnie w sklepach. Chce przestać.

Emerytowany murarz – odmówił wyjawienia problemu.

Dorastający chłopak – jest okrutny dla owadów, psów i kotów. Czy jest „normalny”? (Jak na psychopatę, tak).

Kierowca autobusu – pije za kółkiem.

Osobista asystentka – ma wyjść za człowieka, którego nie kocha? (Nie! Nie! Nie!).

Piekarz – pluje do ciasta. (Dowiedz się, gdzie pracuje).

Czternastoletnia uczennica – czy może zająć w ciąży, jeśli po stosunku wzięła prysznic? (Tak).

Małżeństwo – oboje grubo po siedemdziesiątce. Żona ma raka macicy. Czy zasugerujesz obojgu śmiertelną dawkę insuliny? (Droga Evo, proszę, nie gódź się na ich morderstwo, to idzie za daleko, kocham Cię, Alex).

Trzynastoletnia uczennica – seksualnie, fizycznie i emocjonalnie wykorzystywana przez członka rodziny. (Telefon zaufania, policja).

Młoda muzułmanka – nie znosi burki. Czuje, że się dusi.

Człowiek, który pisze na maszynie ze słuchu – po ślubie z A, wciąż kocha B, ma romans z C.

Upadły bankowiec, upadły rastafarianin, malarz próbujący

się wybić – uwięziony przez przykutą do łóżka nieco starszą od niego kobietę. Chce z nią dzielić łóżko i zabrać ją na wycieczkę za miasto. (Ten przypadek jest pilny, sugeruję spotkać się z tym człowiekiem jak najszybciej).

Uśmiechnęła się, czytając ostatni punkt, po czym mina jej zrzędała, gdy usłyszała krzyk Sandy Lake.

– Wróciłam! Jestem! Umrę dla ciebie, aniele! Nigdy cię nie zostawię, Eva! Nie mogą nas rozdzielić! Jesteś moją drugą połówką!

Eva chciałaby, żeby Sandy umarła. Nie życzyła jej bólu, mogłaby umrzeć we śnie. Zamierzała komuś powiedzieć, że Sandy ją przeraża, ale nie chciała wyjść na słabą i potrzebującą.

Kiedy Alexander wrócił z talerzem pełnym kanapek, Eva wzięła jedną, ugryzła i natychmiast wypluła.

– Prosiłam o chleb z serem albo o chleb z dżemem, a nie ze wszystkim naraz! – wrzasnęła. – Kto tak je?

– Może jakiś ekscentryk? – powiedział cicho. – Ktoś, kto nie może albo nie chce wstać z łóżka? Ktoś, kogo oblegają sami ekscentrycy?

Eva wyjęła plastry sera z kanapek i skupiła się na chlebie z dżemem. Potem wylizała z dżemu palce.

Alexander się przyglądał.

– Odbiorę dzieci ze szkoły, potem pojedę do domu – powiedział. – Pożegnam się.

– Brzmisz bardzo definitywnie.

– Nie daję rady, Evo. To jak opiekowanie się niewdzięcznym dzieckiem.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

Odwróciła się do niego plecami. Słyszała, jak wychodzi, jego kroki w korytarzu, otwierające się i zamykające drzwi wejściowe, krzyki i gwizdy tłumu, gdy go mijał, dźwięk silnika jego samochodu, zmianę biegów, gdy skręcił za róg, a potem już nic.

Została sama.

Natychmiast za nim zatęskniła.

Szopy Briana wciąż wypełniały się coraz to nowszymi rzeczami należącymi do Titanii. Wprawdzie zabronił jej przynoszenia czegokolwiek więcej z domu, w którym mieszkała kiedyś ze swoim mężem, ale przecież został tam dobytek, bez którego sobie nie poradzi: jej ubrania na jesień i zimę, walijski kołowrotek przywieziony z Florydy, postmodernistyczny zegar z kukułką, wiktoriański szezlong kupiony za pięćdziesiąt funtów od straganiarza, o którym myślała, że jest naiwny (później się zorientowała, że mebel przeżarły korniki, a przywrócenie mu świetności kosztowało ją pięćset funtów plus VAT).

Brian manewrował swoim ciałem wokół rzeczy Titanii w dobudówce, na którą mówili „kuchyneczka”. Spojrzała z irytacją znad książki, którą czytała, *Hadrony i plazma kwarkowo-gluonowa*. Właśnie zanotowała na marginesie: „Nie wedle prof. Yagi. Zob. jego pracę w «JCAP» 2010, nr 865 (2)”.

– Brian, kręcisz się jak smród po gaciach – powiedziała. – Wiem, że to niewygodne, ale nie mogę tego trzymać w swoim starym domu, prawda? Zwłaszcza teraz, gdy go wynajął.

Zmuszając się, by jego głos brzmiał rozsądnie, Brian odrzekł:

– Tit, przyznaję, jestem nieco rozeźlony, że dzielę przestrzeń ze składem śmieci, które kolekcjonowałeś przez wiele lat, ale czy choć raz narzekałem? Nie. Czy ucieszę się, kiedy to stąd zniknie? Tak.

– Proszę cię! Jeśli jeszcze raz zadasz pytanie i sam na nie odpowiesz, oszaleję i zrobię ci jakąś krzywdę. Tak, tak właśnie będzie!

Zapadła ponura cisza, każde z nich wiedziało, że powiedziec teraz cokolwiek to jak wyjść ze względnie bezpiecznego błotnistego okopu w Ypres i iść na rzeź na pierwszej linii ognia.

W przedłużającym się milczeniu Titania ponownie przemyślała ich romans. Czasami było nawet ekscytująco, to

prawda. Który inny człowiek rozumiałby i przejął się, gdyby cząsteczki nie zachowywały się jak należy i nie zgadzały się z jej teorią?

Brian przydzwonił kolanem w walijski kołowrotek.

– Pierdolone badziewie! – wrzasnął i kopnął mechanizm.

Mocno.

Nie miał pojęcia, że kołowrotek uosabiał sielankową wizję emerytury Titanii – razem z Brianem miała hodować kurczaki, miałaby łagodnego psa z czarną plamką wokół jednego oka. Zabieraliby Łatę ze sobą do wiejskiego sklepiku, żeby odebrać egzemplarze „Nature” i „Sky & Telescope”. Kupowałyby worki wełny ze spółdzielczej owczej farmy, przędłaby wełnę i robiła Brianowi swetry na drutach w wybrane przez niego wzorki. Nie umiała szyć ani robić na drutach, ale mogłaby pójść na jakiś kurs. Przecież to nie jest tak skomplikowane jak fizyka jądrowa. Na walijskich wzgórzach miałaby świetną widoczność. Blisko, w Powys, znajdowało się niewielkie obserwatorium z dwudziestoczterocalowym teleskopem zwierciadlanym. Poznaliby się z tamtejszymi naukowcami i Brian mógłby służyć im radą i konsultować ich pomysły. Był znanym i otaczanym szacunkiem astronomem. Z łatwością unikaliby godzin szczytu, tych ze szkolnymi wycieczkami.

Titania patrzyła, jak kołowrotek leci w jej stronę, a drewniane szprychy terkoczą. Krzyknęła, jak gdyby koło było zabłąkanym pociskiem kierowanym za pomocą termolokacji.

– No dalej! Dlaczego nie kopniesz każdej mojej ukochanej rzeczy i nie rozwalisz jej w drobny mak! Potrafisz się tylko znęcać! – wrzasnęła.

– Nie można się znęcać nad meblami, kobieto!

– Nic dziwnego, że Eva oszalała i mieszka w pokoju bez mebli! Ty ją doprowadziłeś do tego stanu!

Ku jej zdziwieniu Brian przepchał się przez jej dobytek, zdjął kilka pudeł z szezlonga, położył się i zaczął zanosić się szlochem.

Oszołomił ją dramatyzm całej tej sceny.

– Przepraszam, Brian – powiedziała. – Ale nie mogę tak żyć.

Chcę się urządzić w domu, który ma pokoje o jasnym przeznaczeniu. Zapewne Henry Thoreau był szczęśliwy, mieszkając w drewnianej chacie, po trzykroć zdrowia i sto złotych gwiazdek dla niego, ale ja chcę zamieszkać w domu. Chcę mieszkać w *twoim* domu.

Teraz już prosiła. Ich miesiąc miodowy w szopie trwał za długo. Chciała stać się połową doświadczonej i szczęśliwej pary.

– Przecież wiesz, że nie możemy zamieszkać w moim domu – zawył. – Evie by się to nie podobało.

Titania poczuła, jakby coś pstryknęło jej w głowie. Włączyła się jej wściekła zazdrość.

– Mam dość słuchania o Evie i mam dość tej szopy! Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej!

– I dobrze! Wracaj do domu, do Guya, pierdolonego Goryla!

– Przecież nie mogę wrócić do domu! – wrzasnęła. – Guy wynajął go wietnamskim hodowcom konopi indyjskich!

Wybiegła z szopy i przecinając trawnik, poszła do domu.

Brian wyobraził sobie, że Titania przebiegnie przez środek domu i wyjdzie frontowymi drzwiami, potem pójdzie ulicą i skręci za róg. Biegłaby przez ciemne ogrody, podrzędne ulice, polne drogi, wietrzne ścieżki na wzgórzach, przez doliny, byle dalej.

Brian marzył, żeby Titania zniknęła, po prostu zniknęła.

Alexander cicho wyszedł z szeregowego domku swojej matki przy Jane Street. Nie chciał jej budzić, pytałaby, dokąd idzie, a on nie chciał jej powiedzieć.

Bał się zostawiać dzieci pod jej opieką – była teraz zbyt słaba, by móc je podnosić, a jako rygorystka starej szkoły nie okazywała empatii, gdy Thomas budził się z krzykiem po nocnych koszmarach albo gdy Venus płakała za mamą.

Przemykał chodnikiem, aż znalazł się w miejscu, skąd nie byłby słyszalny z domu. Następnie przyspieszył kroku. Z temperatury nocnego powietrza i delikatnego zapachu butwienia wyczuwał, że zbliża się jesień. Ulice tonęły w ciszy. Samochody spały przyklejone do chodników.

Miał do przejścia trzy mile, w trakcie których chciał rozważyć, co powie Evie o ich związku. Albo może powinien najpierw ustalić, czy *mają* jakikolwiek związek?

Kiedy wrócił z Charterhouse z dziwnym akcentem właściwym klasie wyższej, który rozśmieszał nawet jego matkę, spędził godziny w swoim pokoju ze staromodnym magnetofonem, starając się stonować sposób wypowiadania samogłosek i zmniejszyć ścisk szczęki. Trzymał się z daleka od okolicznych gangów – Załogi z Northanger Abbey i Chłopców z Mansfield Park. Alexander zastanawiał się, czy panna Bennet lubiłaby pana Darcy'ego³⁹ bardziej, czy mniej, gdyby chodził po jej salonie z tyłkiem wystającym z workowatych dżinsów i pokazywał metkę majtek Calvina Kleina.

Teraz Alexander słyszał jedynie dźwięk własnych kroków niosący się po skąpanej w świetle księżycy ulicy.

Dostrzegł zbliżający się samochód, głośniki wybijały rytm gangsta rapu. Odwrócił się, gdy mijało go stare bmw. W środku siedziało czterech białych mężczyzn z krótkimi włosami, mocno umięśnionych. Na tylnej szybie reklama suplementów diety dla

kulturystów. Samochód stanął tuż przed nim.

Zebrał siły i miał nadzieję, że wygląda przyjaźnie.

– Dobry wieczór, panowie – powiedział.

Kierowca zwrócił się do pasażera na przednim siedzeniu.

– Robbo, zrób mi uprzejmość i podaj narzędzia z tyłu, dobrze?

Alexandrowi nie spodobał się dźwięk narzędzi. Jedyne, czym mógłby się obronić, to jego szwajcarski scyzoryk, ale zanim znalazłby odpowiednie ostrze...

– No cóż, życzę zatem panom dobrej nocy – rzucił.

Strach zmusił go do pozbycia się z trudem wypracowanego akcentu i wrócił do języka z Charterhouse.

Czterech mężczyzn się zaśmiało, ale bez poczucia humoru. Na znak dany przez kierowcę trzech pasażerów wysiadło.

– Urocze warkoczyki – powiedział kierowca. – Od jak dawna je masz?

– Od siedemnastu lat.

Zastanawiał się, czy dałby radę im uciec, jednak czuł, że nogi ma jak z waty.

– To będzie niezła ulga się ich pozbyć, co? Takie brzydkie, brudne i ohydne coś, co ci dynda na plecach.

Nagle, tak jakby mieli to wyćwiczone, trzech mężczyzn rzuciło się na niego i pchnęło na ziemię. Jeden z nich usiadł mu na klatce piersiowej, pozostałych dwóch trzymało go za nogi.

Pozwolił swojemu ciału odpocząć. Wiedział z doświadczenia, że jakakolwiek próba oporu skończyłaby się pobiciem.

Wszedł do domu Ewy, posługując się kluczem, który mu dała. Zdjął buty i zaniósł je na górę wraz z odciętymi dreadami.

– Kto tam? – zawołała Eva, kiedy był w połowie schodów.

Podszedł cicho do jej drzwi.

– To ja.

– Możesz zapalić światło?

– Nie. Chciałbym się położyć obok ciebie w ciemności. Tak jak kiedyś.

Eva spojrzała na księżyc.

– Człowiek na księżycu coś zrobił ze swoją twarzą.

– Botoks.

Zaśmiała się, ale on nie.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i zobaczyła, że jego dredy zniknęły.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– To nie ja – odparł.

Objęła go.

Był zeszywniały od niedawnego gniewu.

– Jaka jest najważniejsza cecha, którą może mieć człowiek, taka, która przyniesie korzyść nam wszystkim? Nawet tym gnojom, którzy obcięli mi włosy.

Gdy myślała nad odpowiedzią na to pytanie, dotykała jego włosów.

– Życzliwość – powiedziała w końcu. – Czy to zbyt proste?

– Nie, zwyczajna życzliwość. Z tym się zgodzę.

Nad ranem pozwolił Evie wyrównać sobie włosy.

– Teraz wiem, jak czuł się Samson – powiedział, gdy skończyła. – Nie jestem tym samym człowiekiem, Evo.

Alexander przez jakiś czas zastanawiał się nad tym, co jest ważne.

– My wszyscy, głupcy, geniusze, żebracy, śmietanka towarzyska, wszyscy musimy być kochani i musimy kochać. Jeśli trafia się na kogoś, kto odwzajemnia nasze uczucia, alleluja! A jeśli możesz przeżyć swoje życie i uniknąć przy tym upokorzenia, masz cholerne szczęście. Mnie się to nie udało, ludzie, których nawet nie znałem, upokorzyli mnie. Moje dredy *były* mną. Z nimi mogłem zmierzyć się ze wszystkim. Były jaw-nym symbolem mojej dumy w naszej historii. I wiesz, moje dzieci wieszały się na nich, gdy były malutkie. Moja żona była jedyną osobą, której pozwalałem je myć i filcować. Ale pozwoliłbym tobie. Za każdym razem, gdy zastanawiałem się nad swoją starością, widziałem siebie z białymi dredami, *długimi* białymi dredami. Siedzę na plaży w Tobago. Zachód słońca jak z prospektu. Ty jesteś w hotelu, wypłukujesz z

włosów piasek i konfetti. Eva, proszę, wstań z łóżka, potrzebuję cię.

Spośród wielu uwodzicielskich słów – Tobago, plaża, zachód słońca, konfetti – jedynym, które usłyszała wyraźnie, było „potrzebuję”.

– Nie można mnie potrzebować, Alex – powiedziała. – Zawiodę cię, więc będzie lepiej, jeśli będę się trzymała z daleka od twojego życia.

Alexander się zdenerwował.

– Co by cię skłoniło do wstania z łóżka? Bliźniaki w niebezpieczeństwie? Pogrzeb twojej matki? Pierdolona torebka od Chanel?

Nie guzdrał się, żeby nie zobaczyła, jak płacze. Znał jej nastawienie do łez. Zszedł na dół i w ogródku zaczekał na świt.

Kiedy wybrał się na długi spacer do domu, Ruby myła mopem i środkiem dezynfekującym werandę oraz schody. Gdy zobaczyła Alexandra, wydała z siebie cichy okrzyk zachwytu.

– Nowe uczesanie. Naprawdę, naprawdę ci pasuje, Alexandrze.

– Moja fryzura na koniec lata – powiedział spokojnie.

Ruby patrzyła, jak idzie w dół ulicy.

Gdzieś zniknęła miękkość jego ruchów. Z tyłu wyglądał jak przygarbiony człowiek w średnim wieku.

Chciała za nim zawołać, zrobiłaby mu filiżankę tej cierpkiej kawy, którą lubił. Już miała to zrobić, ale mimo usilnych prób nie mogła sobie przypomnieć jego imienia.

O świcie Eva patrzyła, jak niebo zmienia kolor z mulistych szarości na opalizujący błękit. Śpiew ptaków był boleśnie optymistyczny i radosny.

„Powinnam pójść za ich przykładem” – pomyślała.

Wciąż była zła na Alexandra. On nie mógł być w potrzebie. To ona była kimś, kto potrzebował wsparcia, jedzenia i wody. Czasami musiała pić z kranu w łazience. Grafik opieki nad nią poszedł w diabły, od kiedy u Ruby nasiliły się problemy z pamięcią.

Ale jak mogła narzekać? Jedyne, co musiała zrobić, to wstać z łóżka.

Eva leżała płasko na łóżku i gapiła się na pęknięcie biegnące przez cały sufit jak czarna rzeka płynąca przez białą pustkę.

Znała każdy milimetr pęknięcia – rozlewiska, kotwicowiska. Stała przy sterze na łodzi, którą płynęła, szukając spokoju i radości dla tych, którzy znajdowali się na pokładzie. Eva widziała zastygniętego w bezruchu Briana Juniora, wpatzonego w ciemne głębiny. Potem zobaczyła Brianne próbującą odpalić papierosa na wietrze. Alexander stał blisko i trzymał rękę na ramieniu sterniczki, była tam też Venus, starająca się narysować coś, czego nie dało się narysować – szybkość łodzi, ten dźwięk, jaki wydawała, gdy pruća fale. Był jeszcze Thomas, usiłujący wyrwać Evie ster z ręki.

Nie wiedziała, dokąd płyną, rysa ginęła pod gipsowym karnesem. Eva musiała zawrócić łódź i podróżować pod wiatr i pod prąd. Czasami cumowała przy brzegu, a pasażerowie wysiadali i maszerowali w nieznanym po delikatnym białym piasku.

Ale nic tam na nich nie czekało.

Kiedy wrócili do łodzi, Eva oddała ster Brianne, mówiąc:

– Zadbaj o coś, Brianne. Zabierz nas do domu i zrób to bezpiecznie.

Chmury sunęły po suficie, w twarz wiał im wiatr. Brianne trzymała się dzielnie i prowadziła ich do domu.

Dokładnie o ósmej rano Evę nagle wyrwał ze snu potworny hałas za oknem. Usiadła i przykleiła twarz do szyby. Jej serce biło tak szybko, że z trudem łapała oddech.

Na gałęzi jaworu stał mężczyzna w uprząży wspinaczkowej, kasku i goglach. Piłą spalinową obcinał sąsiednią gałąź. Patrzyła z przerażeniem, jak gałąź się łamie i na linie zostaje spuszczone na ziemię. Inny robotnik odwiązał linę i usunął mniejsze gałęzie i gałązki, i wsunął je do warczącej maszyny do rozdrabniania drewna.

Eva zaczęła walić w szybę.

– Przestańcie! To moje drzewo!

Ale na zewnątrz panował taki zgiełk, że nikt nie słyszał jej głosu. Uchyliła okno i natychmiast uderzyły ją w twarz wióry. Szybko je zamknęła. Piekła ją twarz i kiedy dotknęła policzka, miała krew na palcach. Nie przestawała krzyczeć do robotnika na drzewie i dawać mu znaki. Dostrzegł ją, ale odwrócił się do niej plecami.

Przerażało ją to, jak szybko drzewo zostało pozbawione gałęzi. Wkrótce został goły pień. Tliła się w niej jeszcze nadzieja, że zostało jedynie w drastyczny sposób ogłowione i na wiosnę przyszłego roku wypuści nowe gałązki.

Hałas ustał. Wyłączono maszyny. Widziała teraz ogródek przed domem, gałęzie zniknęły. Robotnicy pili herbatę.

Uderzyła w okno i krzyknęła:

– Zostawcie pień, proszę, zostawcie pień!

Mężczyźni spojrzeli w górę i parsknęli śmiechem. Myśleli, że co ona robi? Zaprasza ich na górę?

Znowu zawyły maszyny i po krótkiej chwili drzewo zostało pocięte na pniaki. Po cętkowanej zieleni, do jakiej przywykła, światło w pokoju raziło w oczy.

Poczowała chłód, choć była cała spocona. Zagrzebała się pod

kołdrą i naciągnęła ją na głowę.

Wczesnym popołudniem Eva usłyszała pojedyncze wiwaty tłumu. Przy parapecie pojawiła się drabina Petera. Poprawiła koszulkę, włożyła kaszmirowy sweterek, który zbiegł się w praniu i który traktowała jako łózkową marynarkę. Odruchowo przeczesła włosy.

– Czyli nadal tam? – zawołał przez okno.

– Tak – odkrzyknęła z wymuszoną lekkością. – Nadal tutaj.

Eva zastanawiała się, jak ktokolwiek może być tak nieczuły. Czy było mu wszystko jedno, że jej cudowne drzewo zniknęło?

– Cudowne? – zaśmiał się, kiedy mu o tym wspomniała. – To był jawor, a jawory w świecie drzew są chwastami. – I dodał: – Nie chcę być wścibski, Evo, ale co ci się stało w twarz?

Eva nie słuchała.

– To przez Briana. Nienawidził tego drzewa. Mówił, że korzenie przebijają się przez chodnik.

– Bo to prawda – potwierdził Peter. Chciał już zmienić temat, dość miał cholernego drzewa. – Jeszcze tylko sto dwanaście roboczych dni do Gwiazdki – powiedział i wszedł do pokoju.

Eva usłyszała krzyk Sandy Lake.

– Eva, teraz się na ciebie gniewam! Dlaczego nie chcesz się ze mną zobaczyć?

Peter się roześmiał.

– Załatwiamy Abigail elektryczny wózek inwalidzki. My i opieka społeczna.

– Peter, wyświadczysz mi przysługę? – spytała. – Czy mógłbyś zabić mi okno deską od środka?

Jego zdaniem Eva staczała się coraz bardziej – za dawnych czasów napiliby się herbaty i wypalili papierosa.

– Jasne – odparł.

W ciągu dwudziestoletniej kariery czyściciela okien Peter zdążył się zorientować, że klienci na jego trasie są trochę ekscentryczni, ani jeden z nich nie miał po kolei w głowie. To, w czym kładli się spać! Zaskakujący brud w ich domach! Dziwne rzeczy, które jedli! Taki pan Crossley ma w domu tyle książek, że

ledwo między nimi przeciska się z pokoju do pokoju!

Zabarykadowanie okna od środka to łatwizna. Z tyłu swojego vana miał odpowiednie materiały. Często go proszono o zabicie deskami okien po jakiejś awanturze domowej albo kiedy piłka ciągle roztrzaskiwała szybę w drobny mak. Zszedł po drabinie wśród ironicznych pozdrowień tłumu.

Kiedy znalazł się przy swoim samochodzie, podeszła do niego Sandy Lake i zaczęła wypytywać o Evę.

– Słyszała mnie w swojej sypialni?

– Słyszysz cię bardzo dobrze – odpowiedział.

Sandy uderzyła pięścią w bok samochodu i zawołała:

– Mam bardzo ważną wiadomość! Od tego zależy przyszłość naszej planety!

Peter odwrócił się tyłem, żeby wybrać potrzebne materiały i narzędzia. Sandy Lake dostrzegła swoją szansę. Puściła się pędem przez ulicę i wspięła po drabinie jak stukilowa kozica górską.

Kiedy Eva ujrzała ogorzałą twarz Sandy w oknie, wyciągnęła przed siebie poduszkę, jakby to była tarcza.

Sandy gapiła się na Evę.

– Teraz to już naprawdę się na ciebie gniewam! Co ci się stało? Jesteś zwyczajną kobietą! Wcale nie jesteś wyjątkowa! Nie powinnaś mieć siwych włosów ani kurzych łapek wokół oczu. To nie są zmarszczki od uśmiechania się!

Starła się wgramolić do środka po parapecie, ale drabina się poruszyła. Sandy spojrzała w dół. Niektórzy mówili, że Sandy zemdląca i spadła, inni, że przydepnęła sobie rąbek swojej długasnej spódnicy obcasem szpilki. Peterowi zdawało się, że zobaczył bladą rękę odpychającą drabinę od okna.

Eva odniosła wrażenie, że dom się lekko przesunął, gdy Sandy wpadła w bujnie rozrosłą lawendę posadzoną przed kilkoma laty. Rozległy się krzyki przerażenia i ekscytacji. Sandy wylądowała w dość niezgrabnej pozycji i anarchista ruszył, żeby obciągnąć jej spódnice, która zawinęła się wokół bioder kobiety. William w pewien sposób kochał Sandy, ale musiał, oczywiście w pewien sposób, być szczery wobec faktów i przyznać, że

wystawianie na widok publiczny nagich dolnych partii ciała Sandy było całkowicie nieodpowiednie.

Sandy nie umarła. Po odzyskaniu przytomności sturlała się z kłującej lawendy i położyła się płasko na plecach. Anarchista zdjął swoją skórzaną kurtkę i wsunął jej pod głowę.

Kiedy pojawiła się karetka, ratowniczka zbeształa Sandy za włożenie na drabinę w tak długiej spódnicy i na tak wysokich obcasach.

– To wypadek, który aż się prosił – powiedziała zniesmaczona.

Eva i Peter zaczęli barykadować okno przy wtórze wiwatów i wrzasków podniecenia, ale też rosnącej konsternacji. W końcu zebrani mogli zobaczyć Evę w jej nijakich ciuchach, nieuczesaną i nieumalowaną. Przystawali w nią wierzyć.

– Gdyby była prawdziwą świętą, byłaby doskonała w każdy sposób! – krzyknął posterunkowy Hawk.

– Ona ma plamy potu pod pachami! – krzyknął człowiek z lornetką.

– Święte kobiety się nie pocą. Myślę, że pani Beaver udawała – powiedziała kobieta w męskim garniturze i z obrozą na szyi.

Posterunkowy Hawk otrzymał rozkaz rozgonienia tłumu.

– Nawiedził ją zły duch, który teraz jest w świętym ćapati – krzyknął Hawk.

Kilka osób poszło za nim sprawdzić ćapati, które pomalowano środkiem konserwującym, potem lakierem bezbarwnym. Znajdowało się teraz w pobliskiej bibliotece. Inni ludzie zabrali się do pakowania swoich rzeczy. Zaczęły się wzruszające pożegnania, taksówki przyjeżdżały i odjeżdżały, aż został tylko William Wainwright siedzący w namiocie Sandy Lake. Być może odwiedzi ją jutro w szpitalu – ale z drugiej strony, może wcale nie.

W końcu był anarchista, prawda? Nikt go do niczego nie zmusi.

Bliźniaki pracowały na nowym komputerze stacjonarnym Brianne. Rozgryzały skomplikowane ścieżki Ministerstwa Obrony po nieudanej próbie zniszczenia zdolności kredytowej ich ojca. W pokoju Brianne było gorąco, siedzieli w podkoszulkach i majtkach. Muchy bzyczały nad niedojedzonymi kanapkami.

Przez otwarte okno słyszeli nawołujących się studentów, cieszących się z babiego lata. Jakaś grupka siedziała na trawniku przed akademikiem, śmiała się i piła jabłecznik z puszek.

Delikatny dziewczęcy głos śpiewał *Summer Is Icumen In*.

– Pierdolony wydział artystyczny, czy oni kiedykolwiek przestają grać?

Do dziewczyny dołączyły inne głosy, a po chwili każdy z nich śpiewał skomplikowaną ścieżkę wokalną.

Z pokoju, gdzie zebrali się studenci politologii pić polską wódkę i potępiać każdy znany im system polityczny, dobiegał dźwięk padających bomb i terkot karabinu maszynowego. Brzmiały niemal jak prawdziwe – dowód długich godzin ćwiczeń oraz zaledwie kilku poświęconych na pisanie prac zaliczeniowych.

– Ile lat, Bri? – spytała Brianne, patrząc na monitor.

To był jej dowcip, skrót od: „Ile lat w pierdłu?”.

Ich hakerstwo tłumaczyła zarówno ciekawość, jak i chęć gromadzenia pieniędzy.

Zanim Brian Junior zdążył odpowiedzieć, nastąpił nagły łomot i drzwi wpadły do środka, po czym runęły na podłogę. Brian Junior chciał sięgnąć do komputera, aby wyczyścić twardy dysk, ale jego nadgarstki zostały schwyte przez dłonie w czarnych rękawiczkach. Rozległy się krzyki.

Brianne, a następnie Juniorowi założono kajdanki.

Powiedziano im, że mają przekroczyć wyłamane drzwi, usiąść na łóżku i zachować milczenie. Brian Junior nie potrafił rozpracować, kim są ludzie w czarnych kombinezonach i hełmach z przyłbicami

z przyciemnianego szkła.

Bolało ich, kiedy patrzyli, jak ich komputer, laptopy, smartfony, kamery, notebooki i odtwarzacze mp3 pakuje się w nylonowe torebki na dowody, a następnie do kartonowych pudeł.

– Musicie wiedzieć, że mamy dopiero osiemnaście lat – powiedziała Brianne.

– Wiemy – odpowiedział głos kobiety. – Zabawa się skończyła, dzieci. Od teraz pracujecie dla nas. Więc jeśli nie macie nic przeciwko temu, zdejmijcie bieliznę i rozstawcie nogi.

Kiedy wszystkie zakamarki bliźniaków zostały dokładnie sprawdzone i gdy kazano im włożyć białe kombinezony, zostali wyprowadzeni. Pozostałych studentów poproszono o nieopuszczanie pokojów i nieblokowanie korytarza.

Dwie furgonetki z przyciemnianymi szybami czekały przy krawężniku, miały silniki na chodzie. Nie wolno im było rozmawiać, jednak zanim posadzono ich w osobnych wozach, Brianne powiedziała Brianowi Juniorowi, że ostatecznie wszystko będzie dobrze. A kiedy ich rozdzielono, krzyknęła:

– Kocham cię, bratku!

Ho leżał na swoim łóżku i całował Poppy po brzuchu lekko zaokrąglonym od ciąży. Przemawiał do dziecka, pytając, czy jest chłopcem, czy dziewczynką.

Powinien przeprowadzać sekcję na przydzielonym mu nieboszczyku, niejakej Iris Bristol. Zapisła swoje ciało medycynie, gdyż pieniądze na pogrzeb wydała na czterdziestosześciolety telewizor 3D. Ho myślał o tym, że powinien wrócić do pani Bristol i zająć się jej jelitami rozwłóczonymi po stole sekcyjnym.

Poppy wysłała mu esemesa: „Przyjdź natychmiast”.

Zdjął rękawiczki, maskę oraz buty i pobiegł do Poppy.

Znów potrzebowała pieniędzy. Wyjaśniła mu dlaczego, ale ta historia okazała się zbyt skomplikowana, w dodatku angielski Ho nie był najlepszy. Czasami uświadamiał sobie, że książki, z których uczył się w Chinach, okazywały się nieco przestarzałe.

Odkąd przyjechał do Anglii, nigdy nie usłyszał, żeby

ktokolwiek mówił: „To jest przednie!”.

Poppy uśmiechnęła się ironicznie na wspomnienie Brianne i Briana Juniora wyprowadzanych w tych głupich białych kombinezonach i kajdankach. Cieszyła się, że zadzwoniła. Osoba po drugiej stronie słuchawki poprosiła ją, żeby miała oko na innych studentów profesor Nikitanowej.

– Z największą przyjemnością – odpowiedziała z radością.

Brian oglądał w telewizji powtórkę *Loose Women*⁴⁰ w pokoju numer dwanaście w hostelu Travelodge na przedmieściach Leeds. Nie miał pojęcia, o czym bohaterki mówiły. Nigdy też nie słyszał o pomarańczowym mężczyźnie z groteskowo białymi zębami i ulizanymi czarnymi włosami. Pytały go o Essex, hrabstwo, w którym mieszkał, ale jedyne, co miał do powiedzenia na temat tego miejsca, to: „Cuduś”.

Brian próbował użyć narzędzi logicznych do rozszyfrowania informacji.

Wcześniej zatrzymał się przed centrum handlowym i kupił błękitny szlafrok w stu procentach z acetatu. Zastanawiał się, czy dokupić kaptcie do koloru. Rozejrzał się za jakimś pracownikiem. Potrzebował kobiecego punktu widzenia. Podszedł do kobiety w ubraniu firmowym Marks & Spencer, która dopiero co wróciła z pięcioletniego zwolnienia lekarskiego spowodowanego stresem.

– Mam taki zgryz... – zaczął.

Kerry, wciąż dość nerwowa, spojrzała na szczękę klienta. Zastanawiała się, co może na to poradzić.

– ...i nie wiem, co zrobić. Potrzebuję porady. Mam przyjaciółkę, która jest mniej więcej w pani wieku. Czy może mi pani powiedzieć, co jest obecnie na topie, jeśli chodzi o szlafroki i kaptcie?

Kerry milczała.

– Czy szlafrok i kaptcie można potraktować jako wysublimowane wdzianko w sypialni, czy, jak to mówią młodzi, zostaną zjechane?

Kerry, która tylko mijiała dział butów męskich w drodze na swoją przerwę na herbatę, zawahała się. Niezdolność do podejmowania decyzji stanowiła sporą część jej problemu.

– Nie wiem – wyjąkała. – Nie mogę panu pomóc.

Następnie uciekła, wpadając na męski manekin ubrany w przecenione beżowe kąpielówki.

Brian poczuł się zniesmaczony. M&S szczyciło się wysoko wykwalifikowanymi pracownikami.

Zabrał swój szlafrok i kapcie i poszedł do działu żywności, gdzie wziął dużą bagietkę, francuskie masło, ser i butelkę cavy. Kupowanie szampana dla młodej dziewczyny uważał za marnotrawstwo. Pod wpływem impulsu złapał jeszcze paczkę kolorowych lizaków. Kiedy stał w kolejce, znajdował się w stanie lekkiego pobudzenia seksualnego. Nie mógł się doczekać wczesnowieczornej schadzki.

W ciągu lata zachowywał ostrożność – za każdym razem widywali się w innym hotelu. Brian nie widział się z Poppy od ich ostatniego spotkania w Palace Hotel w Leeds.

– Moja miłość do ciebie, Brian, jest nieskończona – powiedziała wtedy.

Briana kusilo, żeby poprawić użyte przez nią słowo „nieskończony”, lecz zamiast tego odpowiedział:

– Moja miłość do ciebie jest większa niż liczba gwiazd na niebie.

Leżeli obok siebie i patrzyli na wiktoriański żyrandol, który wzbudzał w Poppy strach, że mógłby urwać się ze swojego mocowania i zabić ich na miejscu. Nie chciała, żeby ją znaleźli zmiażdżoną u boku starego grubego kolesia w wieku przedemerytalnym.

Położyła jego wolną rękę na swoim brzuchu.

– Bri, będziemy mieli dziecko.

Brian nie przepadał za dziećmi. Po narodzinach bliźniaków zgłosił się do pracy wolontariackiej w Australii, ale musiał zrezygnować ze względu na to, że został „mężem i ojcem”.

– Jak cudownie – odparł po krótkiej przerwie.

Nie była pewna, czy chce tego dziecka. W zasadzie nie chciała też Briana. Ktokolwiek powiedział, że życie jest jak miseczka wiśni, zapomniał, że w każdej z nich kryje się twarda pestka, tylko czyhająca na nieuważnych, którzy skruszą sobie ząb,

zadławia się i umrą.

A wszystko przez te niewinne pesteczki.

Brian usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Wstał, przeczesał brodę grzebieniem Evy i otworzył drzwi.

– Co tak długo? – spytała Poppy.

We włosy wpięła sobie pomarańczowy kwiat maku i miała na sobie sukienkę balową z deseniem w pączki kwiatów oraz półbuty. Na spotkanie wyjęła swoje nowe kolczyki i zmyła cały makijaż.

Kiedy zobaczyła Briana w otwartych drzwiach, przeraziło ją to, że widzi faceta w kretyńskim szlafroku i kapciach z żartów rysunkowych. W rękę trzymał kubek kawy zbożowej, której zapach zawsze przyprawiał Poppy o mdłości. Ujrzała kwintesencję dziadka, jakby żywcem wyjętego z *Heidi*⁴¹. Wprawdzie broda Briana jeszcze nie zsiwiała zupełnie, ale długo to nie potrwa. Jego kostki wyglądały na takie kruche i chorowite w tych wielkich kapciach, że aż dziw, że się z nich nie wyslizgiwał. Wciągnął Poppy do środka, jakby odbierał przesyłkę z semteksem.

– Kochanie, wyglądasz tak słodko, tak uroczo, tak młodo – powiedział.

Poppy usiadła na skraju łóżka, trzymając w kąciку ust zagięty mały palec.

„W innych okolicznościach wyglądałaby na opóźnioną w rozwoju” – pomyślał. Ale to była jego Poppy, dziecko-kobieta jak żywe srebro, której obecności tak usilnie pragnął. Odwrócił się do odtwarzacza mp3, który wygrzebał z domowej szuflady na tę okazję. Z playlisty „Piosenki dla cudnych kochanków” wyszukał *You Make Me Feel So Young* Sinatry i włączył.

„Rany! – pomyślała. – Znów ten zdechły koleś”.

Poppy poszła do łazienki. Brian położył się na łóżku tak, żeby wyeksponować swoje blade uda. Ponieważ stopy miał zrogowaciałe i pełne odcisków, nie zdjął kapci.

Kiedy wyszła, nie miała na sobie nic poza kwiatem we włosach. Zanim wyłączyła światło, zobaczył z profilu jej lekko zaokrąglony brzuch.

Brian pomyślał: „Ciekawe, czy udowodniono naukowo, że

homo sapiens może wyzionać ducha od nadmiaru miłości. Jeśli tak, jestem konającym czło-wiekiem”.

Poppy zacisnęła zęby i pomyślała: „No dalej, Poppy, no dalej, dziewczyno, pięć minut i będzie po wszystkim. Zamknij oczy i myśl o Brianie Juniorze”.

Gdy skończyła się drobna potyczka na łóżku i Brian leżał na plecach, ciężko dysząc, Poppy spojrzała na niego i pomyślała: „Wygląda jak spasiona, umierająca złota rybka”.

– Jej! To było niesamowite! – powiedziała. – Jej! Jej! Niesamowite!

„Eva nigdy nie reagowała w ten sposób na mój sposób uprawiania miłości” – pomyślał.

Poppy zlała z niego i poszła do łazienki. Usłyszał prysznic i przez chwilę myślał, żeby się do niej przyłączyć. Ale ostatnio kolana dawały mu nieźle w kość i zastanawiał się, czy dałby radę wejść do wanny. Podejrzewał artretyzm, miał go w genach.

Poppy długo pozwalała obmywać się wodzie. Większość czasu spędziła na siedząco i patrzyła, jak woda spiralnie znika w odpływie.

Brian spał głęboko, kiedy wyszła. W jego portfelu znalazła dwieście pięćdziesiąt funtów, a w notatniku PIN do jego karty płatniczej. Z kieszeni spodni wygrzebała siedem funtów i trzydzieści dziewięć pensów oraz telefon komórkowy. Przejrzała jego zdjęcia, w większości były to nudne gwiazdy i planety. Ale znalazła też jedno Briana z żoną i dziećmi zrobione na tle ogromnej rakiety.

Brian i bliźniaki wyglądały jak przygłupy, ale Eva pięknie. Poppy ścisnęło się gardło. Wiedziała, że nie jest ani piękna, ani miła, ani sławna jak ona, jednak miała coś, czego Eva już nigdy nie będzie miała: swoją młodość. Jej ciało było gładkie i smukłe, a mężczyźni tacy jak Brian zapłacą ciężkie pieniądze, żeby go dotknąć.

Ubierając się, wymyśliła plan. Złapała krótki ołówek, hotelową papeterię i usiadła przy stoliku. Zanotowała:

Zacząć chodzić na zajęcia.

Prostituować się z większą liczbą starych ludzi.
Uwieść żonatego wykładowcę, powiedzieć mu po miesiącu,
że jestem w ciąży.

Przyjąć pieniądze w ramach kosztów na wychowanie
dziecka.

Pojechać na wakacje do Tajlandii blisko rozwiązania
(zamaskować brzuch przed liniami lotniczymi).

Urodzić dziecko.

Sprzedać dziecko.

Wrócić z wakacji w żałobie.

Pokazać zdjęcie ślicznego martwego dziecka wszystkim
trzem kochankom.

Kiedy była już gotowa do wyjścia i włożyła kwiat za ucho,
wzięła telefon Briana i napisała:

drogi Brianie wzięłam £ żeby kupic dzidzi
ubranka i inne takie. musze leciec.

mam esej o Leonardzie Cohenie.

jego udzial w postwietnamskiej

melancholii. spotkajmy sie wczesniej

niz najwczesniej. jak mawiaja jankesi,

juz za toba tesknie! kocham, twoja mala

Poppy. ps. wzięłam twoja karte na taxi.

Alexander słyszał syrenę policyjną, ale nie przestawał malować.

Czekał na wschód słońca nad odległym krańcem pola zboża. Niemal się poddał, zanim mógł się wziąć do właściwej pracy. Uroda pszenicy, to, jak wyglądała, kołysząc się na wietrze, była zbyt piękna, by uchwycić ją pędzlem i akwarelami, biorąc pod uwagę jego ograniczone zdolności.

Dopiero po godzinie zrobił sobie przerwę. Odpakował kanapki z serem i odkręcił termos. Dlaczego kawa zawsze pachnie lepiej, niż smakuje?

Zjadł i wypił, czuł, że jest szczęśliwy. Dzieci miały się dobrze, nie ciążyły nad nim żadne poważne długi, jego obrazy zaczęły się sprzedawać – powoli. A teraz, odkąd jego dredy zniknęły, mógł wejść do sklepu bez świadomości, że sprzedawca waha się, czy nie wcisnąć alarmu.

Zmuszał się, żeby nie myśleć o Evie, której nie widział już chyba całą wieczność.

Nigdy nie usiedli przy stole i nie zjedli razem posiłku. Nie zatańczyli. Nie znał jej ulubionej piosenki i nigdy jej już nie pozna.

Ruby cieszyła się, że mogła sobie porozmawiać ze Stanleyem. Powiedziała mu o narastającym kapryśnym zachowaniu Evy, śpiewaniu, recytowaniu wierszy i sporządzaniu list. Zwierzyła mu się także, że Eva chciała, aby jej drzwi również zabarykadować i zostawić tylko otwór, przez który zmieściłoby się jedzenie i picie.

– Nie chciałbym cię niepokoić, Ruby, ale brzmi to dość szalenie – powiedział.

Peter zabił deskami drzwi do sypialni, Eva podawała mu gwoździe. Zanim Ruby wróciła z herbatki u Stanleya, robota była skończona.

Eva nie może zrobić nic innego niż oddzielić swoje

wspomnienia i zobaczyć, dzięki komu pozostanie przy życiu.

W pokoju jest snop światła. Wpada przez źle zabite okno. Lśni na ścianie naprzeciwko. Eva leży w łóżku i patrzy na głębię światła. Tuż przed zachodem słońca zmienia się na pomarańczowe, różowe i żółte. Kolory wyrobów cukierniczych. Smuga jest dla niej ożywcza. Sama ją tam umieściła i boi się teraz, że ktoś ją jej zabierze.

Znów chce być dzieckiem i zacząć wszystko od nowa. Z opowieści Ruby o swoim dzieciństwie wywnioskowała, że było ponure: kiedy płakała, zostawiano ją na tyłach ogrodu. Gdy bliźniaki były malutkie, Ruby mówiła: „Nie podnoś ich, gdy płaczą, rozpuścisz je. Od początku powinny wiedzieć, kto tu rządzi”.

Za każdym razem, kiedy Eva chciała je przytulić, ich małe ciała ogarniała wściekłość, a dwie pary oczu wpatrywały się w jej oczy bez cienia uśmiechu.

W świecie zewnętrznym nagłówek „Sun” trąbił: „EVA GŁODUJE!”. Na pierwszej stronie znajdowała się także notka zapowiadająca całą historię:

Julie Eppingham (39 l.) powiedziała: „Ostatni raz, kiedy ją widziałam, byłam przerażona. Jest zupełną anorektyczką. Ale nie chce ze mną rozmawiać ani zobaczyć mojego dopiero co urodzonego dziecka. Z pewnością potrzebuje opieki medycznej”.

Siostra Spears szła przez poczekalnię przychodni, kiedy zobaczyła egzemplarz „The Sun”, który zostawił jeden z pacjentów. Podniosła go i przeczytała. Pierwsza myśl dotyczyła jej kariery. Powinna była odwiedzać panią Beaver częściej i sprawdzać jej odleżyny, zanik mięśni oraz ogólny stan zdrowia.

Zajechała na Bowling Green Road i siedziała w samochodzie, czytając kartotekę Evy.

W okno samochodu po stronie kierowcy zapukała swoją zdrową ręką Sandy Lake. Drugą miała w gipsie. Jak dotąd nikt się na nim nie podpisał. William mówił, że nie podpisuje się na gipsach.

– Z Evą źle? – spytała.

Siostra Spears opuściła okno.

– Nie mogę ujawniać informacji o moich pacjentach.

Zasunęła okno, ale Sandy Lake nie znała wstydu i nie przestawała zadawać pytań. Siostrę Spears onieśmiała kobieta w głupim, robionym na drutach swetrze. Ulżyło jej, gdy zobaczyła policjanta. Nacisnęła klakson i posterunkowy Hawk podszedł do samochodu.

Nie przepadał za pośpiechem, zawsze działał sumiennie i z rozmysłem. Pochylił się przy oknie kierowcy, a siostra Spears zapytała, czy może ją odprowadzić pod numer piętnasty.

Sandy Lake zażyczyła sobie towarzyszyć pielęgniарce.

– Powinnaś się znajdować pięćset metrów stąd – powiedział

posterunkowy Hawk.

– Niedługo będę jeszcze dalej – odparła. – William i ja będziemy mieszkać na squacie.

– To wstrząsające – stwierdziła siostra Spears.

– Dlaczego? To jest w moim domu – rzekła Sandy.

Posterunkowy Hawk spojrział na siostrę Spears i popukał się w skroń.

– Już się zdążyłam domyślić – ucięła pielęgniarka.

Na górze, w ciemności swojej sypialni, Eva prawie skończyła wykonywać proste ćwiczenia, które zapamiętała z lekcji wychowania fizycznego w szkole, mimo że minęło ponad trzydzieści lat. Eva nienawidziła każdych zajęć, które wiązały się ze wspólnym korzystaniem z prysznica. Dziwiło ją, że niektóre dziewczyny stoją nagie i rozmawiają z nauczycielką wuefu, panną Brawn. Wstydziła się swojego ręcznika, nie dość dużego, aby owinąć go wokół ciała, oraz szarego i poplamionego, ponieważ nieustannie zapominała zabrać go do domu i wyprać.

W latach siedemdziesiątych, w trakcie śniadań, Ruby nie odmawiała sobie tej przyjemności i uczyła swoją córkę dobrych manier. Podczas jednej z takich okazji powiedziała jej, że kiedy zdarza się przerwa w rozmowie, Eva ma obowiązek ją wypełnić.

W wieku dwunastu lat Eva była poważną dziewczyną i bała się, że może zrobić coś nie tak. Raz, kiedy schodziła z bieżni położonej w dalszej części szkolnego boiska, dogoniła pannę Brawn i szły krok w krok. Eva nie wiedziała, czy wypada iść w podobnej synchronizacji. Powinna zwolnić czy przyspieszyć? Rzuciła okiem na twarz nauczycielki. Wyglądała na nieskończenie smutną.

– Co pani ugotuje na niedzielny obiad? – zaczęła paplać.

Panna Brawn wyglądała na zmieszaną, ale odpowiedziała.

– Myślałam o udźcu jagnięcym...

– I robi pani sos miętowy? – spytała uprzejmie Eva.

– Nie zrobię, *kupię!* – powiedziała panna Brawn.

Nastąpiła długa cisza, którą Eva wypełniła pytaniem:

– Będą smażone ziemniaki czy tłuczone?

Panna Brawn westchnęła.

– I takie, i takie! Czy twoi rodzice nie powiedzieli ci, że to niegrzeczne zadawać tyle osobistych pytań?

– Nie – odparła Eva. – Nie powiedzieli.

Panna Brawn spojrzała Evie prosto w twarz.

– Powinnaś odzywać się wyłącznie wtedy, kiedy masz coś ważnego do powiedzenia. Idiotyczne pytania dotyczące moich niedzielnych planów obiadowych są niewłaściwe.

Eva pomyślała wtedy: „Będę trzymać buzię na kłódkę i będę myśleć po swojemu”.

Mimo że minęło tyle lat, dorosła Eva wciąż pamięta zapach świeżo skoszonej trawy, widzi promienie słońca na starych czerwonych ceglach budynku szkolnego i czuje falę upokorzenia w sercu, kiedy ucieka od panny Brawn, żeby ukryć się gdzieś do czasu, aż policzki przestaną jej płonąć.

Skończyła ćwiczyć i leżała teraz na plecach na kołdrze. Nie mogła przestać myśleć o jedzeniu. Jej główna karmicielka, Ruby, miała dość niefrasobliwe podejście do czasu i w harmonogramie był nieustanny bałagan. Jej matka miała także coraz poważniejsze kłopoty z pamięcią i zdarzało się, że nie pamiętała imienia córki.

Stanley otworzył drzwi domu Evy.

– Jak się państwo mają? – zwrócił się do pielęgniarki i posterunkowego.

Uścisnął im dłonie i zaprowadził do kuchni.

– Muszę się odwołać do państwa doświadczenia.

Kiedy krzątał się po kuchni, przygotowując herbatę, mówił:

– Obawiam się, że stan Evy się pogorszył. Wykorzystała swój niemały urok i Peter, nasz czyściciel okien, zabarykadował ją w sypialni. Zostawił tylko otwór w drzwiach, przez który można zajrzeć do środka i, przynajmniej w teorii, wsunąć talerz z jedzeniem.

Kiedy tylko Stanley użył słowa „zabarykadować”, posterunkowy Hawk zobaczył oczyma wyobraźni scenę. Przejmuje dowodzenie, wzywa jednostkę specjalną i jest obecny w chwili, gdy drzwi zostają wyważone metalowym taranem.

Siostra Spears ujrzała siebie przed komisją lekarską, jak stara się usprawiedliwić swoje zaniedbanie wobec przykutej do łóżka pacjentki. Tłumaczyłaby się oczywiście przepracowaniem. Było to zgodne z prawdą – miała tyle stóp cukrzycowych, zastrzyków i zmian opatrunków, że ledwo nadążała.

– Kiedy wrócę do przychodni, poinformuję jej lekarza – powiedziała. – Być może zgodzimy się co do interwencji związanej ze stanem zdrowia psychicznego i przypiszemy jej jednostkę chorobową.

– Nie, ona nie jest *obląkana* – skłamał szybko Stanley. – Jest w pełni racjonalna. Rozmawiałem z nią dziś rano i zrobiłem jej jajka na twardo z tostami. Pomyślałem, że wygląda na bardzo szczęśliwą.

Siostra Spears i posterunkowy Hawk wymienili spojrzenia, mówiące: „Kogo obchodzą słowa cywilów? Tu decyzję podejmują profesjonaliści”.

Zostawili swoje herbaty na stole i wszyscy troje poszli na górę.

Stanley zatrzymał się pod drzwiami.

– Masz gości, Evo. To siostra Spears i posterunkowy Hawk. Nie było odpowiedzi.

– Może śpi – zasugerował.

– Niech pan posłucha – odezwała się pielęgniarka. – Mój czas jest niezmiernie cenny. – W końcu krzyknęła: – Pani Beaver, chcę z panią porozmawiać!

Eva przerabiała w głowie piosenki z musicali. W czasie monologu siostry Spears na temat szalonych ludzi, których udało się jej uleczyć, śpiewała w myślach *Being Alive* z *Company*.

Titania przyłożyła usta do szpary w drzwiach.

– Eva, muszę z tobą porozmawiać.

Eva jęknęła.

– Proszę cię, Titanio. Nie będę z tobą prowadziła głębokich rozmów na temat twojej relacji z moim byłym mężem.

– Chodzi o Briana.

– Zawsze chodzi o Briana.

- Słuchaj, możesz podejść do drzwi?
- Nie. Nie mogę wstać z łóżka.
- Proszę cię – błagała Titania. – Użyj białej ścieżki.
- Mogę jej używać tylko w jednym celu.

Eva nie miała już sił. Od kilku dni czuła, że z niej wypływają. Ledwo mogła podnieść ręce i nogi, a kiedy próbowała unieść głowę z poduszki, mogła ją tak utrzymać zaledwie przez kilka chwil, zanim z ulgą kładła ją z powrotem.

- Mogłyśmy zostać przyjaciółkami – powiedziała Titania.
- Nie jestem dobra w przyjaźniach.

Titania spojrzała przez szparę i wydawało się jej, że widzi smugę światła, a pod nią postać leżącą na brzuchu.

– Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że jest mi ogromnie przykro z powodu tych ośmiu lat kłamstw. Przyszłam po twoje przebaczenie.

– Oczywiście, wybaczam ci – powiedziała Eva. – Wybaczam wszystko każdemu. Nawet sobie wybaczam.

Titanię zaskoczył straszny stan domu. Wyglądało na to, że większość sprzętu się zepsuła. Na ścianach w kuchni widniały złowrogie pęknięcia. Z odpływów śmierdziało.

– Posłuchaj, pozwól mi zdemontować te drzwi. Chcę z tobą pomówić twarzą w twarz.

- Wybacz, Titanio, ale teraz pójdę spać.

Po braku smugi światła na ścianie Eva domyśliła się, że zapadł już zmierzch. Była głodna, ale ustaliła sama ze sobą, że nie będzie już prosić o jedzenie. Jeśli kto-kolwiek zechce ją nakarmić, sam przyjdzie.

Kiedy Titania zeszła na dół, zobaczyła Ruby przygotowującą kanapki. Doznała szoku, gdy zobaczyła, jak bardzo Ruby się postarzała.

Ruby przeprosiła dwóch lekarzy i pielęgniarkę za niezmycione liście na werandzie.

– Jak tylko zmiotę jedne, zaraz pojawiają się następne.

– Taka jest kolej rzeczy – stwierdził doktor Lumbogo.

Kiedy zgromadzili się u podnóża schodów, Ruby powiedziała:

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadła coś ciepłego. Rzucam jej pożywienie.

– Brzmi to tak, jakby tu był wybieg dla lwa – odezwała się siostra Spears.

– Pamięć często mnie zawodzi. Tak czy siak, nie jest mi łatwo wspinać się na schody. Cały czas czekam na to nowe biodro!

Spojrzała na doktora Lumbogo.

– Jest pani na liście, pani Brown-Bird.

– Możemy się dowiedzieć, czy jest skłonna skrzywdzić siebie albo innych? – spytał doktor Bridges.

– Tylko raz widziałam, kiedy użyła przemocy – odparła Ruby. – I chodziło o kobietę, która ciągnęła po chodniku klęczące dziecko.

– W moich kontaktach z panią Beaver zdarzyła się sugestia przemocy – powiedziała siostra Spears.

– Ale nie otwarta przemoc? – dopytywał doktor Bridges.

– Gdybym znalazła się z nią sam na sam, nie odwróciłabym się do niej plecami.

Wspięli się po schodach i stanęli pod drzwiami Ewy. Ona zaś kuliła się w rogu pokoju, plecami opierała się o ścianę w nogach łóżka. Od wielu dni się nie myła i czuła ostry nieprzyjemny zapach, który jej jednak nie przeszkadzał.

Była taka głodna, że odnosiła wrażenie, jakby jej ciało się topiło. Uniosła swoją białą halkę i wyczuła zebra – mogła zagrać na nich jakiś melancholijny utwór. Pod drzwiami leżało jedzenie.

Sąsiedzi przynieśli jej kanapki, owoce, ciasta i ciasteczka, ale nie wstała z łóżka, żeby je podnieść. W akcie desperacji Ruby rzucała jej jabłka, pomarańcze, śliwki i brzoskwinie, mając nadzieję, że coś doleci do łóżka.

Kiedy zapytali ją, kto jest premierem, odpowiedziała:

– A ma to jakieś znaczenie?

Doktor Lumbogo się zaśmiał.

– Nie, to same półgłówki.

– Czy kiedykolwiek zrobiła sobie pani krzywdę? – spytał doktor Bridges.

– Tylko przy używaniu wosku w okolicach bikini – odparła.

Zapytali ją, czy myślała kiedyś o tym, żeby kogoś skrzywdzić.

– Nic tak naprawdę się nie liczy, prawda? Nic w porównaniu z nieskończonością. Niech pan na siebie spojrzy, doktorze Bridges, jest pan zrobiony z masy cząsteczek. W jednej sekundzie może pan być w Leicester, a osiem i pół sekundy później na krańcu Wszechświata.

Lekarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Może odpoczynek w Brandon Unit? – zasugerował szeptem doktor Lumbogo doktorowi Bridgesowi.

– Konieczna będzie profesjonalna opieka psychiatryczna – odezwała się siostra Spears. – Czy mogę panom zasugerować czwarty oddział?

Później, kiedy lekarze już sobie poszli, Ruby włożyła kapelusz, płaszcz i udała się do domu Stanleya Crossleya.

– Chcą ją zabrać – powiedziała, gdy otworzył jej drzwi. Nie umiała wykrztusić z siebie, że chodzi o oddział szpitala psychiatrycznego. W słowie „oddział” było coś, przez co miała ciarki na plecach.

Poprowadził ją między stertami książek w przedpokoju i posadził w schludnym salonie, gdzie książki stały w stosach pod ścianami.

– Ona nie jest obłąkana – powiedział. – Znałem wielu obłąkanych. Sam byłem obłąkany. – Zaśmiał się krótko, po czym

zapytał: – Czy Alexander o tym wie?

– Po nim ani widu, ani słyhu. Briana nigdy nie ma, teraz zniknęła też ta kobieta, Titania. Yvonne jest w lepszym miejscu, a od bliźniaków nie mieliśmy wiadomości od miesiący. Czuję się sama jak palec.

Stanley objął ją i poczuł, że się na nim opiera. Pomyślał, że jest niesamowicie miękka i puchata.

– Czy moja twarz ci przeszkadza, Ruby?

– Kiedy na ciebie patrzę, widzę twarz, jaką miałeś kiedyś. Tak czy siak, kiedy ktoś osiąga nasz wiek, jego twarz i tak jest złachana, nie?

Teraz, gdy nie było żadnych szans na audiencję u Evy, jej akolici się rozeszli, zostali wyłącznie Sandy Lake i William Wainwright.

Ta dwójka przeprowadziła niejedną długą rozmowę. Mówili szeptem, żeby żaden sąsiad ich nie podsłuchał. Zgodzili się co do tego, że księżną Dianę zamordował książę Filip i że pierwsze lądowanie na Księżycu nakręcono w studiach filmowych w Hollywood oraz że George W. Bush rozkazał zniszczenie Twin Towers.

Sandy przygotowała na kuchence turystycznej kakao dla obojga. Kiedy siorbali gorący płyn, William opowiedział Sandy o niewolnikach, którzy pracują przy obróbce nasion kakaowca.

– Nie mogę zasnąć bez mojego kakao! – krzyknęła Sandy.

– Zwiniemy następną puszkę, prawda?

Objął ramieniem jej szerokie plecy. Przyłożyła policzek do jego delikatnego zarostu. Za nimi zahukała sowa. Sandy podskoczyła zaniepokojona, a William ścisnął ją mocniej, przyciągając do siebie.

– To ino sowa.

– *Tylko* sowa – poprawiła go.

– Taa – powiedział. – Ino sowa.

Siedzieli i rozmawiali, aż księżyc skąpał ich w mlecznym ciepłym świetle.

Dziewiętnastego września we wczesnych godzinach rannych Eva obudziła się w ciemnościach. Natychmiast oblała się zimnym potem. Bała się ciemności. Dom tonął w ciszy, innej od tej, którą wypełniają domy, kiedy nie ma mieszkańców.

Starła się zapanować nad wzmagającą się paniką mówieniem do siebie, pytając się, dlaczego boi się mroku.

– Na kołku na drzwiach wisiał płaszcz – powiedziała do siebie. – Wyglądał jak człowiek. Nie spałam całą noc i patrzyłam na płaszcz. Wydawało mi się, że się poruszył. Być może niezauważalnie, ale z pewnością się poruszył. Poczułam ten sam strach, co wtedy, gdy szłam przez posesję Lesliego Wilkinsona. Kiedy zobaczył, że się zbliżam, stanął mi na drodze i zażądał pieniędzy albo cukierków, zanim pozwolił mi pójść dalej. Rozglądałam się w poszukiwaniu pomocy. Usłyszałam i zobaczyłam panią Wilkinson, jak podśpiewuje sobie przy zmywaniu naczyń. Co jakiś czas podnosiła wzrok i machała, podczas gdy ja przeżywałam katusze.

Eva opowiedziała sobie historię o tym, jak wpadła do głębokiego kanału otoczonego lodem i śniegiem, jak nie mogła się stamtąd wydostać. Jak jej przyjaciel poszedł do domu i zostawił ją tam niemal na całą noc i jak próbowała znaleźć oparcie dla stóp, dzięki któremu dałaby radę się wspiąć. Potrzebne były trzy koce i dwie narzuty, żeby przestała się trząść.

Dzień, w którym mężczyzna, zupełnie obcy, nazwał ją „wielkim wołem”, gdy nastąpiła mu na palce stopy podczas świątecznej przepychanki przed Woolworthem. Jego głos towarzyszył jej już zawsze, gdy szła do przymierzalni.

Raz znalazła rozkładającą się ludzką dłoń w trzcinach nad brzegiem kanału. W szkole jej nie uwierzyli i została ukarana: raz za spóźnienie i drugi raz za kłamanie w sprawie dłoni.

Nie chciała myśleć o dziecku, które poroniła w Paryżu i które

nazwała Babette, i o tym, jak wróciła ze szpitala do dużego mieszkania, a jego nie było, o tym, że zabrał ze sobą swoje eleganckie rzeczy i jej młode serce.

Chciała płakać, ale łyzy uwieźły jej gdzieś w gardle. Jej oczy były suche jak pustynia, wokół serca miała pierścień lodu i bała się, że nigdy się nie rozpuści.

Znów przemówiła do siebie, tym razem surowo:

– Eva! Innym ludziom przydarzyły się o wiele gorsze rzeczy. Byłaś w swoim życiu szczęśliwa. Pamiętaj o płatkach śniegu w brzezynie, picciu wody ze strumyka w drodze ze szkoły do domu, zbieganiu ze wzgórza prosto w słodkie aksamitne trawy o jadalnych lodygach. O zapachu pieczonych w popiele ziemniaków. Twoje najwcześniejsze wspomnienia: otwieranie z pomocą taty kasztanów i znajdowanie w środku lśniących brązowych nasion. Cudowna niespodzianka. Niezważanie na znak „Zakaz wstępu” i tańczenie w sali balowej opuszczonego pałacyku. I książki! Śmianie się w środku nocy podczas lektury P.G. Wodehouse’a. A w lecie leżenie na chłodnej narzucie, czytanie z pudełkiem sorbetu cytrynowego. Tak, byłam szczęśliwa. Słuchanie swojej pierwszej płyty Elvisa z moim chłopakiem, Gregorym Davisem. Obaj byli porównywalnie piękni.

Przypomniała sobie ukradkowe przyglądanie się Brianowi, który czule karmił bliźniaki w środku nocy. Prześliczny widok.

Gdy niemal zasnęła, oceniła swoje szczęśliwe wspomnienia i odkryła, że wypiera je okrutna rzeczywistość. Brzezinę zastąpiło osiedle domków, w strumieniu pływały śmieci. Wzgórze wyrównano i postawiono centrum handlowe, a Brian już nigdy więcej nie nakarmił bliźniaków w nocy.

Alexander stał na późno obsianym polu jęczmienia. Miał zgodę farmera. Wymienili się e-mailami. Farmer pomachał do niego z traktora, kiedy zobaczyli się w połowie drogi.

Teraz używał farb olejnych i starał się oddać znaczenie każdego kłosa jęczmienia, to wrażenie, że bez jednego nie byłoby setek, tysięcy czy iluś tam milionów kłosów znajdujących się na siedmioakrowym polu.

Poczuł na sercu wibrowanie telefonu. Wyjął go z kieszeni z ociąganiem. Właśnie osiągnął stan, w którym pędzel stał się przedłużeniem jego ciała. Nie rozpoznał numeru, ale mimo to odebrał.

– Halo?
– Czy to Alexander Tate?
– Tak. Kto mówi?
– Tu Ruby! Matka Evy.
– Co u niej?
– Właśnie dlatego dzwonię. Stoczyła się, Alex. Wysyłają ją do... – Ruby spojrzała na skrawek papieru i przeczytała: – ... „profesjonalisty od zdrowia psychicznego” z „czwartego oddziału”. Oni wezwą policję z taranem.

Alexander szybko spakował swój sprzęt i pobiegł w stronę vana, którego zaparkował na trawiastym poboczu. Jechał przez wiejskie drogi bardzo szybko, niebezpiecznie ścinał zakręty i niecierpliwie wyprzedzał wlokące się przed nim pojazdy. Użył klaksonu tyle razy, że sam siebie uznał za Ropucha.

Poop! Poop-poop!⁴²

Zatrzymał się przed domem Evy i wstrząsnęło nim, gdy zobaczył, że jej ulubione drzewo zniknęło. Pobiegł do drzwi frontowych i zdał sobie sprawę, że nie ma tłumów i nie zostało po nich nic poza kilkoma plamami na chodniku.

Stanley i Ruby razem podeszli do drzwi. Z twarzy Ruby Alexander mógł wyczytać, że stało się coś złego. Wszyscy troje weszli do kuchni i Ruby opowiedziała, co tu się działo od czasu, kiedy ostatni raz widział Evę.

– Zwalone drzewo przelało czarę goryczy – powiedziała.

Alexander rozejrzał się po kuchni. Na każdej powierzchni leżała gruba warstwa brudu, przewracane kubki lepiły się do ociekacza. Podziękował Ruby za herbatę i pobiegł na górę.

Zobaczył zabite drzwi Evy, a przez otwór ciemność w środku.

– Eva! – zawołał. – Posłuchaj mnie, kochana, po-biegnę tylko do auta. Nie będzie mnie krócej niż dwie minuty.

W swoim pokoju Eva pokiwała głową.

Życie było zbyt trudne, żeby przemierzać je samotnie.

Wrócił z narzędziami.

– Nie bój się, już jestem – powiedział przez szparę.

Zaczął kopać w drzwi, aż poleciały wióry. Użył łomu, żeby pozbyć się fragmentów dykty z gwoździami. Kiedy drzwi stanęły otworem, zobaczył ją zgarbioną na łóżku pod zabitym deską oknem.

Właśnie wyznaczyła sobie zadanie stawienia czoła wszystkim nieszczęściom i rozczarowaniom jej życia.

Ruby i Stanley trzymali się za Alexandrem.

Poprosił Ruby, żeby napuściła Evie wody do wanny i znalazła dla niej nową koszulę nocną.

– Wyłącz wszystkie światła, dobrze, Stan? – poprosił. – Nie chcę, żeby ją oślepiło.

Przestąpił nad rozkładającym się jedzeniem i kawałkami drewna i podszedł do Evy. Chwycił jej rękę i delikatnie ścisnął.

Żadne z nich się nie odezwało.

Najpierw Eva pozwoliła sobie na kilka łez, ale po kilku sekundach płakała z otwartymi ustami i bez opanowania nad trójką swoich dzieci i siedemnastoletnią sobą.

Gdy Ruby krzyknęła: „Kąpiel gotowa!”, Alexander podniósł Evę, zaniósł ją do łazienki i włożył do ciepłej wody.

Jej koszula nocna uniosła się na powierzchni wody.

– Zdejmijmy to – powiedziała Ruby. – Podnieś ramiona.
Grzeczna dziewczynka.

– Już się resztą zajmę – odezwał się Alexander.

– Nie, pozwól mamie – szepnęła Eva.

Osunęła się i pozwoliła sobie zanurzyć głowę pod wodą.

Na dole w salonie Stanley układał drewno w kominku.

Nie było zimno, ale pomyślał, że Evie będzie się to podobało po takim czasie spędzonym w zamknięciu.

Miał rację.

Kiedy Alexander przyniósł ją i położył na sofie naprzeciwko ognia, powiedziała:

– Tu chodzi o życzliwość, prawda? Zwyczajną życzliwość.

Koniec .

Podziękowania

Podziękowania niech przyjmą Sean, Colin, Bailey, Louise i cała ekipa z Michael Joseph, którzy pomogli mi w pisaniu tej książki.

¹ Uniwersytety w Oksfordzie i Cambridge określa się wspólną nazwą Oxbridge, chociaż są oddalone od siebie o mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Humanoidalna rasa z serialu *Star Trek*.

³ Brytyjska opera mydlana.

⁴ Postać z serialu *EastEnders*.

⁵ Gwarowa odmiana języka angielskiego używana przez mieszkańców Londynu, głównie przedstawiciele niższych warstw społecznych.

⁶ Parafraza tytułu popularnej irlandzkiej piosenki śpiewanej w czasie pierwszej wojny światowej.

⁷ Aluzja do filmu *Na nabrzeżach* w reżyserii Elii Kazana. Słowa wypowiedane przez Terry'ego Malloya (postać grana przez Marlona Brando).

⁸ *Brown bird* (ang.) – brązowy ptak (ale także folkowa kapela amerykańska), *beaver* (ang.) – bóbr.

⁹ Brytyjska opera mydlana emitowana bez przerwy od 1960 roku, najstarsza w historii Wielkiej Brytanii.

¹⁰ Gra słów: *Sun* (ang.) – słońce; „The Sun” to bulwarowa gazeta codzienna.

¹¹ Znany prezenter telewizyjny i radiowy, w trakcie swojej kariery – od lat siedemdziesiątych – prowadził kilka popularnych teleturniejów.

¹² Sir Alfred Patrick Caldwell-Moore (1923–2012) – legenda astronomii, ale także pisarz, badacz, komentator radiowy i prezenter telewizyjny. Autor ponad siedemdziesięciu książek oraz prezenter najdłużej trwającej serii programów telewizyjnych w stacji BBC. Jego nazwiskiem została nazwana planetoida.

¹³ Pszczoła (ang.).

¹⁴ Aluzja do śmierci sufrażystki Emily Davison, która 4 czerwca 1913 roku podczas gonitwy Derby wyszła z transparentem WSPU (organizacji zrzeszającej sufrażystki) na tor, by zatrzymać konia należącego do króla Jerzego V. Została stratowana i nie odzyskała przytomności, zmarła cztery dni później.

¹⁵ Angielskie święto ludowe obchodzone 5 listopada. W 1605 roku Guy Fawkes próbował wysadzić Izbę Lordów i tym samym zamordować króla Anglii i Szkocji Jakuba I.

¹⁶ Rodzaj specjalistycznego pomieszczenia przeznaczonego do badań naukowych, gdzie parametry środowiskowe oraz poziom dopuszczalnych zanieczyszczeń podlegają ścisłej kontroli.

¹⁷ Peter William Sutcliffe, znany jako Rozpruwacz z Yorkshire, w latach 1975–1980 zamordował trzynaście kobiet na północy Anglii, siedem innych okaleczył. W maju 1981 roku został uznany za winnego i skazany na dożywotnie więzienie. Trzy lata później przeniesiono go do szpitala psychiatrycznego Broadmoor.

¹⁸ W Wielkiej Brytanii w Wigilię większość osób pracuje. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia typowym daniem obiadowym jest pieczony indyk z żurawiną, wtedy też Brytyjczycy roz-dają sobie prezenty.

¹⁹ Święto obchodzone 26 grudnia m.in. w Wielkiej Brytanii. Nazwa wywodzi się od tradycyjnego, sięgającego średniowiecza zwyczaju darowania służbie lub biednym podarunków zapakowanych w pudełka (ang. *box*).

²⁰ Instytut Technologiczny w Massachusetts, prestiżowa uczelnia w Stanach Zjednoczonych.

²¹ Tiny Tim (właśc. Herbert Buckingham Khaury, 1932–1996) był amerykańskim muzykiem oraz historykiem muzyki. Grał na ukulele i śpiewał charakterystycznym wibrującym falsetem.

²² Drugoligowy klub piłkarski z Accrington w hrabstwie Lancashire.

²³ Europejska Organizacja Badań Jądrowych CERN – ośrodek naukowo-badawczy położony na przedmieściach Genewy. Najważniejszym narzędziem pracy ośrodka jest Wielki Zderzacz Hadronów – największy na świecie akcelerator cząstek.

²⁴ Kilkakrotnie ekranizowana klasyczna powieść amerykańska Kate Douglas Wiggin, opowiadająca o małej dziewczynce, którą opiekowały się dwie surowe ciotki.

²⁵ *Poppy* (ang.) – mak.

²⁶ Otwarty dom jest tradycyjnym sposobem na rozrywkę w

okresie świąt Bożego Narodzenia i sylwestra. Zwykle zaprasza się przyjaciół, rodzinę, sąsiadów lub współpracowników.

²⁷ Słowa popularnej szkockiej pieśni ludowej, której obecny tekst w 1788 napisał Robert Burns, tu w przekładzie Krzysztofa Sobolewskiego.

²⁸ Znana brytyjska szkoła, której tradycja sięga siedemnastego wieku.

²⁹ Aluzja do piosenki Cole'a Portera, rozpropagowanej przez Franka Sinatrę: *I've Got You Under My Skin*.

³⁰ Sir Michael Parkinson – słynny brytyjski dziennikarz radiowy i telewizyjny, znany przede wszystkim ze swojego talk-show *Parkinson*.

³¹ Trafalgar Square to tradycyjne miejsce spotkań i zgromadzeń zarówno politycznych, jak i okolicznościowych.

³² Na zakończenie koncertów promenadowych muzyki klasycznej, organizowanych od 1895 roku, odbywają się koncerty finałowe, znane jako Last Night of the Proms. Wykonuje się wtedy utwory tradycyjne i patriotyczne.

³³ W kolejności: fragment wiersza Johna Masefielda *Zew morza* w przekładzie Marii Michalczak; fragment *Do skowronka* Percy'ego Shelleya w przekładzie Ludmiły Marjańskiej; fragment wiersza G.K. Chestertona *Osiół* w przekładzie Marka Skwarnickiego.

³⁴ Peter Kay (ur. 1973) – niezwykle popularny brytyjski komik i aktor. Autor dwóch bestsellerowych autobiografii. Uznany przez „Observera” za jednego z pięćdziesięciu najlepszych brytyjskich komików wszech czasów.

³⁵ Irlandzkie i angielskie święto państwowe; przeważnie dzień wolny od pracy, czemu zawdzięcza swoją nazwę: wtedy nieczynne są banki, co sprawia, że większość przedsiębiorstw również nie może funkcjonować.

³⁶ Anthony Trollope (1815–1882) – jeden z najważniejszych pisarzy angielskich ery wiktoriańskiej, wynalazca skrzynki pocztowej.

³⁷ *Steel pan* (znany również jako pan, steel drums) to

instrument muzyczny (przypominający kształtem obcięte dno beczki), a także forma muzyki wywodząca się z wysp Trynidad i Tobago na Karaibach.

³⁸ Aluzja do popularnej rymowanki *One for Sorrow*, znanej w Anglii od co najmniej osiemnastego wieku. Zgodnie ze starym wierzeniem liczba dostrzeżonych srok określa, czy spotka nas szczęście, czy pech. Można ją przetłumaczyć następująco: „Jedna to smutek, / Dwie – smutek znika, / Trzy niosą córeczkę, / Cztery – chłopczyka, / Pięć jest na srebro, / Sześć złoto ci da, / Siedem to sekret, / O którym sza!”.

³⁹ Bohaterowie książki Jane Austin *Duma i uprzedzenie*.

⁴⁰ Brytyjski program telewizyjny nadawany w porze lunchu. Prowadzą go cztery kobiety, które przeprowadzają wywiady ze znanymi osobistościami, a także komentują bieżącą politykę, aktualności oraz plotki.

⁴¹ Nawiązanie do dziewiętnastowiecznej powieści szwajcarskiej autorki Johanny Spyri, opowiadającej o perypetiach kilkuletniej dziewczynki podrzuconej przez ciotkę do nieznanego jej wcześniej dziadka mieszkającego w Alpach.

⁴² Aluzja do książki Kennetha Grahame’a *O czym szumią wierzby* i jednego z jej bohaterów.

